

Brian Freeman

ROZEBRANA

MA CELOWNIKU

*Seks i pieniądze,
przepych i zbrodnia...
Witajcie w Mieście
Grzechu...*

Świat Książki

Brian Freeman

ROZEBRANA

Z angielskiego przełożył *Arkadiusz Nakonieczni*

Dla Marcii

*Czy karą za zbrodnie muszą być większe zbrodnie,
popelniane przez większych zbrodniarzy?*

Byron, Manfred

*Zsunęła szlafrok z ramion i biały jedwab opadł
faldami do jej stóp.*

*W blasku neonu górującego nad tarasem na dachu
jej nagie ciało pyszniło się feerią barw. Ogromne litery
układały się nad jej głową w błyskający zielenią i
czerwienią napis Szeherzada. Światło spływało po jej
skórze, malując psychodeliczne graffiti na urnach,
fontannach i daktylowcach zdobiących taras niczym w
marokańskim pałacu.*

*Miasto żyło światłem. Dolinę rozjaśniał blask
potężnych neonów, ale nazwy przypominały o tym, gdzie
leży to miejsce: Piaski. Wydmy. Pogranicze. Przyczółki
pośrodku niczego. Świątynie z pyłu i słońca.*

*Poza zasięgiem neonowego blasku dach
Szeherzady krył się w mroku, takim samym jak ten czający
się na pustyni zaraz za Stripem. Nie spojrziała w tamtym
kierunku, nie dostrzegła więc czekającego na nią
mężczyzny.*

*Błękitna woda basenu połyskiwała kusząco. Kobieta
wzięła prysznic po występie, ale ciało wciąż miała
rozgrzane tańcem i tęskniła za chłodną wodą. Naga, w
pantoflach na wysokim obcasie, ruszyła po marmurowej
posadzce w kierunku basenu. Suchy, gorący wiatr owiewał
jej ciało. Zrzuciła pantofle i weszła na trampolinę.
Wskoczyła do wody zgrabnie jak syrena, po czym leniwie
przepełnęła na płytszą część basenu. Kiedy stanęła, woda
kapiała z jej piersi. Rozgarnęła mokre czarne włosy.*

To był raj, a ona została stworzona do tego, żeby w

nim żyć.

Już niedługo będzie mogła żyć właśnie tak w dowolnym miejscu na świecie. Koniec z występami w śmierzących potem salkach, w towarzystwie amatorskich chórków. Koniec z odgrywaniem roli dziwki. To był ostatni wieczór, jutro będzie wolna.

Zastanawiała się, czy będzie jej tego brakowało: poczucia siły, jakie przepełniało ją na scenie, i wygłodniałego wzroku mężczyzn wykrzykujących jej imię: Amira!

Amira Luz. Hiszpańska piękność o ciemnej skórze i prowokującym spojrzeniu. Ze lśniącymi długimi włosami. Nosem ostrym i zakrzywionym jak sztylet. Rozkosznie krągłym ciałem. Amira Luz - bogini Szeherazady.

Tak, z pewnością będzie jej tego brakować. To przecież Las Vegas, gdzie wszystko jest sexy. Głos Sinatry. Brylanty na kobiecej szyi. Nawet dym z dopiero co zapalonego cygara. Kiedy kołysząc biodrami, szła przez kasyno, towarzyszyły jej podeksycytowane szeptki. Tutaj była gwiazdą. Jeśli opuści to morze świateł, nie będzie już dla niej powrotu, ale nie chciała dłużej być więźniem.

Przestraszył ją donośny plusk. Odwróciła się z bijącym gwałtownie sercem i zobaczyła jakiś kremowy kształt płynący ku niej pod wodą. Przez chwilę sparaliżował ją lęk, ale zaraz odprężyła się i uśmiechnęła. Przyszedł wcześniej, żeby zrobić jej niespodziankę. Na myśl o tym, że mogliby kochać się w basenie, ogarnęło ją pożądliwe oczekiwanie.

- Ty gnojku - powiedziała żartobliwym tonem, kiedy wyłonił się przed nią z wody, silny i potężny, nagi jak ona.

Nie tę twarz spodziewała się ujrzeć. Znała go. Codziennie gapił się na nią pożądliwie w kasynie.

Napalony chłopaś niewart nawet tego, żeby na niego splunąć.

Wiedziała, po co się tu zjawił.

Cofnęła się o krok i chciała krzyknąć, ale rzucił się na nią, zatkał jej usta ręką, drugim ramieniem otoczył w talii i przycisnął do siebie, nie zwracając uwagi na jej szamotaninę. Chwilę potem odjął rękę od jej ust, ale zanim zdążyła krzyknąć, pocałował ją mocno. Rozpaczliwie wierzgała nogami pod wodą, ale on stał niewzruszony jak posąg. Uniósł ją bez najmniejszego trudu. Czula jak jego sztywny członek przesuwa się po jej brzuchu.

Najpierw gwałt, uświadomiła sobie. Potem morderstwo.

Odsunął twarz. Natychmiast zaczerpnęła powietrza i zaczęła wzywać pomocy.

- Krzycz do woli. - Roześmiał się, uwolnił ją z objęć i uderzył mocno w twarz.

Krzyk umilkł. Próbowwała się wywinąć, lecz złapał ją ponownie i wepchnął pod wodę. Poczula jego kolano na brzuchu, a zaraz potem na klatce piersiowej. Bezwiednie otworzyła usta, połykając wodę, z nosa uleciały bańki powietrza. Miotła się i wierzgała rozpaczliwie, usiłując wydostać się na powierzchnię, ale jego ręce były jak imadło. Zrozumiała, że już nigdy nie uda jej się uwolnić.

Chlor szczypał ją w szeroko otwarte oczy. Tuż przed swoją twarzą ujrzała jego kołyszący się w wodzie członek. Pozostało jej akurat tyle swobody ruchu, żeby wyciągnąć rękę, chwycić go z całej siły i wbić długie, zadbane paznokcie w jądra.

Zwierzęcy wrzask dotarł do jej uszu przez warstwę wody. Mężczyzna cofnął się gwałtownie, zwolnił uchwyt. Z pluskiem wydostała się na powierzchnię. Łapała

spazmatycznie oddech, czując, jak ciepłe letnie powietrze wypełnia jej płuca. Napastnik trzymał się kurczowo za jądra i klął na czym świat stoi. Rozwścieczona pchnęła go z całej siły w pierś, a on runął na wznak do wody. Amira dała nurka obok niego i popłynęła w kierunku krawędzi basenu.

Słyszała, jak mężczyzna rozchlapuje wodę, próbując odzyskać równowagę, poczuła dotyk jego palców na tydce, kiedy usiłował chwycić ją za nogę. Dotknęła wyłożonego ceramicznymi płytkami obmurowania, położyła obie ręce, podciągnęła się. Zrzuciła nogę na krawędź basenu, ale stopa ześlizgnęła się i Amira osunęła się z powrotem do wody. Natychmiast ponowiła próbę, lecz był tuż za nią.

Gwałtownym szarpnięciem odwrócił ją do siebie. Zobaczyła oczy, w których tliła się wściekłość, o tęczęwkach naznaczonych małymi cętkami, zobaczyła jego lubieżne spojrzenie, które zsunęło się na jej pełne piersi i niżej, ku widocznemu pod wodą ciemnemu trójkątowi między udami.- Dzisiaj już nie będziesz się z nikim pieprzył! - wysyczała z nienawiścią, uśmiechając się do swojej śmierci.

- Ani ty! - odwarknął.

Chwycił ją za długie czarne włosy, gwałtownie szarpnął do tyłu, drugą rękę zacisnął na gardle i z ogromną siłą rąbnął tyłem głowy o ostrą krawędź basenu. Rozległ się paskudny trzask pękającej kości, ciało kobiety wyprężyło się jak po wstrząsie elektrycznym. Ból minął równie nagle, jak się pojawił. Już niczego nie czuła. Ciało spokojnie zanurzyło się w wodzie, z rękami i nogami bezwładnymi jak u marionetki. Szeroko otwartymi oczami spoglądała w nocne niebo rozjaśnione wielobarwną poświatą neonów. To było jej ostatnie spojrzenie na miasto

żyjące i umierające w świetle. Po chwili woda zamknęła się nad jej twarzą, a ciało zaczęło powoli dryfować w stronę głębszej części basenu, ciągnąc za sobą obłoki czerwieni. Kiedy dotknęło dna, ona była już bardzo daleko, na jakiejś drewnianej scenie, gdzie wybijała stopami rytm flamenco przed tłumem wykrzykującym jej imię:

- Amira!

Część pierwsza

AMIRA

1

Elonda omiatała Flamingo Road doświadczonym wzrokiem sępnika krążącego powoli nad pustynią i wypatrującego zdobyczy. Dostrzegła ją niecałą przecnicę od kasyna Oasis i poddała błyskawicznym oględzinom.

Był wysoki i opalony jak surfigowiec wyrzucony na brzeg w środku miasta, z falującymi jasnymi włosami odsłaniającymi uszy i - mimo nocy - w wypukłych srebrzystych okularach. Młody, najwyżej dwadzieścia dwa lata. Miał na sobie krzywo zapiętą koszulę z krótkim rękawem w krzykliwych barwach, wypuszczoną na luźne białe szorty, a na bosych stopach - brudne sportowe pantofle. Zawadiacki krok świadczył o tym, że jest przy forsie. Wiedziała, że ukryte za szklami okularów przeciwsłonecznych oczy też wypatrują ofiary.

Odwrócił głowę w jej stronę, zauważył ją i uśmiechnął się.

Przecucie podpowiadało Elondzie, że facet nie jest gliną. Gliniarze nie poruszali się pieszo; zgarniali dziewczyny do klimatyzowanych wnętrz swoich nieoznakowanych samochodów. Tylko nowicjuszki dawały się na to nabrać.

Elonda, kołysząc biodrami, ruszyła na drugą stronę ulicy, zatrzymując samochody ruchem ręki i obdarzając kierowców lśniącem bielą uśmiechem oraz widokiem kołyszących się piersi. Mimo pierwszej w nocy ruch był duży. W mieście obowiązywały prawa dżungli: posilaj się pod chłodną osłoną nocy, a potem znajdź cienisty zakątek, w którym prześpisz upalny dzień.

Dotarłszy do chodnika, natychmiast skrzyła w bramę przy sklepie, z tylnej kieszeni dżinsów wyjęła tubkę żelu i wycisnęła trochę na palce. Wciągnęła powietrze, wsunęła dłoń pod obcisłe figi, wtarła lubrykant, po czym mocno poruszała udami i biodrami. Sztuczka stara jak świat. Och, kochanie, przy tobie jestem taka wilgotna... Tyle że ostatnio mężczyznom coraz rzadziej chodziło o tradycyjny stosunek. Albo bali się AIDS, albo nie potrafili wejść w nią na stojąco. W związku z tym zdecydowali się na usta.

Elonda odgarnęła włosy do tyłu, wsłuchując się w grzechotanie paciorków wplecionych w warkoczyki, obciągnęła obsyty piórami różowy top, odsłaniając do połowy ciemne sutki, a następnie położyła sobie na języku listek miętowej gumy do żucia. Kolejna sztuczka. Mężczyźni uwielbiali chłód mięty w jej gorących ustach.

Wyszędłszy z bramy, rozejrzała się w lewo i prawo, wypatrując konkurencji, ale była sama: tylko ona i ten niegrzeczny chłopiec. Światła Stripu płonęły jak ogień po drugiej stronie drogi 1-15, gdzie kasyna wysypywały się z Las Vegas Boulevard jak ziarna kukurydzy z przepelnionego kubelka z popcornem. Gold Coast i Rio migotały na północy, a przecnicę dalej wznosiła się wieża Oasis. Jednak tu, gdzie ona stała, Flamingo było pogrążone w mroku - pusty parking i sklep w starym budynku.

Elonda oparła się plecami o witrynę, wypchnęła biodra do przodu i od niechcienia skubała wargami pomalowany paznokieć. Uśmiechnawszy się leniwie, odwróciła głowę w kierunku mężczyzny i zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Szedł prosto ku niej, stąpając po walających się na chodniku ulotkach z rozebranymi panienkami. Bez wahania. To nie był jego pierwszy raz.

Kiedy się zbliżył, zmrużyła oczy. Wyglądał znajomo, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna. Na pewno nie był jej stałym klientem. Widziała już jego twarz... Może w gazecie? Miał ciemne okulary, co nie ułatwiało jej zadania, ale i tak przyglądała mu się długo i uważnie, ponieważ znana postać korzystająca z płatnego seksu w Las Vegas mogła później oznaczać dodatkowe, całkiem spore pieniądze. Zatrzymał się tuż obok niej.

- Cześć.

Głos miał młodzieńczy i beztroski. Znudzony. Mówił trochę niewyraźnie.

- Cześć. - Elonda wsunęła mu palec pod koszulę i zakreśliła kółko na jego piersi. - Czy ja cię aby skądś nie znam?

- A byłaś kiedyś w Iowa?

Kmiotek o znajomej twarzy, pomyślała. Niech to szlag.

- To tam, gdzie mnóstwo krów i zboża, zgadza się? I gdzie łatwo wdepnąć w łajno? Nie, dzięki.

Rozejrzała się w prawo i w lewo w poszukiwaniu radiowozu, ale wśród sunących szosą hummerów, limuzyn i pikapów nie dostrzegła nic niepokojącego. Przechnięc dalej, przy Oasis, jakiś człowiek czekał na autobus, zerkając co chwila na zegarek. W przeciwnym kierunku nie było nikogo. Czysto.

- Pieprzonko czy ssanko? - zapytała.

W odpowiedzi wysunął język i zatrzepotał nim. Poczula wyraźną woń ginu. Podała mu cenę, a on wyciągnął z kieszeni dwa zmięte banknoty. Położyła mu otwartą dłoń na piersi, lekko popchnęła w głąb bramy, po czym uklękła i rozpięła mu spodnie. Zerknęła w górę; miał zamknięte oczy i co najmniej dwudniową jasną szczecinę

na podbródku.

Zaczęła liczyć w myślach. To była jej prywatna gra, coś dla umilenia czasu, odpowiednik słuchawek iPoda na uszach urzędniczek stukających całymi dniami w klawiaturę. Jeden, dwa, trzy, cztery. Jeszcze żaden nie wytrwał do stu. Większość nie wytrzymała nawet do dziesięciu.

Potrzebowała trochę czasu, żeby 2:0 postawić. To pewnie przez ten gin, pomyślała. Pracowała nadal i doczekała się reakcji. Usłyszała głęboki, gardłowy pomruk rozkoszy. Kiedy ponownie podniosła wzrok, stwierdziła, że mężczyzna ma otwarte usta.

Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy, trzydzieści cztery.

Był blisko. Poruszał biodrami, zaczynał w nią wchodzić, ssła więc coraz mocniej i szybciej poruszała głową.

Trzydzieści dziewięć.

Do jej uszu dotarł stukot ciężkich butów. Ktoś zbliżał się od kasyna. Znowu zerknęła w górę, ale kmiotek był już na innej planecie i niczego nie słyszał. Odgłos kroków stawał się coraz głośniejszy. W gruncie rzeczy mało ją to obchodziło. Wciąż ją podglądano, wciąż słyszała oburzone szepty ludzi, którzy w głębi ducha marzyli, żeby to przed nimi klęczała tak na chodniku. Jeśli ten akurat spojrzy w ich stronę, to niech się dobrze bawi.

Czterdzieści pięć. Czterdzieści sześć. Kmiotek był już bliski eksplozji.

Kroki zbliżyły się jeszcze bardziej, po czym zatrzymały się za jej plecami. Elonda usłyszała szelest materiału i metaliczne kliknięcie. Kmiotek jęczał głośno z zamkniętymi oczami.

Poczuła się nieswojo: ten gość tuż za nią, tak

blisko... Ogarnęły ją złe przeczucia, zjeżyły jej się włoski na karku. Wiedziała, że on tam wciąż jest, choć nawet nie słyszała jego oddechu. Czowała na sobie wzrok nieznanego. Szósty zmysł - coś takiego wyrabia w sobie każdy, kto wystarczająco długo żyje na ulicy - podszeptaną jej, że zanoszą się na coś okropnego.

Wysunęła członka z ust, przygryzła wargę i spojrzała w górę. Wiedziała, że się nie obejrzy, choćby nie wiadomo co. Kmiotek natychmiast otworzył oczy i z wściekłością wykrzywił usta, ale wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił, gdy tylko dostrzegł stojącego za jej plecami człowieka.

- Co jest, do...

Gniew zamienił się w zdumienie. Wytrzeszczył oczy, na twarzy pojawiło się niedowierzanie.

A chwilę potem już nie miał twarzy.

Do uszu Elondy dotarł najgłośniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszała, można go było porównać jedynie do gwałtownej eksplozji wulkanu. Na czole kmiotka wykwitło trzecie oko, głowa opadła mu w przód, tak że Elonda mogła spojrzeć prosto w otwór w jego czaszce, skąd obficie płynęła krew. Chwilę potem mężczyzna osunął się, przygważdżając ją do ziemi. Strumyki krwi popłynęły po jej ciele jak wijące się robaki. Poczwała smród moczu i kału.

Wreszcie przypomniała sobie, żeby krzyczeć. Zamknęła oczy i wrzasnęła ile sił w płucach, krzyczała i krzyczała, ale nikt jej nie słyszał. Nie zatrzymał się żaden samochód. Kiedy umilkła, usłyszała miarowy odgłos oddalających się spokojnie kroków.

2

Ryba wyjęta z wody.

Jonathan Stride usiłował skupić uwagę na skulonej

na chodniku Elondzie. Na jej ciele i ubraniu widniały plamy zaschniętej krwi. Gadała jak najęta, a on starał się za nią nadażyć, ale co chwila spoglądał w kierunku witryny sklepu z artykułami magicznymi, gdzie na czarnym pudle stało akwarium w kształcie kuli. To znaczy pół akwarium; złota rybka po lewej stronie zdawała się pływać w powietrzu. Sztuczka naprawdę robiła wrażenie. Stride zastanawiał się, jak długo rybka może to wytrzymać.

Spróbował spowolnić potok wymowy Elondy.

- Uspokój się, dobrze? Potrzebujemy twojej pomocy.

- Złapcie tego drania! - zaskrzeczała, wymachując rękami. - Mało nie ogłuchłam przez tego sukinsyna! Zupełnie jakby bomba wybuchła mi przy uchu!

Stride przykucnął, tak że jego oczy znalazły się na wysokości oczu kobiety, i chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Postaraj się skupić. Umyjemy cię, damy ci nowe ciuchy, a potem najesz się do syta w bufecie w Rio, a wszystko na koszt policji. W porządku? Zadowolona? Ale najpierw potrzebuję od ciebie pewnych informacji.

- Szczerze mówiąc, wolę bufet w Harrah's! - parsknęła Elonda.

- Doskonale, niech będzie Harrah's. A teraz czy możesz ze mną chwilę porozmawiać?

Elonda wydeła obfite usta i otoczyła ramionami podkulone nogi. Stride wyprostował się, po czym wyjął z kieszeni granatowego płaszcza notes i długopis. Pod spodem miał koszulę w kolorze kości słoniowej i nowiutkie czarne dżinsy. Serena uparła się, żeby zaczął nową pracę w nowych dżinsach, i w końcu uległ jej namowom, choć rozstanie się ze starymi, w których przez ostatnie dziesięć lat chodził w Minnesocie, przyszło mu z ogromnym

trudem. Gruby, niesprany materiał był sztywny jak karton. On sam też czuł się bardzo nienaturalnie w Las Vegas. Jak ryba wyjęta z wody. W porównaniu ze Środkowym Zachodem, gdzie spędził całe dotychczasowe życie, tutaj było zupełnie inaczej.

- Czy widziałeś, skąd przyszła ofiara?

- Z Oasis.

Stride przeniósł wzrok na budynek kasyna ze smukłą falliczną wieżą. W hotelu odbywał się pokaz mody Victoria's Secret; niemal całą trzydziestopiętrową ścianę budowli przykrywał gigantyczny baner z ubraną tylko w bieliznę, patrzącą wyzywająco modelką. Miała białe skrzydła, jakby zamierzała lada chwila wzbić się w powietrze i sterroryzować miasto. King Kong z biustem w rozmiarze D.

- Był sam?

Elonda skinęła głową.

- Tak, posuwał prosto na mnie jak jakiś pieprzony promień lasera.

- Powiedział ci coś o sobie? Jak się nazywał?

- Jasne, ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Ze mną każdy chce pogadać. - Elonda prychnęła pogardliwie, po czym dodała: - Powiedział, że jest z Iowa.

Stride pokręcił głową.

- Z jego dokumentów wynika, że był z Vancouver.

- Pieprzony kłamczuszek? - Uśmiechnęła się szyderczo. - No to pan Bóg pokarał go za kłamstwa.

- Czy na ulicy był ktoś jeszcze?

- Nikogo.

Stride rozejrzał się po okolicy. Ulica była szeroka i prosta, wzrok sięgał kilka przecznic w każdą stronę. Należało wątpić, by zabójca pojawił się znikąd, za sprawą

czarodziejskiej sztuczki, jak ta na wystawie.

- Powiedziałaś, że słyszałaś kroki zabójcy. Skąd przyszedł?

- Nie mam pojęcia, do cholery! Żywej duszy na ulicy nie było! - Włożyła palec do ust, po czym od niechcienia podrapała się między nogami. - Czekaaj, czekaaj... Zdaje się, że ktoś stał na przystanku.

Stride postukał długopisem w zęby i zmierzył spojrzeniem odległość od przystanku; jakieś trzydzieści metrów. Bez budki, tylko znak na słupie i zatoczka dla autobusu.

- Jak wyglądał?

Elonda wzruszyła ramionami.

- Nie obchodziło mnie, bo to nie był gliniarz.

- Wysoki? Niski?

- Nie wiem, do cholery!

Przesunął dłońią po zmierzwionych włosach koloru soli z pieprzem. Były niesforne, nie słuchały się grzebienia i z każdym dniem proporcje zmieniały się na korzyść soli. Przygryzł wargę, próbując sobie wyobrazić zupełnie pustą ulicę - pustą, jeśli nie liczyć Elondy i jurnego Kanadyjczyka.

I człowieka na przystanku.

- Słyszałaś autobus? Chyba zauważyłabyś, gdyby przejeżdżał?

Elonda zastanowiła się przez chwilę.

- Nie przejeżdżał.

- Jak długo byliście w bramie?

- Jakies czterdzieści pięć sekund.

- Skąd wiesz aż tak dokładnie? Mrugnęła porozumiewawczo.

- Bo liczę.

Stride'owi powoli zaczynał się rysować obraz sytuacji. Niecała minuta do strzału, żadnego autobusu... Ruchem ręki przywołał jednego z umundurowanych policjantów, muskularnego chłopaka z jasnymi włosami i kozią bródką.

- Idź na ten przystanek, a potem wróć, mierząc czas. Tylko się spiesz. Jesteś zwyczajnym przechodniem i nie chcesz zwracać na siebie uwagi. Rozumiesz?

Policjant skinął głową. Wykonanie zadania nie zajęło mu wiele czasu.

- Trzydzieści dwie sekundy - oznajmił po powrocie. Stride ponownie przykucnął przed Elondą.

- Chciałbym, żebyś jednak spróbowała sobie przypomnieć tego gościa z przystanku.

- To on, prawda? Cholera, przecież mówię, że nic nie pamiętam!

- Spróbujmy w takim razie...

Stride przerwał, ponieważ za jego plecami zatrąbił klakson, a po chwili rozległ się basowy pomruk wielocylindrowego silnika i tuż obok policyjnych taśm otaczających miejsce zbrodni zatrzymał się samochód. Kiedy otworzyły się drzwi, młody policjant z kozią bródką wymamrotał pod nosem przekleństwo. Stride zerknął w bok w samą porę, by dostrzec tył odjeżdżającego maserati spyder.

- Co to za lalunia? - zapytała Elonda, patrząc nad jego głową.

Kobieta, która wysiadła ze sportowego samochodu, stała z ramionami skrzyżowanymi na wydatnych piersiach i jedną stopą na krawężniku. Miała krótko ostrzyżone jasne włosy z ciemnymi pasemkami. Była wysoka, chyba tylko odrobinę niższa od mającego metr osiemdziesiąt pięć

Stride'a. Dostrzegł mocną figurę i silne ramiona. Na prawym znajdował się tatuaż przedstawiający głowę wilka. Przy szlufce granatowych dżinsów połyskiwała złocista odznaka policyjna.

- Nieważne - odparł Stride. - Zamknij oczy, odpręż się i wróć myślami do chwili, kiedy zauważyłaś klienta.- Chcesz mnie zahipnotyzować? Może oduczysz mnie obgryzania paznokci?

Stride uśmiechnął się.

- Chcę tylko, żebyś sobie przypomiała, żebyś znowu zobaczyła to w głowie, rozumiesz? Widzisz go. Przechodzisz przez jezdnię. Czy tamten już stoi na przystanku?

Elonda przez jakiś czas kołysała rytmicznie głową, nucąc coś pod nosem, po czym raptownie otworzyła oczy.

- Nie było go! Kurczę, to całkiem niezłe!

- Zamknij oczy. Obserwuj dalej.

- A teraz już jest! Widzę go. Skąd on się tam wziął, do kurwy nędzy?

- Co robi?

- Patrzy na zegarek. Rozgląda się po ulicy. Pełen spokój.

- Jak jest ubrany? Kiedy patrzy na zegarek, czy widzisz jego przedramię?

Elonda zacisnęła usta i zmarszczyła brwi.

- Płaszcz! - wykrzyknęła triumfalnie. - Ma na sobie płaszcz! Chyba jasnobrązowy. I takie same spodnie, może khaki.

- Świetnie sobie radzisz. Jest duży?

- Nie bardzo. Ale wygląda... solidnie. Groźnie.

- Włosy?

- Ciemne. Krótkie. I ma brodę. Kurde, on ma brodę!

- Elonda, jesteś wspaniała.

Stride wstał i spojrział z góry na rozpromienioną z dumy dziewczynę. Jeszcze przez dziesięć minut próbował wyciągnąć z niej jakieś informacje, ale im bardziej zbliżał się do chwili zabójstwa, tym mniej pamiętała. W końcu zawołał mundurowego z kochanką i wyszeptał mu coś do ucha.

- Harrah's? - zapytał tamten ze zdumieniem. - Chyba pan żartuje! Sawhill zabije mnie śmiechem, kiedy przyniosę mu rachunek!

Stride wydobył portfel i wyjął dwie dwudziestki.

- Masz. I weź też coś dla siebie. Chudo wyglądasz. Policjant z uśmiechem podrapał się po potężnym karku.

- Skoro pan tak mówi...

- Tylko trzymaj łapy z dala od niej.

Kiedy Elonda bezpiecznie dotarła na tylne siedzenie radiowozu, Stride rozejrzał się w poszukiwaniu swojego nowego partnera.

Trochę dziwnie czuł się znowu w roli detektywa ścigającego sprawcę przestępstwa. W Duluth był porucznikiem, grubą rybą w małym stawie, teraz zaś stał się po prostu jednym z wielu funkcjonariuszy wydziału zabójstw policji miejskiej w Las Vegas. Do tej pory najbliższym odpowiednikiem partnera była dla niego sierżant Maggie Bei. Przepracowali razem ponad dziesięć lat i ta mała Chinka o ostrym języku stała się jego najlepszym przyjacielem. Ale Maggie została w Minnesocie, zamężna i bez pracy, za to w ciąży, Stride zaś wylądował w Mieście Grzechu - ostatnim miejscu na ziemi, w którym spodziewał się znaleźć.

Dzięki Serenie.

Poznał ją latem, podczas pracy nad rozwikłaniem zagadki zabójstwa co prawda dokonanego w Las Vegas, ale powiązanego ze zniknięciem pewnej dziewczyny w Minnesocie wiele lat wcześniej. Śledztwo zakończyło jego życie w Duluth i zniszczyło drugie małżeństwo, które - o czym od początku wiedział - nie miało racji bytu. Maggie nie przepuściła żadnej okazji, aby mu przypomnieć, że od dawna go ostrzegała, że rozwód będzie nieunikniony, ale wolał to ignorować.

Stare się skończyło, nowe zaczęło. Spotkanie z Serena odmieniło wszystko. Była piękna, inteligentna i zabawna, mimo urazów psychicznych z przeszłości. Zadurzył się w niej szybko i po uszy. Kiedy śledztwo dobiegło końca, przyjechał za nią tutaj, do tego dzikiego świata, i całkiem dosłownie znalazł się na ulicy. A teraz miał prawdziwego partnera, który nie zamierzał grać drugich skrzypiec w duecie z przybyszem spoza Vegas.

- Amanda Gillen - przedstawiła się szorstkim tonem, jakby uprzedzając spodziewany atak.

Miała lekko schrypnięty głos albo po prostu jeszcze się całkiem nie obudziła, podobnie jak Stride, którego w środku nocy wyrwano z łóżka i z objęć Sereny. Jego pierwsze zabójstwo w Vegas. Trup na ulicy w pobliżu wejścia do Flamingo.

- Jestem Stride.

Amanda skinęła głową i zaczęła niecierpliwie stukać pantoflem w asfalt. Wysunęła dolną wargę, rozejrzała się dokoła, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie słyszy, a następnie powiedziała:

- Słuchaj, daję każdemu jedną szansę, zanim się naprawdę wkurzę, więc chcesz ją wykorzystać od razu czy może zachowasz ją sobie na jakiś deszczowy dzień?

Stride przechylił głowę.

- Proszę?

- Przecież słyszałeś.

- Ale chyba nie zrozumiałem.

Oczami jak szparki wpatrywała się przez chwilę w jego twarz, po czym nagle odprężyła się i wypogodziła, a nawet roześmiała się całkiem naturalnie i przyjaźnie.

- Dobra, nieważne. Jest druga w nocy, a ja jestem półprzytomna.

- Tak samo jak ja.

- Nieźle sobie poradziłeś z tą dziwką. Żeby sobie przypomniała. Dobry jesteś.

- Dzięki - odparł Stride, po czym dodał: - Ładny wóz ma twój chłopak.

- Jest mój. Byliśmy na imprezie, kiedy mnie wezwali. Zapowiedziałam, że jeśli go przytrze, ja przytrę mu fiuta.

- Wiesz, jak zmotywować człowieka. Wygrałeś ten wózek w kasynie?

- Coś w tym stylu.

Zauważył, że przełknęła ślinę i lekko się zarumieniła. Miała pociągłą twarz z nieco wystającym podbródkiem, szerokie bladoróżowe usta, cienkie czarne brwi i staranny makijaż. Wersja na sobotni wieczór. Mimo swojej przebojowości i bezpośredniości była po prostu ładna, kiedy się uśmiechała, i sprawiała wrażenie wrażliwej, kiedy była zdenerwowana. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat.

- Miał przy sobie jakieś dokumenty? Stride skinął głową.

- Kanadyjskie prawo jazdy. Pewnie to jakiś turysta, którego opuściło szczęście w grze. Michael Johnson Lane.

- MJ Lane? - zapytała z niedowierzaniem.

- Właśnie.

Zagwizdała przeciągle i pokręciła głową.

- A niech mnie!

- Znałaś go?

- Jak będziesz odbierał pocztę, to zajrzyj od czasu do czasu do folderu ze śmieciami - poradziła mu. - Co najmniej w połowie spasmów znajdziesz jego goły tyłek. I oczywiście w każdym numerze „Us”.

- Niestety, właśnie skończyła mi się prenumerata. Amanda spojrzała na niego uważnie, a kiedy wreszcie dotarło do niej, że to był żart, uśmiechnęła się lekko.

- Jesteś teraz w Las Vegas, a tutaj „People”, „Us” i „Enquirer” to lektura obowiązkowa.

Podeszła do ciała. Stride dopiero teraz zauważył, że ma pantofle na absurdalnie wysokich obcasach, z czego wynikało, że jest o dobrych kilka centymetrów niższa, niż początkowo przypuszczał. Jeden z ludzi koronera zerknął na nią niepewnie i szybko usunął się z drogi. Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Pochyliła się, nie zginając nóg w kolanach i spojrzała nieboszczykowi w oczy. Stride mimowolnie przesunął wzrokiem po kształtnych nogach i wypiętych pośladkach, po czym szybko odwrócił spojrzenie, kiedy Amanda wyprostowała się i oświadczyła:

- Tak, to MJ.

- Świetnie. Powiesz mi, kto to taki?

- Dziecko funduszu powierniczego. Jego tatusiem był Walker Lane. Wiesz, ten miliarder z Vancouver.

- Czym jeszcze zasłynął oprócz forsy ojca?

- Trzymał się z tymi co trzeba. Miał kontakty w Hollywood. Niewiele było o nim słyhać aż do zeszłego roku, kiedy uwiecznił na taśmie swoje spotkanie z pewną

aktoreczką. Ktoś zwinął taśmę i zaraz potem można było wszystko obejrzeć w sieci. Sado-maso, seks analny i jeszcze parę rzeczy.

- Narodziny gwiazdy...

- Zgadza się. Wiadomość o tym, że ktoś go kropnął, pojawi się we wszystkich brukowcach. Razem z twoim zdjęciem.

- Wyszczotkuję sobie porządnie zęby.

- Co o tym myślisz? Wydaje ci się, że ktoś go śledził?

- To mi wygląda na egzekucję - odparł Stride. - Robota profesjonalisty.

- Ale gość nie sprzątnął dziewczyny - zwróciła mu uwagę Amanda. - Zawodowiec na pewno pozbyłby się jedyne go świadka.

- To prawda. Zostawił też łuskę. Kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem.

- A więc może jednak nie zawodowiec?

- Może nie - zgodził się Stride. - Ale starannie sobie wszystko zaplanował i sprawnie zrealizował. Pytanie tylko, czy chodziło mu właśnie o Lane'a, czy może mamy do czynienia z jakimś nawiedzonym, który postanowił w ten sposób rozwiązać problem prostytutki w mieście.

- W grę mogą wchodzić obie wersje - odparła Amanda. - MJ to nie pierwsza znana postać, której robiono tu laskę.

Sprawca mógł się kręcić w okolicach kasyna w poszukiwaniu okazji do zabłyśnięcia. Stride skinął głową.

- Tyle że sądząc po tym, co usłyszałem od ciebie o MJ, na pewno istnieje mnóstwo powodów, dla których ktoś chciałby go sprzątnąć.

Pete, jeden z portierów w Oasis, zapamiętał MJ Lane'a.

- Przyszedł około dziesiątej - poinformował Stride'a i Amandę.

Portier był młody blady jak tubka pasty do zębów, z przyzlanymi ciemnobrązowymi włosami. Miał na sobie ciemne spodnie, półbuty oraz burgundową marynarkę.

- Sam?

- Pan Lane? Skądże znowu. Ciągnął za sobą Karyn. Karyn Westermark. Wiecie, tę aktoreczkę z seriali. - Powachlował się dłonią, jakby nagle chłodne nocne powietrze zrobiło się gorące. - Widzieliście filmik w sieci? To była właśnie ona. Niezła sztuka, lepsza od tych wszystkich gwiazdek porno.

- Czym przyjechali? - zapytała Amanda. - Taksówką? Limuzyną?

Pete nie odpowiedział, tylko szybkim krokiem podszedł do szarego lexusa, otworzył drzwi po stronie pasażera, a następnie przebiegł na drugą stronę samochodu, żeby odebrać od kierowcy kluczyki i wręczyć mu bilet parkingowy. Wrócił niebawem i przeprosił, chowając do kieszeni pięćdziesięciodolarowy napiwek. Nerwowo zerknął na dwa kolejne samochody, które właśnie zatrzymały się na podjeździe. Druga w nocy w Oasis w sobotę to pora największego ruchu.

- No więc, czym dzisiaj przyjechał MJ? - zapytała ponownie Amanda.

- Swoim wozem. Sam prowadził. Ma apartament w mieście w Charlcombe To wers, prawie przy Stripie.

- Dlaczego nie kazał przyprowadzić sobie wozu, kiedy wychodził? - zapytał Stride.

- Myślałem, że chce się przejść... No wie pan...

Stride uniósł brwi.

- Po co miałyby iść „na spacer”, skoro był z Karyn?

- Ona wyszła godzinę wcześniej. Wezwałem dla niej taksówkę.

- Była zdenerwowana? - zapytała Amanda. Pete pokręcił głową.

- Raczej znudzona. Kazała taksówkarzowi jechać do Ra, w Luxorze. Zdaje się, że szukała towarzystwa.

- MJ mówił coś, kiedy wychodził?

- Nie, ale był jakiś taki podminowany. Od razu się domyśliłem, dokąd idzie.

- Często chodził na takie „spacery”? - wtrąciła Amanda.

Portier lekko pobladł.

- Nie bardzo. Ktoś taki jak on nie musi płacić za seks. Ale od czasu do czasu każdy ma ochotę zrobić to z kimś, obok kogo nie trzeba się budzić następnego dnia, prawda?

- Powiedz to swojej dziewczynie - poradził mu Stride. - Ktoś szedł za nim?

Pete wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, był duży ruch. Zwróciłem na niego uwagę tylko dlatego, że go znałem.

Zatrząbił klakson. Portier zakołysał się na piętach i pomachał na znak, że zaraz idzie.

- Jeszcze coś? - zapytał ze zniecierpliwieniem.

- Kto jest szefem ochrony?

- Gerard Plante. Korytarzem do samego końca.

- Dzięki. Nasi ludzie sprawdzą samochód MJ. Dopilnuj, żeby wcześniej nikt przy nim nie grzebał. I sam też nie próbuj.

- Jasne.

Stride położył dłoń na ramieniu chłopaka i zacisnął ją jak imadło.

- Jeśli przeczytam w „Us” o prochach w schowku na rękawiczki w wozie MJ, dopilnuję, żeby ludzie z urzędu skarbowego wypytali cię dokładnie o te pięćdziesięciodolarowe napiwki. Rozumiesz?

Pete nerwowo przygryzł dolną wargę, jakby zastanawiał się, jak dalece realna jest groźba Stride’a, po czym skinął głową i pobiegł do następnego samochodu.

- „Us”? - Amanda się roześmiała. - Niezłe!

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

Stride pierwszy wszedł przez obrotowe drzwi w ocean gwaru i dymu wypełniających kasyno. Smród papierosów i cygar powitał go niczym stary znajomy; niemal od razu wróciło też stare pragnienie. To zabawne, ale na dobrą sprawę nigdy do końca nie odeszło. Nie palił już od ponad roku, ale teraz miał wielką ochotę potrzeć kciukiem o palec wskazujący, jakby obracał tam camela. Wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze, zastanawiając się, czy Las Vegas wyrosło pośrodku pustyni za sprawą jakiegoś przekornego anioła pragnącego sprawdzać silną wolę byłych grzeszników.

Był podekscytowany. Tak właśnie działały kasyna, a on nawet nie zamierzał udawać, że jest na to odporny. Zareagował na intensywne pulsowanie krwiobiegu miasta. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, wcale nie chodzi o chciwość, tylko o głód. Głód pieniędzy, ciała, wyszukanych potraw, alkoholu i dymu. Wszechogarniający, obsesyjny głód. Kasyna stworzono z myślą o tym, żeby go zaszczepiały. Kto wie, może małe czarne kopułki pod sufitem wcale nie ukrywały kamer, lecz

rozpylały jakiś bezwonny narkotyk działający dopóty, dopóki miałeś jeszcze jakieś pieniądze albo nie powlokłeś się z powrotem do domu.

Oasis należało do tych kasyn w Las Vegas, gdzie w największym stopniu wykorzystywano seks jako atrakcyjne opakowanie dla oferowanych tu rozrywek i gdzie najbardziej starano się wywołać wrażenie, że tu właśnie można najłatwiej spotkać słynnych ludzi. Wszędzie wisiały plakaty z nieprawdopodobnie atrakcyjnymi dziewczętami w bikini, zachęcającymi gości do korzystania ze stołów do gry, pokojów do pokera i bufetów. Wszystko wskazywało na to, że zachęty odnoszą zamierzony skutek. Samo kasyno było stosunkowo niewielkie, w niczym nie przypominało gigantycznego Caesars, ale ani jeden automat nie stał beczynnym, a przy stołach tłoczyli się gracze. Przeważali wśród nich młodzi ludzie, w tym kobiety w niczym nieustępujące urodą modelkom z plakatów.

Stride przypomniał sobie, co o nocach w Las Vegas mawiał Cordy, partner Sereny: „To czas, kiedy biusty wychodzą się zabawić”.

Miał wzwód i cholernie go to irytowało.

- Idziemy! - warknął.

Amanda rozglądała się z wyrazem spokojnego podziwu na twarzy. Narkotyk działał i na nią.

Przecisnęli się między rzędami automatów i dotarli do usytuowanego w głębi kasyna stanowiska dyspozycyjnego ochrony. Mieściło się za imponującą dębową ladą, a urzędowała za nią tylko jedyna brzydka i poważna kobieta. Przekrzykując łomot muzyki płynącej z zawieszonych pod sufitem głośników, Stride zapytał o Gerarda Plante'a. Pokazał jej odznakę, a ona poleciła mu czekać.

Amanda usiadła przed najbliższym automatem i wsunęła pięciodolarowy banknot. Maszynę zdobiły rysunki przedstawiające postaci z kreskówek, które Stride pamiętał jeszcze z dzieciństwa w Duluth. Ich widok przypomniał mu o jego dziecięcym pokoju i śnieżnych płatkach za oknem. Oparł się o automat, wbił ręce w kieszenie i pochylił się nad Amandą.- Co narozrabiałaś, że dali ci akurat mnie? Amanda oderwała wzrok od maszyny i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Proszę?

- Zdaniem porucznika powinienem teraz odśnieżać drogi w Minnesocie. Musiałaś go nieźle wkurzyć, skoro przydzielił ci akurat mnie.

Stride doskonale wiedział, że porucznik Sawhill był mało życzliwie nastawiony do świata. On sam też tak się czasem zachowywał, kiedy był porucznikiem i wszystko, co mogło się nie udać, oczywiście się nie udawało. Sawhill stracił swojego najlepszego detektywa, ponieważ ten wygrał skumulowaną pulę w Megabucks i natychmiast przeszedł na emeryturę, bogatszy o osiem milionów dolarów. Zaraz potem Serena zaczęła suszyć Sawhillowi głowę w sprawie Stride'a - doświadczonego funkcjonariusza wydziału zabójstw, który akurat znalazł się w mieście i nie miał nic sensownego do roboty. Sawhill czuł się więc tak, jakby Stride'a wciśnięto mu przemocą do gardła, i postanowił dopilnować, aby świeży nabytek przekonał się jak najprędzej, że nie dorasta do nowych zajęć.

- Ach, rozumiem... - mruknęła Amanda. - A ja się zastanawiałam, co ty narozrabiałaś, że wylądowałaś w parze ze mną. Teraz wreszcie wszystko jasne. Sawhill postanowił dać ci szkołę.

Stride wzruszył ramionami.

- Podobasz mi się. Jesteś bystra, a do tego nieźle wyglądasz. Właściwie można by pomyśleć, że oddał mi przysługę.

- Nie za bardzo.

- Wprowadzisz mnie w szczegóły? Zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem.

- Naprawdę o niczym nie wiesz? Serena nic ci nie mówiła?

- Wygląda na to, że nie.

- Nie nabierasz mnie?

- Za krótko tu jestem, żeby próbować takich sztuczek. Amanda roześmiała się głośno i dźwięcznie.

- A to dobre! To naprawdę dobre!

- Wyjaśnisz mi, o co chodzi? Chętnie też bym się pośmiał.

- Jestem niedokończona.

- Co to znaczy? - zapytał Stride z nieudawanym zdziwieniem.

- Jestem transseksualistką, ale nie do końca. Przeszłam kilka zabiegów i biorę estrogen, żeby mieć piersi, gładką skórę, odpowiednią sylwetkę i tak dalej, ale nie usunęłam męskich genitaliów. Rozumiesz? Kiedyś byłam facetem.

Stride poczuł, że czerwieni się po czubki uszu.

- Jasna cholera...

- Teraz chyba rozumiesz, dlaczego nie jestem pierwsza na liście potencjalnych partnerów.

Odruchowo zerknął na obfite piersi rozpychające bawełnianą koszulkę, na ciasno opięte dżinsy... Zdawał sobie sprawę z tego, że się gapi, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

- Chcesz zobaczyć?

- Nie! - prawie wykrzyknął i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to był żart. - Przepraszam. Nigdy bym się nie domyślił. Zdaje się, że Sawhill chciał mi przez to coś powiedzieć. „No i co, Stride? Założę się, że w Minnesocie nie macie żadnych niedokończonych?”.

- Będziesz miał z tym problem?

Stride zastanowił się. Całe swoje dotychczasowe życie spędził nad Jeziorem Górnym, w mieście o liberalnym podejściu do spraw związków zawodowych i ochrony zdrowia, i konserwatywnym w stosunku do religii i seksu. Sam jednak uważał się za człowieka, którego nie obchodzi to, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, pod warunkiem że nikt nie jest pokrzywdzony. Wzruszył ramionami.- Jak już powiedziałem, jesteś bystry, a do tego jesteś najładniejszym facetem, jakiego w życiu widziałem.

- Teraz już dziewczyną, ale tak czy inaczej miło mi to słyszeć. Większość naszych kolegów i koleżanek po fachu nie jest aż tak tolerancyjna.

- Domyślam się.

Na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań, ale bał się, że wyjdzie na jeszcze większego głupka. Poczul na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciwszy się, ujrzał oliwkową twarz bardzo wysokiego mężczyzny. Mimo że była noc, a na dodatek znajdowali się w budynku kasyna, mężczyzna miał na nosie srebrzyste okulary przeciwsłoneczne. Czarne włosy strzygł na jeża.

- Gerard Plante, szef ochrony.

Stride i Amanda również się przedstawili. Gerard miał na sobie granatowy garnitur z błyszczącego materiału. Z kieszonki na piersi wystawała bordowa chusteczka z wyhaftowanym logo Oasis. Kiedy uściśnęli sobie dłonie,

Stride odniósł wrażenie, że dotyka studolarowego portfela.

- Chodźmy na zaplecze - zaproponował Gerard. Kiedy zamknęły się za nimi ciężkie dębowe drzwi, gwar kasyna ucichł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zastąpiony przez kojący biały szum. Żadnej muzyki. Żadnych elektronicznych popiskiwań. Tutaj nie liczyły się wulkany i białe tygrysy, tutaj chodziło tylko o pieniądze - o rzekę, która nigdy nie wysychała.

Gerard zaprowadził ich do obszernego, pozbawionego okien gabinetu, urządzonego ze smakiem i wręcz klinicznie czystego. Najwyraźniej należał do ludzi, którzy przestali używać papieru, ponieważ nigdzie nie było widać nawet najmniejszej kartki, a biurko i stolik miały szklane blaty i były pozbawione szuflad. Na szklanych powierzchniach nie dało się dostrzec choćby najmniejszej smugi albo śladu palca.

Na stoliku stał największy monitor, jaki Stride widział w życiu, wielkością zbliżony do plazmowego telewizora. Na wysuwanej, również szklanej półeczce stały klawiatura, myszka i dżojstik.

Gerard wskazał im dwa utrzymane w minimalistycznym stylu krzesła, sam zaś zasiadł w nowoczesnym fotelu za biurkiem. Poruszał się z nonszalanckim wdziękiem. Odchylił fotel do tyłu, ale nogi miał tak długie, że stopy wciąż trzymał oparte mocno na podłodze. Zdjął okulary i położył je na biurku, po czym splótł palce. Spod trymowanych brwi spoglądały na nich szaroniebieskie oczy.

- Domyślam się, że chodzi o pana Lane'a? - zaczął i natychmiast uniósł rękę, nie dopuszczając Stride'a do głosu. - Jak tylko zobaczyliśmy pohcję, posłałem jednego z moich ludzi jako łącznika, żeby informował mnie na

bieżąc o tym wypadku.

- O wypadku? - powtórzył Stride. - Jeden z waszych gości został brutalnie zamordowany niecałe sto metrów od drzwi kasyna.

- Tak, to rzeczywiście bardzo przykre.

- Ze względu na nie najlepszy rozgłos? - zapytał Stride z ironią. Nie bardzo wiedział czemu, ale ten człowiek działał mu na nerwy. Latem całkiem poważnie się zastanawiał, czy nie zgłosić się do pracy w ochronie jakiegoś kasyna, ale szybko porzucił ten pomysł, ponieważ nie chciał wchodzić w paszczę lwa.

Gerard uśmiechnął się chłodno.

- Wcale nie. Smutna prawda jest taka, że każdy rozgłos działa na naszą korzyść. W związku z tym morderstwem nasze obroty natychmiast pójdą w górę. Gdyby tylko o to chodziło, sam bym go zastrzelił, ale pan Lane był naszym stałym, bardzo dobrym klientem. Będzie nam go brakowało.

- Wiedział pan o tym, że MJ przyjechał dziś wieczorem do kasyna?

- Oczywiście. Pan Lane i panna Westermark zjawili się razem o dziesiątej i zostali zaprowadzeni do prywatnego stanowiska do gry w blackjacka.

- Widać je z głównej sali?

- Nie. Goście, którzy tam grają, zwykle nie życzą sobie publiczności.

- Byli tam tylko we dwoje?

- Zazwyczaj MJ nie stronił od większego towarzystwa, ale dzisiaj byli tylko we dwoje.

- Jak długo grali?

- Jakies dwie godziny. Około północy wyszli do jej apartamentu.

- Musieli przejść przez główną salę? - zapytał Stride.

- Nie. Skorzystali z prywatnej windy.

- Obserwował ich pan? - odezwała się Amanda.

Gerard nawet nie mrugnął.

- Co pani przez to rozumie? - zapytał bez śladu irytacji w głosie.

- To, że, jak oboje dobrze wiemy, w windzie jest zainstalowana kamera. Dlatego będziemy tu siedzieli tak długo, aż pokaże nam pan nagranie albo powie, że zawiadomiono pana, kiedy wychodzili, a pan oglądał ich na tym pięknym wielkim monitorze.

Stride jeszcze niedawno byłby gotów przysiąc, że Gerard jest jednym z tych ludzi, którzy nigdy się nie pocią, ale teraz dostrzegł błyszczącą wilgoć na karku mężczyzny. Wszyscy troje dobrze wiedzieli, że Amanda trafiła w dziesiątkę.

Gerard lekko pochylił głowę niczym polityk dający do zrozumienia, że docenia trafną ripostę rywala podczas debaty.

- Zachowywali się dość... swobodnie - przyznał.

- Portier powiedział nam, że Karyn wyszła wcześniej.

- To prawda. Po pięciu albo dziesięciu minutach panna Westermarck wyszła sama z apartamentu. Pan Lane zrobił to kilka minut później. Sprawiał wrażenie mocno podekscytowanego.

- Wiemy, że Karyn od razu opuściła kasyno. Co robił MJ?

- Wrócił do stołu i grał jeszcze przez godzinę. Dużo pił. Około pierwszej w nocy powiedział mi, że chce się przejść. Od razu się domyśliłem, o co chodzi.

- O czym mówił, kiedy zszedł na dół?

- Głównie o swoim ojcu, Walterze Lanie. Wszyscy wiedzą, że nie za bardzo za sobą przepadają. Ja zresztą mam podobny problem ze swoim ojcem.

- Czy mieliście ostatnio jakieś nadzwyczajne wypadki związane z ochroną kasyna?

Gerard roześmiał się głośno, pokazując zęby.

- Nadzwyczajne byłoby to, gdybyśmy ich nie mieli. W kasynach chodzi o pieniądze, alkohol, seks i emocje. Zapewniam pana, że to bardzo wybuchowa mieszanka.

- Ale czy to miało związek z MJ? - zapytała Amanda.

- Nie. VIP-y rzadko dostarczają nam problemów. Są jak dzieci, które za bardzo angażują się w zabawę i czasem psują zabawki.

- Chcemy obejrzeć taśmy z zapisem - oznajmił Stride. - Można tutaj?

- Oczywiście, ale zapewniam, że przy stole do blackjacka nie wydarzyło się nic interesującego. Nagrania, niestety, są bez dźwięku.

Stride pokręcił głową.

- Nie chodzi mi o pokój do blackjacka, tylko o główną salę. Jeśli ktoś śledził MJ, to chcę wiedzieć, czy był w kasynie.

Gerard był dumny ze swoich „dodatkowych oczu”. Wystarczyło jedno kliknięcie myszką, by na ekranie monitora pojawiła się mozaika ułożona z małych obrazów przekazywanych przez dziesiątki kamer.

- Jesteśmy jednym z pierwszych kasyn, które przeszły na system cyfrowy - wyjaśnił Gerard. - Wszystko archiwizujemy na płytach, skończyło się zonglowanie setkami taśm. Każdy, kto wygra ponad tysiąc dolarów,

trafia do kartoteki. Możemy zrobić zbliżenie twarzy każdej osoby przebywającej na terenie kasyna i w ciągu kilku minut porównać ją z tymi w naszej kartotece i w kartotekach policji oraz Urzędu Kontroli Gier Hazardowych. Część naszego personelu pracowała właśnie dla urzędu.

Najechał kursorem na jeden z małych obrazków, kliknął i połowę ekranu wypełniła postać leciwej Azjatk siedzącej przy maszynie do pokera. Jakość obrazu była zdumiewająco dobra. Posługując się dżojstikiem, Gerard wykonał zbliżenie rąk kobiety.

- Większość zdaje sobie sprawę z tego, że ich podglądamy, ale nie podejrzewają nawet, jak bardzo ten system jest technologicznie zaawansowany.

- Zobaczmy, co zarejestrowała kamera przy głównym wejściu około dziesiątej wieczorem - powiedział Stride. - Może pan to pokazać?

Gerard skinął głową.

- Wszystkie nagrania mają oznaczenie czasowe.

- Chciałbym sprawdzić, czy ktoś śledził MJ.

Oboje podnieśli się z krzeseł i stanęli za Gerardem, spoglądając mu przez ramię. Gerard przysunął się do monitora, strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek, a następnie położył rękę na myszce i zaczął błyskawicznie klikać i poruszać kursorem.

- Bardzo proszę.

Stride obserwował, jak MJ Lane i Karyn Westermarck przechodzą przez obrotowe drzwi. Dziewczyna miała na sobie za dużą o kilka numerów kurtkę, krótkie białe szorty oraz białe kozaki na wysokim obcasie. MJ był ubrany w szorty i wyciągniętą na wierzch koszulę. W tym stroju znaleziono go martwego kilka

godzin później. Pełen luz. Stride zawsze czuł się trochę nieswojo, oglądając nagrania wykonane krótko przed czyjąś śmiercią. Ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, że ich czas właśnie dobiegał końca. Postać w czarnej szacie z kapturem stała tuż za ich plecami, ostrząc kosę, oni zaś zachowywali się tak, jakby mieli przed sobą jeszcze wiele lat życia.

- Proszę nie zatrzymywać - zwrócił się do Gerarda. Przez blisko dwie minuty przyglądali się ludziom wchodzącym do kasyna i wychodzącym. W pewnej chwili Amanda wyciągnęła rękę i prawie dotknęła ekranu.

- Tu, po lewej!

Mężczyzna, który właśnie wchodził przez drzwi po lewej stronie, miał na głowie spłowieła niebieską czapeczkę bejsbolową zsuniętą nisko na czoło, a dodatkowo pochylił głowę, tak że tylko z najwyższym trudem dostrzegli ciemną plamę zarostu.

- Spodnie khaki i płaszcz - powiedział Stride. - Myślę, że to ten. Sukinsyn unika kamer.

- Idę o zakład, że broda jest fałszywa - dodała Amanda.

- Musimy go znowu zlokalizować - oświadczył Stride, kiedy mężczyzna wyszedł z zasięgu kamery. - Wyglądało na to, że idzie w kierunku głównego stanowiska obsługi.

Gerard zajął się dżojstikiem i nie dalej niż po minucie wytropił zabójcę przy jednym z automatów. Mężczyzna zdążył już przekręcić czapeczkę w taki sposób, że nadal zasłaniała jego twarz przez wścibskim okiem obiektywu.

- Wie, gdzie mamy zainstalowane kamery - stwierdził ponuro Gerard.

- Gdzie stoi ta maszyna? - zapytał Stride.

- Naprzeciwko stanowisk dla VIP-ów. Stride skinął głową.

- Czyli mógł widzieć wychodzącego MJ.

Na zbliżeniu nie zobaczyli dużo więcej. Patrząc na obfitą brodę, Stride w duchu przyznał rację Amandzie: na pewno była sztuczna. Policzki i nos wyglądały tak, jakby pokrywała je gruba warstwa makijażu.- Musimy mieć wydruk przedstawiający tego faceta - zwrócił się Stride do Gerarda. - Zakładając, że nam cokolwiek pomoże. I byłoby dobrze, gdyby posadził pan kogoś przy komputerze, żeby przejrzał nagrania z innych kamer. Może któraś uchwyciła go pod lepszym kątem.

- Jasne.

- A teraz zobaczymy, co porabiał nasz milusiński. Gerard przyspieszył odtwarzanie, ale zabójca prawie się nie poruszał, w związku z czym można było odnieść wrażenie, że jest posągiem, wokół którego toczy się w szaleńczym tempie życie. Niemal dokładnie co minutę wrzucał dziesięciocentówkę, a że wcześniej rozmienił dwadzieścia dolarów, mógłby tak siedzieć wiele godzin. Zdawał się zupełnie nie interesować wydzielonym obszarem dla VIP-ów, ale Stride instynktownie wyczuwał w nim człowieka, który niczego nie przegapia, opanowanego i metodycznego.

Tuż przez pierwszą pojawił się znowu MJ i Gerard wrócił do normalnego tempa odtwarzania. Sądząc po chwiejnym kroku, jakim skierował się ku wyjściu, MJ musiał mieć niezłe w czubie. Zabójca przeciągnął się leniwie, nie okazując zainteresowania, ale zaraz potem wstał, by ruszyć za ofiarą. Stride wyobrażał sobie, jak w żyłach tamtego pulsuje adrenalina, wyostrażając zmysły i skracając czas reakcji. Nagle mężczyzna zrobił coś tak

szybko, że Stride nie wiedział, czy to nie było tylko złudzenie.

- Stój! - wykrzyknął. - Cofnij! Co to było, do diabła? Gerard ani Amanda niczego nie zauważyli. Gerard cofnął nagranie i odtworzył ostatni fragment w zwolnionym tempie. MJ zniknął poza kadrem, zabójca wstał, przeciągnął się, odsunął stół nogą, ruszył za odchodzącym, ocierając się o automat...

Sięgnął ręką do tyłu.

- Sukinsyn! - wyszeptała Amanda.

- Zatrzymaj! - polecił Stride.

Teraz wszyscy zobaczyli wyraźnie, jak mężczyzna tuż przed odejściem przyciska kciuk do chromowanej obudowy automatu i zostawia na niej wyraźny odcisk palca.

Stride poczuł, że żołądek podchodzi mu do karku, jak podczas jazdy kolejką górską w wesołym miasteczku. Chwilę później poczuł na grzbiecie nieprzyjemne mrowienie: strach.

- Wie, że nie mamy go w żadnej kartotece - szepnęła Amanda.

Stride nie odrywał wzroku od nieruchomej postaci na ekranie.

- To coś więcej - odparł. - On chce, żebyśmy zaczęli go tropić.

4

Ledwie wsiedli do samochodu, zadzwoniła komórka Stride'a. Niedawno zmienił dzwonek z *Chattahoochee* Alana Jacksona na *Restless* Sary Evans, choć bez oszałamiającego głosu Sary to jednak nie było to samo. Za każdym razem, kiedy słyszał tę melodię, ogarniała go melancholia i tęsknota za domem - domem, którego od

kilku miesięcy już nie miał.

Odebrał połączenie i usłyszał głos Sereny.

- Założę się, że brakowało ci tej roboty, co? Musiał zwlec się z łóżka o pierwszej w nocy.

Od razu się odprężył. Tak bardzo się w niej zakochał, że aż czuł to fizycznie, gdzieś głęboko wewnątrz, choć równocześnie zastanawiał się, jak zdołają przetrwać w tym mieście... A raczej jak on zdoła tu przetrwać. Była dla niego jak oaza, jak marzenie, które jest jedyną nadzieją dla człowieka zagubionego na pustyni.

- Tak, stęskniłem się za istotami lubiącymi noc. Sawhill jest chyba bardzo szczęśliwy, żeby mógł mi przypomnieć, jak to jest.

- Przecież sam o to prosiłeś, Jonny - odparła Serena żartobliwym tonem. - Ja namawiałam cię, żebyś siedział w domu i nic nie robił.

Roześmiał się. Miała rację. Kiedy odszedł z policji w Duluth i przeprowadził się do Las Vegas, do Sereny, był jak ta piosenka Sary Evans. *Restless*, czyli niespokojny. Całe jego życie zostało w Minnesocie: nieżyjąca już piękna pierwsza żona, młodzieńcza miłość; druga żona, z którą się rozwiódł; Maggie, jego partnerka i zarazem najbliższa przyjaciółka. I rozległe, zimne przestrzenie północy: wielkie jezioro, sosny i brzozy Dom.

Po ostatnim dochodzeniu w sprawie zabójstwa poczuł się tak, jakby wyrwano go stamtąd z korzeniami. Od dwóch miesięcy pętał się bez celu po Vegas, zdając sobie sprawę, że musi wrócić do pracy. Chodziło mu po głowie, żeby wyrobić licencję prywatnego detektywa, ale jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że czai się za pustynnymi krzakami i śledzi niewiernych małżonków. A potem, dzięki obrotowi koła, pewien funkcjonariusz wydziału zabójstw

odszedł z kieszeniami wypchanymi gotówką na emeryturę i nagle Stride wrócił do roboty.

- Żałujesz? Wolałbyś zostać w łóżku? Albo w Minnesocie?

Mówiła lekkim tonem, ale pytania wcale nie były błahe. Od czasu do czasu sprawdzała, na czym stoją.

- Oczywiście, że wolałbym zostać w łóżku. Wzmiankę o Minnesocie pominął milczeniem. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze za wcześnie rozmawiać o jego nowej pracy, Las Vegas i przyszłości. Nie poruszali tego tematu, ponieważ oboje czuli się na razie wspaniale i bali się to zepsuć.

- Co się stało? - zapytała Serena.

Pokrótce zrelacjonował wydarzenia. Gwizdnęła przeciągle przez zęby, kiedy się dowiedziała, że ofiarą jest MJ Lane.

- Jak to możliwe, że znają go wszyscy oprócz mnie? - zdziwił się.

- Gdybyś od czasu do czasu czytał w łazience „Us”, wiedziałbyś o wszystkim.

Stride westchnął.

- Już mi ktoś dzisiaj zwrócił uwagę, że jestem zapóźniony. Zaraz jedziemy do mieszkania MJ.

- Masz partnera?

- Amandę Gillen.

- AMANDE?

Głos Sereny przedarł się nawet przez szum silnika. Stride zerknął z ukosa na Amandę; udawała, że interesują ją tylko przesuwające się za szybami światła miasta, ale w kąciку ust pojawił się drwiący uśmieszek.

- To miła dziewczyna - powiedział. Amanda parsknęła śmiechem.

- Ehm, Jonny... Czy wiesz, że...

- Tak, wiem.

- Mam nadzieję, że to znaczy, że nie mam się czego obawiać.

- Nigdy nie zakładaj niczego z góry. Też wcześniej wstałaś. Coś się dzieje?

- Patrol zauważył porzucony wóz na parkingu przy Meadows Mail. Jadę po Cordy'ego. Jest duże prawdopodobieństwo, że to ten samochód potrącił w zeszłym tygodniu chłopaka na Summerlin.

- Świetnie. To może być przełom w śledztwie.

- Aha.

Sprawiała wrażenie raczej zmęczonej niż podekscytowanej. Stride doskonale ją rozumiał. Sprawy, w których ofiarami były dzieci, prowadziło się szczególnie ciężko, a śmierć tego chłopca, Petera Hale'a, wstrząsnęła Sereną do głębi.

- Muszę już kończyć. Zbliżali się do mieszkania MJ.

- Wiem. Ja też.

Mimo to żadne się nie rozłączyło. Nawet to milczenie dodawało im otuchy.

- Uważaj na siebie, Jonny. To nie Duluth.

Stride zjechał z Paradise Road przy apartamentowcu Charlcombe Towers, zatrzymał samochód, pochylił się do przodu i spojrział w górę przez przednią szybę. Stare i nowe, pomyślał.

Trzy czterdziestopiętrowe białe wieże celowały w nocne niebo po zachodniej stronie kasyna Paradise. Balkony kosztujących wiele milionów dolarów apartamentów pięły się po fasadach niczym schody ku niebu. Za ledwie przecznicę dalej, pogrążone w mroku i niszczące, stało jedno z ostatnich kasyn pamiętających

jeszcze lata sześćdziesiąte. Niewiele zostało z przepychu tamtych czasów, a lada chwila budynek miał całkiem zniknąć z powierzchni ziemi. Stride zdążył się już przekonać, że w Las Vegas nic, co stare, nie ma racji bytu.

Amanda wskazała czekające na wyburzenie kasyno.

- Gdy tylko wysadzą je w powietrze, Boni Fisso zacznie budowę gigantycznego kompleksu nastawionego na obsługę gości z Azji. Orient, tak ma się nazywać. Będzie kosztował prawie dwa miliardy dolarów.

- Dlaczego akurat z Azji?

- Pewnie ze względu na grube ryby z Japonii i Singapuru. No i Chińczycy są już tuż za rogiem. Z zewnątrz będzie przypominał pałac z czasów dynastii Ming.

- Jaka szkoda, że MJ już tego nie zobaczy - mruknął Stride.

Zatrzymał samochód przed bramą i skinął na strażników. Mieli nieruchome, nieprzyjemne twarze i podejrzliwie przyglądali się brudnemu samochodowi.

- Powinam była przyjechać spyderem - zauważyła Amanda.

Pokonanie oporu strażników i dotarcie do apartamentu na dwudziestym ósmym piętrze północnej wieży zajęło im prawie trzy kwadransy. Jak tylko znaleźli się we wnętrzu, Stride zatrzymał się w przedpokoju i naciągnął rękawiczki, po czym zmarszczył nos.

- Marihuana.

Do salonu schodziło się po dwóch stopniach. Środek pokoju zajmowała ogromna kamienna fontanna i dwie rozłożyste skórzane sofy. Niemal całą ścianę zajmował sprzęt muzyczny i wideo, w tym siedemdziesięciodwucalowy telewizor HD. Chociaż ktoś -

ojciec MJ? - wydał dziesiątki tysięcy dolarów na chromowane ozdóbki, stół i krzesła z czereśniowego drewna oraz srebrne i kryształowe żyrandole, w mieszkaniu panował niesłychany bałagan. Najwyraźniej MJ traktował je jak pokój w akademiku. Na sofie leżał otwarty magazyn porno, na podłodze przed telewizorem piętrzył się stos płyt DVD, na stole wały się resztki śniadania dla dwóch osób, w stęchłym powietrzu unosiła się woń niedopalonego skręta, a na podłodze przy otwartych drzwiach sypialni wałała się męska i damska bielizna.

- Wygląda na to, że MJ miał gościa - zauważył Stride.

- I nie była nim Karyn Westermarck - dodała Amanda. Stride zmarszczył brwi.

- Skąd wiesz?

- Ona na pewno nie używa bielizny.

Stride roześmiał się, obrzucił wzrokiem niepodpisane płyty na podłodze, po czym wcisnął PLAY na odtwarzaczu. Gigantyczny ekran ożył, z głośników rozmieszczonych w całym apartamencie popłynęły gardłowe jęki i westchnienia. Mężczyzna leżał z rozrzuconymi nogami na wznak na łóżku, naga dziewczyna siedziała na nim okrakiem, pochylona tak bardzo, że jej piersi kołysały się tuż nad jego ustami. Stride'owi przez chwilę wydawało się, że to profesjonalny film porno, ale szybko stwierdził, iż widzi amatorski filmik nakręcony w domowych warunkach. Mężczyzną na łóżku był MJ. Stride nie rozpoznał kobiety, ale jej kręcone kasztanowe włosy ani trochę nie przypominały prostych i jasnych włosów Karyn Westermarck.

- Niektórzy faceci nigdy niczego się nie nauczą - odezwała się Amanda. - Ktoś, kto już raz miał okazję

zobaczyć w sieci sprośny filmik ze swoim udziałem, mógłby być trochę ostrożniejszy...

Stride zatrzymał odtwarzanie. Na szklanej półce otaczającej fontannę dostrzegł telefon z automatyczną sekretarką. Migiała czerwona lampka. Po naciśnięciu guzika elektroniczny głos oznajmił, że MJ ma trzy nieodebrane wiadomości.

MJ, tu Rex Terrell. Pomyślałem, że wymienimy się tajemnicami. Ja zdradziłem ci moje, może ty pochwalilibyś się swoimi? Zadzwoń, dobrze?

Terrell podał numer, który Stride skwapliwie zapisał w notesie. Wiadomość została nagrana w sobotę tuż po południu.

- Znasz jakiegoś Reksa Terrella? Amanda pokręciła głową.

Następna wiadomość, krótka i miła, pochodziła od Karyn Westermarck.

To ja, Karyn. Jestem już w mieście, kochanie. Siódma wieczorem u Olivesa. Do zobaczenia. Kocham.

- A więc wiemy, gdzie jedli kolację - rzekła Amanda. - Ciekawa jestem, czy Karyn wie o tej brunetce z najnowszego filmu MJ.

Ostatnie nagranie zaczęło się od kilku sekund ciszy. Słysząc było tylko szum i leciutkie trzaski, czyjeś chrząknięcie, delikatne dźwięki muzyki klasycznej. Wreszcie rozległy się słowa wypowiedane gardłowym niskim głosem, często poprzedziane długimi pauzami.

MJ, tu Walker... proszę, wysłuchaj do końca, nie kasuj wiadomości. Musimy porozmawiać... Mylisz się...

Stride wcisnął pauzę.

- Walker?

Amanda skinęła głową.

- Walker Lane, producent. Ojciec MJ.

Wszystko, co słyszałeś, to nieprawda. Nie wiem, co powiedzieć, żeby cię przekonać, ale cholernie mi na tym zależy...

Ostatnia przerwa trwała dłużej niż poprzednie. Stride sądził, że to koniec wiadomości, ale głos odezwał się ponownie, łagodniejszym, błagalnym tonem: *Chciałbym, żebyś wrócił do domu. Chciałbym, żebyś się stamtąd wyprowadził... Chciałbym stanąć z tobą twarzą w twarz i powiedzieć ci prawdę. Spróbuję dodzwonić się do ciebie na komórkę, jeśli mi się nie uda, oddzwon.*

Walker Lane odłożył słuchawkę. Nagranie zostało zarejestrowane około północy czyli mniej więcej wtedy kiedy MJ i Karyn wchodzili do jej apartamentu w Oasis. Godzinę przed tym, jak ktoś wyszedł za MJ na ulicę i go zastrzelił.

Stride ponownie rozejrzał się dookoła. Na ścianach wisiały zdjęcia MJ w towarzystwie rozmaitych sław, głównie kobiet. Jedna z fotografii przedstawiała go w bardzo młodym wieku, najprawdopodobniej u boku matki. Na żadnym zdjęciu nie było ojca. Jediną oznaką świadczącą o tym, że Walter w ogóle istnieje, był unoszący się w powietrzu zapach pieniędzy.

- Ciekawe, czy rzeczywiście zadzwonił na komórkę. Jeśli tak, to mogłoby tłumaczyć, dlaczego Karyn wyszła wcześniej, a MJ był zdenerwowany.

- To nie był głos człowieka, który zapłacił komuś za sprzątnięcie syna - zwróciła mu uwagę Amanda.

- Rzeczywiście. Niemniej chciałbym wiedzieć, dlaczego doszło między nimi do nieporozumienia.

Kontynuowali przeszukanie. W doskonale zaopatrzonym barku Stride znalazł rzeźbioną drewnianą

szkatułkę ze sporym woreczkiem marihuany, kopertę z kokainą oraz dwie fiołki oxycontiny ze zdartymi etykietkami.

- Wygląda na to, że sporo brał, ale nie był dealerem
- zauważyła Amanda.

Stride skinął głową i zajął się pakowaniem i ewidencjonowaniem dowodów.

- Słuchaj, skąd wzięłaś to maserati? - zagadnął od niechcienia. - Raczej nie kupiłaś go z policyjnej pensji...

Amanda wzruszyła ramionami.

- W zeszłym roku pozwałam miasto do sądu. Dyskryminacja. Prześladowanie. Nie uwierzyłybyś, przez co przesłałam.

- Może jednak bym uwierzył.

- Doszło do ugody. Przepraszam, odszkodowanie i tak dalej, ale teraz nie chcą mieć ze mną nic wspólnego.

- Wszyscy gliniarze to faceci, Amando. Nawet kobiety.

- Przecież wiem. Tak czy inaczej dostałam sporą kasę. Nikt nie przypuszczał, że mimo to zdecyduję się zostać. Sądziłi, że zgarnę forszę i wyniosę się czym prędzej. Akurat. Kupiłam maserati, resztę włożyłam do banku i wróciłam do pracy. To ich doprowadziło do furii.

Stride się roześmiał. Podobała mu się, kiedy była taka zaperzona. Przypominała mu Maggie, z którą pracował tyle lat w Duluth.

- Za to mój chłopak ciężko to przeżył - ciągnęła Amanda. - Jego bardziej mi żal niż siebie. Poznaliśmy się jakieś pół roku po tym, jak dokonałam przemiany, czyli cztery lata temu. Początkowo o niczym nie wiedział, a potem to był dla niego prawdziwy szok, ale jakoś się otrząsnął.

- Naprawdę nie zamierzałem o to pytać...

- Daj spokój, przecież byłeś ciekaw. Wszyscy są. Nie ma problemu.

- To prawda - przyznał.

- Wiesz, masz szczęście. Myślę o Serenie. Jest bardzo piękna.

- Rzeczywiście.

Uroda Sereny oszołomiła go w chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Długie czarne włosy jakby stworzone do tego, żeby je głaskać i rozczesywać palcami, szmaragdowe roześmiane oczy, opalenizna i kilka delikatnych zmarszczek na twarzy świadczących o tym, że wyraźnie przekroczyła już trzydziestkę. Do tego smukłe, wysportowane ciało, o którego kondycję dbała z niegasnącym zapalem.

- Kochasz ją, prawda?- Jasne.

- Ja też kocham Bobby'ego. Nie jest mu łatwo, a mimo to wciąż ze mną jest.

- To bardzo ważne. - Stride nagle znieruchomiał i spojrzał na nią z ukosa. - Celowo wybrałaś to imię, prawda? Amanda. *A man...* Mężczyzna...

Uśmiechnęła się skromnie.

- Mało kto się tego domyśla.

- Chodźmy do sypialni - powiedział Stride, po czym dodał pospiesznie: - Żeby ją przeszukać, ma się rozumieć.

Zarówno puszysty dywan, jak i meble były czarne. Ścianę po lewej stronie w całości wykonano ze szkła, miała podwójne drzwi prowadzące na balkon. Przez drewniane żaluzje przedostawał się blask świateł miasta. Przy przeciwległej ścianie stała łóżka California King. Pikowana kołdra w czarno-czerwonej kratce leżała częściowo na

podłodze, prześcieradło było zmięte i nieświeże. Na podłodze Stride zauważył puste opakowanie po prezerwatywie.

- Sprawdź łazienkę, dobrze?

Amanda znikła za drzwiami, Stride natomiast zajął się biurkiem stojącym w kącie pokoju, przysypanym nieotwartą korespondencją, raportami bankowymi, czasopismami dla mężczyzn oraz rachunkami z restauracji i hoteli. Usiadł i zaczął przeglądać papiery.

- Mnóstwo pastylek - zameldowała Amanda po powrocie z łazienki. - Ecstasy, a oprócz tego levitra, Cialis i Viagra. Podejrzewam, że mogłby grać fiutem w tenisa.

Stride się skrzywił.

- A co u ciebie? - zapytała Amanda.

- Niestety, nie znalazłem ani kalendarzyka, ani palm pilota. Miał ponad dziesięć milionów na koncie, zapewne dzięki Walterowi. Dużo grał, nie tylko tutaj, ale i na Karaibach.

- Jakież anonimy? Próby szantażu? Listy z pogrózkami?

- Nic z tych rzeczy. Przynajmniej na razie.

- To jaki mógł być motyw? Dlaczego ktoś postanowił sprzątnąć tego gościa?

Stride potarł oczy. Niewyspanie coraz wyraźniej dawało znać o sobie.

- Nie wygląda na to, żeby komukolwiek był winien jakieś pieniądze. Niewykluczone, że mamy do czynienia z trójkątem z udziałem MJ, Karyn i brunetki z filmu, ale w tym środowisku i tak wszyscy sypiają ze wszystkimi. Z tego powodu nikt nikogo nie zabija, a już na pewno nie wynajmuje płatnego mordercy. Ćpał, ale to też żadna nowina. Pokłócił się z ojcem. To wszystko, co wiemy.

Niewiele tego jak na razie.

- Chyba że mamy do czynienia z psychopata.

Stride wstał od biurka. Przypomnił sobie zabójcę celowo zostawiającego odcisk palca na automacie do gry.

- Tak, to też trzeba brać pod uwagę.

Wziął do ręki zwiniętą gazetę, która leżała na nocnym stoliku przy łóżku. Strony zdążyły już trochę pożółknąć; nic dziwnego, ponieważ gazeta pochodziła sprzed ponad trzech miesięcy. Wielki tytuł głosił:

Orient na miejscu wyburzonego kasyna

Niemal całą stronę zajmowały fotografie. Boni Fisso ściskający dłoń gubernatora Mike'a Duranda nad makietą nowego luksusowego kompleksu. Główna sala starego kasyna w czasach świetności, przed czterdziestu laty, z półnagimi tancerkami na scenie. Słup dymu i kurzu nad resztkami innego starego kasyna, zburzonego w ciągu kilku sekund, jak podczas bombardowania.

- Widziałas kiedyś wyburzanie za pomocą ładunków wybuchowych? - zapytał Stride Amandę.- Tak. Pracowałam w ochronie, kiedy usuwali ostatnią wieżę Desert Inn. Niesamowity widok. Zawsze, kiedy dzieje się coś takiego, urządza się wielką imprezę.

Stride skinął głową. Pod gazetą leżał równie stary egzemplarz „LV”, miejscowego miesięcznika. Na okładce widniało nieco inne zdjęcie tego samego starego budynku, obok zaś nagłówek:

Mroczny sekret kasyna

- Gdybyś chciał z nim pogadać, to on mieszka trochę wyżej - powiedziała Amanda, zaglądając mu przez ramię.

- Kto taki?

- Boni Fisso. Jest właścicielem tego kompleksu i hotelu po drugiej stronie ulicy. Założę się, że zajmuje

apartament na ostatnim piętrze.

Stride wiedział, jaką opinią cieszy się Boni Fisso. Należał do wymierającego gatunku inwestorów z Las Vegas, którzy kładli podwaliny pod swoje fortuny w dawnych mafijnych czasach. Z pewnością przekroczył już osiemdziesiątkę, ale na zdjęciach wciąż prezentował się znakomicie - starzec, który tak naprawdę nigdy do końca się nie zestarzał. Był niski i krępy, i przypominał hydrant, który można kopać do woli, a i tak nie zostanie nawet najmniejsze wgniecenie.

- Co o nim myślisz? - zapytał. - Uczciwie doszedł do swoich pieniędzy?

- Trudno w to uwierzyć, ale nikt nigdy mu nie udowodnił, że było inaczej. - Urząd Kontroli Gier Hazardowych od lat ma go na celowniku, ale nic na niego nie znaleźli. A może po prostu opłaca polityków i urzędników, którzy go chronią... Tak czy inaczej jest ciągle w grze i pozuje na kogoś w rodzaju Steve'a Wynna, uczciwego dewelopera i filantropa.

- Czy coś go łączy z MJ?

Amanda wzruszyła ramionami.

- Nawet jeśli tak, to nic o tym nie wiem. Czemu pytasz?

Stride pokazał jej gazetę i czasopismo.

- Wygląda na to, że MJ bardzo interesował się tym nowym kompleksem.

- No cóż, ma balkon właśnie od tej strony... Gdyby ktoś nie zrobił mu dziurki w głowie, przez kilka najbliższych lat dzień w dzień mógłby patrzeć, jak Orient powstaje z gruzu i popiołów.

Stride skinął głową. Amanda miała rację. W tym wypadku nie mogło chodzić o nic ważnego... A jednak coś

nie dawało mu spokoju. Zawsze tak było, kiedy trafiał na irytujące drobiazgi. MJ miał mnóstwo zajęć w mieście: narkotyki, przyjęcia, kobiety... Po co trzymał przy łóżku gazetę i czasopismo sprzed kilku miesięcy? Dlaczego projekt Orient miał dla niego tak wielkie znaczenie?

Warta dwa miliardy dolarów inwestycja, pod którą podpisywał się człowiek powszechnie podejrzewany o związki z mafią. Jeśli wejdzie się komuś takiemu w paradę, bez problemu można zarobić kulę w łeb. Ale z drugiej strony Stride nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób taki playboy jak MJ mógł zagrozić człowiekowi pokroju Boniego Fisso.

Stanął przed podwójnymi szklanymi drzwiami, otworzył je i wyszedł na balkon. Żaluzje cicho klekotały na wietrze. Balkon był zupełnie pusty, otoczony stalową barierką, rozciągał się z niego rozległy widok na północny skraj Stripu. Stride zacisnął palce na poręczy. Serce uderzało mu szybciej niż zwykle. Wyobraził sobie naćpanego MJ stojącego w tym samym miejscu, zastanawiającego się, czy potrafiłby latać. Młodzi są głupi, przemknęło mu przez głowę. Szybko uprzytomnił sobie, że MJ zapewne nigdy tu nie wychodził, ba, może nawet ani razu nie otworzył drzwi. Miał w łóżku Karyn Westermarck i przypuszczalnie dziesiątki innych kobiet, i to był widok nieporównanie ciekawszy od panoramy Stripu.

Mimo to Stride wciąż stał przy barierce. Przez chwilę rozmyślał o tym, czy on potrafiłby latać. Tu, wysoko, było chłodno i przyjemnie - pod koniec września upał już zelżał, a noce niosły posmak jesieni. Na wschodzie, gdzie słońce szykowało się do wyjścia zza gór, pojawił się rudawy brzask, ale dolinę wciąż jeszcze spowijał mrok.

Chociaż noc nigdy nie zdołała zapanować tu niepodzielninie, bo była to kraina neonowego słońca.

Popatrzył na stare kasyno po drugiej stronie ulicy. Dach rozpościerał się jakieś dziesięć pięter niżej, budynek był ciemny, pozbawiony życia, otoczony blaszanym płótem. Koniec z gośćmi, koniec z graczami. Przez kilka minionych tygodni we wnętrzu pracowały już brygady rozbiórkowe, wypruwając wnętrzności z budowli i wierząc otwory na łaski dynamitu. Za kilkanaście dni, za jednym naciśnięciem guzika i za sprawą zwykłego wyładowania elektrycznego, wszystko zamieni się w stertę gruzu.

Stride przypomniał sobie fotografię z gazety. Dziewczęta na scenie, panowie we frakach, drinki, pieniądze. Wszystko to teraz duchy.

Przesuwał wzrokiem po ciemnych, pograżonych w ciszy piętrach, aż w końcu dotarł z powrotem do dachu.

Dach nie był ciemny.

Jakie to typowe dla Las Vegas, przemknęło mu przez głowę. Zostawić włączone światło, choć zabawa już dawno się skończyła.

Ozdobne, stylizowane na bliskowschodnie litery ciągnęły się wzdłuż parapetu jak ustawione rzędem miniaturowe budowle. W środkowej, obniżonej części dachu widać było wyłożoną kafelkami posadzkę i drzewa - zapewne element dawnego ogródka apartamentu. Teraz jedyne oświetlenie tego miejsca stanowił blask migającego na czerwono i zielono neonu - dzięki niemu zamieszkujące to miejsce duchy mogły wierzyć, że nadal są ludźmi z krwi i kości. Nikt im nie powiedział, że już pora odejść.

Co kilka sekund neon gaśł całkowicie, po czym litery zapalały się kolejno, jakby nic się nie zmieniło, jakby piętra poniżej wciąż tętniły życiem. Napis był dość długi,

musiało więc minąć trochę czasu, zanim ukazał się w całej okazałości.

Szeherezada.

5

Serena od razu zorientowała się, że Cordy jest w dołku. Kiedy zjawiła się w jego mieszkaniu w północnym Las Vegas, przywitał ją z miną dziecka, któremu kazano stać w kącie. Potem w samochodzie patrzył przez boczną szybę i nie odzywał się ani słowem. Nawet jego włosy marnie się prezentowały. Zwykle były lśniące i zaczesane do tyłu niczym czarna lwia grzywa, ale tego ranka sterczały we wszystkie strony jak trawa wyrastająca spod płyt chodnikowych. Cordy zupełnie siebie nie przypominał.

- Co się dzieje? - spytała Serena, kiedy stali na czerwonym świetle.

Skrzyżowanie Cheyenne i Jones Street było niemal puste. Nocne marki dotarły już do domów, a cała reszta dopiero powoli zaczynała się budzić.

Cordy westchnął głęboko.

- Ja i Lav... To już przeszłość.

Lavender był atrakcyjną czarną striptizerką, wyższą od Cordy'ego o jakieś piętnaście centymetrów. W czasie kiedy Serena i Cordy byli partnerami, Cordy zmieniał dziewczyny jak rękawiczki, ale wszystkie były drobnymi młodzietkami blondynkami. Lavender całkowicie się od nich różniła, toteż zaczęli się spotykać, Serena sądziła, że być może Cordy wreszcie znalazł tę, której cały czas szukał.

- Co się stało?

Cordy opuścił szybę, splunął przez okno mustanga i zaklął po hiszpańsku.

- A jak myślisz? Spieprzyłem sprawę. Przeleciałem

jej przyjaciółkę, a ona się o tym dowiedziała.

- Kretyn z ciebie.

- To wina tego cholernego miasta - odparł zirytowany. - Tej przeklętej golizny. Jeśli kogoś takiego jak ja wsadzi się do pokoju wypełnionego słodyczami, to prędzej czy później skusi się na kawaleczek.

- Tyle że tym razem skończyło się niestrawnością.

W samochodzie zapadła cisza. Serenę korciło, by mu powiedzieć, iż jej zdaniem problem polega na tym, że Cordy myśli nie głową, lecz fiutem, ale też zgadzała się z jego opinią na temat Las Vegas. Jeśli w jednym miejscu zostanie nagromadzone tyle pokus, trudno się dziwić, że od czasu do czasu ktoś im ulegnie.

Spędziła w tym mieście ponad dwadzieścia lat, w tym dziesięć jako policjantka. W policji służyło wiele byłych showgirls i ze względu na wzrost i sylwetkę Sereny wielu ludzi przypuszczało, iż ona także była kiedyś jedną z nich, lecz w rzeczywistości miała za sobą znacznie mniej atrakcyjną przeszłość. Zjawiała się w tym mieście, gdy miała szesnaście lat. Prosto z Phoenix przyjechała tu późną nocą, z przyjaciółką Deirdre.

Na dziewczęta przybywające do Vegas czekało co najmniej tysiąc dróg wiodących ku upadkowi: striptiz, nierząd, hazard, alkohol, złodziejstwo, narkotyki, porno albo po prostu łóżko niewłaściwego mężczyzny. Końcowy rezultat był zawsze taki sam - piękne młode kwiaty zamieniały się w odpadki gnijące na miejskim wysypisku.

Taki właśnie los spotkał Deirdre. Jej najlepszą przyjaciółkę, wybawczynię, osobę, która powtarzała, że potrzebuje Sereny bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Umarła.

Czasem Serena nie mogła uwierzyć, że i ona nie

skończyła w ten sposób. Wybrała pracę biurową na zapleczu jednego z kasyn, choć ze swoim wyglądem w każdym klubie ze striptizem bez trudu zarobiłaby dziesięć razy więcej. Nie przerwała nauki, zdała maturę, harowała nocami i weekendami, żeby skończyć studia na wydziale kryminalnym Uniwersytetu Las Vegas. Zajęło jej to dziesięć lat. Śmierć Deirdre wepchnęła ją w alkoholowe otępienie, przez co straciła dwa lata życia i niemal wszystko, do czego z takim trudem doszła.

Wreszcie jednak otrząsnęła się, wytrzeźwiała i wróciła na studia.

Nie miała pojęcia, skąd u niej taka determinacja. Być może miało to jakiś związek z tym, że kiedy razem z Deirdre uciekała z Phoenix, przysięgła sobie, że nie pozwoli, by to, przez co przeszła w domu, zaważyło na reszcie jej życia.

Cordy miał rację. W Las Vegas nie było łatwo.

- Rozbawię cię.

- Bez szans. Jestem w żałobie. Na czarno.

Serena zerknęła na niego spod oka. Miał na sobie czarną jedwabną koszulę z dwoma rozpiętymi guzikami, czarne spodnie od garnituru i skórzane półbuty, ale to nie miało nic wspólnego z Lavender. Cordy zawsze był elegancki aż do przesady, podczas gdy Serena lubiła raczej luźny styl, w związku z czym zazwyczaj wkładała dzinsy, t-shirt i sfatygowane buty kowbojskie.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że gdyby się wystroiła, wielu mężczyznom opadłyby szczęki. Zapamiętała pierwsze spotkanie ze Stride'em na lotnisku w Duluth, kiedy przyleciała z ekipą prowadzącą dochodzenie w sprawie zamordowania pewnej dziewczyny w Vegas. Sama, nie bardzo wiedząc dlaczego, włożyła wtedy jeden

ze swoich najbardziej seksownych strojów - błękitne skórzane spodnie, srebrny pasek, kusą bawełnianą koszulkę, odsłaniająca brzuch, i czarny skórzany płaszcz. To był jedyny raz, kiedy Jonny nie potrafił wykrztusić ani słowa.

- Dwadzieścia dolców - powtórzyła.

- Niech będzie. I tak ci się nie uda.

- Sawhill przydzielił Jonny'emu Amandę. Cordy parsknął śmiechem.

- O rety! Amandę? Nie wiem, czy wiesz, ale ma biust większy od twojego!

- A ja nie wiem, czy ty wiesz, ale ma też sprzęt większy niż to, co nosisz w spodniach. W każdym razie tak słyszałam.

- Ciarki mnie przechodzą, kiedy o tym pomyślę - odparł. - A słyszałaś, że chłopak Amandy nigdy nie kąpie się z nią pod prysznicem?

- Dlaczego?

- Bo się boi schylić po mydło!

Cordy tak długo zanosił się histerycznym śmiechem, że aż się popłakał. Serena pokręciła głową.

- Lepiej nie wychylaj się z takimi dowcipami, *muchacho*. Jonny chyba ją lubi. I daj mi dwadzieścia dolców.

- Dobra, dobra. A skoro o tym mowa: ludzie robią zakłady, że Stride nie wytrzyma nawet dwóch miesięcy.

- To twardy gość - zauważyła Serena.

- Jasne, ale to jest Vegas.

Nie podjęła dyskusji. Nie dlatego, by uważała, że Cordy ma rację, ale ponieważ знаła wiele powodów, dla których Stride mógł w każdej chwili odejść ze służby, i żaden z nich nie miał nic wspólnego z jego pracą.

- Może też zakładają się i o to, czy ułoży mi się z Jonnym.

- Mało kto na to liczy. Większość uważa, że jesteś jak cukierek w opakowaniu z drutu kolczastego.

Przez twarz Sereny przemknął grymas bólu. Wśród kolegów z pracy cieszyła się zasłużoną opinią lodowatej piękności, inteligentnej i niedostępnej. Takiej, co rozjeżdża mężczyzn jak czołg, demoluje kąśliwymi żartami ich poczucie własnej wartości i nigdy nie okazuje prawdziwych uczuć. Seksowna zawartość w opakowaniu, którego strach dotknąć.

Wcale jej to nie przeszkadzało. Nigdy nie ufała mężczyznom. W Phoenix, kiedy jej matka pogrążyła się coraz głębiej w narkotykowym uzależnieniu, ojciec po prostu znikł, pozostawiając Serene jej własnemu losowi. Wkrótce potem zamieszkały w pobliżu lotniska z dealerem o ksywie Błękitny Pies. Matka nieustannie zalegała mu z zapłatą za prochy, więc Serena stała się swego rodzaju walutą zastępczą.

Nie lubiła wracać myślami do tamtych dni. Najlepiej czuła się, gdy udawała, że nigdy ich nie było. Traktowała je jak puszkę Pandory; lepiej nie otwierać i nie zaglądać do środka, bo po zdjęciu pokrywy nie będzie już odwrotu. Dlatego zamykała się przed każdym, kto chciał się do niej zbliżyć. W wieku trzydziestu sześciu lat nie miała za sobą żadnego poważnego związku. Nie żałowała tego i nigdy tak naprawdę nie pragnęła.

Aż do chwili, kiedy poznała Jonny'ego.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób tak łatwo zdołał zburzyć mur. Może dlatego, że w niczym nie przypominał mężczyzn z Vegas: nie był nieszczerzy, nie pokazywał ludziom takiej twarzy, jaką akurat chcieli zobaczyć. W nim

również kłębiły się niedobre wspomnienia i emocje. Kiedy opuścił gardę i opowiedział jej, jak stracił pierwszą żonę, która przegrała walkę z rakiem, pękło jej serce. Wtedy jeszcze się prawie nie znali, ale wiedziała, że zakochał się w niej szczerze i całkowicie. A ona zakochała się w nim.

Jednak kochanie się nocą na plaży w Minnesocie to jedno, a codzienne życie tu, w Las Vegas, to zupełnie coś innego.

Serena otworzyła puszkę Pandory i wcale jej się nie spodobało to, co zobaczyła. Upiory przeszłości wyfrunęły ochoczo i podążyły za nią w ciemności. Chlubiła się tym, że jest twarda jak stal, jednak ostatnio coraz częściej czuła się jak przerażona nastolatka. Bała się miłości, seksu, przyszłości. Po raz pierwszy od lat nie wiedziała, co począć.

Na razie niewiele ujawniła Jonny'emu ze swojej przeszłości, niedużo też mówiła o terażniejszości. Częściowo dlatego, że przywykła polegać tylko na sobie i samodzielnie rozwiązywać wszystkie problemy, a częściowo dlatego, że nie chciała go spłoszyć.

Poza tym doskonale zdawała sobie sprawę, że on też z trudem szuka właściwej drogi. Że jest bezdomny. Tyle jej wyznał: że czuje się bezdomny. Serena dobrze go rozumiała, ponieważ jakiś czas temu musiała zmienić całe swoje życie, ale takie słowa padające z jego ust natychmiast uruchamiały dzwonki alarmowe; a co będzie, jeśli któregoś dnia Jonny uzna, że jego prawdziwy dom jest gdzie indziej, z dala od Las Vegas, z dala od niej?

Zatrzymała samochód na odkrytym parkingu po północnej stronie Meadows Mail. To było „jej” centrum handlowe, zaledwie kilka kilometrów od domu. Od lat

przyjeżdżała tu na zakupy. Żadnych gadających posągów ani ogromnych akwariów, jak w Caesars. Żadnych galerii obsługujących supergwiazdy, które potrafią za jednym zamachem wydać sto tysięcy dolarów. Tylko normalne sklepy, w których robią zakupy normalni ludzie. Serena lubiła to miejsce, ponieważ całe było normalne i mogłoby znajdować się na dowolnych przedmieściach dowolnego miasta. Nie było w nim nic z Las Vegas.

O piątej rano parking świecił pustkami, stało zaledwie kilka samochodów. Latarnie rzucały na asfalt kręgi bladego światła. Zbliżał się świt. Niemal dokładnie na środku parkingu czekał na nich radiowóz z włączonymi światłami oraz pracującym silnikiem. Kierowca całkowicie opuścił szybę i wystawił przez okno rękę z papierosem. Samochód, który przyjechali obejrzeć, stał dwadzieścia metrów dalej: granatowy pontiac aztek.

Na ich widok policjant wygramolił się z radiowozu i zdeptał niedopałek. Był chudy i wysoki, mundur wisiał na nim jak na strachu na wróble. Jasne włosy wyglądały tak, jakby ostrzygła mu je matka, pomagając sobie garnkiem, który włożyła mu na głowę. Odruchowo skubał brodę. Mógł mieć ze dwadzieścia lat, był bardzo poważny i ogromnie przejęty. Serena również wysiadła z samochodu.

- Witam - powiedziała. - Wcześniej nas pan tutaj ściągnął.

- To prawda - odparł z wyraźnym teksańskim akcentem. - Bardzo mi przykro. Jestem Tom Crawford.

Serena przedstawiła siebie i Cordy'ego. Niewiele brakowało, by Crawford dygnął jak pensjonarka.

- Od jak dawna służysz w policji, Tom?

- No... będzie już chyba z miesiąc.

Udając, że trze oko, Cordy zerknął z ukosa na

Serenę.

- Cholera - wyszeptał bezdźwięcznie.

Serena westchnęła i pokręciła głową. Te żółtodzioby.

- No tak... Znalazłeś niebieski samochód. Świadek twierdzi, że widział niebieski samochód odjeżdżający z miejsca, w którym został potrącony ten chłopiec, ale to było w Summerlin, kilkanaście kilometrów i kilka progów podatkowych stąd...

Crawford skinął głową, wciąż skubiąc podbródek.

- Wiem, czytałem raport o tym wypadku. Paskudna sprawa. Bardzo dokładnie go przeczytałem i od tygodnia rozglądałem się za tym samochodem. W nocy zadzwonili do nas z firmy ochroniarskiej, która pilnuje tego parkingu, i powiedzieli, że ten wóz stoi tu już od paru dni i nikt go nie rusza, więc może jest porzucony. Mieli go odholować, ale woleli zapytać, czy najpierw będziemy chcieli rzucić na niego okiem. Dyspozytor nie widział potrzeby, ale jak usłyszałem, że jest niebieski i stoi na parkingu, do którego tak łatwo dojechać z Summerlin, gdzie był ten wypadek... Pomyślałem więc, że warto sprawdzić.

- Firma ochroniarska zawiadomiła was dopiero po tygodniu?

- Jakoś tak wyszło. Zdaje się, że po prostu często się zmieniają, a człowiek, który pierwszy zwrócił uwagę na ten wóz, zjawił się tu ponownie dopiero wczoraj.

- Proszę mówić dalej.

Serena stłumiła ziewnięcie, mając nadzieję, że jednak nie zrywała się na próżno o tej porze.

- Jak tylko tu przyjechałem, obejrzałem przód samochodu. No i... Ale najlepiej będzie, jeśli wam pokażę.

Crawford podszedł do azteka i oświetlił wielką

służbową latarką przednią część samochodu. Serena raptownie wciągnęła powietrze przez zęby. Środkowa część maski była wgnieciona, podobnie jak osłona chłodnicy. Wyraźne ślady uderzenia dało się także dostrzec na zderzaku i tablicy rejestracyjnej; była tak pocięta, jakby ktoś próbował złożyć ją w samolocik. Crawford przyklęknął przy samochodzie.

- Jeśli przyjrzyście się z bliska, zobaczycie strzępy materiału. I coś jeszcze. To może być skóra i krew.

Serena widywała już na pustyni zwłoki na pół pożarte przez dzikie zwierzęta i jakoś nie robiło jej się niedobrze, ale uszkodzenia tego samochodu - a raczej kontrast między ich niewielkimi rozmiarami a ogromem nieszczęścia, jakie spowodowały - sprawił, że z trudem przełknęła ślinę.

- Dobra robota, Tom.

Cordy milczał, ale wyraźnie pobladł. Wbił dłonie w kieszenie i nerwowo przytupywał. Tylko Crawford był zupełnie spokojny, a nawet jakby uradowany znaleziskiem, ale wynikało to z jego młodego wieku. Oto dokonał czegoś, czym przez najbliższy rok będzie mógł się chwalić innym żółtodziobom. Tydzień temu nie było go w Summerlin na miejscu wypadku, nie widział nieruchomego ciała Petera Hale'a, kałuży krwi wokół jego głowy ani czarnej pustki w oczach ojca, nie słyszał rozpaczliwego zawodzenia matki.

W dzielnicy mieszkała wyższa klasa średnia - oboje rodzice mieli dobrą pracę, a dwunastoletni chłopcy grzecznie wracali po lekcjach do domu, żeby oglądać telewizję i grać w gry komputerowe. Linda i Carter Hale'owie uważali się za szczęściarzy. Linda Hale nie pracowała, Peter nie wracał więc ze szkoły do pustego domu. Bawił się na podjeździe, odbijając piłkę tenisową od

drzwi garażu, kiedy Linda usłyszała przeraźliwy łomot. Matczyny instynkt od razu jej podpowiedział, że wydarzyło się coś okropnego. Znalazła Petera leżącego częściowo na chodniku, a częściowo na jezdni. Poza synem nikogo nie dostrzegła, nie było też żadnych świadków. Tylko służąca z domu trzy przecznice dalej widziała niebieski samochód jadący ulicą mniej więcej w porze wypadku. Specjaliści z laboratorium robili, co mogli, by ustalić markę i model na podstawie odprysków niebieskiego lakieru i fragmentów osłony chłodnicy, ale Serena wiedziała, że teraz nie ma to już żadnego znaczenia. To był ten samochód.

- Grzebałeś w środku? - zapytała.

- Nie. Wóz jest zamknięty, a poza tym to by było niezgodne z przepisami. Niczego nie dotykałem.

- A sprawdziłeś numer rejestracyjny?

- Oczywiście. Właścicielem jest Lawrence Busby, nienotowany. Trzydzieści cztery lata, Afroamerykanin, sto kilogramów wagi. Tyle w każdym razie ma wpisane w prawie jazdy. W zeszły piątek o dwudziestej trzydzieści zgłosił kradzież samochodu.

- Kilka godzin po wypadku... - mruknęła Serena. - Czy to nie dziwne?

Crawford uśmiechnął się nieśmiało.

- Też mi to przyszło do głowy. Czy to nie zbyt duży zbieg okoliczności. Dlatego zaproponowałem panu Busby'emu, że przywieziemy go tu, żeby mógł odebrać swój samochód.

- Co takiego? - zdziwił się Cordy.

- Poprosiłem dyspozytora, żeby posłał radiowóz do jego domu, na wypadek gdyby pan Busby postanowił dać nogę, a potem sam do niego zadzwoniłem i powiedziałem, że znaleźliśmy jego auto i chętnie przywieziemy go tutaj,

żeby je odebrał. Powinni być za kilka minut.

- Spryciarz z ciebie, Tom - pochwaliła go Serena.

- Dziękuję. Moja mama powtarza to samo, tylko żona twierdzi inaczej.

- Jak zareagował Busby?

- Przede wszystkim zapytał, czy są jakieś uszkodzenia. W sumie to chyba naturalne. Powiedziałem mu, że owszem, ale dobry blacharz bez trudu sobie z tym poradzi.

Serena spróbowała postawić się na miejscu Busby'ego. Przed chwilą zabił dziecko. Obawia się, że ktoś widział samochód albo że zostawił dowody, które szybko naprowadzą policję na jego trop. Jeszcze jeden, który naoglądał się za dużo *Kryminalnych zagadek*. Zostawia więc samochód na parkingu, wraca do domu autobusem i zgłasza kradzież. Jeśli dopisze mu szczęście, nikt nie skojarzy jego samochodu z wypadkiem. Jeśli nawet skojarzy, będzie mógł zwalić winę na kogoś innego.

Coś jednak nie dawało jej spokoju. W tej dzielnicy mieszkali niemal wyłącznie biali, więc czarny rozmiarów Lawrence'a Busby'ego z pewnością musiał zwrócić na siebie uwagę. Nie miała pojęcia, dlaczego Busby, który mieszkał spory kawałek drogi za miastem, miałby jeździć jak szalony ulicami akurat tego osiedla.

- Otwórz wóz - zwróciła się do Crawforda. - Chciałabym rozejrzeć się w środku, zanim zjawi się właściciel.

- Czy nie potrzebujemy nakazu? Wzruszyła ramionami.

- Pan Busby zgłosił kradzież samochodu, więc musimy zebrać dowody, żeby schwytać sprawcę.

Crawford otworzył bagażnik radiowożu, wyjął dość

sztynny drut z pętlą na końcu i ostrożnie, by nie zatrzeć śladów, w ciągu kilku sekund otworzył drzwi po stronie kierowcy.

Serena zajrzała do środka, po czym usiadła za kierownicą. Wnętrze samochodu było nienagannie czyste. Końcówką długopisu otworzyła schowek na rękawiczki, ale znalazła tylko instrukcję obsługi. Popielniczka była nieużywana.

Otworzyły się tylne drzwi.

- Masz coś? - zapytał Cordy.

- Nic.

- Sprawdzę pod siedzeniami.

Poświecił latarką i niemal od razu zagwizdał przeciągle przez zęby.

- No proszę... Kawałek papieru. Wygląda na paragon. Serena wysiadła z wozu. Kilka sekund później uczynił to także Cordy i triumfalnie pokazał małą karteczkę, którą trzymał peseta. Serena podeszła do niego i oboje przyjrzeni się znalezisku w świetle latarki.

Paragon pochodził ze sklepu spożywczego w pobliżu Reno, ponad sześćdziesiąt kilometrów na północ od Vegas. Sześć ciastek i sprite o ósmej rano. Śniadanie mistrzów. Trochę ponad dwa tygodnie przed wypadkiem.

Na parking zajechał drugi radiowóz.

- Należy się domyślać, że to pan Busby we własnej osobie - mruknął Crawford.

Serena odniosła wrażenie, że na miejscu pasażera siedzi niedźwiedź grizzly. Rzeczywistość znacznie przerastała to, co mogli sobie wyobrazić na podstawie suchych danych w prawie jazdy. Lawrence Busby ważył na oko jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów, miał twarz w kształcie księżyca w pełni, krótko ostrzyżone włosy i

ogromne, obwisłe policzki. Jego czarne czoło lśniło od potu.

- Założę się, że ma większy biust niż ty - wyszeptał Cordy.

Serena z trudem powstrzymała uśmiech. Busby sięgnął do klamki, więc pospiesznie uniosła rękę jak policjant kierujący ruchem na skrzyżowaniu. Funkcjonariuszka siedząca za kierownicą powiedziała coś ostro do pasażera; mężczyzna wybałuszył oczy i potulnie położył ręce na kolanach. Pocił się coraz obficie, bez wątpienia również ze strachu.

Cordy pokiwał palcem na policjantkę, która posłusznie wysiadła z radiowozu. Jej miejsce zajęła Serena. Zostawiła otwarte drzwi i opuściła szybę po stronie pasażera. Cordy podszedł, pochylił się i oparł łokcie.

W środku potwornie cuchnęło. Busby miał na sobie ogromny t-shirt z plamami potu pod pachami i na karku. Z białych szortów wystawały dwa potężne pnie - nogi. Poruszył się nerwowo, wypuścił gazy, przeprosił, mamrocząc pod nosem. Bez przerwy przenoślił zaniepokojone spojrzenie z Sereny na Cordy'ego i z powrotem.

- Czy to pański samochód, panie Busby? - spytała Serena.

Mężczyzna skinął głową, wprawiając w kołysanie swoje liczne podbródki.

- Od jak dawna go pan miał?

- Jakieś dwa miesiące...

Busby mówił tak cicho, że Serena z trudem go słyszała. Cordy wsunął głowę przez okno.

- Mieścisz się w takim wozie? Chyba kierujesz brzuchem albo jakoś tak...

Busby zrobił taką minę, jakby lada chwila miał się rozplakać.

- Daj spokój, Cordy - syknęła Serena. - Czym pan się zajmuje, panie Busby?

- Jestem kucharzem w Lady Luck w centrum. Cordy gwizdnał.

- Kucharz, no, no! I nikogo nie zdziwiło, że goście wychodzą głodni, a ty pęczniesz w oczach?

Busby żałośnie pokręcił głową.

- Niczego nie kradnę, słowo daję.

- Ma pan jeszcze jakieś zajęcia? - ciągnęła Serena. - Jakaś dodatkową pracę, żeby sobie trochę dorobić? - Nie. Od pięciu lat pracuję tylko w Lady Luck.

- Był pan kiedyś w Summerlin?

- To ta bogata dzielnica na zachodzie? Nie sędzę. Nie miałbym powodu.

- Więc nie był pan tam również w zeszły piątek po południu?

- Nie. Nigdy tam nie byłem. - Otarł czoło dłonią wielkości patelni. - O co wam chodzi?

- O chłopaka, którego zabiłeś, ty kupo łgającego tłuszczu! - warknął Cordy.

Busby gwałtownie pokręcił głową i tak wybałuszył oczy, że mało nie wyskoczyły mu z orbit.

- Nikogo nie zabiłem, przysięgam!

- Potrafiłeś chłopca, a potem uciekłeś jak tchórz, bo nie miałeś odwagi powiedzieć jego matce, co zrobiłeś.

- To jakieś szaleństwo! - Busby rozpaczliwie spojrzał na Serenę. - On zwariował! Ja tego nie zrobiłem! Naprawdę!

- W takim razie może opowiesz nam, jak skradziono ci samochód? - zaproponowała chłodnym tonem.

- W zeszły piątek zostawiłem go na Fremont Street, a kiedy wróciłem, już go nie było. Zawiadomiłem was, i to wszystko.

- Około ósmej trzydzieści wieczorem?

- Jakoś tak.

- Co robiłeś o tej porze w centrum? Chciałeś sobie trochę pograć?

- Nie grałem, tylko pracowałem. Przecież już wam mówiłem, że robię w Lady Luck.

Serenie coraz mniej się to podobało.

- O której przyszedłeś do pracy?

- Około południa, jak zawsze.

- Mówisz więc, że około południa zaparkowałeś wóz na Fremont Street? - powtórzyła, żeby się upewnić.

- Mówię tak, bo to prawda. Codziennie tak robię. Serena zamknęła oczy, by ukryć niesmak. Pomylili się.

Ten człowiek miał alibi. Zaraz jednak sobie przypomniała, z jakim trudem wślizgnęła się za kierownicę azteka.

- Ktoś z tobą pracuje?

- Jasne. Mnóstwo kucharzy i kelnerek.

- Macie przerwy na lunch albo coś w tym rodzaju? Doskonale zdawała sobie sprawę, że jak tonący chwyta się brzytwy.

- Ja nie robię sobie żadnej przerwy. Serena uśmiechnęła się odruchowo.

- Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić. Busby też się uśmiechnął.

- Próbuję się odchudzić, a w pracy i tak przekąszę coś od czasu do czasu...

Serena westchnęła ciężko.

- No dobrze. Proszę więc opowiedzieć, co się stało z

pańskim samochodem.

- Nie bardzo jest o czym opowiadać. Wyszedłem z roboty o tej porze co zwykle, poszedłem na parking, ale wozu nie było. Zawsze zostawiam go w tym samym miejscu, więc to nie było tak, że nie mogłem go znaleźć. Po prostu znikł, i tyle.

- Może ktoś z rodziny miał swoje kluczyki?

- Jaka tam u mnie rodzina... Mama nie żyje, ojciec w domu opieki, a żony nie mam. Żadna jakoś mnie nie chciała.

Serena skinęła głową. Czuła się paskudnie w związku z tym, jak potraktowała tego Bogu ducha winnego człowieka. Wiódł samotne, smutne życie, a ona urozmaiciła mu je szczyptą bólu i strachu. Na domiar złego musi mu jeszcze powiedzieć, że minie trochę czasu, zanim będą mogli zwrócić samochód.

Wysiadła z radiowozu i skinęła na Cordy'ego.

- Nie zrobił tego, prawda?

- Na pewno nie - odparł, energicznie żując gumę. - Co to dla nas oznacza? Im dłużej nad tym myślała, tym mniej podobały jej się konsekwencje dotychczasowych ustaleń. Zdarzenie coraz mniej przypominało wypadek, a coraz bardziej coś zupełnie innego.

- Ktoś kradnie samochód w centrum i tego samego popołudnia potrąca dzieciaka na przedmieściach?

- To nie wypadek, tylko zabójstwo - stwierdził Cordy.

- Na to wygląda.

Przypomniała sobie paragon ze sklepu spożywczego. Wróciła do radiowozu i zajrzała do środka.

- Panie Busby, czy w ciągu ostatniego miesiąca jeździł pan do Reno?

Busby zmarszczył brwi.

- W życiu nie byłem w Reno.

6

Stride czekał w gabinecie porucznika Sawhilla, mieszając kawę w kubku i obserwując przez okno czarnego kota po drugiej stronie ulicy; zwierzę przemknęło przy murze i znikło w zaśmieconym podwórku. Zaraz potem ulicą przejechał policjant na rowerze górskim, tak na oko o kilka rozmiarów za małym; pośladki zwisały mu po obu stronach siodełka, kolana miał prawie pod brodą. Obaj, kot i gliniarz, polowali na szczury tego miasta.

Wydział zabójstw mieścił się w eleganckiej, nowoczesnej śródmiejskiej komendzie policji. Do wejścia prowadził szpaler palm. Ojcowie miasta wzniesli budynek w nie najlepszej okolicy, kilka przecznic od kasyn, jakby liczyli na to, że sama jego obecność drogą osmozy wpłynie na zmniejszenie przestępczości. Niestety, plan się nie powiódł.

Stride zerknął na zegarek; zbliżało się południe. Burzało mu w brzuchu. Sam nie wiedział, czego mu bardziej brakuje - snu czy posiłku.

Otworzyły się drzwi i wszedł Lester Sawhill. Zmarszczył brwi i bez słowa wskazał fotel przed biurkiem. Zadzwoił telefon. Porucznik podniósł słuchawkę i zasiadł w skórzanym fotelu tak ogromnych rozmiarów, że wyglądał w nim jak dziecko, które przyszło odwiedzić ojca w biurze. Stride także usiadł i czekał.

- Witam, panie gubernatorze - powiedział Sawhill takim tonem, jakby codziennie prowadził takie rozmowy.

Serena napomknęła przy jakiejś okazji, że za każdym razem, kiedy przychodziła do gabinetu Sawhilla, ten rozmawiał przez telefon z jakimś politykiem. Lubił

mieć publiczność. Lubił wszystkim przypominać, jakie miejsce zajmuje w porządku dziobania.

W Minnesocie Stride podlegał bezpośrednio zastępcy komendanta, złośliwemu gnomowi Kyle'owi Kinnickowi, nazywanemu K-2, o słoniowych uszach i piskliwym głosem przypominającym brzmienie klarnetu, na którym gra sześciolatek. Sawhill wcale nie był dużo wyższy od K-2, ale na pewno prezentował się o niebo lepiej. Strzygł się chyba co kilka dni, miał wąską twarz w kształcie litery V, ospowate policzki oraz okulary-połówki na łańcuszku, które od czasu do czasu umieszczał tuż za bulwiastym czubkiem nosa.

Niezbyt kosztowny szary garnitur z pewnością nie był nowy, ale za to dobrze utrzymany. Serena opowiadała, że był jak jego druga skóra, niezależnie od pogody. Nawet w największe upały Sawhill ani nie rozpiął kołnierzyka, ani nawet nie rozluźniał krawata. Nigdy też nie podnosił głosu. W ogóle wydawał się pozbawiony emocji, w każdym razie nic nie było widać po jego twarzy lub brązowych oczach.

- To bardzo miło z pańskiej strony, panie gubernatorze...

W dłoni rytmicznie ścisnął różową kauczukową piłeczkę, a od czasu do czasu uważnie przyglądał się paznokciom, jakby zastanawiał się, czy już pora na manikiur.

Stride czuł się trochę jak niewidzialny człowiek. Potrzebował kilku lat, by obdarzyć K-2 zaufaniem, ponieważ w głębi duszy uważał, że na wyższe szczeble w hierarchii służbowej awansują tylko ci policjanci, którzy po trosze stali się politykami, a tym samym przestali być dobrymi policjantami. Ale K-2 był inny. Zawsze pozostał

gliną. Stride bardzo go za to szanował.

Może pewnego dnia Lester Sawhill też zdoła go przekonać, by został po tej stronie barykady, ale na razie Stride mocno w to wątpił. Bynajmniej nie dlatego, że uważał Sawhilla za złego człowieka. Wręcz przeciwnie. Wiedział, że jego przełożony w swoim postępowaniu kieruje się ściśle określonymi zasadami moralnymi. Był mormonem, jak wielu wyższych urzędników w Mieście Grzechu. Żadnej kawy, żadnych papierosów, żadnego alkoholu, za to mnóstwo dzieci - chyba siedmioro, doszedł do wniosku Stride, przeliczywszy fotografie na półkach. Ale Sawhillowi bardziej niż na podwładnych zależało na mieście i Bogu.

Stride nie miał pojęcia, jak sobie tu radzą mormoni. Mogli pracować w kasynach, ale nie wolno im było uprawiać hazardu. Byli pobożnymi ludźmi w bezbożnym mieście. Uważał, że to trochę dziwne, a może nawet graniczące z hipokryzją; podobnie oceniłby postępowanie barmana, który co prawda uważa, że picie to grzech, ale nie ma nic przeciwko podawaniu bliźnim trucizny.

Sawhill wreszcie odłożył słuchawkę.

- Dzwonił gubernator Durand - oznajmił, na wypadek gdyby Stride jeszcze się nie zorientował. - Sam widzisz, jaką uwagę przyciąga to śledztwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Opinia publiczna śledzi każdy nasz krok - dodał Sawhill. - Zamordowano znaną postać. Jesteśmy zasypywani pytaniami z redakcji z całego świata.

Stride doskonale rozumiał ukryte znaczenie słów Sawhilla. Gdyby porucznik wiedział, że sprawa nabierze takiego rozgłosu, z pewnością nie powierzyłby jej czarnym owcom w swoim stadzie, czyli nowemu nabytkowi z

Minnesoty i transseksualiście. Nigdy w życiu. Teraz jednak było już za późno... chyba że Stride coś spieprzy.

- Skoro już o tym mowa... - ciągnął porucznik. - Kieruj wszystkich dziennikarzy do naszego działu PR, dobrze? Ty masz się zajmować sprawą, a nie tracić czas na pogaduszki z reporterami. Oczywiście to samo dotyczy Amandy.

Przede wszystkim jej, pomyślał Stride. Sawhill nie życzył sobie, by którekolwiek z nich reprezentowało miasto na zewnątrz albo, co gorsza, zdobyło jakikolwiek rozgłos.

- W jakim miejscu jesteśmy? Muszę coś powiedzieć gubernatorowi.

- Mamy film ze sprawcą, zostawił nam też odcisk palca. Celowo. Wynajęty fachowiec od mokrej roboty na pewno by tego nie zrobił.

- Figurował w kartotece?

- Nie. Do tej pory nie mieliśmy też jego zdjęcia. Dobrze wiedział, gdzie są zainstalowane kamery. Działał na pełnym luzie.

- Jesteś pewien, że chodziło mu właśnie o Lane'a? Że to nie był przypadek?

- Jestem. To nie było ani typowe zabójstwo, ani przypadek. Chciał sprzątnąć właśnie MJ, i to zrobił.

- Motyw?

- Narkotyki, hazard, kobiety... Każdy jest równie prawdopodobny, ale na razie nie mamy nic pewnego.

- To jak zamierzacie rozwiązać tę sprawę?

Sawhill zachowywał się jak inkwizytor szukający słabych punktów, które dałyby mu pretekst do odebrania Stride'owi śledztwa.

- W tej chwili próbujemy stworzyć ogólny obraz sytuacji na podstawie tego, co wiemy, ale nie ma tego

wiele. Ochrona kasyna przegląda taśmy z minionego miesiąca, żeby sprawdzić, czy sprawca był tam wcześniej, bo jeśli tak, to może mniej starannie ukrył twarz. Odtwarzamy czynności MJ z dnia poprzedzającego zabójstwo i sprawdzamy, czy ktoś zauważył śledzącego go człowieka. Rozmawiamy z jego znajomymi i ludźmi, którzy go ostatnio widywali, a ja zamierzam pogadać z jego ojcem. Coś między nimi zaszło. Może to nic ważnego, ale jak na razie to jedyny sygnał świadczący o tym, że w lekkim i przyjemnym życiu MJ zdarzały się też zgrzyty.

Sawhill pokręcił głową.

- Chyba będzie lepiej, jeśli sam porozmawiam z Walkerem Lane'em.

- Dlaczego? - zapytał Stride, starannie ukrywając irytację.

- Walker Lane to zamożny i wpływowy człowiek. - Brzmiało to jak przemowa nauczyciela skierowana do wyjątkowo opornego ucznia. - Wiadomość o zabójstwie przekazał mu osobiście gubernator. Mam nadzieję, że nie sugerujesz, że pan Lane jest podejrzany.

- Nie mam żadnych powodów, żeby tak przypuszczać - odparł Stride. - Wiem jednak, że pokłócił się z synem. Najprawdopodobniej rozmawiali godzinę przed zabójstwem. Jeśli MJ wplątał się w coś, co doprowadziło do jego śmierci, być może Walker będzie coś wiedział na ten temat.

Sawhill przez jakiś czas bębnił palcami w blat biurka, po czym bez entuzjazmu skinął głową.

- W porządku, ty z nim pogadasz. Ale dopiero jutro. - Machnął ręką, tłumiąc protest w zarodku. - Dajmy panu Lane'owi czas na oswojenie się z nową sytuacją. I tak masz mnóstwo roboty. A jak już do niego pójdziesz, to uważaj,

co mówisz i robisz. To ważny człowiek, który właśnie stracił syna.

- Rozumiem.

- A jak układa ci się z Amandą?

Co prawda na twarzy Sawhilla nie drgnął żaden mięsień, lecz Stride gotów był iść o zakład, że porucznik ukrywa uśmiech.

- Doskonale. Jest bystra, lubię ją.

- Aha. - W głosie Sawhilla dało się słyszeć nutę zawodu. - To dobrze.

Gdy tylko Stride wrócił z gabinetu Sawhilla, z za przepierzenia wyłoniła się głowa Amandy.

- Mamy towarzystwo - oznajmiła wesoło. - Karyn Westermark we własnej osobie. I to jakiej osobie!

Zaprowadziła go do salki konferencyjnej na drugim piętrze. Za przeszkloną ścianą widać było obszerne pomieszczenie podzielone nielicznymi przepierzeniami, za którymi pracowali policjanci.

- Dlaczego wsadzili ją do tego akwarium? Amanda tylko się uśmiechnęła. Stride poznał odpowiedź na swoje pytanie, gdy tylko zobaczył Karyn: miała na sobie białą, rozpiętą koszulę, której poły związała niedbale poniżej biustu. W rezultacie za każdym razem, kiedy się pochylila, niemal całkiem odsłaniała piersi. Zauważył też, że wyjątkowo wielu funkcjonariuszy właśnie teraz wybrało się do kuchni po napoje, dzięki czemu mogli przejść wzdłuż przeszklonej ściany.

Wszedł do salki i poprosił Amandę, żeby zaciągnęła żaluzje.

- Jasne, niech mnie znienawidzą.. - wymamrotała pod nosem.

Karyn podniosła się z krzesła i podała mu rękę nad

stołem, prezentując w całej okazałości swoje wdzięki. Stride z trudem powstrzymał się przed opuszczeniem wzroku na jej dekolt; chyba to zauważyła, bo przez jej twarz przemknął cień uśmiechu.

- Jestem Karyn - powiedziała, wymawiając swoje imię nieco z francuska.

Stride do tej pory nic nie wiedział o jej karierze aktorskiej, ale Amanda zdążyła mu już co nieco powiedzieć. Wiadomości pochodziły oczywiście przede wszystkim z magazynu „Us”. Karyn grywała „ogony” w serialach, licząc na to, że w ten sposób wyrobi sobie przepustkę do wielkiej kariery. Była kalifornijską pięknoscią o długich jasnobłond włosach i złocistej cerze. Miała pociągłą twarz i jasnobłękitne inteligentne oczy kogoś, kto doskonale wie, jak dużą siłą dysponuje tylko dzięki wyglądowi. Przez szklany blat widział czerwoną, sięgającą do połowy ud spódniczkę i długie, zgrabne nogi.

- Dziękuję, że zechciała się pani do nas pofatygować, panno Westermarck. Może kawy?

- Chętnie. Latte, ale bez pianki.

- Obawiam się, że mamy tylko czarną, a oprócz tego tylko biały sztuczny proszek, który wsypujemy i mieszamy plastikowymi łyżeczkami.

Karyn uśmiechnęła się i z aprobatą lekko skinęła głową, ale jej spojrzenie pozostało lodowate.

- W takim razie dziękuję za kawę.

- Bardzo mi przykro z powodu MJ. Zdaje się, że był pani dość bliski?

- Nie nazwałabym tego w taki sposób - odparła Karyn.

- Doprawdy? Podobno spędzaliście razem sporo czasu, w tym także jego ostatni wieczór w Oasis.

Wzruszyła ramionami.

- Pieprzyliśmy się, i tyle. Spotykaliśmy się, jak tylko oboje byliśmy w Vegas.

- Wstrząsnęło panią, że zginął tuż po waszym rozstaniu?

- Jasne.

Mimo to Stride jakoś nie podejrzewał, że dziewczyna lada chwila wybuchnie płaczem.

- Domyśla się pani, kto mógł zamordować MJ? I dlaczego?

Karyn pokręciła głową.

- Ani trochę.

- Czy spotykaliście się zwykle właśnie w Oasis?

- Najczęściej, ale bywaliśmy też gdzie indziej. The Hard Rock, Mandalay... Chodziliśmy na walki bokserskie i koncerty.

- Jak długo go pani знаła?

- Parę lat. Poznaliśmy się na przyjęciu w Oasis. Był młody, przystojny, szastał pieniędzmi... Trudno było go nie lubić. Potem udaliśmy się na przejażdżkę jego limuzyną i w ten sposób wszystko się zaczęło.

- Uprawialiście wtedy seks?

Karyn pochyliła się do przodu, niemal kładąc piersi na szklanym blacie.

- Założyłam się z nim, że doprowadzę go do końca tylko za pomocą prawego sutka.

Stride doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien drażnić tematu, ale pokusa była zbyt silna.

- Kto wygrał?

W oczach Karyn zamigotały złociste ogniki.

- Postawił mi potem butelkę kruga.

Stride odchrząknął, starając się nadać swojemu

głosowi rzeczowe brzmienie.

- Czy to był poważny związek?

- Coś jak małżeństwo? Skądże znowu. Ani mi się śniło podpisywać osiemdziesięciostronicową umowę przedmażeńską!

- Czy MJ spotykał się z innymi kobietami?

- Na pewno.

- Na przykład z kim?

- Słowo daję, nie prowadziłam statystyki. Wiem na pewno, że z Tierney Dargon.

Stride zanotował nazwisko.

- Co może mi pani o niej powiedzieć?

- Tierney lubi udawać, że jest jedną z nas, ale tak naprawdę to po prostu kelnerka, której udało się wyjść za starego bogatego komika.

- Ma pani na myśli Moose'a Dargona?

- Właśnie jego.

Moose Dargon, przeżywający lata świetności w okresie występów Szczurzej Paczki, za młodych lat cieszył się opinią dość rozrywkowego chłopca. Stride widział go kiedyś w telewizji, ale zapamiętał tylko ogromne krzaczaste brwi, które zdawały się pełzać po całej twarzy niczym gigantyczne gąsienice. Nie miał pojęcia, że Moose jeszcze żyje.

- Jak ona wygląda? - zapytał, pamiętając o brunetce z filmu, który widzieli w mieszkaniu MJ.

- Brązowe włosy, szczupła, ładna.

Ten rysopis pasował nie tylko do dziewczyny z filmu, ale i do połowy kobiet w Las Vegas.

- Moose ma już chyba dobrze ponad osiemdziesiątkę... - mruknął Stride. - A Tierney?

Karyn parsknęła śmiechem.

- Może dwadzieścia pięć. Jestem pewna, że to była miłość od pierwszego wejrzenia.

- Czy wczoraj wieczorem była w kasynie?

- Nie widziałam jej, ale MJ twierdził, że wciąż kręci się w jego pobliżu. Zamierzał się jej pozbyć. Na pewno fajna z niej dupcia, ale to jednak tylko kelnerka.

- Czy Moose Dargon wiedział, że MJ ma romans z jego żoną?

- O to trzeba zapytać Moose'a.

- Skoro MJ spotykał się z innymi kobietami, to dlaczego utrzymywała pani wasz związek?

- Był bogaty, a ja lubię wystawne życie. Poza tym zwykle kręcili się wokół niego paparazzi, a ja jestem na takim etapie kariery, że to dla mnie raczej zaleta niż wada.

- Jednak wczoraj nie było z wami żadnego fotografa - zauważył Stride.

- Przyjechałam do miasta późnym popołudniem. Pewnie nie zdążyli jeszcze nas namierzyć.

- Kto jeszcze wiedział, że tego wieczoru będziecie razem?

Karyn zastanawiała się przez chwilę.

- Moja asystentka, ale ona jest w Los Angeles. I moi rodzice w Boca Raton.

- A tutaj, w Vegas?

- Oczywiście obsługa w Oasis, jak tylko się zameldowałam. Zwykle korzystam też z opieki ochroniarza, ale dałam mu wolny wieczór. I zarezerwowałam dla nas stolik w Olives.

- Komu mógł powiedzieć o tym MJ?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Szczerze mówiąc, niewiele wiem o jego życiu.

- A co z waszym filmem? Tym, który trafił do sieci?

Jak do tego doszło?

- To znaczy, dlaczego go nakręciliśmy? - zapytała Karyn, przesuwając językiem po błyszczących wargach. - A może chodzi panu o autograf?

- Chodzi mi o to, jak doszło do jego wykradzenia. Odniosł wrażenie, że przez twarz Karyn przemknął leciutki uśmiech.

- Nie wiem, ale cieszę się, że tak się stało. Ja tam tylko dawałam dupy, a i tak więcej o mnie pisali w prasie, niż gdybym zdobyła Oscara.

- Co MJ sądził na ten temat?

- Mniej więcej to samo co ja. Wcześniej nikt o nim nie słyszał.

- Porozmawiajmy teraz o przyjęciach w kasynie. Narkotyki?

Karyn zmrużyła oczy.

- Coś mi się wydaje, że będę potrzebowała adwokata...

- To jest Vegas, Karyn - odezwała się stojąca przy drzwiach Amanda. - Obowiązuje maksymalna dyskrecja. Nie chcemy cię w nic wrobić, zajmujemy się czymś znacznie poważniejszym.

Karyn przyjrzała się jej uważnie, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności, po czym skinęła głową.

- W porządku. Zdarzało nam się pociągnąć od czasu do czasu.

- Kto dostarczał towar? - zapytał Stride. - Ty czy MJ?

- Tym akurat w ogóle się nie zajmuję. Jak jest, to wezmę, i to wszystko. Nie kupuję i nie sprzedaję.

- AMJ?

- Miał go zawsze pod dostatkiem, ale nie wiem, skąd

brał.

- Może się domyślasz? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Zawsze ktoś się znajdzie. Ktoś stojący w cieniu. Czasem kierowca, czasem kelner... Kiedy ma się tyle forsy co MJ i prowadzi się taki tryb życia, nie trzeba się o nic martwić. Tacy ludzie i tak cię znajdą.

- Wczoraj też go znaleźli?

- Nawet jeśli tak, to tego nie widziałam.

- A jaki właściwie tryb życia prowadził MJ? - odezwała się ponownie Amanda.

Robiła wszystko, by sprawiać wrażenie chłodnej i opanowanej, lecz Stride widział, że jest odrobinę onieśmielona obecnością Karyn.

- Był duszą każdego towarzystwa - odparła Karyn, przesywając ją spojrzeniem błękitnych oczu. - Fajnie jest pruć przed siebie lewym skrajnym pasem. Powinna pani czasem do nas dołączyć.

Amanda roześmiała się.

- Moglibyście za mną nie nadażyć.

- Dlatego, że jest pani transwestytą? - Karyn uśmiechnęła się, widząc zdumienie Amandy - Może pani nabrać wiele osób, ale prawdziwa kobieta natychmiast się zorientuje. Nie żeby mi to jakoś przeszkadzało. W naszym światku dla wielu to by było cholernie podniecające.

- Widzi pani, panno Westermak... - przerwał jej Stride. - Mamy pewien problem. Może i MJ był duszą każdego towarzystwa, ale fakty są takie, że ktoś wpakował mu kulę w łeb. Z tego wynika, że jednak nie wszyscy go kochali. Może domyśla się pani, komu mógł zależeć za skórę?

- Nie mam pojęcia. - Karyn z ociąganiem odwróciła

wzrok od Amandy i spojrzała na Stride'a. - Był jak dojna krowa, płacił rachunki wszystkich... Komu mogło to przeszkadzać?

- Nigdy nie tracił nad sobą panowania?

- MJ? Nigdy. Był jak dziecko. Chciał, żeby wszyscy go lubili. Jeśli zdarzało mu się z kimś pokłócić, to tylko z ojcem. Właściwie bez przerwy się kłócili.

- Jego ojciec jest jakimś producentem filmowym, zgadza się?

- Tak samo jak Tom Hanks jest jakimś aktorem. W tej branży wszyscy znają Walkera Lane'a. Szczerze mówiąc, początkowo przyczepiłam się do MJ, bo miałam nadzieję, że szepnie o mnie słówko swojemu staremu, ale szybko się przekonałam, że nie chce mieć nic wspólnego z Walkerem, co najwyżej z jego pieniędzmi.

- Powiedział dlaczego?

- Nie, ale powodów było mnóstwo, i każdy inny. Kłócili się o pieniądze, o jego matkę, o to, że MJ mieszka w Vegas. Parę tygodni temu Walker zadzwonił akurat wtedy, kiedy byłam z MJ w jego mieszkaniu. MJ dostał szału, rozwalił telefon o ścianę. Nigdy nie widziałam go tak wściekłego.

- Czy wie pani, kiedy po raz ostatni rozmawiał z ojcem?

- Jasne. Wczoraj wieczorem.

- Czego dotyczyła rozmowa?

Karyn wzruszyła ramionami. Przez chwilę w milczeniu bawiła się skrawkiem papieru, zwinęła go w kulkę i obracała między palcami.

- Nie wiem - odparła wreszcie. - Ale MJ był cholernie wkurzony. Ja zresztą też. Zrobiliśmy sobie przerwę w grze i poszliśmy do mnie, żeby się trochę

odprężyć. Potrzebowałam dobrego rżnięcia. Ale ledwo zaczęliśmy, kiedy zadzwonił telefon. To był Walker. Wrzeszczeli na siebie przez parę minut, a potem MJ nie miał już nastroju, więc sobie poszłam. Wychodząc, poradziłam mu, żeby wreszcie wydorostał.

- I co potem?

- Nic. Siedziałam w klubie prawie do piątej. Podobno MJ wrócił do stołów i tego popijał, a potem wyszedł poszukać dziwki. Marnie wybrał, co? Gdyby został ze mną, nic by mu się nie stało.

Albo ty skończyłabyś tak samo jak on, pomyślał Stride, głośno zaś powiedział:

- Bardzo chciałbym wiedzieć, o co pokłócił się z ojcem.

- Naprawdę nie wiem. Musicie zapytać Walkera. Ale i tak mam coś dla was. Coś, co MJ powiedział do ojca. Trochę niesamowite, jeśli wziąć pod uwagę, co się z nim potem stało.

- Co to było?

Karyn uśmiechnęła się jak kotka.

- Nazwał Walkera mordercą.

7

Serena poczuła to, jak tylko Linda Hale zaprosiła ją do wnętrza domu w Summerlin. Rozpacz.

Wisiała w powietrzu, rozmnażając się jak wirus. Czepiała się mebli, grubą warstwą pokrywała puszysty dywan, przyćmiewała światło. We wszystkich pomieszczeniach rozbrzmiewało echo wielkiej, tragicznej straty. Na podłodze pokoju dziecinnego wały się zabawki. Juniorska piłka futbolowa, gry na Playstation, książki o Harrym Potterze. Nikt nie mógł się zdobyć na to, żeby je podnieść, bo wtedy rozpacz zostałaby również na

palcach.

Najgorsza jednak była cisza, całkowicie nienaturalna w tym domu. Dwunastoletni chłopcy robią mnóstwo hałasu. Krzyczą. Słuchają głośno muzyki. Ale tu panowała cisza. Linda Hale zapewne oddałaby wszystko, żeby było inaczej.

Usiadły przy dębowym kuchennym stole w aneksie jadalnym wychodzącym na mały, ale zadbane skalniak z kaktusami. Pani Hale ścisnęła w dłoniach kubek z kawą. Stół był zasłany rodzinnymi fotografiami wysypanymi z pudełka po butach.

- Znaleźliśmy samochód - powiedziała Serena.

Pani Hale w milczeniu skinęła głową. Oczami lśniącymi od łez wpatrywała się w rozrzucone zdjęcia. Miała trzydzieści kilka lat jak Serena i krótko obcięte jasne włosy - bardzo praktyczna fryzura dla mamy, która musiała zdążyć wziąć prysznic i pobiec do szkoły, żeby odebrać syna z treningu. Była bez makijażu, w uszach miała srebrne kolczyki, a na szyi srebrny łańcuszek.

- Pani mąż pracuje w kasynie Harrah's, zgadza się?

- Owszem - odparła cicho. Widać było, że myślami jest cały czas przy zdjęciach. W przeszłości.

Jak dla trzech osób, dom był bardzo duży. Linda Hale bardzo o niego dbała - świadczyły o tym dobrane ze smakiem dodatki oraz nienaganny porządek. Przypuszczalnie miała problemy ze skłonieniem Petera, żeby sprzątał po sobie. Pewnie nieraz się na niego złościła.

Serena przyjrzała się fotografiom. Niektóre pochodziły sprzed wielu lat. Wzięła jedną do ręki: chłopiec stał na plaży, wpatrując się w obiektyw błyszczącymi oczami.

Linda Hale wyraźnie się ożywiła.

- To Cocoa na wschodnim wybrzeżu Florydy. Pięć lat temu pojechaliśmy z Peterem do mojej matki w Orlando. - Podsunęła Serenie inne zdjęcie. - Tu jest z Myszka Miki. Początkowo bardzo się bał, a potem po prostu nie mógł się od niej oderwać.

Kolejne fotografie. Peter na rowerku z doczepionymi bocznymi kółkami. Z ojcem. W stroju futbolisty. Matka Lindy - na pewno, bo podobieństwo rzucało się w oczy - z wnukiem podczas świąt Bożego Narodzenia. Mąż i żona w szpitalnym pokoju, Linda przyciskająca noworodka do piersi.

- Ma zadowoloną minę - powiedziała Serena. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

- To prawda.

- Jest pani bardzo podobna do matki...

Czuła się potwornie głupio, usiłując prowadzić towarzyską rozmowę z kobietą, która dopiero co straciła syna.

- Wiem, wszyscy to mówią. Ale ona prezentuje się znacznie lepiej. Ma szyk, tak jak pani.

- Dziesięć lat temu może rzeczywiście go miałam - odparła Serena z uśmiechem.

- Wciąż go pani ma. Moja mama też. A ja... Ja się po prostu starzeję. Ze sterty fotografii wyłowiła czarno-białe zdjęcie tancerki w wyszywanej cekinami sukni. Dziewczyna wyglądała na jakieś dwadzieścia lat i mogła być siostrą bliźniaczką Lindy Hale.

- Widzi pani? Od tamtej pory minęło czterdzieści lat, a moja mama wciąż mogłaby mieć każdego mężczyznę, na jakiego miałyby ochotę. - Roześmiała się. - I zwykle ma...

- Czy pani ojciec żyje? Kobieta wzruszyła

ramionami.

- Tak. Gdzieś w świecie. Teraz jest numer czwarty. Numer pierwszy był wieki temu. Numer drugi, choć tylko ojczym, był najlepszym ojcem, jakiego miałam. Właśnie dlatego tak bardzo staraliśmy się z mężem, żeby Peter miał normalny dom. I dlatego nie poszłam do pracy.

Pociągnęła łyk kawy i odstawiła kubek na drewnianą podstawkę. Znowu błędziła gdzieś daleko myślami. Może rozmawiała z Bogiem? Może pytała go, dlaczego coś takiego spotkało właśnie ich, choć tak bardzo się starali.

- Powiedziała pani, że znaleźliście samochód... - odezwała się po chwili zupełnie innym, ostrym tonem. - Czyli wiecie już, kto to zrobił?

- To nie takie proste.

- Nie rozumiem...

- Samochodu nie prowadził jego właściciel. Ma alibi. Ktoś ukradł mu samochód i porzucił po wypadku. Być może uciekał przed kimś albo przed czymś, albo bardzo się spieszył. Możliwe też, że mamy do czynienia z psychopatą, który chciał kogoś zabić, a Peter znalazł się o niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Jeszcze inne wyjaśnienie jest takie, że ktoś zabił go celowo.

- To szaleństwo! Przecież to jeszcze dziecko! Serena skinęła głową.

- Wiem. Musimy brać pod uwagę ewentualność, że właściwym celem byliście państwo. Właśnie dlatego muszę spytać, czy mieliście jakichś wrogów.

- Takich, którzy mieliby zamordować nasze dziecko? - Kobieta energicznie pokręciła głową. - Na pewno nie.

- Wiem, że w takie rzeczy trudno uwierzyć, ale

kiedyś w Teksasie kobieta wynajęła płatnego mordercę, żeby zgładził dziewczynkę, która zastąpiła jej córkę w zespole cheerleaderek. Ludzie są zdolni do wszystkiego. Dlatego byłoby dobrze, żebyśmy wiedzieli o wszystkich nieporozumieniach, nawet pozornie błahych.

Linda opuściła ręce.

- To absurd.

- Tak się może wydawać, ale jeśli jest cokolwiek, co...

- Problem polega na tym, że nie ma! Nie jesteśmy ani ubodzy, ani zamożni. Nie wtrącamy się w sprawy innych. Nie przyciągamy niczyjej uwagi. Mój mąż jest zwyczajnym księgowym, na litość boską!

- Może kazano mu uprawiać kreatywną księgowość? Może ktoś mu groził?

- Nie, nie... To już nie te czasy. Wszystko odbywa się zgodnie z prawem. Nawet jeśli pracownik kasyna znajdzie na podłodze ćwierćdolarówkę, to na pewno zostanie uwzględniona w sprawozdaniu finansowym.

- A co ze sprawami osobistymi? Proszę mi wybaczyć, ale muszę o to zapytać. Problemy z narkotykami? Z pieniędzmi?

- Przykro mi, ale nie mam żadnych tajemnic. Tak samo jak mój mąż.

- Jesteście ze sobą szczęśliwi? Żadnych problemów z życiem seksualnym? Żadnych skoków w bok?

Linda się skrzywiła.

- Raz w tygodniu, najczęściej w piątek, całkiem nam wystarcza. Mam nadzieję, że nie musi pani znać naszej ulubionej pozycji?

- Przepraszam. Wiem, jak przykre są takie pytania.

- Po prostu nie rozumiem, w jaki sposób informacje

o naszym życiu seksualnym mogą pomóc wam w schwytaniu mordercy Petera!

- Nie dziwię się pani zdenerwowaniu, ale proszę mi wierzyć, to bardzo nietypowa sprawa. Zwykle w takich zdarzeniach bierze udział ktoś mieszkający w pobliżu, często będący pod wpływem alkoholu. Sprawca jest przerażony i ucieka z miejsca wypadku, ale najdalej po kilku dniach donosi na niego ktoś z najbliższej rodziny albo sam zgłasza się na policję. To, co spotkało Petera, coraz mniej przypomina zwykły wypadek.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie potrafię pani pomóc. Nie mamy żadnych mrocznych tajemnic. Gdyby coś takiego było, powiedziałabym.

Serena uważnie patrzyła jej w oczy, lecz nie dostrzegła w nich fałszu.

- Czy coś łączy panią z Reno? Była może pani tam ostatnio?

- Wiele lat temu. Gdybym chciała zagrać, mam pod dostatkiem kasyn tutaj, na miejscu. Dlaczego pani pyta?

- Bo sprawca przypuszczalnie był tam kilka tygodni temu. W samochodzie znaleźliśmy paragon ze sklepu. Ma pani tam krewnych lub znajomych?

- Niestety, nie. Serena skinęła głową.

- Gdyby jednak coś sobie pani przypomniała, cokolwiek, koniecznie proszę mnie zawiadomić.

- Oczywiście. Obawiam się jednak, że idzie pani fałszywym tropem. Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał nam zrobić krzywdę.

- I to mnie właśnie najbardziej niepokoi.

- Dlaczego?

- Bo to znaczy, że możemy nie zdążyć go złapać, zanim znowu kogoś zabije.

8

W niedzielę Stride i Serena wrócili osobno do domu tuż przed północą. Stride był na nogach już od ponad dwudziestu czterech godzin, ale za bardzo naszprycował się kofeiną, żeby od razu położyć się i zasnąć. Ledwo włączyli światła w domu, a już wyszli i pojechali fordem bronco Stride'a na zachód. Te nocne wypadki stały się dla nich niemal rytuałem. Kiedy skończyły się zabudowania, ale zanim szosa zagłębiła się w kanion Red Rock, skręcili i wjechali na kamieniste wzgórze. Stride wyłączył silnik. Opuścili szyby i otworzyli drzwi na oścież. Rozkoszowali się nocnym powietrzem, patrząc na rozciągającą się przed nimi panoramę Las Vegas. Co tydzień miasto wyciągało coraz dalej macki zabudowań na obrzeżach.

Nawet w lipcu, kiedy temperatury w dzień sięgały niebotycznych wyżyn, nocami na wzgórzach robiło się całkiem znośnie. Teraz, jesienią, powiewy nocnego wiatru niosły zapowiedź prawdziwego chłodu - zupełnie jak w Minnesocie, choć brakowało zapachu sosen. Stride widział całe miasto, roziskrzone niezliczonymi światłami, wypuszczające we wszystkie strony odrosty i pędy boczne. Przez sam środek przecinał je oślepiająco jaskrawy Strip. Miasto przypominało kosz wypełniony drogocennymi kamieniami. W pozbawionym smogu powietrzu migotały feerią barw, a najmocniej oczywiście brylanty, czyli kasyna.

Stride odwrócił się i spojrzał na widoczną z profilu twarz Sereny. Zdawał sobie sprawę, iż ona wie, że ją obserwuje.

W takich chwilach byli tylko dla siebie, we dwoje, zakochani i spokojni.

- Jesteś stanowczo zbyt piękna.

- Jeśli chcesz się kochać, to musisz się trochę bardziej postarać - odparła ze śmiechem.

- Ale to już był szczyt moich możliwości! Uśmiechnął się i pogłaskał ją po ciemnych włosach, tak że od razu stało się jasne, iż jej pragnie. Wiedział, że kiedy wrócą do domu, będą już zbyt zmęczeni, a bardzo chciał się z nią kochać. Pochyliła się i pocałowała go.

- Czy już nie udowodniliśmy, że czterdziestokilkuletni mężczyzna nie powinien robić tego w samochodzie? Ostatnio naciągnąłeś sobie mięśnie grzbietu.

- Warto było.

- Ale potem nie mów, że cię nie ostrzegałam... Ściągnęła bluzkę przez głowę, rozpięła i zdjęła stanik, wygięła się kusząco, po czym rozłożyła fotel i zsunęła dżinsy. W półmroku jej piersi przypominały białe muszle. Stride wsunął się na nią, a ona natychmiast zaczęła go rozbierać.

Kilka minut później, spocony i obolały, wrócił na miejsce kierowcy.

- Auu...

- Znowu grzbiet?

- Grzbiet, ręce, nogi...

- A nie mówiłam?

Wystawił nogę przez otwarte drzwi i oparł stopę na ziemi. Miał nadzieję, że nie nadeptnie na skorpioną i że pomiędzy skał nie wypełznie żaden grzechotnik. To były prawdziwe stworzenia nocy: to, co robiły, robiły dlatego, że tak chciała natura. Nie tak jak ludzie tam, niżej, w dolinie.

Serena leżała obok, naga i zdyszana. Nie próbowała się okryć. Patrząc gdzieś daleko przed siebie, musnęła jego pierś opuszkami palców.

- Myślisz, że kiedyś nam się to znudzi?
- Seks?
- Aha.
- Mam nadzieję, że nie.
- Wiesz, jestem znowu gotowa...
- Chwilowo musisz poradzić sobie sama.

Westchnęła z udawaną irytacją.

- Z Cindy też się tak szybko męczyłeś? Uśmiechnął się na wspomnienie zmarłej żony.

- Nie. Była do ciebie bardzo podobna. Też nigdy nie miała dosyć.

- Och, jestem demonem seksu. Dlatego cieszę się, że pochwa nie jest jak dziurka po kolczyku.

- To znaczy?

- Ze nie zarasta, jeśli jej się nie używa.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Oparła mu głowę na ramieniu, a on ją objął. Usiedli i przytulili się mocno, a wiatr chłodził ich rozgrzane ciała.

Odnosił wrażenie, że się stopniowo od niego oddala. Tak działo się prawie za każdym razem. Kiedy byli blisko i czuła się bezpieczna, natychmiast cofała się wspomnieniami w przeszłość. Przekonywała go, że to dla niego komplement, że tylko przy nim może sobie na coś takiego pozwolić. Jej tajemnice były jak kartki, które dawno temu wsadziła do butelek i cisnęła do morza. Teraz prądy i wiatr kolejno wyrzucały je z powrotem na brzeg.

Znał tylko ogólne zarysy tego, przez co przeszła. Suche fakty. Spokojnie i rzeczowo opowiedziała mu o tym, co przydarzyło jej się jako nastolatce, jakby była lekarzem opowiadającym o pacjencie. Jej matka posługiwała się nią jako dziwką, żeby płacić za prochy. Zaszła w ciążę, usunęła ją, uciekła. Koniec historii. Tyle że takie historie nigdy nie

mają końca.

- O czym myślisz? - zapytał.

Tak długo zwlekała z odpowiedzią, iż zaczął podejrzewać, że zbędzie go czymś o pracy albo o muzyce, albo o światłach w dolinie.

- O Deirdre. - Z tą dziewczyną Serena przyjechała do Las Vegas, kiedy w wieku szesnastu lat uciekła z Phoenix. Prawie nigdy o niej nie opowiadała, a jeśli już, to tylko o tym, jak umarła. - Dziwne, prawda? Przez te wszystkie lata rzadko o niej myślałam, a teraz zaczęła mi się śnić.

- Zachorowała na AIDS. To nie twoja wina.

Serena objęła się ramionami, jakby nagle poczuła chłód.

- Chodzi o to, że ani razu jej nie odwiedziłam. Może i nie potrafiłabym w żaden sposób pomóc, ale to jeszcze nie powód, żeby pozwolić jej umrzeć w samotności. Przecież wcześniej, w Phoenix, ocaliła mi życie. Żyłam w piekle, a ona pomogła mi uciec. Kochałam ją. Naprawdę ją kochałam przez te lata, kiedy byliśmy razem, a mimo to po prostu pozwoliłam jej umrzeć.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że to nieprawda?

Wzruszyła ramionami.

- Tak, ale mimo to ta sprawa wciąż wraca. Mogłoby się wydawać, że powinna przycichnąć, przyschnąć... Niestety, nie potrafię się od tego uwolnić nawet wtedy, kiedy jestem z tobą.

- Mogę jakoś pomóc?

- Nie jestem pewna...

- W takim razie może powinnaś uwolnić się ode mnie.

- To oczywiście też wchodzi w grę, ale tego nie chcę. Muszę się nauczyć, jak dawać sobie z tym radę i równocześnie nie stracić siebie.

- Nigdzie się nie wybieram. Nie wyglądała na przekonaną.

- Wiem, co myślisz o tym mieście. Boję się, że twoja nienawiść do niego okaże się większa niż miłość do mnie, że wrócisz do Minnesoty, bo tam zostawiłeś serce.

- Moje serce jest tutaj, z tobą.

Ujęła jego dłoń i pocałowała czubki palców.

- Dziękuję, że tak mówisz.

Wątpił jednak, żeby mu uwierzyła. Wątpił, czy sam w to do końca wierzy. Chciał ją znowu mocno przytulić, ale w tej chwili gdzieś na podłodze zadzwoniła jej komórka. Serena roześmiała się i sięgnęła po aparat. Stride usłyszał męski głos.

- Cześć, Jay! - wykrzyknęła Serena. - Zaczekaj chwilę, dobrze? - Zasłoniła mikrofon i wyszeptała do Stride'a: - Jay Walling to mój znajomy, detektyw z Reno. Sześćdziesiątka na karku, nienaganny styl. Ogląda trochę zbyt wiele filmów z Sinatrą. - A do telefonu: - Jay, akurat jest ze mną mój kolega. Przełączę cię na głośnik. - Wcisnęła przycisk. - Panowie zechcą się poznać: Jay Walling, Jonathan Stride.

- Jak się masz, Jay?

- Dziękuję, wyśmienicie. - Ton był bardzo uprzejmy, niemal szarmancki. - Serena, czy to ten człowiek, z którym pomieszkujesz? Czyżby Cordy'ego wreszcie aresztowano za obrazę moralności?

Mimo panującego w samochodzie półmroku Stride zauważył, że Serena zarumieniła się po uszy.

- Dobrze wiedzieć, że plotki rozchodzą się w takim

tempie. Tak, Jonny i ja mieszkamy razem, i nie, kobiety w las Vegas nie są jeszcze całkiem bezpieczne, bo wciąż grożą im zakusy Cordy'ego. A swoją drogą, skąd o nas wiesz?

- Od mojego porucznika. Ma dobre układy z Sawhillem.

- Pięknie. Po prostu pięknie.

- Nie dąsaj się, maleńka. Moja żona będzie zachwycona. Szuka dla ciebie kogoś właściwego od zeszłego roku, kiedy razem pracowaliśmy nad tamtą sprawą.

- Wygląda więc na to, że to całkiem nierealne zadanie...- Bzdura. Po prostu masz wysokie wymagania, i tyle. Detektywie Stride, proszę przyjąć moje serdeczne gratulacje. Serena należy do nielicznej grupy osób, które naprawdę lubię, więc proszę dobrze ją traktować, bo jak nie, to każę pana skasować.

Stride roześmiał się, a Serena jęknęła głośno.

- Zamknij się, Jay, bo to ja ciebie skasuję! No dobra, sprawdziłeś dla mnie ten paragon ze sklepu?

Walling zarechotał pod nosem.

- Sześć ciastek i sprite. Dzięki temu wiemy przynajmniej, że sprawca na pewno nie jest cukrzykiem!

- Bardzo śmieszne.

- Pojechałem do sklepu, ale zapłacono gotówką, a właściciel niczego nie pamięta.

- Wcale mnie to nie dziwi. Spodziewałam się czegoś takiego. W każdym razie dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy, ale jest coś jeszcze. Uda ci się przylecieć jutro do Reno?

- Po co?

- Po prostu nie lubię zbiegów okoliczności - odparł

Walling. - Tego samego dnia, kiedy wasz człowiek kupował ciastka w Reno, na ranczu kilka kilometrów stąd zamordowano kobietę. Ktoś poderzwał jej gardło.

9

Stride zaczął zbierać informacje na temat Walkera Lane'a, siedząc przy komputerze i szperając w internecie. Ojciec MJ nie miał własnej witryny - pisały o nim za to wszystkie plotkarskie strony, wychytując fakty z jego oficjalnej hollywoodzkiej biografii i doprawiając je pikantnymi szczegółami z jego życia w Kanadzie.

Sporo informacji dotyczyło początków kariery Lane'a w latach sześćdziesiątych, kiedy był cudownym dzieckiem - producentem i reżyserem, który trafił w dziesiątkę ze swoim pierwszym filmem. Od samego początku chodziło mu nie o sztukę, lecz o pieniądze. Główną rolę w *Czereśniowym drzewku* grała piętnastoletnia debiutantka z obfitym biustem, wielkimi oczami i seksapilem podbijającym serca widzów. I nikomu nie przeszkadzała mało prawdopodobna historia o nastolatce, która pomogła Jerzemu Waszyngtonowi wygrać wojnę o niepodległość. Dwa kolejne filmy, komedie rodzinne, także odniosły sukces, i Lane zyskał przydomek Chłopca o Złoty Palcach. Śmietankę zlizywał sam, ponieważ działał poza wielkimi studiami.

Również od początku towarzyszyły mu skandale; już na planie pierwszego filmu krążyły plotki o jego związku z małoletnią gwiazdeczką. Co prawda Lane stanowczo im zaprzeczał, ale równocześnie nie robił niczego, by ukryć swoje upodobania do życia playboya. Imprezował w Los Angeles i Las Vegas, a w brukowcach roilo się od jego zdjęć z uczepionymi ramieniami aktoreczkami.

A potem nagle znikł.

Stało się to w roku 1967. Lane opuścił Hollywood, przeniósł się do Kanady i na dobrą sprawę wycofał się z życia publicznego. Nie przestał natomiast utrzymywać swojej pozycji w biznesie filmowym. W ciągu kolejnych trzydziestu lat nakręcił kilkanaście przebojów kasowych, zręcznie przerzucając się z komedii na dramat i z powrotem, w zależności od aktualnej mody. Z tego, co Stride zdołał ustalić, nigdy już samodzielnie nie reżyserował, ale choć nie opuszczał terenu swojej posiadłości w Kolumbii Brytyjskiej, stał się twórcą gwiazd. Dwa spośród dwudziestu najbardziej dochodowych filmów w historii kina wyszły właśnie z jego „stajni”.

Nabawił się obsesji na punkcie swojej prywatności. Przed spotkaniem z nim aktorzy i reżyserzy musieli podpisywać zobowiązania do zachowania tajemnicy. Jak Howard Hughes rządził swoim imperium niemal wyłącznie przez telefon. Od czasu do czasu pojawiały się pogłoski o chorobie, która przykuła go na stałe do wózka, ewentualnie nieodwracalnie zeszpecila jego niegdyś chłopięcą, piękną twarz; bardzo podobną do twarzy MJ, uświadomił sobie Stride, patrząc na fotografie Waltera z młodości. Według innych plotek do wyjazdu z kraju zmusił go skandal obyczajowy, lecz wszystko wskazywało na to, że nikomu nie udało się dotrzeć do prawdy.

Na początku lat osiemdziesiątych ożenił się z młodą aktorką, ubiegającą się o rolę w produkowanym przez niego filmie science fiction. Roli nie dostała, ale za to zdobyła Waltera. Dwa lata później na świat przyszedł MJ. Do opinii publicznej nie docierały niemal żadne informacje dotyczące życia Waltera z dwudziestokilkuletnią żoną, ale chyba nie układało się najlepiej, skoro w roku 1990 kobieta

popęłniła samobójstwo. Stride trafił na informacje agencyjne na ten temat, nigdzie jednak nie znalazł nekrologów, wspomnień o zmarłej ani zdjęć przedstawiających zrozpaczonego Walkera. Nie natrafił też na żaden wywiad z Lane'em seniorem. To nie był dobry znak. Trudno było oczekiwać, żeby magnat filmowy zdecydował się na szczerą rozmowę z policjantem z Las Vegas o swoich stosunkach ze zmarłym synem.

- I co, gotowy? - zapytała Amanda, siadając na drugim krześle, które jakimś cudem udało się wcisnąć do pomieszczenia. Promieniowała świeżością i urodą; nagle poczuł się bardzo stary. Wcześniej rano odwiózł Serene na pierwszy lot do Reno i nawet dwa kubki kawy nie zdołały w pełni pobudzić go do życia. Z drugiej strony jego obolałe ciało wciąż jeszcze doskonale pamiętało to, co zaledwie kilka godzin temu wyprawiał ze swoją dziewczyną w samochodzie.

- Będę miał szczęście, jeśli zechce rozmawiać ze mną choćby przez telefon.

- Nie zapominaj, że to ojciec, który stracił syna. Nie wyobrażam sobie, żeby nie zależało mu na ustaleniu, dlaczego do tego doszło.

Stride wzruszył ramionami.

- Może. Sawhill musiał prawie błagać gubernatora o numer Lane'a. Chyba nikomu nie zależy, żebym pogadał z Lane'em.

- Mnie tak. Ciekawa jestem, jak będzie rozmawiała taka szycha. Więc zadzwoń.

- Chodźmy do sali konferencyjnej.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi. Stride zabrał kolejny kubek z kawą, Amanda zaś szklanekę soku pomarańczowego. Zajęli miejsca po przeciwnych stronach

stołu konferencyjnego i Stride przysunął telefon. Amanda położyła przed sobą notatnik. Włączył głośnik i wybrał numer.

Spotkało go nie lada zaskoczenie: spodziewał się kilku linii obrony w postaci sekretarek, asystentek i tym podobnych, a tymczasem telefon odebrał człowiek, o którego mu chodziło.

- Walker Lane.

Głos brzmiał niemal tak samo jak na automatycznej sekretarce w apartamencie MJ. Różnica polegała tylko na tym, że teraz był pozbawiony jakichkolwiek emocji. Brzmiał okropnie: chrobotał jak papier ścierny rzeził jak głos starego psa, który próbuje szczeekać, tak jak to czynił w młodości. Stride'owi natychmiast przyszła na myśl fotografia z lat sześćdziesiątych: Walker Lane, zdumiewająco wysoki, ze strzechą jasnych włosów i okularami w stylu Clarka Kenta. Pewien siebie jak kogut, jakby już wtedy wiedział, że kiedyś będzie do niego należał cały świat. W pewnym stopniu udało mu się to osiągnąć, ale cena, jaką zapłacił, odcisnęła piętno na jego głosie.

Stride przedstawił siebie i Amandę. Lane nie był zaskoczony. Być może gubernator uprzedził go, że może spodziewać się takiego telefonu.

- Czy ma pan jakieś przypuszczenia co do tego, kto mógł zamordować pańskiego syna? - Stride opowiedział o tym, co znaleźli na nagraniach wideo w kasynie i o próbach odtworzenia poczynań MJ w ostatnich godzinach jego życia. - Pomyśleliśmy, że może pan coś podejrzewa albo domyśla się, dlaczego ktoś postanowił zabić pańskiego syna.

- Niczego się nie domyślam. Po prostu chcę, żebyście znaleźli mordercę.

- Czy MJ zwierzał się panu z jakichś kłopotów?

- Nie.

- Czy zna pan kogoś z Las Vegas, kto był mu szczególnie bliski?

- Nie.

- A kobiety? Wie pan, z kim był związany?

- Nie pytałem.

Walker Lane nie szastał słowami. Stride zrozumiał, że po to, by cokolwiek z niego wyciągnąć, będzie musiał wyłożyć karty na stół.

- Odsłuchaliśmy wiadomość, którą zostawił pan synowi na sekretarce. Wiemy też, że rozmawiał pan z nim na krótko przed jego śmiercią. Nie ulega wątpliwości, iż stosunki między wami nie układały się najlepiej. Czy może pan nam powiedzieć, co było przyczyną nieporozumień? W słuchawce zapadła długa cisza.

- To prywatna sprawa - odezwał się wreszcie magnat filmowy. - I nie ma nic wspólnego z jego śmiercią.

- Wierzę, że jest pan o tym szczerze przekonany - odparł Stride, starannie dobierając słowa. - Zdarza się jednak, iż dzięki doświadczeniu potrafimy dostrzec powiązania tam, gdzie pozornie wcale ich nie ma. Mamy też możliwości prowadzenia śledztwa na wielu płaszczyznach, co daje czasem zaskakujące rezultaty.

Innymi słowy: kopujemy tak długo, aż się do czegoś dokopujemy, dodał w myśli. Jednak Lane nie połknął przynęty. Milczenie trwało jeszcze kilkanaście sekund, aż wreszcie Stride uznał się za pokonanego.

- Jak długo MJ mieszkał w Vegas?

- Od chwili kiedy skończył dwadzieścia jeden lat.

- Nie podobało się to panu?

- Nie.

Stride powoli zaczynał rozumieć, dlaczego najdłuższy film Lane'a trwał zaledwie osiemdziesiąt siedem minut.

- Dlaczego?

- Bo to ryszotok! - parsknął Lane. - Wysypisko śmieci! Zgnilizna! Żyją tam ludzie pozbawieni zasad moralnych!

Amanda od niechcienia podniosła rękę i wycelowała środkowy palec w telefon. Stride wzruszył ramionami.

- Kiedy był pan tu po raz ostami?

- Wieki temu.

- Przez ten czas sporo się zmieniło...

- Nic się nie zmieniło. Nic a nic. A teraz, jeśli to już wszystko, proszę pozwolić mi wrócić do pracy i zająć się swoją, czyli szukaniem mordercy mojego syna.

- Mam jeszcze kilka pytań.

- Słucham - warknął Lane ze zniecierpliwieniem. Stride nie bardzo wiedział, jak zmusić producenta do mówienia, zdecydował się więc na dość desperacki krok.

- MJ interesował się budową nowego kasyna w pobliżu swojego apartamentu. Chodzi o Orient finansowany przez Boniego Fisso. Wie pan coś na ten temat?

- Nie mam nic do powiedzenia na temat Boniego Fisso! - warknął Lane.

Stride i Amanda wymienili spojrzenia. Nie oczekiwali tak gwałtownej reakcji na wzmiankę o Bonim.

- Czy MJ w jakiś sposób zaangażował się w ten projekt?

- Nowe kasyno nic go nie obchodziło, za to bez przerwy mówił o Szeherazadzie.

- Dlaczego? - zapytał Stride. Znowu zapadła cisza.

- Kiedy przeczytałem, że mają ją zburzyć - odezwał się wreszcie Lane - pomyślałem, że może to wreszcie będzie koniec.

Umilkł ponownie, ale Stride wyraźnie czuł, jak opór rozmówcy z każdą chwilą słabnie.

- Boni nie mógł zrobić tego w nocy, tak żeby rano wszyscy się obudzili i zobaczyli kupę gruzu. Nie, on musiał zamienić to w cholerną atrakcję turystyczną. Gubernator naciśnie guzik, w charakterze gości przyjedzie prawie połowa Kongresu... Zupełnie jakby robili coś wzniosłego, jakby żegnali się z czymś świętym.

- Co tam się stało?

- Las Vegas mnie zabiło, oto co się stało. A teraz zabiło też mojego syna. Boże, to się nigdy nie skończy... W tym mieście grzech żyje wiecznie. Nie przypuszczałem jednak, że kiedyś zniszczy mnie po raz drugi.

Przez chwilę słuchali przyspieszonego oddechu rozmówcy.

- Można by pomyśleć, że wie pan, dlaczego zginął MJ odezwał się Stride. - Czy to ma coś wspólnego z Bonim Fisso?

- Nie wiem, dlaczego go zabili. Przeszłość to przeszłość; nie mam żadnego powodu, by sądzić, że tamte wydarzenia mają jakikolwiek związek z tym, co spotkało MJ. Albo z Bonim. Nie wyobrażam sobie, żeby tak było.

- Ale...

- Ale mimo wszystko chcecie wiedzieć, tak? Jesteście ciekawi. Taka już wasza rola. Przykro mi: i tak powiedziałem więcej, niż powinienem.

Amanda pochyliła się w stronę telefonu.

- Skoro to taka odległa przeszłość, to dlaczego nie

chce nam pan o niej opowiedzieć?

- Nie mogę. Rozpaczam po stracie MJ. Żałuję, że nie byłem lepszym ojcem. To wystarczająco bolesne. Nie muszę dodawać sobie bólu, wspominając rzeczy, jakie robiłem, gdy byłem młody i głupi.

- Panie Lane - rzekł Stride poważnym tonem. - Wiemy, że MJ nazwał pana mordercą.

- To prawda.

- Dlaczego to zrobił? Lane westchnął.

- O to musi pan zapytać Reksa Terrella.

Stride przypomniał sobie automatyczną sekretarkę w apartamencie MJ i szybko zajrzał do notatek. *MJ, tu Rex Terrell. Pomyślałem sobie, że wymienimy się tajemnicami. Ja zdradziłem ci moje, może ty pochwalilibyś się swoimi? Zadzwoń, dobrze?*

- Kto to jest Rex Terrell?

- Pisarz. - W głosie Lane'a słychać było nieskrywaną pogardę. - To on zajął się sprawą Szeherazady i napchał mojemu synowi do głowy mnóstwo idiotycznych pomysłów. Zapytajcie go, co kiedyś zrobiłem, to może znajdziecie sposób, żeby mnie znowu zabić. Umierałem już wielokrotnie. Raz więcej nie robi mi żadnej różnicy.

10

Serena wyjechała z Reno na południe wypożyczonym malibu, zachłystując się świeżym górskim powietrzem i słuchając Terri Clark tak głośno, że mało nie rozsadziła głośników.

Myślę, że świat potrzebuje drinka - śpiewała Terri ze swoim wyraźnym kanadyjskim akcentem.

Wiele osób mówiło Serenie, że wygląda jak Terri Clark bez kowbojskiego kapelusza. Obie były wysokie, z jedwabistymi ciemnymi włosami. Może dlatego Serena tak

bardzo ją lubiła.

Uświadomiła sobie, że ona też potrzebuje drinka. Oblizwała wargi i wyraźnie poczuła smak wódki, choć od chwili, kiedy po raz ostatni piła alkohol, minęło już ponad dziesięć lat. Drink był dla niej czymś całkowicie zakazanym. *Verboten*. Jonny to samo miał z papierosami. Nieważne, czy minął rok, czy dwadzieścia lat; neodparta chęć mogła pojawić się w każdej chwili i odebrać oddech.

Przed oczami stanęła jej twarz matki. Usiłowała odgonić ten obraz, spoglądając przez szybę na widoczny w oddali szczyt Mt Rose, ale bez skutku; zupełnie jakby kolejne wcielenia matki stały przy szosie w niewielkich odstępach i czekały na podwiezienie. Na liście rzeczy, których nie mogła darować matce, najwyższą pozycję zajmowało przekazanie jej genów odpowiedzialnych za uzależnienia. Przekleństwem matki była kokaina, przekleństwem Sereny - alkohol. Przez dwa lata, jako dwudziestokilkuletnia dziewczyna, piła na umór. To, że nie zapłała się na śmierć, zawdzięczała ruchowi AA i kilkorgu nieznanym.

Minęły dwa lata od śmierci Deirdre. Ciekawe, że nie zaczęła pić zaraz po ucieczce z Phoenix, kiedy co noc nawiedzały ją koszmary, w których dealer narkotyków obmacywał jej piersi... Ani wtedy, kiedy Deirdre zaczęła sypiać z mężczyznami dla pieniędzy i namawiać ją, żeby robiła to samo. Nie, to wydarzyło się wtedy, kiedy Deirdre już nie było. Tydzień po pogrzebie. Najpierw jeden drink, potem drugi, potem dziesięć, a na końcu setki.

Usłyszała od kogoś, że w chwili śmierci Deirdre ważyła niewiele ponad czterdzieści kilogramów. Ciałem Sereny wstrząsnął dreszcz. Dziewczyna, którą znała i pamiętała, była zupełnie inna, pełna życia. Rude

zmierzwiłone włosy, swobodny ubiór i chód, który tak podobał się mężczyznom - niemal tak samo jak tatuaż tuż nad pośladkami, przedstawiający węża, który zdawał się wyciągać z rozkoszy za każdym razem, kiedy podwinęła się jej koszulka. Miała jasną cerę, zupełnie nieprzystosowaną do tutejszego słońca. Wyróżniało ją to w mieście pełnym opalonych ciał. Naga, pod prysznicem, zdawała się niemal świecić.

Prawda przedstawiała się w ten sposób, że Deirdre i Serena należały do całkowicie odmiennych światów. Deirdre żyła szybko w szybkim mieście - doskonale tam pasowała. Serena oczywiście była jej wdzięczna za to, że wyrwała ją z paszczy lwa, ale od początku wiedziała, że prędzej czy później ich drogi się rozejdą. W końcu spakowała rzeczy i wyprowadziła się.

Potem już ze sobą nie rozmawiały. Po śmierci Deirdre Serenie ciążyły wyrzuty sumienia; próbowała sobie z nimi poradzić za pomocą niezliczonych butelek absolutu. Pamiętała, jak bardzo się dziwiła, że leżą w lodówce i stają się coraz zimniejsze, a jednak alkohol wcale nie zamarza.

Niespełna czterdzieści kilogramów. Boże.

Zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi od Jaya Wallinga zatrzymała samochód na poboczu drogi gruntowej odchodzącej od szosy numer 395, w pobliżu domu, w którym dokonano zabójstwa. Wysiadła, rozkoszując się ciszą. Nieliczne dźwięki dochodzące do jej uszu były jasne i czyste: chrzęst żwiru pod stopami, pomruk silników samolotu wspinającego się w niebo po starcie z lotniska w Reno. W powietrzu dostojnie zataczał kręgi jastrząb, ale poza tym jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy.

Na nieobsianych polach tu i ówdzie stały stare domy

farmerskie, widać też było rdzewiejące maszyny, a ze słupów zwisały pozrywane przewody telefoniczne. Na zachodzie wznosiły się góry o zboczach porośniętych drzewami iglastymi, z płatami śniegu na skalistych zboczach. Niższe partie pokrywały brązowe krzewy, które miały zazielenić się po pierwszych deszczach.

Dom był niewielki i skromny, z szarymi ścianami, jednopiętrowy. Przed wejściem stał samochód terenowy. Ogrodzona białym płotem łąka była pusta. Wysoka trawa falowała w podmuchach wiatru, w powietrzu roznosił się zapach polnych kwiatów.

Kupiła dużą kawę w sklepie kilka kilometrów wcześniej i teraz piła małymi łykami, oparta o maskę. Po kwadransie tuż za jej samochodem zatrzymał się lśniący czystością ford taurus. Jay Walling traktował każdą cząsteczkę brudu, która mogłaby pojawić się na nadwoziu jego wozu, jak osobistego wroga. Dobrze znała Jaya. Przed rokiem pracowali wspólnie nad paskudnym morderstwem: ciało ofiary znaleziono na pustyni, a jej głowę na kręgielni w Reno. I jak tu uwierzyć, że zabójcy są pozbawieni poczucia humoru?

- Co słyhać, Jay? - zapytała, kiedy Walling wysiadł z wozu. - Rety, ptak narobił ci na ramię!

Parsknęła śmiechem, widząc jego przerażoną minę. Czarny wełniany płaszcz Wallinga kosztował na pewno ze dwieście dolarów. Oprócz tego policjant miał na głowie czarną fedorę, w której wyglądał tak, jakby właśnie odbył podróż w czasie z lat pięćdziesiątych. Był wysoki, miał pociągłą twarz i krótko przystryżone włosy.

- Brakowało mi twojego poczucia humoru. Mam nadzieję, że mój wczorajszy telefon nie przeszkodził wam w niczym. Szczerze mówiąc, byłem niemal pewien, że

nagram ci się na pocztę głosową.

- Dziesięć minut wcześniej usłyszałbyś bardzo głośne sapanie.

- Aha... - Walling trochę się zmieszał. - Zatem to coś poważnego?

- Tak sądzę. On też chyba tak myśli, więc staram się niczego nie zepsuć.

Walling, który znał część szczegółów z jej życia, skinął głową.

- Tym bardziej doceniam, że przyjechałaś. Co to za paragon, o którym mówiłaś?

Serena powiedziała mu w skrócie o wypadku, w którym zginął Peter Hale, i o odnalezieniu samochodu Lawrence'a Busby'ego na parkingu przy Meadows Mail.

- Paragon leżał pod fotelem kierowcy.

- Wiecie już, kto ukradł wóz? Pokręciła głową.

- Niedobrze. To oczywiście może nic nie znaczyć, ale sprawa jest podejrzana. Ten paragon pochodzi z niewielkiego sklepu spożywczego jakieś osiem kilometrów stąd. Dwie godziny po tym, jak ktoś kupił te ciastka, w tym domu zamordowano kobietę. A potem paragon odnalazł się w samochodzie, którym zabito chłopaka w Las Vegas.

- Nie podoba mi się to.

- Ani mnie.

- A co dokładnie się tutaj stało? - zapytała Serena, wskazując głową zabudowania.

Walling skubnął wąsy, zdjął kapelusz i przesunął dłonią po starannie ostrzyżonych szpakowatych włosach.

- Brutalne zabójstwo. Tutaj nieczęsto zdarzają się takierzeczy. Po powrocie z golfa Albert Ford zobaczył otwarte na oścież drzwi wejściowe i swoją żonę leżącą na podłodze w holu. Ktoś poderżnął jej gardło. Zdaje się, że

od razu, gdy tylko otworzyła drzwi.

- Motyw?

- Na razie żadnego nie mamy - przyznał Walling. - Z domu nic nie zginęło. Sprawca przypuszczalnie nawet nie wszedł do środka.

- A świadkowie?

Policjant wzruszył ramionami i szerokim gestem wskazał na okolicę.

- Tutaj? Prawie nie ma sąsiadów, droga jest ślepa, kończy się kawałek na wschód stąd... Nikt niczego nie widział.

- Co wiemy o ofierze?

- Wyjątkowo porządna osoba. Tak samo jak jej mąż. Oboje wywodzą się z rodzin, które od pokoleń mieszkają w okolicy. Oboje są na emeryturze. Albert Ford przez wiele lat hodował konie, ale parę lat temu sprzedał interes. Zona, Alice, przez trzydzieści pięć lat uczyła w szkole. W trzeciej klasie.

Serena pokręciła głową.

- Nauczycielka?

- Zgadzam się. To nie ma sensu.

- Mąż jest poza podejrzeniami? Walling skinął głową.

- Ma alibi, bo grał wtedy w golfa. Kiedy znalazł żonę, nie żyła już od kilku godzin.

- Mają dzieci?

- Czworo. Najmłodsze przekroczyło już trzydziestkę.

- Któreś może mieszka w Las Vegas?

- Nie. Dwoje w Los Angeles, jedno w Boise, jedno w Anchorage. Alice ma jeszcze brata w Reno, i to wszystko. Tutaj został już tylko Albert.

- Może ten brat to jakiś mafioso? Walling roześmiał się.

- Emerytowany kierownik biura adopcyjnego. Mieszka w domu spokojnej starości.

- Mamy więc dwunastolatka potrąconego przez samochód i emerytowaną nauczycielkę z poderżniętym gardłem - podsumowała Serena. - Różne miejsca, różne przyczyny śmierci. Jedno, co łączy te sprawy, to dwa ciastka i puszka napoju. Może trochę przeginamy, Jay?

- Nie masz racji. Jest jeszcze coś, co łączy ofiary.

- Co takiego?

- Nie znamy powodu, dla którego ktokolwiek chciałby je zabić.

11

Rex Terrell spóźnił się o pół godziny.

Była piąta po południu. Stride i Amanda siedzieli przy stoliku w kącie restauracji Battista's, przy ścianie zawieszonych fotografiami sławnych ludzi z ostatnich kilkadziesiąt lat. Przegonili akordeonistę, który koniecznie chciał im zagrać serenadę, i podziękowali za wino, które przyniesiono z posiłkiem. Lokal wybrał Terrell; mieścił się w bocznej uliczce zaraz za Barbary Coast.

- Prawdziwe Vegas - oznajmił. - Coś, co trzeba zobaczyć.

Stride dodzwonił się do niego dopiero po południu. Okazało się, że Rex Terrell to wolny strzelec pisujący dla plotkarskich działów rozmaitych czasopism, w tym także „LV”. Stride chciał się dowiedzieć, co Terrell powiedział MJ Lane'owi o ojcu i Szeherazadzie. Czekali z coraz większym zniecierpliwieniem. Amanda grzebała widelcem w talerzu.

- Jak jest w tej Minnesocie?

- Zamierzasz się przeprowadzić? - zapytał Stride z uśmiechem.

- Kto wie? Chyba nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mieszkać w jakimś mniej egzotycznym miejscu. Rozmawialiśmy nawet o tym z Bobbym. A przy okazji nie wszyscy wiedzieliby o... No wiesz. O mojej małej tajemnicy.

Stride skinął głową.

- Zimno tam.

- Też mi nowina. Masz na myśli to białe coś, co pada z nieba przez pół roku? Wyobraź sobie, że wiem, co to śnieg.

- Nie o to mi chodzi. Nie o pogodę. Mieszkałem nad Jeziorem Górnym, wielkie frachtowce przepływały prawie przez moje podwórko.

- Więc dlaczego wyjechałeś?

Zawahał się, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Uświadomiłem sobie, że to... zimne miejsce. Ludzi, którzy tam mieszkają, trudno poznać. Nie dopuszczają cię zbyt blisko. Są bardzo mili i uprzejmi, ale możesz mieszkać tuż obok nich przez długie lata, a mimo to nigdy ich naprawdę nie poznasz. Oni... nie otwierają się przed innymi.

- Zupełnie jakbyś opowiadał o Serenie... - mruknęła Amanda.

Pokręcił głową.

- Nie zrozum mnie źle, ale ja też taki jestem. Owszem, Serena także. Mimo to zdołaliśmy jakoś do siebie dotrzeć. Spodobało mi się i uznałem, że dla czegoś takiego warto się przeprowadzić.

- Ale tęsknisz za Minnesotą, prawda?

- Jasne.

- A co z Vegas? Jeśli ja czuję się tu nieswojo, to co dopiero ty musisz myśleć...

Stride potoczył wzrokiem po wnętrzu restauracji. Terrell miał rację: to była kwintesencja tandentnego blichtru królującego w Las Vegas. Pomyślał o Walkerze, który nazwał to miasto niemoralnym, i o ludziach takich jak Gerard Plante w Oasis, z zimną krwią manipulujących gośćmi. Ale przecież oprócz tego były też góry i błękitne jezioro Mead... I Serena. Wszystko to razem wywoływało niepokój, nawet strach, lecz równocześnie bardzo, bardzo kusiło.

Na szczęście nie musiał odpowiedzieć, ponieważ w drzwiach pojawił się Rex Terrell i pomachał im, drugą ręką obejmując szefa sali. Miał na sobie drogie spodnie z czarnego jedwabiu i również jedwabną, zjadliwie zieloną koszulę. Jasne nażelowane włosy sterczały we wszystkich kierunkach, oczy kryły się za wąskimi okularami przeciwsłonecznymi. Miał około trzydziestu lat, był średniego wzrostu, wysportowany. Ruszył ku nim, wymachując kieliszkiem z jakimś trunkiem koloru miedzi.

- Rex Terrell - przedstawił się, wyciągając drugą rękę. - A wy jesteście policjantami? Ale odjazd. Prawdziwe dochodzenie w sprawie zabójstwa! Zupełnie jak w *Kryminalnych zagadkach*!.

Stride uściśnął wilgotną dłoń i przedstawił się. To samo uczyniła Amanda.

- Amanda Gillen? - Rex zdjął okulary i pochylił się, by z bliska spojrzeć jej w twarz. - Mój Boże, przecież ja panią znam! Te cudowne tytuły: „Małe interesy naszych stróżów prawa”... - Parsknął śmiechem, rozlewając nieco drinka. - Pamięta pani?

- Odpieprz się! - warknęła Amanda.

Terrell usiadł, wziął do ręki widelec i skosztował nieco makaronu z talerza Amandy.

- Ale mnie się to naprawdę podobało! A proces? Przez cały czas trzymałem za ciebie kciuki i cieszyłem się jak cholera, kiedy wygrałaś. A jak pięknie teraz wyglądasz! Przyszłość należy do transwestytów.

Amanda przeszywała go lodowatym spojrzeniem. Tak mocno zacisnęła palce na szklance z wodą, że aż zbiałyły jej kostki.

- Igrasz z ogniem, Rex - ostrzegł Stride dziennikarza, ale ten dalej gadał jak najęty:

- Kochanie, co powiesz na mały artykułek w „LV”? A trochę dalej dalibyśmy ładną rozkładóweczkę. Nie, żadne laseczki z fiutami, choć na pewno skoczyłaby nam sprzedaż. Coś subtelnie erotycznego, ze smakiem... Może obcisłe dzinsy trochę wypchane w kroku?

Amanda chwyciła go za szczękę i przytrzymała tak mocno, że nie mógł wykrztusić ani słowa, po czym mocnym szarpnięciem przyciągnęła go do siebie.

- Skup się, Rex, i słuchaj uważnie. Nie jestem dziwolągiem na pokaz. Nie występuję w wesołym miasteczku. Jestem Amanda. Być może różnię się trochę od większości ludzi, ale w niczym nie zmienia to faktu, że po prostu chcę prowadzić zwyczajne życie. Nie życzę sobie ingerowania w moją prywatność. Dlatego proszę uprzejmie, żebyś zostawił mnie w spokoju albo tym nożem zapewnię i tobie szybką, choć na pewno niebezbolesną zmianę płci.

Odepchnęła go, a on potarł szczękę.

- Auuu! - Spojrzał na Stride'a. - Prawdziwy z niej pistolet, ale ja to lubię. Naprawdę lubię.

- Możemy przejść do rzeczy? - zapytał Stride.

- Oczywiście. Czuję tu niezły materiał. Chodzi o zabójstwo MJ? Chcę wiedzieć wszystko.

Stride pokręcił głową.

- Nie będzie żadnego materiału, Rex. I to ty będziesz mówił, nie my. Powiedz nam, co wiesz o MJ.

- A najlepiej zacznij od tego, gdzie byłeś i co robiłeś w sobotę wieczorem - dodała Amanda.

- Myślicie, że go zabiłem? Jakie to podniecające... Niestety, nic z tego. O dziesiątej wyładowaliśmy z Davidem w Gipsy i byliśmy tam przez całą noc. - Mrugnął porozumiewawczo do Amandy. - Jeśli chcielibyście sprawdzić, to raczej ty zadzwoń do Davida, a nie twój partner, bo David ma cholerną słabość do męskich, mrukliwych typów.

- MJ - przypomniał mu cierpliwie Stride.

- Co niby mam wam powiedzieć?

- Na przykład w jaki sposób się poznaliście.

- Zadzwoił do mnie zaraz po tym, jak ukazał się ten artykuł. Był bardzo wzburzony, ale trudno mu się dziwić. Też bym się tak czuł, gdyby chodziło o mojego ojca.

- Jaki artykuł?

Terrell z rozmachem przyłożył dłoń do piersi.

- Najlepsza rzecz, jaką napisałem dla „LV”. Spodziewałem się listów albo telefonów z pogrózkami, ale żadnych nie było. Jestem trochę zawiedziony, bo jedyny podałem nazwiska. Nawet tych największych. Na przykład takich jak Walker Lane i Boni Fisso.

Stride przypomniał sobie, że na nocnym stoliku obok łóżka leżała stara gazeta oraz numer „LV”.

- O czym był ten artykuł? - zapytał.

- Tytuł brzmiał: *Mroczne tajemnice Szeherazady*. Trudno się domyślić?

- MJ nazwał swojego ojca mordercą. Czy o tym też tam pisałeś?

- Pisałem samą prawdę. Paskudna sprawa, co?

- Kiedy rozmawialiśmy z Walkerem Lane'em, skarżył się, że opowiadałeś głupoty jego synowi.

- Rozmawialiście z Walkerem? I wspomniał o mnie? Och, doprawdy jestem zaszczycony. Zastanawiałem się, czy to w ogóle do niego dotrze. Walker Lane opowiada ludziom o Reksie Terrellu! Słowo daję, David padnie trupem, jak się dowie!

Stride i Amanda wymienili rozpaczliwe spojrzenia.

- Opowiedz nam tę historię - poprosił Stride. - Krótszą wersję, jeśli można.

Terrell skinął głową, po czym machnął pustym kieliszkiem w kierunku kelnera.

- Szeherazada była pierwszym poważnym przedsięwzięciem Boniego Fisso - zaczął. - Takim na skalę prawdziwego Las Vegas. Coś w rodzaju tej knajpy. I była autentyczna, tak jak to miejsce. Spójrzcie na większość barów w mieście: same nędzne imitacje. Jasne, tam też na ścianach wiszą zdjęcia gwiazd, ale takich, o których za dziesięć lat pies z kulawą nogą nie będzie pamiętał. Sinatra był prawdziwy. Tak samo jak Alan King albo Rose Marie.

- Rex... - syknął Stride przez zaciśnięte zęby.

- Ja też jestem autentyczny, z Vegas - ciągnął dziennikarz. - Ilu jest takich jak ja? Tu się urodziłem i wychowałem. Teraz wszyscy pochodzą z Kalifornii.

Amanda wzięła do ręki nóż i zaczęła od niechcenia uderzać nim w otwartą dłoń. Terrell pobladł.

- Już dobrze, dobrze. Specjalnie dla was pominę najciekawsze szczegóły. No więc w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym Szeherazada to był najlepszy

lokal w mieście, na tym samym poziomie co Sands. Największym magnesem była niesamowita tancerka, Amira Luz. Hiszpańska piękność: czarne włosy, temperament. Prawdziwy demon seksu. Tańczyła nago, a ludzie walili drzwiami i oknami. Wtedy wszędzie można było zobaczyć podskakujące cycki, ale to było nijakie, nudne. Ona rozbierała się, tańcząc flamenco, i robiła to naprawdę z klasą.

- I co dalej? - zapytał Stride. Terrell pochylił się i zniżył głos.

- Pewnej gorącej lipcowej nocy znaleźli Amirę na dnie basenu na dachu Szeherazady. Ktoś rozwalił jej głowę.

- I myślisz, że to był Walker Lane?

- Oczywiście. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie pisnął ani słowa. - Terrell potarł palec wskazujący o kciuk.

- Walker już wtedy był kimś. Co weekend zjawiał się w kasynie, mieszkał zawsze w tym samym apartamencie na ostatnim piętrze. Uwielbiał się bawić, kochał Las Vegas, miał doskonale kontakty z mafią.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - zauważyła Amanda.

Na twarzy Terrella pojawiło się udawane zdziwienie.

- Doprawdy? Rozmawiałem z ludźmi, którzy w tamten weekend widzieli Walkera w kasynie, ale oficjalnie obowiązuje wersja, że w ogóle nie było go w mieście. Był napalony jak diabli. Na Amirę. Stała się jego obsesją, ale ona, niestety, nie miała najmniejszej ochoty się z nim zadawać. Powiedziała mu to prosto w oczy jednak Walker nie zamierzał wysłuchiwać takich rzeczy od jakiejś hiszpańskiej striptizerki. No i zrobił to, co zrobił.

- Zdaje się, że policja była innego zdania, skoro

nawet nie został aresztowany...

Terrell westchnął melodramatycznie.

- Policja? Przecież to był rok sześćdziesiąty siódmy! Naprawdę sądzicie, że Boni nie miał wystarczająco dużych wpływów? Sprawę prowadził niejaki Nick Humphrey, który siedział w kieszeni Boniego. Wszyscy o tym wiedzieli. Boni namówił Walkera, żeby wyjechał z miasta, a nawet dalej. Jak Roman Polański. Walker posłuchał, a Nicky w tym czasie patrzył w inną stronę. Gdyby gliniarze wzięli się porządnie do roboty, sprawa raz dwa zostałaby rozwiązana, ale oni wymyślili bajeczkę, że to jakiś podjarany fan zakradł się do basenu przy apartamencie i ją zabił.

- A skąd ona się właściwie tam wzięła? - zapytała Amanda.

- Podobno wyblagała zapasowy klucz od kogoś z obsługi i często pływała nago po występach, jeśli akurat apartament nie był zajęty. Tak przynajmniej głosi oficjalna wersja.

Stride pokręcił głową.

- Opisałeś to wszystko w swoim artykule? W takim razie rozejrzyj się za dobrym prawnikiem.

- Prawnik przeczytał każde słowo, zanim puściliśmy to do druku. Wszędzie, gdzie się da, powtykaliśmy „być może”, „przypuszczalnie”, „podobno” i tak dalej. Poza tym czy sądzisz, że Walter chciałby nadać sprawie jeszcze większy rozgłos, podając nas do sądu? Nie wydaje mi się. On chce tylko, żeby wszyscy o tym zapomnieli. Tak samo Boni. Tylko wtedy będzie mógł spokojnie wybudować swój pałac dla skośnookich.

- A gdzie w tym wszystkim miejsce dla MJ? - zapytała ze zniecierpliwieniem Amanda.

- Chwileczkę, śliczna. Telefon mi dzwoni. Słowo daję, przez tę wibrację co chwila miałbym orgazmy, gdybym trzymał go bliżej ciała! - Terrell wyjął z kieszeni cienki jak karta kredytowa aparat i spojrzął na ekran. - Och, to znowu ona. Nieważne. Nigdy nie usłyszałem od niej jakiejś ciekawej historii.

- Rex, trochę nam się spieszy... - zwrócił mu uwagę Stride.

- Spokojnie. Jak już powiedziałem, MJ zadzwonił do mnie zaraz po przeczytaniu artykułu i zapytał o źródła, których oczywiście nie mogłem mu ujawnić. Zasugerowałem tylko, żeby pofatygował się do biblioteki miejskiej i poszperał w starych rocznikach czasopism. Prawie wszystko można tam znaleźć, pod warunkiem że umie się czytać między wierszami. On zapytał wtedy, czy naprawdę wierzę, że jego ojciec zabił tę dziewczynę, a ja powiedziałem, że tak. Koniec rozmowy.

- W dniu, kiedy zginął, nagrałeś mu się na sekretarkę - przypomniał Stride.

- Jasne. W mojej branży obowiązuje zasada równości: ja dam ci tyle, ile ty dasz mnie. Skoro już o tym mowa, to daję wam naprawdę dużo, więc byłoby mi miło, gdybyście o mnie nie zapomnieli. Pomyślałem, że może MJ rzuci mi parę pikantnych informacji o Karyn Westermarck, ale cóż, ktoś go wcześniej kropnął.

- Domyślasz się, komu mogłoby zależeć na jego śmierci? - zapytała Amanda.

- Poza Walkerem i Bonim? - odparł Terrell z uśmiechem. - Nikt nie przychodzi mi do głowy. Nie następował ludziom na odciski, ale lubił sobie podupczyć, więc może rozejrzyjcie się za jakimś zazdrosnym mężem.

- Na przykład?

- Hm, to tylko plotki...

- Opowiedz - zażądała Amanda. Terrell rozejrzał się ukradkiem dookoła.

- Wiem na pewno, że żona Moose'a Dargona, ta dwudziestoparoletnia kelnerka, przykleja się do różnych znakomitości, które odwiedzają Oasis, i lubi sobie skoczyć w bok. Nagranie, na którym MJ dokazuje z Karyn, zrobiło na niej duże wrażenie. Moose już jest podobno do niczego, nawet po viagrze, a wiecie przecież dobrze, jaki z niego choleryk. W dawnych czasach co chwila trafiał do pudła za to, że nakładł komuś po ryju.

- Jego żona ma na imię Tierney, prawda?

Stride pamiętał, że Karyn Westermarck wymieniła ją w gronie zdobyczy MJ.

- Zgadza się - odparł Terrell i skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. - Boże, gdzie się podziały wszystkie normalne imiona? Czy wiecie, że pewien hollywoodzki aktor dał córce na imię Dzwoneczek?

- Jak wygląda ta Tierney?

- Brunetka. Ma fryzurę jak szczotka do mycia butelek. W zeszłym roku pozowała dla „Playboya”. Cycki jak piramidy egipskie. Chyba znacie ten typ?

Owszem, Stride znał. Bez wątpliwości to właśnie tę dziewczynę widział na nagraniu wideo w mieszkaniu MJ. Ciekawe, jak ktoś pokroju Moose'a Dargona zareagowałby na widok swojej żony pieprzącej się na ekranie z obcym facetem? - przemknęło mu przez głowę. I czy to by wystarczyło, żeby wynajął zawodowego zabójcę.

- Co jeszcze możesz nam powiedzieć na temat Moose'a?

- Nawet teraz, kiedy jedną nogą jest już w grobie, nikomu nie odpuści. Nie angażuje się już w biznes, raczej

zajmuje się fundacjami dobroczynnymi i takimi tam... Opowiada potwornie sprośne kawały i sam się z nich najgłośniej śmieje.

- Mówisz więc, że wciąż jest cholerykiem?

Twarz Terrella rozpromieniła się złośliwym uśmiechem.

- Że niby to on kazał sprzątnąć MJ za dupczenie małej Tierney? Niezły pomysł. A to by dopiero była ironia losu!

- Dlaczego?

- Bo w latach sześćdziesiątych Moose należał do stałych bywalców Szeherazydy. I wiecie, kogo wtedy posuwał? Oczywiście Amirę Luz.

12

Sawhill znowu rozmawiał przez telefon z gubernatorem Durandem.

Stride i Serena siedzieli na krzesłach przed szerokim biurkiem Sawhilla i słuchali w milczeniu, jak porucznik na odległość całuje gubernatora w dupę. Cordy stał oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach, tuż obok Amandy. Stride nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc, jak Amanda zbliża się centymetr po centymetrze, Cordy zaś odsuwa się w takim samym tempie, za wszelką cenę starając się zachować dystans. Ale kiedy westchnęła głęboko, prężąc obfity biust, i przeciągnęła się zalotnie, nie odwrócił wzroku. Sawhill też zauważył, co się dzieje, bo ostrzegawczo strzelił palcami.

- Właśnie mamy zebranie naszego zespołu, panie gubernatorze - powiedział swobodnym tonem. - Nie, nie... Zapewniam pana, że śledztwo nie będzie podążało w tym kierunku. Tak, oczywiście, może pan powtórzyć moje słowa.

Stride'owi ani trochę się to nie podobało, tym bardziej że Sawhill patrzył wprost na niego. Ogarnęło go niedobre przeczucie, że będzie miał związane ręce.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że Sawhill wysoko mierzy, może nawet w posadę szeryfa. Stride musiał przyznać, że porucznik doskonale znał zasady gry i wiedział, że będzie potrzebował silnego politycznego poparcia, by pokonać konkurencję. Aktualnie sprawujący urząd szeryf zapowiedział już, że za rok odchodzi na emeryturę. Zamiar ubiegania się o sukcesję zgłosili już dwaj policyjni weterani, zajmujący wyższe stanowiska niż Sawhill, lecz mimo to nikt nie odmawiał mu szans. Wybór szeryfa tylko pozornie zależał od głosowania; w rzeczywistości o wszystkim decydowały układy, Sawhill zaś od lat zawierał i utrzymywał przyjaźnie w odpowiednich kręgach. A przede wszystkim wiedział, że żadnemu politykowi nie wyszły na dobre żadne, choćby najmniejsze powiązania z jakimkolwiek morderstwem.

Sawhill odłożył słuchawkę i wziął do ręki wtorkowe wydanie „Sun”.

- Na pierwszej stronie są informacje o dwóch dochodzeniach w sprawie zabójstw. Gubernatorowi to się nie podoba. Mnie też to się nie podoba. Dlatego ściągnąłem was tu wszystkich, żebyście mi powiedzieli, co zamierzacie zrobić, żeby te informacje znikły z pierwszej strony. - Powiedział to takim tonem, jakby sądził, że w przeciwieństwie do niego zebrani są zachwyceni medialnym szumem. - Ty pierwsza, Serena - ciągnął, zsunąwszy okulary na czubek nosa i spoglądając nad nimi na podwładnych. - Opowiedz nam o zabójstwie w okolicach Reno i o tym, czy ma jakiś związek ze sprawą śmiertelnego potrącenia tego chłopaka w Summerlin.

- Emerytowanej nauczycielce Alice Ford poderżnięto gardło w jej domu. Jay Walling i ja przez półtorej godziny rozmawialiśmy z jej mężem, ale nie udało nam się ustalić żadnego związku między Alice Ford z Reno i rodziną Petera Hale'a w Summerlin. Nie znaleźliśmy też żadnego, choćby najmniejszego wspólnego motywu tych zabójstw.

- Bo może taki związek po prostu nie istnieje - rzekł Sawhill. - Szosą z Reno do Carson City codziennie jeżdżą tysiące samochodów. Fakt, że nasz podejrzany w sprawie o potrącenie kupił tam ciastka tego samego dnia, którego zamordowano Alice Ford, wcale nie musi oznaczać, że on to zrobił.

- Nie lubię zbiegów okoliczności.- Ja też nie, ale one się zdarzają. Te sprawy łączy tylko paragon ze sklepu.

- To prawda - powiedziała Serena.

- A jeśli to płatny morderca? - odezwała się Amanda z drugiego końca pokoju. - Wykonał dwie niezależne roboty, a wy przypadkowo znaleźliście coś, co pozwoliło je wam skojarzyć.

- To możliwe - przyznała Serena. - Tylko kto wynajmuje zawodowca do usunięcia dwunastoletniego chłopca i emerytowanej nauczycielki?

Sawhill zdecydowanym gestem zakończył rozmowę.

- Niech ci z Reno martwią się o swoje, mnie obchodzi to, co dzieje się tu, u nas. Macie coś jeszcze?

Cordy odchrząknął, po czym wydał zduszone skrzeknięcie i prawie podskoczył, jakby właśnie zauważył ptasznika wążącego mu na stopę.

- Co się z tobą dzieje? - warknął Sawhill. Cordy oblał się szkarłatnym rumieńcem.

- Nnnnic... - wymamrotał. - Przepraszam.

Uwagi Stride'a nie uszedł fakt, że Amanda z trudem zachowała powagę.

- Jeszcze raz rozmawialiśmy z ludźmi w Summerlin - rozpoczął Cordy, odzyskawszy panowanie nad sobą. - Pomyślałem, że skoro znamy już markę i typ samochodu, to może uda nam się dowiedzieć czegoś więcej. To tak szkaradny wóz, że niemożliwe, by nikt go nie zauważył.

- I co?

- I zaliczyliśmy trafienie. Jedna z sąsiadek przypomniała sobie, że kilka minut przed wypadkiem widziała niebieskiego azteka zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. To znaczy, że sprawca czekał na ofiarę.

- Czy widziała też kierowcę? - zapytał Sawhill. Cordy pokręcił głową.

- Patrzyła przez okno na piętrze. Nie była nawet pewna, czy ktoś siedział w samochodzie.

- Coś jeszcze?

- Jay Walling przysłał mi plik paragonów z tego sklepu spożywczego - odezwała się Serena. - Wszystkie ciastka i sprite'y, za które płacono kartą. Dał mi też dane osób, które były w sklepie w tym samym czasie co nasz podejrzany. Przydałby mi się ktoś do pomocy, żeby ich wszystkich obdzwonić.

Sawhill skinął głową.

- Badamy wszystkie przypadki potrażeń dzieci ze skutkiem śmiertelnym na całym południowym zachodzie - ciągnęła. - Kto wie, może ten gość zrobił już kiedyś coś takiego. Sprawdzamy też rodzinę i znajomych w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby żywić urazę.

- Zachowajcie maksymalną dyskrecję - upomniał ją porucznik, po czym wycelował szczypty palec w Cordy'ego. - To dotyczy też ciebie.

Oboje skinęli głowami. Stride wiedział, że teraz kolej na niego.

- Detektywie Stride, jesteście nowi w naszym wydziale, ale gubernator Durand już zna wasze nazwisko...

- Bardzo mi miło - odparł uprzejmie Stride. Serena kopnęła go w kostkę.

- Zupełnie niepotrzebnie, bo nie wyrażał się o was zbyt pochlebnie. Walker Lane poskarżył mu się, że bardziej interesujecie się zabójstwem sprzed czterdziestu lat niż schwytaniem mordercy jego syna.

- Rozmawiając z Walkerem, nie miałem pojęcia o śmierci Amiry Luz. I to właśnie Walker skierował nas do Rekxa Terrella.

Sawhill prychnął pogardliwie.

- Rex Terrell zamienił „LV” w „National Enquirer”. Zajmuje się plotkami i pomówieniami, a na to nie ma miejsca w tym śledztwie.

- Ale w Szeherazadzie naprawdę popełniono zbrodnię...- Wiem o tym.

- Chciałbym porozmawiać z funkcjonariuszem, który wtedy prowadził dochodzenie. Nazywał się Nick Humphrey. Żyje jeszcze?

- Tak, ale to by była strata czasu. - Sawhill pochylił się do przodu i zdjął okulary. - Rex Terrell przypuszczalnie zapomniał ci powiedzieć, że sprawa zabójstwa Amiry Luz została wyjaśniona.

Stride zawahał się. Nie zdążył jeszcze zajrzeć do akt sprawy.

- Nie wiedziałem o tym...

- Sprawca popełnił samobójstwo - poinformował go porucznik oschłym tonem. - Bezrobotny nałogowy hazardzista. Miesiąc po śmierci Amiry Luz znaleziono go

powieszono go we własnym mieszkaniu w Los Angeles. Na ścianie wisiały zdjęcia dziewczyny, w szufladzie leżał rachunek z Szeherazady z tego dnia, kiedy zginęła Amira. Założę się, że Rex Terrell nie wspomniał o tym ani słowem.

Stride poczuł, że płoną mu policzki.

- Mimo wszystko coś się tutaj nie zgadza. Terrell twierdzi, że rozmawiał z ludźmi, którzy tamtego dnia widzieli Walkera w Las Vegas. A zaraz potem wyjechał z kraju i prawie się tu nie pokazywał. Dlaczego?

- Może lubi kanadyjskie powietrze. A może zawsze ciągnęło go na tamtą stronę granicy? Nie mam pojęcia i zupełnie mnie to nie obchodzi. Walker Lane nikogo nie zamordował.

- MJ uważał inaczej.

- MJ nie miał racji. Rex Terrell nie ma racji. Ty nie masz racji. Nie istnieje żaden związek między tamtym zabójstwem a śmiercią MJ. Nie ma żadnej niewyjaśnionej tajemnicy. Czy to jasne?

Stride skinął głową.

- Całkowicie.

Jednak wątpliwości pozostały. Był gotów uwierzyć, że Rex Terrell wymyślił na ich użytek zgrabną bajeczkę, że po śmierci dziewczyny Walker Lane uciekł z miasta przed plotkami i niemającymi nic wspólnego z prawdą podejrzeniami, ale w samym środku tej historii tkwił jeszcze jeden człowiek, rzucający się w oczy jak jaskrawa niezatapialna boja podskakująca na falach: Boni Fisso.

Boni, który był właścicielem Szeherazady i znał zarówno Amirę Luz, jak i Walkera Lane'a.

Boni, który zainwestował dwa miliardy dolarów w kasyno Orient.

Sawhill nie był idiotą i bez trudu odczytał w oczach Stride'a, o czym ten myśli.

- Coś mi się widzi, że nie jesteś do końca przekonany. Może mi więc powiesz, jaki związek, twoim zdaniem, może istnieć między śmiercią Amiry Luz i zabójstwem MJ Lane'a.

- Nic nie przychodzi mi do głowy - przyznał Stride.

- To dobrze. Poszukajmy więc bardziej prawdopodobnej teorii. Mam nadzieję, że potrafisz jakąś przedstawić?

- Ustaliliśmy, że MJ miał romans z Tierney Dargon.

- Żoną Moose'a?

Ciekawe jak wiele Tierney Dargon jest w Las Vegas, pomyślał z przekąsem Stride, ale głośno powiedział:

- W apartamencie MJ widzieliśmy nagranie wideo z udziałem ich obojga, a o romansie dowiedzieliśmy się i od Karyn Westermarck, i od Reksa Terrella, z czego wynika, że nie było to tajemnicą.

Sawhill rozparł się w fotelu i zaczął skubać spiczasty podbródek.

- Moose jest szalony. Zawsze taki był. Wcale by mnie nie dziwiło, gdyby zabił kogoś w ataku wściekłości. Parę razy już mu to się prawie zdarzyło.

- Ale to nie było zabójstwo w ataku wściekłości - zwróciła uwagę Amanda. Zrobiła trzy kroki naprzód i pochyliła się nad biurkiem. - To zostało zaplanowane. - A mordercą nie był Moose, chyba że pozbył się kilkudziesięciu lat i pięćdziesięciu kilogramów wagi - dodał Stride.

- Mógł kogoś wynająć - mruknął Sawhill. - Porozmawiacie z Tierney?

Stride skinął głową.

- A co z nagraniami z kamer w kasynie? Udało się znaleźć jeszcze jakieś ujęcia ze sprawcą?

- Niestety nie.

- No dobrze. Informujcie mnie na bieżąco o wszystkim. - Odprawił ich machnięciem ręki i ponownie sięgnął po słuchawkę. W drugiej dłoni ścisnął pomarańczową kauczukową piłeczkę. Stride miał nadzieję, że z pierściami swojej żony porucznik obchodził się nieco delikatniej. - Macie pracować dzień i noc. Chcę, żeby te sprawy przestały pojawiać się na pierwszych stronach gazet. I chcę mieć sprawców. A ty, Stride, nie zbliżaj się do Walkera Lane'a bez mojej zgody.

- Rozumiem.

Wyszli rzędem. Stride zamknął za sobą drzwi. Cordy spiorunował Amandę wzrokiem, a kiedy ta mrugnęła do niego porozumiewawczo i delikatnie pomachała małym palcem, oddalił się pospiesznie.

- Co mu właściwie zrobiłaś? - zapytał Stride. Amanda zachichotała.

- Uszczypnęłam go w tyłek.

13

Amanda zaparkowała w pobliżu południowego skraju lotniska McCarran, w miejscu, skąd widziała samoloty lądujące na pasie dwudziestym piątym, siedziała nie w spyderze, z którego korzystała prawie wyłącznie w weekendy i podczas dłuższych wyjazdów, lecz w swojej starej toyocie. Nastawiła radio na częstotliwość wieży i słuchała rozmów między kontrolerami lotów i pilotami. Samolot linii United z San Francisco, którym leciała Tierney Dargon, miał wylądować za pół godziny.

W pobliżu stało kilka samochodów należących do

maniaków lotnictwa. Niektórzy odhaczali nawet na listach kolejne samoloty, ale Amanda nie była aż tak zaawansowana. Lubiła tu po prostu siedzieć z kawą i papierosem. Już prawie nie paliła - tylko tu pozwalała sobie na jednego papierosa, i właśnie z myślą o tych okazjach wozila paczkę w schowku na rękawiczki. Połączenie dymu papierosowego, słodkiej kawy i ryku silników sprawiało, że czas zatrzymywał się dla niej i pogrążała się w przedziwnym stanie, w którym jej myśli biegnęły szybko i daleko. Nigdy nie zabierała tu nawet Bobby'ego. To było wyłącznie jej miejsce.

Odkryła je przed pięciu laty, zaraz po przeprowadzce z Portland, kiedy jeszcze była Jasonem Gillenem, bystrym oregońskim gliniarzem, który stał się bystrym gliniarzem z Vegas. Kiedy całkiem poważnie myślała o samobójstwie. Pamiętała doskonale, jak siedziała tu z pistoletem w ręce, zastanawiając się, czy będzie miała odwagę to zrobić, aż w końcu zrozumiała, że taka ucieczka nie wymaga ani odrobiny odwagi. Odwaga polegała na tym, żeby zostać i stawić czoło ludziom, którzy się jej bali, ponieważ była inna od wszystkich.

Wtedy umarł Jason, a narodziła się Amanda.

Wyjęła papierosa z ust i wydmuchnęła dym przez okno. Uśmiechnęła się, widząc ślady szminki na białym filtrze.

Wszyscy sądzili, że chodzi o seks. Że ktoś taki jak ona bez przerwy przekracza granice szaleństwa. Że w najwymyślniejsze sposoby zaspokaja swoje cielesne pragnienia, łykając przy tym garściami hormony. Nie wierzyli jej, kiedy mówiła, że i ona, i Bobby są zdeklarowanymi tradycjonalistami - zarówno w sypialni, jak i poza nią. To oni, ludzie, byli opętani seksem.

Fascynowała ich i podniecała, kobiety i mężczyzn. Chcieli wiedzieć, jak to robi, w jakich pozycjach i jak często. Chcieli ją widzieć. Chcieli ją smakować.

Najgorsi byli „stuprocentowi mężczyźni”, tacy jak Cordy. Przerażało ich, że reagują na jej wdzięki, i uciekali od niej gdzie pieprz rośnie. Kiedyś ją to dręczyło, teraz już tylko bawiło. W ten sposób mogła im zademonstrować, że jest silna, że da sobie radę. Była to również okazja do małego rewanzu.

Wiedziała, że wciąż opowiadano uszczypliwe żarciki na jej temat, tylko teraz mówiono je szeptem, ponieważ z góry przyszło polecenie, żeby jej nie ruszać. Siedmiocyfrowe odszkodowanie znakomicie wpływa na manieri współpracowników - przynajmniej w jej obecności. Tyle że wszyscy unikali jej jak ognia. Ignorowali ją. Szeptali za plecami. Czekali, aż odbierze kasę i odejdzie. Byli zaszokowani, kiedy została.

Obawiała się o Stride'a. Właściwie ze wszystkimi sobie radziła, ale kiepski partner mógłby naprawdę dać się we znaki. Co gorsza pochodził z daleka, z Minnesoty. Zawsze uważała, że ludzie z tamtych rejonów mają ograniczone horyzonty i pochopnie wyciągają wnioski. Przypuszczała, że będzie na nią patrzył jak na istotę z kosmosu, ale spotkała ją niespodzianka. Zrozumiała, co zobaczyła w nim Serena. Był atrakcyjny, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, ale miał też prawdziwą duszę. Gdy tylko oswoił się z niezwykłą sytuacją, zaczął traktować ją najnormalniej w świecie. Był zaintrygowany - jak wszyscy - lecz szanował ją za to, co miała w głowie, a nie między nogami.

Coś takiego nie zdarzało się zbyt często.

Za ogrodzeniem boeing 737 linii Southwest wzbił

się z gracją w niebo. Wiedziała, że większość pasażerów wraca do domów z lżejszymi portfelami, przenosząc się z krainy fantazji z powrotem do rzeczywistego świata. Dla niej oznaczało to powrót do wolności. Któregoś dnia weźmie pieniądze, wsiądzie z Bobbym do spydera i ucieknie. Nie dlatego, że nie będzie mogła już wytrzymać, ale dlatego, że chciałaby znaleźć się tam, gdzie nikt jej nie zna, gdzie nikt nie gapi się na nią z otwartymi ustami.

Bobby też na to zasługiwał. Na pewno nie mówił jej nawet o połowie przykrości, jakie go spotykały z powodu tego, że byli razem, a mimo to już od ponad trzech lat trwał przy niej i kładł się z nią do łóżka. Kiedy ze sobą chodzili, unikała seksu za wszelką cenę, ponieważ bała się, że go straci, gdy tylko prawda wyjdzie na jaw. I rzeczywiście straciła go, kiedy mu o wszystkim powiedziała - ale tylko na kilka tygodni. Potem wrócił i już nie odstępował jej na krok, nigdy nie żądając, by próbowała być kim innym, niż jest naprawdę.

Nie zdecydowała się na zabieg chirurgiczny. Bała się, że coś się nie uda, że zostanie kaleką niezdolną do odczuwania jakichkolwiek doznań seksualnych. I bez tego czuła się kobietą, choć byłaby gotowa zrobić to dla Bobby'ego, żeby stać się dla niego trochę bardziej normalna. Ale on powiedział, że to nie jest konieczne, że nie oczekuje tego od niej. Za to jeszcze bardziej go pokochała.

Pokusa, żeby kiedyś z nim wyjechać, uciec od całego tego okrucieństwa, była ogromna. Może do San Francisco, skąd właśnie leciała Tierney. Tam z pewnością nie budziliby niczyjej ciekawości.

Wyrzuciła niedopałek przez okno, po czym roześmiała się i pokręciła głową. Była tak samo podatna na

fantazje jak pasażerowie przylatujących i odlatujących samolotów. Nigdy stąd nie wyjedzie.

Radio ożyło. Maszyna odbywająca lot numer 1580 otrzymała pozwolenie na lądowanie.

Amanda uruchomiła silnik. Tierney Dargon wracała do domu.

Wypatrzyła Tierney w sali odbioru bagażu, stojącą nieco na uboczu z komórką przyciśniętą ramieniem do ucha. Była chuda jak patyk i bardzo ładna, w luźnym różowym topie, pozostawiającym mnóstwo swobody piersiom i różowych obcisłych spodniach. Miała ciało z Las Vegas, ale nie zadała sobie wiele trudu, żeby wyglądać olśniewająco: opadające na ramiona brązowe włosy były nieuczesane, nie miała makijażu i biżuterii właściwie też, jeśli nie liczyć złotej bransoletki, którą nerwowo obracała na nadgarstku. Oczy miała czerwone i podkrążone.

Amanda ruszyła w jej kierunku, lecz drogę zagroził jej ogromny Samończyk w hawajskiej koszuli, bez wątpienia ochroniarz. Dyskretnie pokazała mu odznakę, on zaś poprosił, by chwilę poczekała, podszedł do Tierney i szepnął jej coś do ucha. Dziewczyna zmierzyła Amandę uważnym spojrzeniem, rzuciła parę słów gorylowi, po czym wróciła do rozmowy.

- Pani Dargon zaprasza panią do swojej limuzyny - powiedział ochroniarz. - Czeka na zewnątrz. Na drzwiach jest podobizna pana Dargona.

Amanda wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Nie miała żadnych problemów z odszukaniem samochodu. Samończyk najwyraźniej uprzedził kierowcę przez radio, ponieważ ten czekał już na nią przy otwartych

tylnych drzwiach. Był po sześćdziesiątce, a na powitanie musnął czubkami palców daszek czapki.

- W środku jest szampan, jeśli sobie pani życzy. Mamy też muffinki, ale proszę nie brać tych z jagodami i płatkami owsianymi, bo te pani Dargon lubi najbardziej.

- To ona w ogóle coś jada?

Szofer roześmiał się, ale nic nie odpowiedział. Zaczekał, aż Amanda wsiądzie do wozu, po czym zatrzasnął drzwi.

Pierwszy raz w życiu siedziała w takim pojeździe. Tyłek ześlizgiwał jej się ze skórzanej kanapy, w rogu kabiny zainstalowano telewizor, odtwarzacz DVD i wieżę stereo. Leciał jakiś raperski teledysk z wyłączonym dźwiękiem. W drugim kącie zmieściła się lodówka i mały szklany stolik ze słodyczami, owocami, otwartą butelką szampana i karafką z sokiem.

Miejsce po lewej stronie Amandy obite było czarnym atłasem z wyhaftowanym portretem Moose'a Dargona. Miał co najmniej dwadzieścia lat mniej, lśniące czarne włosy, krzaczaste brwi i duży, pożyłkowany nos. Amanda aż zacmokała z niedowierzaniem. Niemal czuła obecność ducha Elvisa Presleya...

Przesiadła się na twarz Moose'a, licząc na to, że atłas okaże się mniej śliski od skóry. Pod kanapą znajdowały się drewniane szuflady. Zerknęła przez szybę, po czym otworzyła jedną z nich. No tak, oczywiście: prochy i prezerwatywy. Wyjęła torebkę z kokainą.

Samochód zakołysał się, chwilę potem drzwi się otworzyły i do limuzyny wślizgnęła się Tierney. Zajęła miejsce naprzeciwko Amandy i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Nie uśmiechała się.

- Chodzi o MJ, prawda?

Miała dziecinny głos, który sprawiał, że wydawała się młodsza.

Amanda skinęła głową.

- Przepraszam za swój wygląd - powiedziała niespodziewanie Tierney. - Naprawdę mną tą wstrząsnęło.

- Wygląda pani bardzo ładnie. Dziewczyna uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- To miło z pani strony.

Niesamowite, pomyślała Amanda. W Las Vegas nawet morderstwo nie stanowi wystarczającego usprawiedliwienia dla mało atrakcyjnego wyglądu.

- Pewnie znaleźliście nagranie? - zapytała Tierney.

- Owszem.

- Boże! Trudno mi uwierzyć, że byłam taka głupia. Ale MJ upierał się, że to będzie takie podniecające... Jeśli sprawa się wyda, Moose mnie zabije.

Amanda uniosła brwi.

- Podobno jest dość wybuchowy...

- Nie, nie dosłownie. Nawet nie tknie mnie palcem, ale będzie wściekły, upokorzony... Nie chciałabym tego.

Amanda spróbowała innego podejścia:

- Kiedy poleciała pani do San Francisco?

- W niedzielę rano. Gdy tylko usłyszałam o MJ. Powiedziałam Moose'owi, że chcę trochę pobyć z rodzicami, ale prawie przez cały czas siedziałam w hotelu i płakałam. Nie chciałam, żeby widział mnie w takim stanie. Mógłby zacząć coś podejrzewać.

Z trudem powstrzymywała łzy. Amanda uświadomiła sobie, że Tierney nie jest zimna jak gład, tak jak Karyn Westermarck. Ta dziewczyna naprawdę coś czuła do MJ.

- Kochała go pani?

- Moose'a? - Tierney opacznie zrozumiała pytanie. - Oczywiście. Dobrze wiem, co wszyscy myślą, że chciał mieć przy sobie atrakcyjną laskę, a mnie chodziło tylko o jego forszę... To nieprawda. Zależy nam na sobie.

- Ma dużo pieniędzy - zwróciła jej uwagę Amanda.

- Owszem, ale ja ich nie wydaję. Jestem z nim, bo jest zabawny i miły, i dobrze mnie traktuje. Wcześniej byłam nikim.

- W takim razie skąd się wziął MJ?

Tierney długo wpatrywała się bez słowa w ekran telewizora.

- Mam dwadzieścia cztery lata - powiedziała wreszcie takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Ma pani też opinię rozrywkowej dziewczyny. Takiej, którą łatwo wyrwać.

- Bzdury! - parsknęła Tierney z rozdrażnieniem i zmarszczyła brwi. - Spałam tylko z kilkoma facetami. Ostatnio wyłącznie z MJ.

Amanda przypomniała sobie prezerwatywy w szufladce pod siedzeniem.

- Czy Moose wiedział o MJ albo o pozostałych?

- Nie pytał, a ja mu o nich nie mówiłam. Zdaje sobie sprawę z tego, że nie wszystko może mi dać.

- A gdyby się dowiedział? Dawniej zdarzało mu się posyłać ludzi do szpitala...

- Ale to było wieki temu! Przecież on ma prawie osiemdziesiąt lat, na miłość boską!

- Mógł się posłużyć posłańcem, żeby przekazać wiadomość. Pani by nie ruszył, ale co z MJ?

- Naprawdę sądzi pani, że to Moose go zabił? - Dziewczyna energicznie pokręciła głową. - Niemożliwe. Po pierwsze, nie zrobiłby tego, bo mamy pewien układ, tak jak

powiedziałam. A po drugie, o niczym nie wiedział.

- Daj spokój, Tierney - prychnęła Amanda. - Nie bądź naiwna. Ludzie wiedzieli. Nie rozpoznaliśmy cię na nagraniu. Popytaliśmy tu i ówdzie, z kim sypiał MJ, i twoje nazwisko wyplęło pierwsze.

Tierney wytrzeszczyła oczy.

- Cholera... Nie wierzę!

- Kochałaś MJ?

- Czy go kochałam? Pewnie trochę tak. Nie sypiam z mężczyznami, którzy mnie nic nie obchodzą, cokolwiek pani sobie o mnie myśli.

- Gdyby Moose zaczął podejrzewać, że czujesz coś do MJ, mógłby się zaniepokoić, że od niego odejdziesz albo coś w tym rodzaju.

- Myli się pani. Moose wie, że nigdy nie zrobię czegoś takiego. Jest chory. Ma raka. Zostało mu niewiele czasu i wie, że go nie opuszczę. MJ był... Po prostu myślałam trochę o przyszłości. O tym, co będzie później.

Amanda nie mogła się zdecydować, czy Tierney jest miłą samotną dziewczyną, czy bezwzględny poszukiwaczem skarbów zmierzającym do celu za wszelką cenę. Jeśli teraz tylko udawała, to szło jej doskonale.

- Wiedziałaś o Karyn Westermarck? Pełne usta Tierney zacisnęły się w kreskę.

- Tak... - wycedziła.

- Przeszkadzało ci to?

- Raz zrobiliśmy to we trójkę, ale nie chciałam tego powtórzyć. Za to MJ bardzo się spodobało.

- Byłaś z nim w sobotę rano? Skinęła głową.

- I w piątek wieczorem.

- Dlaczego nie spędziłaś z nim całej soboty?

- Bo wieczorem Moose wydawał przyjęcie.

- Gdzie? - Amanda zapisała adres i nazwę lokalu. -
Byłaś z Moose'em przez cały czas? Dzwonił do kogoś albo odbierał telefony?

Tierney zaprzeczyła ruchem głowy.

- To było polityczne przyjęcie dla gubernatora. W związku z wyborami. Nie odstępowałam go na krok.

- Wiedziałaś, że ten wieczór MJ spędza z Karyn?

- Domyśliłam się.

- To zabrzmiało tak, jakbyś była zazdrosna. Tierney nawijała na palec kosmyk włosów.

- Karyn gra w wyższej lidze. Zdaję sobie z tego sprawę.

Ja jestem tylko kelnerką, która znalazła się o właściwym czasie we właściwym miejscu. Staralam się dostosować do MJ i jego otoczenia, ale niezbyt mi się to udawało. Wiem, że często się ze mnie śmiali.

- Więc czemu się z nimi zadajesz?

- A jaki mam wybór? Wszyscy starzy znajomi odpadają ze względu na Moose'a. Rozumie pani: rezydentka nad jeziorem, ochroniarze, limuzyna... Nieważne, że jestem wciąż tą samą osobą co kiedyś. Jeśli jesteś młody i masz kasę, prędzej czy później trafisz do Oasis, a tam są wciąż te same paczki. Jak w szkole.

- Do której paczki należał MJ?

- Do paczki Karyn. W ten sposób go poznałam jakieś pół roku temu. Był dla mnie bardzo miły, ale dopiero później zorientowałam się, że tylko dlatego, że ona chciała zaciągnąć mnie do ich łóżka. Ale i tak go polubiłam. Zaczęliśmy się potem spotykać, tylko on i ja.

- A co na to Karyn? Tierney wzruszyła ramionami.

- Wątpię, żeby ją to cokolwiek obchodziło. I tak sypiała z nim, kiedy tylko chciała.

Powiedziała to z wyraźną goryczą.

- Karyn twierdzi, że MJ miał zamiar cię rzucić.

- Naprawdę? - W głosie dziewczyny brzmiało autentyczne zdumienie. - Nie wierzę. Nie zrobiłby tego.

- Domyślasz się, kto mógłby chcieć pozbyć się MJ?

- Nie mam pojęcia. Ale nie Moose. Na pewno nie on.

- Wiesz może, czy MJ miał coś wspólnego z Bonim Fisso? Albo czy przynajmniej go znał?

- Boni Fisso? Nie wydaje mi się. Nigdy o nim nie wspominał.

- A Moose? Czy on zna Boniego? Tierney skinęła głową.

- Jasne. Dawno temu Moose regularnie grywał w Szeherazadzie.

Amanda nie była pewna, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Jednak Moose słynął z gwałtownego charakteru, pomimo wieku i stanu zdrowia. Gdyby chciał wynająć płatnego zabójcę, mógłby zwrócić się w tej sprawie właśnie do Boniego.

Podziękowała Tierney i sięgnęła do klamki, ale Tierney delikatnie zacisnęła małą dłoń na jej ramieniu.

- Czy... Czy ta sprawa musi wyjść na jaw? Myślę o MJ i o mnie...

- Nie mogę niczego obiecać. Poza tym, jak powiedziałam, i tak wie o niej mnóstwo ludzi.

Dziewczyna skinęła głową. Jej wzrok padł na niedomkniętą szufladę pod siedzeniem. Przyglądała się jej przez chwilę, po czym przeniosła spojrzenie na Amandę.

- Zabrała mi pani moją działkę, prawda?

- Tak, ale nie jestem z wydziału narkotyków. Proszek spłynie z wodą w klozecie, i tyle. Co prawda to nie

moja sprawa, ale wydaje mi się, że nie jesteś stworzona do takiego życia. Może powinnaś spróbować coś zmienić?

- Dzięki. - Tierney obrzuciła niechętnym spojrzeniem wnętrze limuzyny i uśmiechnęła się niewesoło. - Może mi pani wierzyć albo nie, ale w głębi duszy żałuję, że nie podaję wciąż drinków w Venetian. Czasem lepiej jest trzymać się na uboczu.

Stride rozparł się na niewygodnym drewnianym krześle i rozprostował ramiona. Bolał go grzbiet, bolały go oczy, bolała głowa. Zacisnął powieki w nadziei, że choć trochę mu to pomoże. Od trzech godzin ślęczał przy czytniku, przeglądając nieostre czterdziestoletnie zdjęcia i mając wrażenie, że wehikuł czasu przeniósł go do roku 1967. Do roku, kiedy zamordowano Amirę Luz. Dziwnie się czuł, czytając nagłówki gazet z tamtych dni i wiedząc, jak dalej potoczyła się ta historia. Dziewczyny z tamtych lat były teraz starymi kobietami. Trafił na zdjęcie Roberta Kennedy'ego.

Niemal wszyscy uwiecznieni na fotografiach mężczyźni palili papierosy. Ale pod pewnymi względami niewiele się od tamtych czasów zmieniło: wtedy Las Vegas też zdawało się istnieć poza czasem i przestrzenią, skorumpowane i rządzące się własnymi prawami. Znalazł artykuły o tragicznej sytuacji czarnych na północnych przedmieściach, a zaledwie kilka stron dalej reklamy anonsujące występy czarnoskórych artystów w najlepszych lokalach. Red Buttons, Milton Berle, Ann-Margret - te nazwy i nazwiska królowały wtedy na estradzie. Kobiety nosiły mini, latem na ekrany wszedł najnowszy Bond - *Żyje się tylko dwa razy*. Connery był na topie.

Próbował sobie wyobrazić, jak się wtedy żyło. Z

perspektywy kilkudziesięciu lat tamte dni z pewnością trąciły myszką, przypominały pożółkłe rysunki i wyblakłe kolorowe fotografie. Wyrafinowane, lecz zarazem naiwne. Poczul ukłucie nostalgii, tęsknotę za dawnymi dobrymi czasami. Wiedział, że to niepotrzebne złudzenie: dawne dobre czasy wcale nie były takie dobre. Gazety donosiły o strajkach i skandalach łapówkarskich. Śmierć znanego mafioso w Nowym Jorku trafiła na pierwsze strony w Las Vegas. W artykułach roilo się od ponurych plotek, smutne lub wstrząsające wydarzenia były jak ciemne chmury przesuujące się po niebie.

Wziął do ręki wydruk artykułu z 18 czerwca.

Triumfalny powrót Amiry

Po powrocie z sześciomiesięcznych występów na paryskim Montmartrze hiszpańska tancerka Amira Luz święciła w sobotę triumf w wypełnionej po brzegi sali Szeherezady, gdzie przedstawiła swój najnowszy odważny show zatytułowany *Płomień*.

Tak jak w innych najnowszych przedstawieniach, w *Płomieniu* występuje mnóstwo pięknych dziewcząt w toplesie. Możemy także podziwiać znakomitego komika Moose'a Dargona, ale prawdziwą gwiazdą spektaklu jest Amira Luz. Jej striptiz przy dźwiękach flamenco, na scenie oświetlonej blaskiem świec, pozostawia niezatarte wrażenie...

Kolejny artykuł pochodził z ostatniej dekady lipca i towarzyszyło mu ogromne zdjęcie Amiry.

Zabójstwo gwiazdy wstrząsnęło Stripem

Policja Las Vegas potwierdziła dzisiaj, że Amira Luz, gwiazda wystawianego w Szeherezadzie spektaklu *Płomień*, została zamordowana w piątkową noc w luksusowym apartamencie tego popularnego kasyna. Z

nieoficjalnych informacji uzyskanych w kasynie wynika, że tancerkę znaleziono nad ranem w sobotę w basenie na dachu budynku. Miała rozbitą czaszkę. Po raz ostatni widziano ją żywą w piątek podczas wieczornego występu.

Detektyw Nicholas Humphrey odmówił komentarzy na temat motywów zbrodni oraz potencjalnych podejrzanych. Właściciel kasyna Boni Fisso w specjalnym oświadczeniu wyraził „ogromny żal” z powodu śmierci Amiry Luz i zadeklarował chęć „współpracy z policją w celu schwytania odrażającego osobnika, który wtargnął na teren naszego kasyna i popełnił tę straszną zbrodnię”.

A więc już nazajutrz po zabójstwie Boni jednoznacznie sugerował, że sprawcą był ktoś z zewnątrz... Stride jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że powinien porozmawiać z Nickiem Humphreym. Wrócił do lektury artykułu, lecz nagle poczuł, jak ktoś masuje mu ramiona, a chwilę potem pochyliła się nad nim Serena.

- Tak sobie wyobrażasz randkę podczas lunchu? - zapytała z uśmiechem. - W bibliotece?

- Nie przestawaj - poprosił. - To takie miłe... Cierpliwie ugniatała palcami jego obolałe mięśnie. Jej uwagi nie uszły rozłożone przed nim na stole wydruki i pudełka z mikrofilmami.

- Albo mi się wydaje, albo Sawhill wyraźnie powiedział, że sprawa jest zamknięta?

Stride uśmiechnął się.

- Naprawdę? W takim razie chyba akurat myślałem o czymś innym i niedokładnie go słuchałem.

Serena przysunęła krzesło i osiadła obok. Większość mężczyzn w bibliotece przyglądała jej się mniej lub bardziej otwarcie. O tej porze byli tu niemal sami mężczyźni, prawie wyłącznie bezrobotni. Część czytała

gazety, inni tępo wpatrywali się w przestrzeń.

- Znalazłeś coś? Wzruszył ramionami.

- Trzeba czytać między wierszami, bo na ogół to plotki i niedopowiedzenia. Z niektórych można wyciągnąć daleko idące wnioski. Przypuszczam, że właśnie stamtąd Rex zaczerpnął większość materiałów do swojego artykułu.

- Nie zrozum mnie źle, Jonny. Ufam twojemu przeczuciu, ale naprawdę nie bardzo rozumiem, jaki związek ze śmiercią MJ może mieć zabójstwo z roku sześćdziesiątego siódmego...

- Może i nie ma - przyznał niechętnie Stride - ale przecież oboje nie lubimy zbiegów okoliczności, prawda?

- Takich jak?

Stride poprawił się na krześle.

- Oto co udało mi się ustalić do tej pory: MJ zaczyna grzebać w sprawie zabójstwa Amiry Luz, ponieważ autor artykułu w „LV” zasugerował, że mordercą był jego ojciec. Wkrótce potem MJ ginie z ręki niezidentyfikowanego zabójcy. Amira zginęła w kasynie Boniego Fisso, podejrzanego o związki ze światem przestępczym, który w tym roku w tym samym miejscu rozpoczyna inwestycję za dwa miliardy dolarów. Jak to wygląda do tej pory?

- Dość interesująco - przyznała Serena. - Pierwsze pytanie: kim była Amira Luz i dlaczego ją zabito?

- Była striptizerką. Doskonałą striptizerką, jeśli wierzyć gazetom. Nazywano ją Hiszpanką, ale udało mi się ustalić, że naprawdę była nią tylko w połowie. Jej ojciec był hiszpańskim dyplomatą, a matka jasnowłosą córką kongresmana z Teksasu. Kiedy w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym Boni Fisso otworzył Szeherezadę, Amira miała dwadzieścia jeden lat i występowała w show, którego gwiazdą był znany komik. Zgadnij kto?

- Moose Dargon?

- Zgadza się. Kolejny ciekawy zbieg okoliczności, prawda? W maju sześćdziesiątego szóstego Amira miała już własny program w stylu Lido, z chórkami i baletem. Pod koniec roku wyjeżdża na sześć miesięcy do Paryża, a w czerwcu sześćdziesiątego siódmego zjawia się z powrotem w Las Vegas z zupełnie nowym programem zatytułowanym *Płomień* i odnosi oszałamiający sukces.

- A potem ktoś ją zabija - uzupełniła Serena.

- Zgadza się. Kilka tygodni po premierze znaleziono ją martwą w basenie na dachu Szeherazady. Nawiasem mówiąc, w tym nowym przedstawieniu role się odwróciły: to już nie Moose był pierwszoplanową gwiazdą, ale właśnie ona. Wątpię, żeby mu się to spodobało.

- Mów dalej - zachęciła go Serena.

- A teraz zajmijmy się Walkerem Lane'em. Wiosną kręcił w Las Vegas film i zakochał się w mieście. Od tej pory przylatywał tu co weekend z Los Angeles, a jego ulubionym miejscem stała się Szeherazada. Dobrze znał Boniego Fisso. W czerwcu tego roku bulwarówki donosiły, że „Walker kręci się koło hiszpańskiej gwiazdy występującej na estradzie Szeherazady”.

- Jaką więc udało ci się stworzyć teorię? - zapytała Serena. - Dlaczego Amira musiała zginąć?

- Może Walker się wściekł, kiedy Amira odrzuciła jego zaloty. Albo trochę za mocno się kochali. W każdym razie Boni pomógł mu wykaraskać się z kłopotów, podsuwając policji jakiegoś nieszczęśnika z Los Angeles.

- Dlaczego Walker wyjechał już po tym, jak śledztwo zostało zamknięte?

- Nie wiem. Może Boni zawarł tajny układ z glinami, że stopa Walkera nie postanie już w Las Vegas.

Tak czy inaczej wszystko to była prehistoria aż do chwili, kiedy Rex Terrell odgrzął ją w swoim artykule w „LV”. MJ przeczytał artykuł i zaczął zadawać pytania.

- I wkrótce zginął. Stride skinął głową.

- Wciąż myślę o pomysłe Boniego, żeby zburzyć Szeherezadę i na tym miejscu postawić Orient. Przy takim przedsięwzięciu najmniej pożądaną rzeczą jest tajemnica sprzed czterdziestu lat.

- Przykro mi, że muszę ci o tym przypomnieć, ale Sawhill nie życzy sobie, żebyś zadawał pytania w tej sprawie. Co zamierzasz zrobić?

- Zadawać pytania w tej sprawie. Serena parsknęła śmiechem.

- Masz szansę zostać najszybciej zwolnionym z pracy funkcjonariuszem w historii policji w Las Vegas! Może zaprosiłbyś mnie na lunch?

- Załatwione.

Zgarnął wydruki ze stołu i schował je do kieszeni kurtki, po czym ustawił pudełka z mikrofilmami w chwiejną piramidkę.

- Możesz wziąć ten numer „LV”? Jest tam artykuł Terrella.

Serena wzięła pismo do ręki i otworzyła w miejscu, gdzie była przyklejona żółta karteczka.- To właśnie Amira - powiedział Stride.

Duża czarno-biała fotografia przedstawiała Amirę w czarnej hiszpańskiej sukni, z twarzą częściowo zasłoniętą zmierzwionymi bujnymi włosami. Ręką unosiła skraj sukni, odsłaniając zgrabną, umięśnioną nogę. Ten sam gest wykonywała stojąca na drugim planie dziewczyna w białej sukni.

Stride oddał pudełka bibliotekarce. Dopiero po

chwili zorientował się, że Serena nawet nie drgnęła, tylko wciąż wpatruje się w zdjęcie.

- O co chodzi?

Jeszcze przez chwilę stała bez ruchu, po czym podsunęła mu czasopismo i wskazała na zdjęcie.

- Ta dziewczyna za Amirą... To babka Petera Hale'a. Tego chłopca, który zginął potrącony przez samochód.

Część druga

CLAIRE

14

Włamanie do samochodu było dziecinną igraszką.

Czekał na tylnej kanapie lexusa zaparkowanego w zacienionym podziemnym parkingu Fashion Show Mail. Obok leżał pistolet Sig kalibru.357.

Samochód stał w pobliżu wejścia do butiku. Nic dziwnego, była kobietą dbającą o prezencję. Siedemdziesięcioletnia wdowa, chuda jak patyk. Ze względu na swój artretyzm skorzystała z miejsca dla inwalidów. Szyby auta były przyciemnione, tak że nie było widać, co dzieje się w środku, ale on miał doskonały widok na zewnątrz.

Dostrzegł swoje odbicie w lusterku wstecznym: ciemna twarz, gęste czarne włosy, broda i oczy - tak bardzo ciemnobrązowe, że wydawały się wręcz bezbarwne. Przerazały ludzi. Kiedy w nie patrzyli, wydawało im się, że wpadają w jakąś mroczną, bezdenną otchłań.

Był jak jego oczy. Pozbawiony emocji. Skoncentrowany na osiągnięciu celu.

Chociaż wtedy, z chłopcem, było inaczej. Peter Hale. Coś wtedy poczuł, na przekór szkoleniu, na przekór

żołnierzom, którzy uczyli go oglądać śmierć i cierpienie pod mikroskopem. Badać je. Uczyć się go. Ale niczego nie odczuwać.

On jednak coś poczuł, i to na tyle mocno, że w ostatniej chwili zmienił plany, czego nigdy do tej pory nie czynił. Zmienił cel. Zamierzał usunąć matkę, lecz zamiast niej sprzątnął syna.

Oczywiście tylko on o tym wiedział, ale i tak nie dawało mu to spokoju. Nie chciał być taki jak dawniej, łatwo unoszący się gniewem, łatwo ulegający emocjom. Tacy ludzie popełniają błędy. On był strategiem, najemnikiem na polu bitwy, ze ściśle określonym celem i planem działania.

Drzwi jednej z wind otworzyły się i wyszła stara kobieta z torbami wypchanymi zakupami. Szła powoli i ostrożnie, utykając na prawą nogę. Przy każdym kroku krzywiła się boleśnie. Nie widziała go, kiedy ładowała zakupy do bagażnika ani kiedy otwierała drzwi. W garażu panował półmrok, w samochodzie było jeszcze ciemniej. Nie widziała go nawet wtedy, kiedy usiadła za kierownicą, zatrzasnęła drzwi i odetchnęła z ulgą, że wreszcie może dać odpocząć udreńczonym stopom.

Pochylona, przez chwilę starała się trafić kluczykiem w stacyjkę. Kiedy jej się wreszcie udało, silnik zamruczał cichutko, a z głośników popłynęły dźwięki muzyki klasycznej, kobieta oparła głowę na zagłówku, odprężyła się...

...i zobaczyła go w lusterku.

Błyskawicznie zasłonił jej usta dłonią, tłumiąc krzyk. Nie sięgnął po pistolet, bo nie było potrzeby. Pochylił się do przodu i spokojnym głosem wyszeptał jej do ucha:

- Pojedziemy tylko na małą przejażdżkę.

Nie chciał, żeby dostała zawału albo wpadła w panikę. Miała przewieźć go przez strzeżoną bramę prowadzącą nad jezioro Las Vegas. Mieszkała tam sama w posiadłości, w której będzie mógł bezpiecznie zaczekać do nocy.

Zdawał sobie sprawę, że to trudna droga. Gdyby chodziło tylko o zabicie dziewczyny, z pewnością wybrałby łatwiejszą. Przecież bawiła się w kasynach, opalała w solariach... Mógłby ją dopaść w każdym z tych miejsc. Ale przy okazji miał też przekazać wiadomość: żadna ochrona nie pomoże.

Mogę uderzyć gdziekolwiek zechcę.

Idę po ciebie.

15

Linda Hale powiedziała im, żeby jechali Bonanza Road na wschód tak długo, aż zapragną zostać mormonami. Tam właśnie mieszkała jej matka. Tancerka, która stała na scenie za Amirą Luz.

Stride zrozumiał, o co chodzi z tymi mormonami dopiero wtedy, kiedy dojechali niemal do końca Bonanza Road u podnóża gór na wschód od miasta. Wznosiła się tam ogromna mormońska świątynia. W okolicy stały obszerne luksusowe domy z jaguarami na podjazdach, gustownymi ogródkami skalnymi i basenami. Helen Truax, matka Lindy, mieszkała w jednym z najładniejszych, niemal dokładnie naprzeciwko świątyni, z widokiem na dolinę, wartym co najmniej dwa miliony dolarów. Od Lindy wiedzieli, że jej matka nie jest mormonką i że czerpie nieukrywaną satysfakcję z faktu, iż jej zamożni, głęboko religijni sąsiedzi wiedzą, czym zajmowała się w przeszłości.

Kiedy Helen Truax otworzyła drzwi, ani trochę nie wyglądała jak czyjokolwiek babcia. Była mokra i miała na sobie biały półprzezroczysty szlafroczek narzucony na jednocześnie kostium. Chociaż stała bosa, wzrostem prawie dorównywała Stride'owi. Wiedział, że kobieta ma sześćdziesiąt lat, ale wyglądała na niewiele ponad czterdzieści.

- Proszę wejść.

Uśmiechnęła się, prezentując śnieżnobiałe zęby. W ręce trzymała kieliszek z białym winem. Nigdy nie widział równie błękitnych oczu.- Pani córka powiedziała, że wygląda pani imponująco - odezwała się Serena. - Miała rację.

Helen się roześmiała.

- Chciałabym powiedzieć wam, że to wszystko naturalne, ale, niestety, rozminęłabym się z prawdą. Jeśli coś mi opada, to podciągam, jeśli się marszczy, to wygładzam. - Ujęła w dłoń pełną pierś. - Gdyby nie to, już pewnie bym się o nie potykała.

Odwróciła się na pięcie i sprężystym krokiem ruszyła w głąb domu. Szlafroczek był na tyle kusy, że Stride mógł z podziwem zagapić się na falujące pośladki. Serena zauważyła to i dała mu kuksańca.

Dom nie był ani zagracony, ani przesadnie ozdobiony. Białe lub pastelowe ściany były niemal puste, na posadzce we wszystkich pomieszczeniach leżała miodowa wykładzina dywanowa. Nieliczne przedmioty dekoracyjne pochodziły głównie z Włoch: ręcznie dmuchane wyroby szklane i olejne krajobrazy w odcieniach brązu. Tylko w szerokim holu wisiały zdjęcia w wąskich ramkach: Helen i Sinatra, Helen i Wayne Newton, Helen i Boni Fisso...

Gospodyni zauważyła, że Stride przygląda się fotografiom.

- Helena Troy, tak się nazywałam na scenie. Podoba się panu?

- Wygląda na to, że znała pani wszystkie wielkie gwiazdy...

- Jasne. Wtedy to było jeszcze małe miasto i wszyscy się znali. Turyści przypominali małe dzieci przyciskające nosy do szyby i starające się wchłonąć jak najwięcej bajkowej atmosfery.

- Ale teraz już tak nie jest?

- O nie! Magia bezpowrotnie znikła. Wtedy, w latach sześćdziesiątych, to była nasza złota era. Wszystko miało odpowiednią klasę, a teraz... teraz to po prostu biznes. Taki Disneyland z Myszka Miki w toplesie. Nawet gwiazdy już nie są takie same. Brakuje mi tamtych czasów, i to bardzo.

Helen westchnęła i wprowadziła ich do obniżonego salonu, za którego przeszkloną ścianą roztaczał się zapierający dech w piersi widok na dolinę. W przeciwległej ścianie z surowego kamienia umieszczono obszerny kominek. Po prawej stronie był barek z lustrami. Wyszli na patio. Gospodyni przysunęła trzy krzesła do stolika o szklanym blacie i ustawiła parasol w taki sposób, by znalazły się w cieniu.

Stride zauważył dwa leżaki przy krawędzi basenu. W promieniach popołudniowego słońca na kafelkowej nawierzchni szybko schły odciski dwóch par stóp. Najwyraźniej Helen miała gościa, który nie został zaproszony do udziału w rozmowie.

- Linda była bardzo wzburzona, kiedy do mnie dzwoniła. Chyba pomyślała, że w jakiś sposób winicie

mnie za śmierć Petera...

- Nie ma mowy - zapewniła ją Serena. - Sprawdzamy tylko, czy istnieje związek między śmiercią Petera a zabójstwem MJ Lane'a.

- A kto to taki? - Chyba zauważyła ich zdziwienie, bo szybko dodała: - Pewnie uznacie, że jestem dziwaczna i staromodna, ale w telewizji oglądam tylko stare filmy. I nie czytam gazet. Zbyt wiele tam złych wiadomości.

- MJ Lane został zamordowany w pobliżu kasyna Oasis - wyjaśnił Stride. - Był synem Walkera Lane'a.

Helen zamrugała i poruszyła się niespokojnie.

- Znałam Walkera Lane'a, ale przed czterdziestu laty. Nie rozumiem, jaki związek może mieć ta sprawa ze śmiercią Petera...

- W ciągu dwóch tygodni w tajemniczych okolicznościach zginęły dwie osoby - odparła Serena. - Rodziny obu ofiar znały ludzi, którzy w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym byli związani z Szeherazadą, a zwłaszcza...

- ...z Amirą Luz - dokończyła Helen.

- Otóż to. - Stride postanowił zagrać trochę w ciemno. - Rozmawiała pani z Reksem Terrellem, prawda? W swoim artykule wymienił panią wśród osób, które sporo zyskały na znajomości z Amirą.

Helen skinęła głową.

Stride oparł łokcie na szklanym blacie i pochylił się do przodu.

- Może opowiedziałyby nam pani dokładnie, co się wtedy działo?

Kobieta przez jakiś czas spoglądała na dolinę, po czym odwróciła się do Stride'a z kamienną twarzą.

- Dobrze mi się żyje. Mój mąż jest prawnikiem,

wiele czasu spędza poza domem. Jestem pewna, że rozumiecie. - Wiedziała, że zauważyli ślady przy basenie. - Poplotkować z dziennikarzem o dawnych czasach to jedno, a zeznawać jako świadek to coś innego. Chodzi o morderstwo w kasynie, którego właścicielem jest Boni Fisso. Boni ma długie ręce i dobrą pamięć.

- Czy ktoś pani groził? - zapytała Serena. - Sądzi pani, że zabójstwo pani wnuka miało być ostrzeżeniem?

- Nie - odparła kobieta bez namysłu. - Nikt się ze mną nie kontaktował, a już na pewno nie Boni. Do głowy by mi nie przyszło, że śmierć Petera może mieć jakikolwiek związek ze mną albo z przeszłością.

- Właśnie dlatego musimy wiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym - wyjaśnił Stride. - Żeby ustalić ten związek.

- To może być jedyny sposób, żeby znaleźć zabójcę Petera - dodała Serena.

- Peter... - szepnęła Helen. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nigdy nie byłam bardzo uczuciowa, nie wierzę też, że związki międzyludzkie trwają wiecznie. Moi byli mężowie mogliby coś powiedzieć na ten temat. Ale tego chłopca naprawdę kochałam... - Zabębniła palcami w blat i na chwilę przygryzła dolną wargę. - Szczerze mówiąc, czuję się trochę tak, jakbym też miała krew na rękach. Nienawidziłam Amiry. Potwornie jej zazdrościłam. Muszę przyznać, że ucieszyłam się, kiedy zginęła. Teraz się tego wstydzę, ale wtedy miałam dwadzieścia jeden lat, byłam ambitna, a ona stała mi na drodze.

- Jaka ona była?

- Amira? Prawdziwa skandalistka.

- W jakim sensie?

Gospodyni uśmiechnęła się zjadliwie.

- Jesteście za młodzi, żeby zrozumieć tamte czasy. Co prawda trwała już rewolucja seksualna, ale atmosfera miała jeszcze wiele z lat pięćdziesiątych. Obfite czupryny. Paskudne okulary w grubych oprawkach, w których wszyscy wyglądali jak bibliotekarze. Przedziwne nakrycia głowy i kuse minispódniczki, które wszystko odsłaniały, a mimo to miałyśmy w nich przyzwoicie wyglądać. - Roześmiała się. - No i mnóstwo golizny. Lido w Stardust, Folies w Trop, Minsky's w Slipper... Wszędzie toples, ale reszta w rozsądnych granicach. Mimo to ściągaliśmy na siebie gromy. W radzie miejskiej zasiadali ludzie, których zdaniem kawałek gołego cycka na scenie oznaczał koniec cywilizacji. Domagali się cielistych trykotów, odsunięcia sceny od publiczności, takich tam... Na szczęście nikt ich nie słuchał. Tak jak mówiłam, nasza golizna była całkiem niewinna. - Pociągnęła łyk wina. - Ale potem pojawiła się Amira. Teraz muszę przyznać, że miała w sobie coś specjalnego, coś, czego mi brakowało. No i była pozbawiona jakichkolwiek oporów. Kiedy Boni wstawił ją do spektaklu jako główną tancerkę, zrobiła prawdziwą furorę. Tamten spektakl był bardzo konserwatywny, za to *Płomień*... Boże! Kiedy leciała do Paryża, wszyscy traktowali ją jak primadonnę, ale kiedy wróciła i wystawiła *Płomień*... Wcześniej nikt czegoś takiego nie widział. Ona się nie rozbierała, ona nie tańczyła, tylko prawie masturbowała się na scenie! Uwierzcie mi, w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym to był prawdziwy skandal!

- Jaką była osobą? - zapytał Stride.

- Zimną. Ambitną. Egoistyczną. - Przesunęła czubkiem palca po krawędzi kieliszka. - Czy to surowa ocena? Przyznaję, że byłam do niej uprzedzona, bo

traktowała mnie jak gówno. Tak samo jak wszystkie inne dziewczyny. Z nikim się nie przyjaźniła, o nikogo nie troszczyła. Interesowała się wyłącznie sobą.

- Wie pani może, w jaki sposób Amira trafiła do Vegas? Jak zaczęła?

- W tamtych czasach dla dziewczyn, które chciały zrobić karierę, były tylko dwie drogi: Hollywood i Vegas. Nie wydaje mi się, żeby Amirze zależało na tym, by zostać gwiazdą filmową. Ona uwielbiała kontakt z publicznością. I uwielbiała seks, więc nic dziwnego, że zjawiła się właśnie tutaj.

- Ale chyba nie wystarczyło się „zjawić”, żeby zostać gwiazdą?

- Zwyczajnym dziewczynom na pewno nie, lecz Amira nie była zwyczajna. Zaczęła od tego, że weszła Moose’owi do łóżka, a on wpuścił ją na scenę. To był początek. Dalej prowadził ją jej seksapil.

- W jaki sposób dostała się do Moose’a? Helen roześmiała się.

- Był dość łatwo dostępny, jeśli chodzi o „te rzeczy”. Później powiedział mi, że nigdy w życiu tak dobrze mu się nikogo nie pieprzyło. Oczywiście wtedy nie zdawał sobie sprawy, że ta suka wbije mu nóż w plecy, to znaczy odbierze mu jego show.

- Musiał być mocno niezadowolony...

- Był wściekły, a w jego przypadku to naprawdę coś znaczy. Zdemolował garderobę, kiedy dowiedział się, że w *Płomieniu* to ona będzie główną gwiazdą, nie on. Uspokoił się dopiero po rozmowie z Leem.

- Kto to jest Leo?

- Leo Rucci, prawa ręka Boniego. Zajmował się bieżącymi sprawami związanymi z prowadzeniem kasyna.

- Jak pani sądzi, co Leo powiedział Moose'owi?
- Przypuszczalnie tyle, że jeśli się nie zamknie, to wylądaje na ulicy ze zdefasonowaną buźką.

- A więc Moose nie przepadał za Amirą... - mruknął Stride.

- Jasne. Nikt z nas jej nie lubił. Szła do celu po trupach.

- Miała chłopaka? Po Moosie, znaczy się.

- Ja nikogo takiego nie widziałam. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby miała wielu przyjaciół. Rzadko pokazywała się w kasynie, jeśli akurat nie występowała. My lubiliśmy sobie pograć albo napić się w towarzystwie gwiazd, ale Amira znikiała zaraz po występie. Chyba w ten sposób starała się budować swój wizerunek. Była niedostępna, a to sprawiało, że mężczyźni jeszcze bardziej jej pożąдали.

- Proszę nam opowiedzieć o Walkerze Lanie. Podobno on też pożył Amiry.

W oczach Helen zamigotały figlarne ogniki.

- Ale najpierw pożył mnie!

- Spała z nim pani? - zapytała Serena.

- Raz. Tamtej wiosny kręcił w Vegas film. *Neonowe noce*. Pamiętacie? Cóż, szybko popadł w zapomnienie, ale w tamtych czasach zarobił sporo pieniędzy. Kilka scen kręcono w Szeherazadzie. Poznałam Walkera, kiedy przyszedł na spektakl. Mam wrażenie, że w ciągu kolejnych dwóch miesięcy przeleciał cały balet.

- Amirę też?

Helen pokręciła głową.

- Wtedy była w Paryżu, ale kiedy latem pojawiła się z *Płomieniem*, Walker natychmiast się w niej zadurzył. Co tydzień przylatywał z Los Angeles i siadał w pierwszym

rzędzie. Zachowywał się jak szczeniak, ale o ile mogliśmy się zorientować, nie dostał, czego chciał.

- Od niespełnionej miłości do zabójstwa daleka droga - rzekła Serena. - Wygląda na to, że Moose miał znacznie lepszy motyw. Albo pani.

- To prawda - przyznała Helen. - Z drugiej strony, to nie my wyjechaliśmy z miasta zaraz po morderstwie. Jak myślicie, dlaczego rozpuszczono pogłoskę, że Walkera nie było tej nocy w Vegas? Boni chronił swojego najlepszego klienta. Ale Walker był wtedy w mieście. Widziałam go na przedstawieniu.

- Proszę nam opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło.

- Niewiele mam do powiedzenia. Dwa razy występowaliśmy z *Płomieniem*: o ósmej i o jedenastej wieczorem. Amira brała udział w obu spektaklach. Około pierwszej w nocy widziałam, jak wychodzi, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. A rano okazało się, że nie żyje.

- Czy widziała pani Walkera podczas drugiego występu?

- Nie. Zwykle był na obydwóch, ale tego wieczoru zauważyłam go tylko na pierwszym.

- Czy po występie pojawił się w kasynie?

- Nie widziałam go potem. Już nigdy.

- A co pani zrobiła po ostatnim spektaklu? - zapytała Serena.

- Poszłam do pokoju. Czekał tam na mnie Leo i przez jakąś godzinę testowaliśmy wytrzymałość łóżka.

- Leo Rucci? Menedżer? Gospodyni skinęła głową.

- Tak właśnie o sobie mówił: menedżer. W rzeczywistości był pięścią Boniego. Straszyl i bił ludzi, kiedy zachodziła taka potrzeba.

- Więc dlaczego poszła z nim pani do łóżka? Na

twarzy Helen pojawiło się rozbawienie.

- Przede wszystkim dlatego, że byłam ambitna, jak Amira. Wiedziałam, że jeśli postanowi robić karierę gdzieś indziej, to ja mam szansę na główną rolę. Miałam nadzieję, że Leo szepnie o mnie słówko Boniemu, i nie zawiodłam się. Ale to nie wszystko... - Mrugnęła porozumiewawczo. - Leo miał największego fiuta, jakiego w życiu widziałam. Ponad dwadzieścia centymetrów i gruby jak kielbasa. Mogłam się z nim pieprzyć tylko po przedstawieniu, bo gdyby potraktował mnie tym sprzętem przed spektaklem, na pewno nie dałabym rady niczego zatańczyć.

Powiedziała to rzeczowym, niemal obojętnym tonem. Stride z każdą chwilą nabierał coraz wyraźniejszego przekonania, że Helen po prostu lubiła być wulgarna. Robił wszystko, co mógł, żeby się nie zaczerwienić, lecz mimo to poczuł pieczenie na twarzy. Na szczęście Serena pospieszyła mu z odsieczą.

- Jak długo Leo był u pani?

- Mniej więcej godzinę, czyli gdzieś do drugiej w nocy. Zwykle zabawialiśmy się trochę dłużej, ale tym razem musiał wyjść.

- Dlaczego?

- Mickey go wezwał. Wybuchła jakaś bójka.

- Kto to jest Mickey? Helen wzruszyła ramionami.

- Ratownik. Ratownikami byli prawie zawsze studenci, którzy dorabiali sobie podczas wakacji i przy okazji pieprzyli żony bogatych biznesmenów, kiedy ci zabawiali się przy stołach. Mickey powiedział, że jakiś gość upił się przy basenie i wszczął burdę. Leo poszedł tam, żeby złamać mu nos.

- Czy właśnie w ten sposób zawsze rozwiązywał problemy? - zapytał Stride.

- Owszem. Paskudny był z niego typ. Wielki jak góra. Mnie też szturchnął parę razy i powiedziałam sobie wtedy, że wystarczy tego dobrego.- Słyszała pani później coś o tej awanturze?

- Ani słowa. To pewnie nie było nic wielkiego. Gdyby zamieszania narobiła jakaś sława, wszyscy by o tym mówili, a tak to nazajutrz jedynym tematem była Amira.

- Leo też już się nie pojawił?

- Zobaczyłam go dopiero następnego dnia.

- Mówił coś o morderstwie? Kobieta uśmiechnęła się.

- Tylko tyle, że mam trzymać gębę na kłódkę i nie zadawać pytań. Pozostałe dziewczyny usłyszały tę samą radę. Gdyby ktoś nas pytał, miałyśmy mówić, że nic nie wiemy.

- A co z policjantem, który prowadził śledztwo? Nazywał się Nicholas Humphrey. Rozmawiała z nim pani?

- Jasne. Wszystkich przesłuchiwał. Leo był przy tym. Nikt niczego nie powiedział, ale Nick nie sprawiał wrażenia rozczarowanego. Wątpię, czy w gruncie rzeczy zależało mu na dotarciu do prawdy.

- Nick? - zdziwił się Stride. - Znała go pani?

- Był stałym gościem w Szeherazadzie. Czasem po godzinach dorabiał sobie jako ochroniarz różnych gwiazd.

Stride zaczął podejrzewać, że być może Rex Terrell jednak miał rację.

- A czy ochraniał też Walkera Lane'a?

- Możliwe, że w trakcie kręcenia *Neonowych nocy*, ale nie jestem pewna. - Pochyliła się w ich stronę. Kilka kropli wody wylądowało na blacie stolika. - Mogę was o coś zapytać? Co to wszystko ma wspólnego ze mną? Albo z Peterem?

- Pomyśleliśmy, że być może ktoś usiłuje zmusić panią do milczenia - wyjaśniła Serena.

- Nikt mi nie groził.

Stride obserwował ją uważnie. Widział jej prawdziwy wiek, którego nie mogły ukryć ani kosmetyki, ani chirurgia plastyczna. Dostrzegł też rozwiązłość. Nie widział natomiast ani fałszu, ani lęku. Ta kobieta niczego nie ukrywała ani się nie obawiała.

- Jeszcze nie wiemy, kto to robi ani dlaczego - przyznał. - Proszę jednak zachować ostrożność. Dopóki nie dowiemy się, o co toczy się gra, nie potrafimy przewidzieć kolejnego ruchu tego człowieka. Człowiek czuje się tu trochę jak na szczycie świata, pomyślał Stride, patrząc na ciągnące się hen, daleko, czerwonopomarańczowe szczyty oświetlone blaskiem zachodzącego słońca, na tle krystalicznie czystego, ciemnoniebieskiego nieba. Wyżłobione przez erozję bruzdy na zboczach wyglądały tak, jakby ktoś wyrzeźbił je ostrzem noża. Widok był tak piękny, że aż zapierał dech w piersi.

Upał zelżał, właściwie zrobiło się już tylko przyjemnie ciepło, choć podmuchy nagrzanego powietrza przypominały o niedawnym skwarze. Stride doskonale pamiętał, jakie męki przeżywał latem, gdy nie mógł złapać oddechu, gdy płuca paliły go żywym ogniem. Jak bardzo brakowało mu ożywczych powiewów znad jeziora, oczyszczających powietrze burz, chłodu Minnesoty... Żył w piekarniku, który ktoś ustawił na wolne pieczenie i zostawił na trzy miesiące.

Spojrzał jeszcze raz na dom Helen.

- Jak myślisz, jaka jest w łóżku? - zapytał z uśmiechem, przenosząc wzrok na Serenę.

- Tak dobra, że na pewno byś sobie nie poradził.

- Chyba masz rację. Zadzwoiła jego komórka.
- To Sawhill. - Stride wyobraził go sobie siedzącego przy biurku i metodycznie ściskającego piłeczkę. - Witam, poruczniku.

Serena przesunęła palcem w poprzek szyi.

- Wiem od Cordy'ego, że twoim zdaniem może istnieć związek między zabójstwem MJ i śmiercią Petera Hale'a - powiedział Sawhill bez żadnych wstępów.

- Na to wygląda.

Wyjaśnił, w jaki sposób odkryli powiązania Helen Truax z Walkerem Lane'em, i powtórzył, co Helen powiedziała im o Amirze Luz.

- Wydawało mi się, że powiedziałem wyraźnie, że ten kierunek śledztwa jest zamknięty.

- To prawda - odparł Stride, starannie dobierając słowa. - Pociągnęliśmy ten wątek wyłącznie z zawodowej ciekawości. Serena przypadkiem rozpoznała tę kobietę na zdjęciu w „LV”, które towarzyszyło artykułowi Reksa Terrella.

- Z zawodowej ciekawości... - powtórzył Sawhill takim tonem, jakby przed chwilą napił się skwaśniałego mleka. - I ja mam niby w to uwierzyć?

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo na to liczę... Sawhill roześmiał się.

- Lubię ludzi, którzy nie uważają mnie za idiotę, i szanują gliniarzy, którzy słuchają instynktu, nawet jeśli czasem prowadzi ich na manowce. Tak jak najprawdopodobniej w tym wypadku.

- Rozumiem.

- A co z tym zabójstwem w Reno?

- Serena rozmawiała z Jayem Wallingiem. Jak na razie nic nie wskazuje na to, żeby ofiara albo jej rodzina

mieli jakikolwiek związek z Szeherezadą lub Amirą, ale będzie szukał dalej.

Zadzwoiła także komórka Sereny, która odebrała połączenie i odeszła nieco na bok.

- Na razie musimy trzymać prasę z daleka, jasne? - mówił dalej Sawhill.

- Tak jest.

- I nadal utrzymuję zakaz rozmawiania z Walkerem Lane'em bez uzgodnienia tego ze mną.- Rozumiem.

Stride nie uznał za stosowne poinformować przełożonego, że Walker Lane zajmuje wysokie miejsce na jego osobistej liście podejrzanych, ex aequo z człowiekiem, którego nazwisko zapewne sprawiłoby Sawhilla w drgawki - z Bonim Fisso. Śledztwo coraz wyraźniej zamieniało się w polityczne tornado o trudnych do przewidzenia skutkach.

- Jaki jest wasz następny ruch? - zapytał porucznik.

- Chcę pogadać z Nickiem Humphreym, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Amiry.

- W porządku, dam ci jego adres. Wciąż mieszka w Vegas.

Stride usłyszał stukot klawiszy, a potem Sawhill wyrecytował adres w północnej części miasta. Stride zapisał go w notesie.

- Tylko działajcie ostrożnie. Pozwalam wam na to, bo chyba instynkt cię nie zawiódł, ale trzymaj tę swoją zawodową ciekawość na krótkiej smyczy.

Sawhill odłożył słuchawkę. Stojąca kilka kroków od Stride'a Serena także zakończyła rozmowę.

- To był tylko opieprz - poinformował ją. - Sawhill uważa, że związek jest mało prawdopodobny, ale nie odbiera nam sprawy. Przynajmniej na razie.

- Cholerny kłamca - odparła z uśmiechem.

- Jak to?

- Dzwonił Cordy - wyjaśniła. - Związek jest bardziej niż prawdopodobny. W samochodzie, na wewnętrznej stronie przedniej szyby, znaleźliśmy piękny odcisk palca. Taki sam jak ten na automacie do gry w Oasis.

- Sukinsyn... - wycedził Stride. - Sawhill wie o tym?

- Cordy właśnie od niego wyszedł.

- I pomyśleć, że starałem się być dla niego uprzejmy! Wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę powrotną do miasta. Jak tylko zaczęli zjeżdżać w dolinę, eleganckie rezydencje ustąpiły miejsca skromnym domom otoczonym otynkowanymi na szaro murami. Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle, Stride zerknął z ukosa na Serenę. Znowu wspólnie pracowali nad tą samą sprawą. Jak latem przy morderstwie Rachel Deese, kiedy się poznali. Poczul nagły przypływ adrenaliny.

- A więc mamy do czynienia z zabójcą, który zostawia wizytówki na miejscu zbrodni...

- Czy Jay Walling porównał te odciski ze znalezionymi w Reno? - zapytał Stride.

- Tak. Bez rezultatu.

- A więc może jednak nie ma żadnego związku?

- Albo jeszcze go nie znaleźliśmy. Może sprawca wpadł na pomysł zostawiania wyraźnych śladów dopiero po potrąceniu chłopca i dlatego podrzucił nam paragon ze sklepu?

- Różnica polega na tym, że Helen i Walker Lane są wymienieni w artykule w Reksa Terrella i mają powiązania z Amirą Luz. Fordowie, z tego, co zdołaliśmy ustalić, nie mają z nią nic wspólnego.

- Sądziś, że wszystko zaczęło się właśnie od

artykułu Rekxa? - zapytała Serena.

- Kto wie... Zanim zaczął węszyć, przez kilkadziesiąt lat nikt nie interesował się śmiercią Amiry. Może zwrócił czyjąś uwagę?

17

Kiedy wysiedli na podjeździe przed domem Nicka Humphreya, z sąsiedniego budynku wypadło coś w rodzaju małej, białej, porośniętej sierścią komety. Był to west highland terier, który najpierw obtańczył ich na tylnych łapach, a potem ułożył się na grzbiecie, prezentując podbrzusze. Serena parsknęła śmiechem, przykucnęła i zaczęła go drapać, a właściwie ją, i zwierzę przymknęło ślepią ze szczęścia. Chwilę potem pojawił się jego właściciel - lekko utykający czarny mężczyzna.

- Bardzo państwa przepraszam.

Suczka zerwała się, podbiegła do pana i zatrzymała się, najwyraźniej sygnalizując, że chce, by wziął ją na ręce. Mężczyzna schylił się z wysiłkiem i podniósł ją, a ona odwdzieczyła się, liżąc mu twarz.

- Ale z ciebie strażniczka, nie ma co... - wymamrotał.

- Prawdziwa przylepka - zauważyła Serena.

- To prawda, lubi ludzi. Jestem Harvey Washington. Przyjechaliście do Nicky'ego?

Skinęli głowami.

- Jest w domu i pewnie ogląda ESPN. Ja wolę History Channel. Najbardziej podobają mi się filmy o dinozaurach. - Postawił psa z powrotem na ziemi, ten zaś usiadł, nie spuszczać wzroku z pana. - Wątpię, czy spodobałyby ci się tamte czasy, mała. Mogłabyś skończyć jako przekąska dla jakiegoś tyranozaura.

Pies nie przejął się szczególnie, tylko podbiegł do

Sereny, skrobnał ją łapą w łydkę i znowu ułożył się na grzbiecie.

- Jak ty się zachowujesz? - skarcił ją Harvey. - Wciąż tylko leżysz i rozkładasz nogi... Ludzie pomyślą, że z ciebie łatwa dziewczyna!

Miał siwe kręcone włosy i szeroki nos. Skóra koloru czekolady wisiała na nim jak zbyt obszerny strój. Ubrany był w niebieskie szorty i białą koszulkę polo.

- Od dawna zna pan Nicka? - zapytał Stride.

- Od lat. Jeszcze zanim się tu sprowadziłem.

- Pan też służył w policji? - zainteresowała się Serena.

- Nie, nic z tych rzeczy, ale widzę, że wy dwoje jesteście stamtąd. Poznają was na kilometr.

Stride zauważył dziwny błysk w oczach mężczyzny. Być może Harvey Washington nauczył się rozpoznawać z daleka policjantów w niezbyt miłych okolicznościach. Kilkadziesiąt lat temu niełatwo było czarnym w Las Vegas.

- Nie będę was zatrzymywał. Na pewno chcecie spokojnie pogadać z Nickiem. Jak go zobaczycie, to spytajcie, czy pamięta, żeby łykać lisinopril. Ma takie ciśnienie, że butelka szampana by się nie powstydziała.

Podniósł rękę na pożegnanie i powłócząc nogą, wrócił do domu.

Nad ich głowami przeleciał mały samolot. Znajdowali się w pobliżu portu lotniczego North Las Vegas. Nick Humphrey mieszkał przy całkiem niedawno wytyczonej ulicy. Dokoła było jeszcze wiele niezabudowanych działek. Dobiegał niezbyt odległy warkot buldożerów i koparek, szykujących teren pod kolejne osiedle tanich domków jednorodzinnych. Wznoszono je według standardowych planów i malowano na ten sam

beżowy, smutny kolor. Stride'owi zrobiło się przykro na myśl, że po kilkudziesięciu latach służby Humphreya nie było stać na nic lepszego.

Nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jakby gospodarz czekał na nich z ręką na klamce. Humphrey zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem. Nawet kiedy Stride wyjaśnił, kim są i że chcą porozmawiać o sprawie sprzed lat, wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się ani trochę.

- Chodzi o Amirę Luz - dodał Stride.

- Tak właśnie myślałem - warknął Humphrey, po czym wzruszył ramionami i wpuścił ich do środka.

Miał śnieżnobiałe, ostrzyżone na jeża włosy i kozią bródkę. Jak na swój wiek był imponującej postury, a kiedy uścisnął im dłonie, poczuli się tak, jakby witali się z imadłem. Miał na sobie dzinsy, kaptcie i tużurek luźno związany w pasie. Zaprowadził ich do niewielkiego salonu, ciągnąc za sobą delikatną woń maści rozgrzewającej.

- Napijcie się piwa? Jakby ktoś pytał, to powiem, że to była woda mineralna. - Nie zaskoczyła go ich odmowa. - Nie ma sprawy. I tak by nikt nie uwierzył, że mam w domu wodę mineralną...

Weszli do typowego salonu kawalerskiego domu: na obdrapanym i poplamionym stoliku wałały się fiołki po lekarstwach i puszki po piwie, książki i gazety leżały na podłodze. Siadając na sofie, Stride usłyszał, jak skrzypnęły sprężyny, a cała konstrukcja ugięła się niebezpiecznie. Spod popękanego materiału obiciowego wyłaziła pożółkła gąbka.

Na stoliku leżała też stara piłeczka bejsbolowa. Stride wziął ją do ręki i zauważył autograf wykonany spłowiałym granatowym atramentem: *Willie Mays*.

- Musi być sporo warta - zauważył.
- A co, nie wolno mi mieć nic cennego?
- Tego nie powiedziałem.

Humphrey prychnął ze zniecierpliwieniem.

- Jestem zbieraczem. - Usiadł w starym fotelu naprzeciwko nich. - Słyszałem, że wydziałem zabójstw kieruje teraz Sawhill?

- To prawda - odparła Serena.

- Banda mormonów rządzi Miastem Grzechu - wymamrotał Humphrey, wydymając pogardliwie wargi. - Kpiny, jak słowo daję. No dobra, walcie.

- Pracowałeś z Sawhillem? - zapytała Serena.

- Jasne. Ambitny ale bystry. Najpierw polityka, Bóg na drugim miejscu. Słyszałem, że w przyszłym roku zamierza startować na szeryfa.

Serena skinęła głową.

- Ale podobno nie ma zbyt dużych szans.

- Nie skreślałbym go tak szybko. Ma sporo atutów: brata, który jest bliskim doradcą gubernatora, i siostrę, która pracowała przy ostatniej kampanii burmistrza. A jego ojciec, Michael Sawhill, jest bankierem wielu kasyn. Cała rodzina nieźle się ustawiła.

- Odniosłem wrażenie, że wcale się nie zdziwiłeś na wiadomość, że przyszedliśmy w sprawie Amiry Luz...

- Czytałem artykuł w „LV”. Ten gnojek Terrell praktycznie zarzucił mi korupcję. Skontaktowałem się z prawnikiem, ale powiedział mi, że niewiele mogę zrobić. Szkoda, bo przydałaby mi się kasa na remont.

- Zdaje się, że wiele osób było wtedy przekonanych, że Walker Lane maczał palce w zabójstwie - zauważyła Serena.

Humphrey wzruszył ramionami.

- Ale nie było na to żadnych dowodów. Za to mnóstwo dowodów wskazywało na tego typu z Los Angeles.

- Jednak Walker był tamtej nocy w Vegas - powiedział Stride.

- Wiem o tym, do cholery. Ale zgłosiło się sześciu świadków, którzy zgodnie twierdzili, że przed drugim występem Amiry Walker wsiadł do samochodu i pojechał do Los Angeles.

- Mogli przecież kłamać...

- Jasne, że mogli. Ale jeśli kłamali, robili to wyjątkowo sensownie.

- Rozmawiałeś z Bonim Fisso o tych wydarzeniach?

Humphrey poruszył się niepewnie i podrapał w kroczu.

- Boni miałby rozmawiać z glinami? Już to widzę. Gadalem z Leem Ruccim. On tam wszystkim rządził. Najgorszy sukinsyn, jakiego w życiu widziałem.

- Podobno zażegnał bójkę, która wybuchła tej samej nocy, gdy popełniono morderstwo. Badałeś tę sprawę?

- Bójkę? O niczym takim nie słyszałem. Rucci nie zająknął się ani słowem. Jego alibi było takie, że w tym czasie rznął jedną z tancerek, a ona to potwierdziła. Poza tym Rucci nie zażegnywał bójek, tylko je wywoływał.

- Rozmawiałeś z ratownikiem Mickeyem? To on wezwał Rucciego.

- Nie. Chłopakami przy basenie nikt nie zawracał sobie głowy. - Humphrey dźwignął się z fotela. - Muszę się odlać. Prostata. Cholerne gówno. Założę się, że jest już wielkości pomarańczy.

Jak tylko wyszedł z pokoju, Stride wstał z sofy, kręcąc głową.

- Starość to straszna rzecz - powiedział.

- Skoro tak twierdzisz... - odparła Serena z niewinnym uśmiechem.

Czasem myślał o dzielącej ich różnicy wieku. Prawie dziesięć lat... Bał się, że któregoś dnia Serena obudzi się i zada sobie pytanie, co robi u boku tego starego człowieka. Nie czuł się ani specjalnie staro, ani młodo, ale nie był też supermanem. Zdawał sobie sprawę, że w wieku czterdziestu paru lat część wyposażenia ma już w nieco zużytych stanie. Na pewno fizycznie czuł się tu lepiej niż w Minnesocie, gdzie niskie temperatury i przenikliwy wiatr znad jeziora często dawały mu się we znaki.

Dla odmiany Serena rozkwitała, przynajmniej w jego oczach. Tylko jej dusza była wyraźnie starsza i chyba to tak bardzo zbliżyło ich do siebie. Zapewne odpowiedzialne za to były przeżycia z młodości. Bardzo chciał, żeby mu kiedyś o tym opowiedziała. Na razie od czasu do czasu coś tam wspominała, ale większość nadal pozostawała dla niego tajemnicą.

Rozglądał się po zagraconym salonie, szukając wskazówek, które powiedziałyby mu więcej o gospodarzu. Podłoga w okolicy fotela zasłana była sportowymi dodatkami gazet z Las Vegas, Los Angeles, Chicago i Nowego Jorku. Zaprzysięgły kibic, pomyślał. Humphrey najwyraźniej wiele czasu poświęcał swojej pasji.

Sam fotel cuchnął alkoholem. W domu panował nieprzyjemny zaduch, jakby właściciel nie otwierał okien. Stride odniósł wrażenie, że czuje też ledwo uchwytną woń kreolskich potraw.

- Spójrz tutaj! - zawołała Serena.

Stała przed ścianą obwieszoną od góry do dołu fotografiami bardzo podobnymi do tych, które Stride

widział w restauracji Battista's. Dean Martin, Elvis, Marilyn Monroe...

- Wszystkie z autografami - zauważyła Serena. Stride wzruszył ramionami.

- Przecież powiedział, że jest kolekcjonerem.

- Ale to są imienne dedykacje. Dla niego. Zaintrygowany Stride podszedł do niej.

- Helen wspomniała, że dorabiał sobie jako ochroniarz.

- Tak, ale popatrz na to, co napisała Marilyn... Stride zbliżył twarz do zdjęcia przedstawiającego uśmiechniętą platynową blondynkę. *Nicky, co to była za noc... Potrzebowałam Cię, a Ty byłeś. Całuję. MM*

- Wspaniała z niej była dziewczyna - powiedział Humphrey, wchodząc do pokoju ze szklanką napelnioną do połowy płynem, który mógł być tylko whisky.

- Daj spokój, Nick. - Stride z niedowierzaniem pokręcił głową. - Willie Mays, Dean Martin, proszę bardzo. Ale nie Marilyn Monroe!

Humphrey bez słowa odstawił szklanke, pogrzebał w stosie książek leżących na stoliku i rzucił jedną Stride'owi. Była to biografia Marilyn Monroe.

- Od strony siedemdziesiątej drugiej zaczynają się zdjęcia. Jedno z nich przedstawia list do DiMaggio. Sam oceń, czy to ten sam charakter pisma.

Stride otworzył książkę, po czym przysunął ją do ściany, tuż obok fotografii. Nie ulegało wątpliwości, że list i dedykację napisała ta sama osoba. Humphrey ponownie zajął miejsce w fotelu, wziął szklanke do ręki i uśmiechnął się, ogromnie zadowolony z siebie.

- Powiecie mi, po co naprawdę przyszliście? Wątpię, żeby naszą firmę było stać na grzebanie w sprawach sprzed

czterdziestu lat.

Stride i Serena również usiedli. Stride wciąż zerkał na fotografię Marilyn, nie mogąc pozbyć się podejrzeń, że Humphrey jednak ich nabiera.

- W ciągu minionych dwóch tygodni zamordowano bliskich krewnych dwóch osób wymienionych w artykule Rekxa Terrella - wyjaśniła Serena. - Mamy pewność, że obu zabójstw dokonał ten sam sprawca. Próbujemy ustalić, czy ma to coś wspólnego ze śmiercią Amiry Luz.

- Czterdzieści lat to bardzo długo, żeby czekać z wendetą - zauważył Humphrey.

- Mimo to może powinieneś zachować ostrożność. To samo dotyczy twojej rodziny.

Humphrey wzruszył ramionami.

- Nie mam żony ani dzieci. Jestem ostatni z rodu.

- Domyślasz się, kto to może robić i dlaczego? - zapytała Serena.

- Nie mam pojęcia - odparł Humphrey. - Chyba nie myślicie, że to ja? Geriatryczny seryjny morderca, to by dopiero była historia... Nakręciliby o mnie serial dla telewizji.

- W takim razie co, twoim zdaniem, się tutaj dzieje? - zapytał Stride.

- Wspomniałeś o Bonim Fisso. Startuje z nowym, kosztownym projektem, zgadza się? Wartym dwa miliardy dolarów?

Stride skinął głową.

- My też o nim pomyśleliśmy. Może mu zależeć na tym, żeby prawda o śmierci Amiry nigdy nie ujrzała światła dziennego. Podejrzewaliśmy, że chce wysłać sygnał do ludzi, którzy mieli z nią cokolwiek wspólnego, by trzymali gęby na kłódkę.

- Boni nie bawiłby się w wysyłanie sygnałów, tylko po prostu sprzątnąłby wszystkich świadków - odparł Humphrey, kręcąc głową.

Stride był pewien, że emerytowany policjant był kiedyś bystrym, dociekliwym gliną. I właśnie dlatego luki w śledztwie w sprawie śmierci Amiry stawały się jeszcze bardziej podejrzane.

- Spójrzmy na sprawę z innej strony - zaproponował Humphrey. - Może ktoś chce storpedować plany Boniego z zemsty za to, co spotkało Amirę, zaczyna więc zabijać, podsuwając wam ślady, które prowadzą w przeszłość.

Ślady, pomyślał Stride. Odciski palców.

- Czy Amira miała krewnych?

- Nawet jeśli tak, to ja ich nie znalazłem. Była jedynaczką, oboje rodzice nie żyli. Ale to wcale nie musi być ktoś z nią spokrewniony. Boni w swoim czasie narobił sobie mnóstwo wrogów.

- Pytanie brzmi, dokąd prowadzą te ślady - zastanawiał się głośno Stride. - Jeśli masz rację co do tego gościa, to najwyraźniej on jest pewien, że sprawa śmierci Amiry nie została do końca wyjaśniona.

- No to się myli! - warknął Humphrey.

- Nick, posłuchaj... - odezwała się Serena łagodnym tonem. - Tylko nie zrozum mnie źle, proszę. Wiemy, że często bywałeś w Szeherezadzie, że dorabiałeś jako ochroniarz. - Wskazała na fotografie na ścianie.

- I co z tego? - zapytał Humphrey, przesywając ją lodowatym spojrzeniem.

- To były inne czasy inne prawa. Ja zastanawiam się tylko nad tym...

- ...czy brałem w łapę, tak? Nad tym się właśnie zastanawiasz? Cholera, jesteście tacy sami jak Rex Terrell!

- Nikt nie mówi o braniu w łapę, ale mamy mnóstwo wątpliwości, a ty jesteś na tyle bystry, że z pewnością też je miałeś. Chcemy tylko wiedzieć, czy były naciski, żeby śledztwu jak najprędzej ukrócić łeb.

Stride odniósł wrażenie, że w oczach emerytowanego policjanta dostrzegł ból i coś jakby cień wstydu. Humphrey opuścił wzrok na szklanę, opróżnił ją jednym haustem, po czym wydusił przez zaciśnięte gardło:

- Nie było żadnych nacisków.

Stride dostrzegł kątem oka jakieś poruszenie. W drzwiach salonu stanął Harvey Washington z psem w ramionach i smutną miną. Psiak wrywał się gwałtownie, chcąc stanąć na własnych łapach.

- Nick, dlaczego nie powiesz im prawdy? Jesteśmy już starzy, pies z kulawą nogą się nami nie przejmie.

- Mógłbym sobie napytać biedy, Harvey - odparł Humphrey bez śladu zdziwienia w głosie. - Tobie zresztą też.

Ciemnoskóry mężczyzna pokręcił głową i postawił psa na podłodze, ten zaś błyskawicznie przemknął przez pokój, wskoczył gospodarzowi na kolana i zaczął sposobić się do drzemki.

- Więc to twój pies? - zdziwiła się Serena.

- Może jednak byście nam powiedzieli, co się tu właściwie, do cholery, dzieje? - zaproponował Stride.

Harvey czekał z założonymi rękami. Humphrey długo drapał psa za uchem, nie podnosząc wzroku, aż wreszcie wzruszył ramionami.

- Ty powiedz, jeśli uważasz, że tak trzeba - zwrócił się do Harvey a.

- Na litość boską, nie bądź dzieckiem! - Harvey przysunął sobie koślawe krzesło i usiadł. - Owszem, były

naciski - zwrócił się do Stride'a i Sereny. - Ale nic z tych rzeczy, o których myślicie. Nick nie wziął złamanego centa, a wyciszył sprawę ze względu na mnie.

- Jak to? - zdumiała się Serena.

- Prawie od pięćdziesięciu lat jesteście razem.

Humphrey głośno odetchnął. Można było odnieść wrażenie, że gdyby w pokoju znajdowała się szafa, schowałby się do niej w okamgnieniu.

- Leo Rucci wiedział. Nie wiem skąd, ale wiedział. Dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli zacznę grzebać nie tam, gdzie należy, to moi szefowie się dowiedzą, że jestem gejem. Natychmiast wyleciałbym z roboty.

- Nie tam, gdzie należy, czyli w okolicach Walkera Lane'a?

Humphrey rozłożył ręce.

- A co myślicie? Oczywiście orientowałem się, że sprawa cuchnie na kilometr, ale nie miałem wyboru.

- Chodziło nie tylko o pracę Nicka - wtrącił Harvey.

- On by ją stracił, ale ja trafiłbym do więzienia. W tamtych czasach zdarzało mi się bywać na bakier z prawem.

Stride spojrział na fotografię Marilyn Monroe na ścianie.

- Jesteś fałszerzem - domyślił się.

- Jest prawdziwym artystą w swoim fachu - stwierdził Humphrey.

Harvey skromnie pochylił głowę.

- Powiedzmy, że potrafię wytwarzać udane imitacje różnych rzeczy, a kiedy byłem młody, nie bardzo przejmowałem się tym, czy ktoś odróżni je od oryginałów, czy nie...

- Teraz już się tym nie zajmujesz? - zapytał Stride, biorąc do ręki piłkę z podpisem Williego Maysa.

Harvey uśmiechnął się.- Od czasu do czasu daję Nickowi prezenty. To taka nasza zabawa. Na co dzień sprzedaję moje podróbki na eBayu i mam z tego całkiem przyzwoite pieniądze. Oczywiście informuję klientów, że to nie oryginały.

- A twoi klienci zapewne równie uczciwie informują o tym tych, którym je odsprzedają... - odezwała się Serena.

- To już nie moja sprawa - odparł Harvey z uprzejmym uśmiechem.

Stride nie wierzył własnym uszom. Gliniarz gej i jego kochanek, który całkiem przypadkowo jest też genialnym fałszerzem. A rezultat? Taki, że komuś, być może Walkerowi Lane'owi, uszło na sucho morderstwo, za które stracono jakiegoś Bogu ducha winnego nieszczęśnika z Los Angeles. Na dodatek czterdzieści lat później znowu zaczęli ginąć ludzie.

- Czy Leo Rucci jeszcze żyje? Chyba musimy z nim porozmawiać.

- Żyje - powiedział Humphrey - ale on był zawsze tylko wykonawcą. Decyzje podejmował Boni. Tylko on tak naprawdę wie, co się wydarzyło tamtej nocy

- Tyle że Boni zgodzi się pogadać z nami dopiero wtedy, kiedy przedstawimy nakaz prokuratorski, a on będzie obstawiony przez siedmiu prawników destylujących każde jego słowo.

- Spróbujcie dotrzeć do niego przez starego Sawhilla - poradził Humphrey. - Kiedyś przeprowadzał dla niego i innych właścicieli kasyn całkiem spore transakcje.

- Sawhill ma powiązania z Bonim? - zdziwił się Stride.

Humphrey wzruszył ramionami.

- To małe miasto.

- Możecie też pogadać z córką Boniego - dodał Harvey.

Humphrey potwierdził skinieniem głowy.

- Claire Belfort. Używa panińskiego nazwiska matki. Dawno temu mocno poprzytykała się z ojcem. Śpiewa folk w jednej z bud przy Boulder Strip.

- Dlaczego miałyby nam pomóc? Humphrey ponownie wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, czy pomoże. Pewnie nie. Ale jest jedyną osobą, która mogłaby w dziesięć sekund załatwić wam spotkanie z Bonim. Wystarczyłby jeden jej telefon.

18

Zatrzymał lexusa przed rezydencją nad samym jeziorem. W oknach było ciemno - mieszkańcy albo pojechali do miasta, albo żeglowali między greckimi wyspami na Morzu Egejskim. Tym właśnie zajmowali się ludzie mieszkający w Las Vegas: stać ich było na wszystko i wszędzie.

Nie miało to zresztą większego znaczenia. Nawet gdyby ktoś spojrział przez okno i zobaczył lexusa zaparkowanego przed domem, pomyślałby, że to zapewne ktoś z sąsiadów wybrał się na wieczorny spacer nad wodą. Obcy przecież nie mieli tu wstępu. Jedyna droga wiodła przez strzeżoną bramę przy południowym skraju jeziora.

Stara kobieta dobrze odegrała swoją rolę: uśmiechała się do strażnika jakby nigdy nic, jakby tuż za nią nie siedział człowiek z pistoletem wycelowanym w jej głowę. O tym, że coś jest nie w porządku, świadczyło tylko drżenie rąk zaciśniętych na kierownicy. Drżały nie z powodu choroby Parkinsona, co byłoby nawet dość zrozumiałe w tym wieku, ale ze strachu.

Całe popołudnie spędził z nią w domu, obserwując

narastający strach i spoglądając na chylące się ku zachodowi słońce. Przywiązana do krzesła i zakneblowana, wodziła za nim szeroko otwartymi oczami, kiedy przechadzał się przy oknie. Wreszcie zapadł zmrok. Wiedział, iż kobieta jest przekonana, że lada chwila zginie; był bardzo ciekaw, czy serce wreszcie odmówiło jej posłuszeństwa, kiedy po prostu wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał.

Nie pojechał daleko - minął tylko kilka przecznic dzielących dom kobiety od jeziora, nad którego brzegiem wznosiły się najbardziej okazałe rezydencje. Widział stąd doskonale budynek górujący nad sąsiednimi.

Czekał.

Bardzo chciało mu się palić, ale bał się uchylić przyciemnianą szybę. Lepiej, żeby samochód sprawiał wrażenie pustego. Siedział bez ruchu, patrząc, jak w oknach rezydencji zapalają się i gasną światła, a za zaciągniętymi zasłonami przesuwają się od czasu do czasu ludzkie sylwetki. Dzięki miniaturowej lornetce stwierdził z całą pewnością, że oboje są w domu. Tylko oni, nikt więcej.

Od czasu do czasu zerkał w stronę jeziora. Światelka nadbrzeżnych miejscowości migotały jak w bajce. Tym właśnie tutaj handlowano: złudzeniami.

Robił to nie po raz pierwszy i wcale się nie denerwował, ale wpadka z chłopcem cały czas go dręczyła. Pozwolił sobie na chwilę słabości, uległ emocjom. Wcześniej nigdy mu się to nie zdarzało i nie zamierzał dopuścić do tego, żeby zdarzyło się jeszcze kiedykolwiek. Szczególnie teraz, biorąc pod uwagę to wszystko, co miało się dzieć w najbliższych dniach.

Dostrzegł jakieś poruszenie w lusterku wstecznym.

Światła. Obok lexusa przesunęła się wielka czarna limuzyna, zwolniła jeszcze bardziej i zatrzymała się na podjeździe przed rezydencją. Kierowca nie wyłączył silnika ani świateł, nie zatrąbił - nie musiał, ponieważ zjawił się dokładnie o wyznaczonej porze. Przy takich zleceniach nic innego nie wchodziło w grę.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Przez lornetkę obserwował, jak potężny mężczyzna wychodzi z domu i zmierza ku tylnym drzwiom limuzyny. Wszystko w nim było większe niż normalnie. Kierowca już czekał przy samochodzie w lekkim półukłonie, z palcami przy daszku czapki.

Drzwi limuzyny się zamknęły. Zamknęły się też drzwi rezydencji. Czarny samochód wycofał się na ulicę i ruszył w kierunku, z którego przed chwilą przybył, mijając po drodze lexusa.

Zaczekał jeszcze dziesięć minut, siedząc bez ruchu w ciszy i ciemności. Ulica była pusta. Wreszcie uruchomił silnik i z wyłączonymi światłami przejechał powoli kilkadziesiąt metrów dzielących go od rezydencji. Zatrzymał samochód i zaciągnął hamulec ręczny, ale nie wyłączył silnika. Niedługo wróci. Zawsze dziwił się, słysząc o błędach popełnianych przez profesjonalistów, na przykład na wyłączeniu silnika, który potem, w najmniej odpowiedniej chwili, nie dał się uruchomić. Taki błąd mógł kosztować dwadzieścia pięć lat więzienia albo nawet życie.

Po raz ostatni zerknął w lusterka i wysiadł z samochodu. Pistolet w jego prawej dłoni był prawie niewidoczny.

Zbliżając się do drzwi, poczuł coś w rodzaju wahania, ale szybko je stłumił. Wiedział, skąd się wzięło: znał ją. Do tej pory niemal zawsze miewał do czynienia z

obcymi ludźmi, o których nic nie wiedział. Ale tę kobietę znał i nawet ją lubił. Sprawiała wrażenie zagubionej, była ofiarą tak jak i on. Kiedy stanął przed olbrzymimi dębowymi drzwiami z licznymi okuciami, pomyślał, że w tym otoczeniu musiała czuć się wyjątkowo mała.

Ale w ostatecznym rozrachunku nie miało to żadnego znaczenia. Prędzej czy później i tak każdy stawał się ofiarą. Powiedział mu to głos, ten sam, który nieustannie mu towarzyszył i prowadził go.

Amira.

Nacisnął przycisk dzwonka. Mijały sekundy, a on czuł się coraz bardziej niezręcznie. Pistolet ukrył za udem.

Otwarcie drzwi zajęło jej sporo czasu. Od razu go poznała i uśmiechnęła się. Na jej twarzy nie było śladu strachu.

- Cześć - powiedziała dziewczęcym głosem. Była ładna i delikatna. - Nie odebrałaś wiadomości?

Były to jej ostatnie słowa. Kiedy zobaczyła pistolet, miała tylko chwilę, żeby się zdziwić i przestraszyć, a potem było po wszystkim. Nie wolno się wahać, kiedy ma się jakiegokolwiek wątpliwości. Dziesięć sekund później siedział z powrotem w lexusie i z opuszczonymi szybami, żeby jak najprędzej pozbyć się ostrej woni prochu, jechał w kierunku wzgórz odgradzających go od miasta.

19

Serena zamówiła butelkę wody gazowanej i kieliszek do szampana, znalazła stolik dla dwóch osób blisko sceny i dała kelnerowi dwadzieścia dolarów napiwku, żeby zabrał drugie krzesło.

Nie lubiła przychodzić sama do kasyna, ponieważ nieodmiennie musiała wtedy odrzucać nachalne zaloty podchmielonych podrywaczy i patrzeć na przelewające się

wokół niej morze drinków. Ale Stride uznał, że córka Boniego może okazać się bardziej skłonna do współpracy, jeśli kobiety spotkają się sam na sam, bez niego.

Kasyna przy Boulder Strip przyciągały przede wszystkim miejscowych, którzy sądzili (raczej niesłusznie), że mają tu większe szanse niż w ociekających przepychem lokalach przy Las Vegas Boulevard. Serena wiedziała, że Cordy regularnie uczęszcza do Sam's Town, największego z tutejszych kasyn, kilka kilometrów na północ stąd. Trwoniał tam co roku tysiące dolarów, ale w zamian traktowano go jak króla.

Limelight, w którym śpiewała Claire, nie należało do tej samej ligi co więksi kuzyni, tacy jak Sam's Town, Arizona Charlie's albo Boulder Station, i nie miało własnego hotelu. Wzniesiono je przy południowym krańcu szosy, gdzie było jeszcze mnóstwo niezabudowanych działek, supermarketów i małych sklepików z mydłem i powidłem. Dopiero niedawno w okolicy zaczęto stawiać domy mieszkalne, w miarę jak miasto sięgało coraz dalej, wypuszczając macki w pustynię.

Kasyno poddano niedawno gruntownemu remontowi, usuwając resztki wystroju wnętrza z czasów, kiedy było po prostu przydrożną speluną, w której co wieczór wybuchały burdy, a życiowi nieudacznicy tracili ostatnie dolary. Nikt nie żałował tej przemiany. Limelight może nie stało się supereleganckie, ale należało do nielicznych lokali w mieście, gdzie za cenę kilku drinków można było posłuchać na żywo muzyki country. Wpadła tu ze Stride'em raz czy dwa. Sala do gry ze stolami i automatami wrzutowymi była mikroskopijnych rozmiarów, ściany obito zielonym pluszem mogącym wywołać atak klaustrofobii, na długim barze zainstalowano kilka

automatów do gry w pokera, a przed wąską sceną tłoczyło się około pięćdziesięciu okrągłych stolików.

Popijając wodę, obserwowała, jak sala szybko się zapełnia. Najwyraźniej Claire Belfort miała dobrą reputację. W sobotę wieczór zawsze było tu tłoczno, ale teraz był wtorek, z czego wynikało, że większość gości przyszła ze względu na nią. W pierwszej chwili Serena uznała, że karierę Claire ułatwiły pieniądze ojca, ale teraz wcale nie była już tego taka pewna. Limelight może nie zaliczało się do najważniejszych scen w kraju ani nawet w mieście, lecz ci, którzy tu przychodzili, znali się na muzyce.

Punktualnie o dziewiątej członkowie zespołu zaczęli zajmować miejsca. Zestaw był typowy: skrzypce, gitara basowa, perkusja i gitara elektryczna. Na sali przygasły światła, włączono reflektory nad sceną. Popłynęły dźwięki łagodnej, melancholijnej melodii; Serena natychmiast rozpoznała jedną ze swoich ulubionych piosenek, *You'll Never Leave Harlan Alive* - gorzką skargę na los górników z Kentucky. Wielokrotnie słuchała jej w wykonaniu Patty Loveless, a Patty wysoko ustawiła poprzeczkę.

Gdzieś zza sceny w melodię wplótł się lekko schrypnięty niski głos. Z takim głosem Claire spokojnie mogłaby śpiewać bluesa. Był mocny i przepełniony uczuciem, ale równocześnie oddawał niuansy nastroju w sposób, jaki Serena słyszała do tej pory jedynie u najlepszych piosenkarzy country. Trochę przypominał głos Allison Moorer - hipnotyzujący i zarazem podniecający zupełnie jakby słuchało się śpiewu syreny.

Wreszcie na scenie pojawiła się Claire. Powitały ją huczne brawa, ale szybko umilkły ponieważ publiczność nie chciała uronić ani jednego słowa, ani jednego taktu.

Piosenkarka miała długie, jasne włosy zakręcone na końcach, twarz o ostrych rysach, ze znamieniem na policzku, odrobinę szpecącym, ale zarazem dodającym atrakcyjności. Oczy były błękitne, inteligentne, o przesywającym spojrzeniu. Na strój składały się różowa jedwabna bluzka z rozpiętymi trzema górnymi guzikami, czarne spodnie i pantofle na wysokich, cienkich obcasach. Blask światła odbijał się w złotych kolczykach.

Podeszła do krawędzi sceny, tuż nad Sereną, śpiewając o pewnym dziadku z dziewiętnastego wieku, który wrócił do kopalni, by wyżywić rodzinę, i zginął tam, tak jak wielu innych. Serena wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. Kiedy spojrzały sobie w oczy, poczuła coś dziwnego, elektryzującego... Gotowa była uznać, że to złudzenie, ale w głębi duszy dobrze wiedziała, że to prawda.

Kiedy piosenka dobiegła końca - ostatnie słowa Claire wyśpiewała szeptem jak duch - Serena zerwała się na równe nogi, klaszcząc ile sił w dłonie. Zauważyła rumieniec na twarzy Claire, widziała, jak piosenkarka chłonie energię emanującą z rozentuzjasmowanej widowni.

Kolejne piosenki - ballada, rockabilly, kilka bluegrassowych coverów - też były smutne, też opowiadały o stracie, beznadziejności i śmierci. W ustach miernego wykonawcy z pewnością zabrzmiałyby fałszywie, lecz Claire uczyniła je autentycznie wzruszającymi.

Co jakiś czas, coraz częściej, spoglądała na Serenę. Mówiła do niej. Drażniła się z nią. To nie mogło być złudzenie. Kiedy na nią patrzyła, na ustach Claire pojawiał się leciutki uśmiech. To nie była kpina ani ironia. Serena czuła się tak, jakby Claire śpiewała specjalnie dla niej. Jakby ją uwodziła.

Od lat nie zaznała czegoś takiego. Choć piła tylko wodę, to jednak zaszumiło jej w głowie. Muzyka i dym oszołomiły ją, głos Claire był jak delikatny dotyk dłoni pieszczących jej ciało. Nagle poczuła się naga i bezbronna.

To było cudowne.

Godzinę później Claire otworzyła drzwi garderoby z tym samym uśmiechem na ustach. Jej skóra błyszczała od potu, oczy na widok Sereny stały się wielkie i pytające.

- Jestem Serena Dial z wydziału zabójstw. Chciałabym zadać pani kilka pytań.

Większość ludzi po takim wstępie miękła, pokorniała, wylewała z siebie skrywane od lat tajemnice. Claire tylko uniosła brew i otworzyła szerzej drzwi, żeby Serena mogła precyzyjnie się obok niej.

Garderoba była ciasna i obskurna. Podłogę wyłożono poźółkłym linoleum, sufit był poznaczony zaciekami. Z niektórych kapała woda do podstawionych aluminiowych misek. Przy jednej ścianie stała sofa, stolik do kart i kilka krzeseł, przy drugiej - wieszak na kółkach. Wyposażenia dopełniały lodówka i zlewozmywak. Drugie drzwi prowadziły najprawdopodobniej do łazienki.

Claire wskazała sofę i krzesła.

- Proszę siadać, gdzie pani woli. Serena zajęła miejsce na krześle.

- Napije się pani czegoś? - Kiedy Serena pokręciła głową, Claire dodała: - Bo chyba nie powinnam proponować skręta glinie...

Serena się roześmiała, Claire zaś wyjęła z lodówki wodę mineralną, usiadła na krześle po drugiej stronie stolika, wyciągnęła przed siebie długie nogi i oparła łokieć na blacie.- Serena Dial... - powiedziała, otwierając butelkę

szczyłymi palcami. - Ładnie brzmi.

- Dziękuję.

Claire niespodziewanie pochyliła się do przodu i przesunęła dłonią po włosach Sereny.

- Masz piękne włosy. Czego używasz?

Serena z lekkim wstydem wymieniła nazwę taniego szamponu. Claire skinęła głową i z powrotem oparła się na krześle.

- Przypuszczam, że policjanci nie rozmawiają o takich sprawach, zgadza się? Przecież jesteście twardzielami. Powinnaś być gruba i obrzydliwa, a jesteś piękna.

- To wersja na czas wolny - odparła Serena z uśmiechem. - W pracy jestem gruba i paskudnie się ubieram.

Claire również się uśmiechnęła.

- Podobał ci się występ?

- Ogromnie. Nie rozumiem, dlaczego już od dawna nie jesteś w Nashville.

- A co, czy tu nie jest wspaniale? - Złapała w dłoń kroplę spadającą z sufitu. - Nie robię tego dla pieniędzy, mogę śpiewać, co chcę i kiedy chcę... W Nashville natychmiast zjawiliby się ludzie, którzy by mi mówili, co mam robić.

- Tacy jak twój ojciec.

Claire na chwilę zacisnęła usta.

- Tak, tacy jak mój ojciec. Powinam być zaskoczona, że o nim wiesz? Nie jestem, bo to żadna tajemnica.

- Ale i nie chwalisz się tym jakoś szczególnie...

- Rzeczywiście, nie. Jemu to też chyba na rękę. Po to tu przysłaś? Żeby porozmawiać o Bonim?

- Między innymi.

- A o czym jeszcze? - zapytała Claire, pociągnawszy łyk z butelki.

- Żeby ostrzec cię, że może ci grozić niebezpieczeństwo.

- To ciekawe. I ty zamierzasz mnie bronić?

- Nie żartuję. Zginęło już dwóch ludzi.

- Wcale nie powiedziałam, że uważam to za żart, ale dlaczego ktoś miałby zabić właśnie mnie? Dlatego że jestem córką Boniego? To musiałby być jakiś kretyn. Znam mojego ojca, a skoro jesteś gliną, to ty też go znasz i dobrze wiesz, że Boni rozprawiłby się ze wszystkimi, którzy maczaliby w tym palce. Nie zostałyby po nich nawet wspomnienie.

- Wątpię, żeby ten człowiek albo ci ludzie przejmowali się takimi rzeczami. - Serena opowiedziała o śmierci Petera Hale'a i MJ Lane'a i o związkach łączących te wydarzenia z zabójstwem Amiry Luz sprzed czterdziestu lat. - Słyszałaś o niej?

- Nie. Boni nigdy nie wymienił przy mnie tego imienia. Urodziłam się dokładnie w tym roku...

- A o Walkerze Lanie?

- O nim tak, oczywiście, ale nie potrafię powiedzieć, czy miał cokolwiek wspólnego z moim ojcem.

- Dlaczego się pokłóciliście? - zapytała Serena. Claire nie odpowiedziała. Podniosła butelkę do ust, napiła się, po czym wzięła w dłoń rękę Sereny i środkowym palcem przesunęła po niej aż do nadgarstka. Palec był wilgotny, bo butelka była mokra.

- Wiesz, że potrafię czytać z dłoni? - spytała z kpiącym uśmiechem.

- I co widzisz?

- No cóż... Już wcześniej wiedziałam, że jesteś twarda...

- Zgadza się.

- Jesteś glina, więc wolę nie przyglądać się linii życia. Za to linia miłości jest, niestety, przerwana.

- Naprawdę?

- Zdecydowanie tak. Widzę też, że kiedy byłaś znacznie młodsza, łączyło cię gorące uczucie z kobietą.

Serena gwałtownie cofnęła rękę.- Co to ma być, u licha?

Claire podniosła rękę w uspokajającym geście.

- Tylko żartowałam... Ale wygląda na to, że dotknęłam bolesnego miejsca.

- Po prostu mnie zaskoczyłaś.

- Nie przejmuj się. Tak naprawdę mówiłam o sobie. Jestem lesbijką, jeśli jeszcze nie zauważyłaś.

- I pewnie Boni nie mógł się z tym pogodzić?

- O to też poszło.

- Ale nie tylko?

Claire westchnęła głęboko.

- Przez dwadzieścia osiem lat Boni sterował moim życiem tak jak wszystkim dokoła. Jestem jedynaczką, więc zależało mu na tym, żebym poszła w jego ślady. Zdałam na Uniwersytet Las Vegas i zrobiłam dyplom z hotelarstwa, żeby kiedyś przejąć od niego interesy. Na tym też mu zależało. Całe swoje ambicje przelał na mnie.

- Więc co się stało?

- Pewnego dnia musiał dokonać wyboru między interesami a mną - odparła Claire z kamienną twarzą. - Wybrał interesy. Jakoś wcale mnie to nie zaskoczyło.

Serena była pewna, że Claire nie jest całkiem szczerą.

- A matka?

- Umarła przy porodzie. Zawsze byliśmy tylko we dwoje, ja i Boni. Do chwili kiedy uznałam, że chcę być sobą, a nie klonem ojca.

- Ty też jesteś twardzielem - zauważyła Serena.

- Przecież powiedziałam, że tak naprawdę czytam z własnej dłoni. Tak czy inaczej rozstaliśmy się już ponad dziesięć lat temu i od tej pory prawie nie rozmawialiśmy. On od czasu do czasu próbuje nawiązać kontakt, ale ja jestem całkowicie niezależna. Nie zamierzam pozwolić, żeby mnie kupił. Doprowadza go to do szału. Jestem jedynym człowiekiem na świecie, którego nie udało mu się zdominować.

Serena podświadomie czuła, że Claire bardzo przypomina ojca. Uparta. Niezależna. Ich kłótnie musiały przypominać małe wojny. Zaimponowało jej, że się nie ugięła. Ona, Serena, musiała przejść podobną drogę, żeby wyzwolić się spod niszczącego wpływu matki.

- Trochę trudno mi teraz poprosić o to, o co zamierzałam...

Claire wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy, proś. Ale później być może ja poproszę, żebyś i ty opowiedziała mi o swoich tajemnicach.

- Muszę porozmawiać z twoim ojcem. Podejrzewamy, że może wiedzieć, co się dzieje i dlaczego. Jeśli zabójstwo Amiry istotnie ma jakiś związek z tymi zdarzeniami, to niewykluczone, że jest jedynym człowiekiem, który potrafi złożyć w całość elementy łamigłówki.

- I dlatego chcesz, żebyśmy do niego zadzwoniła?

- Zgadza się.

- Przykro mi, Sereno, ale nie mogę. Nie chcę stać się

jego dłużniczką.

- Rozumiem. Pamiętaj jednak, że w grę wchodzi życie wielu ludzi. Być może również twoje.

- Naprawdę sądzisz, że grozi mi niebezpieczeństwo?

- Tak.

Claire skinęła głową.

- W takim razie muszę się zastanowić. Chyba nie muszę od razu odpowiadać?

- Ale nie zastanawiaj się zbyt długo. - Serena podała jej wizytówkę. Claire wzięła ją do ręki i popukała w blat stolika.

- Powiesz mi coś?

- Powiem - odparła Serena z uśmiechem.

- Miałam rację, prawda?

- Jeśli chodzi o mnie? To nie twoja sprawa.

- No tak, zapomniałam: jesteś twardziel. - Claire wstała, podniosła ramiona i przeciągnęła się leniwie. - Chyba wezmę prysznic.

- Pójdę już - powiedziała Serena, podnosząc się z krzesła, ale Claire powstrzymała ją gestem.

- Nie musisz. Przecież możemy rozmawiać. - Zasuwała zasuwkę w drzwiach garderoby, po czym rozpięła bluzkę. - Śpiewasz?

- Ja? Nie. Nawet karaoke unikam jak ognia.

- Więc w jaki sposób wyrażasz swoje uczucia?

- Robię zdjęcia. Na pustyni.

Claire ostrożnie, używając do tego obu rąk, zdjęła kolczyki. Położyła je na stoliku, a następnie odgarnęła włosy do tyłu.

- Chętnie bym je zobaczyła.

Claire zsunęła bluzkę z ramion, odsłaniając jasne, pełne piersi ze sterczącymi czerwonymi sutkami. Kiedy się

odwróciła, by powiesić bluzkę na wieszaku, zakołysały się łagodnie.

- Może masz ochotę zostać na kolację? - zapytała.

- Niestety, nie mogę.

Claire rozpięła suwak, zsunęła spodnie z bioder, a następnie, zginając się mocno w pasie, zdjęła spodnie. Teraz miała na sobie tylko czarne stringi.

- Szkoda.

Serena zdawała sobie sprawę, że to właściwa chwila, żeby rzucić jakiś żart albo po prostu powiedzieć cokolwiek, wstać i wyjść, ale nie wykonała żadnego ruchu. Claire zaczekała jeszcze kilka sekund, po czym szybkim ruchem ściągnęła stringi. Jasnobrązowe włosy na wzgórku łonowym miała przystrzyżone, tak że został tylko wąski paseczek. Przez chwilę stała bez ruchu, po czym zniknęła w łazience. Zaraz potem rozległ się szum wody.

Serena dopiero teraz podniosła się z miejsca. Może by i wyszła, gdyby nie to, że pojawiła się Claire. Narzucony na ramiona ręcznik zasłaniał jej piersi, ale nic więcej.

- Woda długo się grzeje - wyjaśniła jakby nigdy nic. Serena skinęła głową i usiłowała zwilżyć językiem usta, ale jej się nie udało. Claire podeszła tak blisko, że prawie jej dotykała.

- Może byś się przyłączyła?

- Nie. Nie mogę...

- Jesteś bardzo piękna.

- Ty też - odparła Serena, niewiele myśląc.

- Chętnie bym się jeszcze z tobą zobaczyła.

- Ale ja nie jestem lesbijką.

- Jakie to ma znaczenie? Kiedy ktoś mnie pociąga, nie obchodzi mnie, czy jest mężczyzną, czy kobietą. A ty

mnie pociągasz.

- Jestem z kimś. Z mężczyzną - dodała pośpiesznie.

- Ale ja ciebie też pociągam, prawda?

Serena chętnie by zaprzeczyła, lecz nie zrobiła tego.

- Posłuchaj... Nic z tego nie będzie.

Claire musnęła jej twarz koniuszkami palców.

- Nie ukrywaj tego przed nim. Nie powinniście mieć przed sobą tajemnic.

- Przepraszam, ale zdaje się, że wysyłam mylące sygnały...

- Wcale nie. Pragniesz mnie tak mocno, że aż prawie do bólu. Co w tym złego?

Zadzwoił telefon Sereny. Odskoczyła do tyłu jak oparzona i wydobyła go pośpiesznie. Kiedy usłyszała głos Stride'a, ogarnęło ją ogromne poczucie winy. Nie mogła uwierzyć, co zrobiła, a tym bardziej co chciała zrobić. Deirdre wystarczy, postanowiła w duchu.

- Co się stało? - zapytała i zawstydziała się jeszcze bardziej, ponieważ przypuszczała, że w jej głosie wyraźnie słychać podniecenie.

Stride szybko sprowadził ją z powrotem na ziemię.

- Mamy kolejne morderstwo - powiedział.

20

Patrząc na ciało Tierney Dargon, Amanda z trudem powstrzymywała łzy. Zdziwiło ją to - w ciągu minionych lat przyzwyczała się do widoku śmierci, ale do tej pory rzadko musiała oglądać zwłoki ludzi, których знаła, kiedy jeszcze żyli. Miała do czynienia po prostu z trupami, z martwymi ciałami pozbawionymi osobowości. Ale z Tierney rozmawiała tak niedawno, że wciąż jeszcze doskonale pamiętała zapach jej perfum i brzmienie trochę dziecinny głos. Polubiła ją. Współczuła jej. Tierney

była porządną dziewczyną zagubioną w paskudnym świecie. Była.

Teraz wyglądała tak samo jak MJ: szeroko otwarte oczy, w których zamarło zdumienie i przerażenie, strużki krwi na twarzy biegnące od dziury po pocisku w czole. Martwa w holu rezydencji Moose'a, tak samo jak Alice Ford w Reno. Nie miała czasu na jakąkolwiek reakcję; otworzyła drzwi, spojrzała śmierci w twarz i koniec. Jej mózg przestał istnieć, zanim zdążył zareagować.

Rozejrzawszy się dokoła, Amanda stwierdziła, że nawet żywa Tierney zupełnie by tutaj nie pasowała. Była młoda, a to był dom starego, bogatego człowieka. Moose zamienił go w świątynię swojej przeszłości, z półkami wypełnionymi różnymi nagrodami, spłowiałymi plakatami reklamującymi jego występy i mnóstwem fotografii przedstawiających go na scenie. Pod względem fizycznym był wielkim człowiekiem, i taki sam był jego dom. Salon ozdabiała wysokie rzymskie kolumny ze złoceniami, stał tam fortepian, a znaczną część sufitu zajmowało przezroczyste dno usytuowanego na piętrze basenu. Samą rezydencję wzniesiono w jednym z najlepszych i najdroższych miejsc w Las Vegas, nad sztucznym jeziorem, w pobliżu pola golfowego, z widokiem na pustynne wzgórze ciągnące się hen, w nieskończoność.

Tutaj nikt nie zawahałby się otworzyć drzwi nawet komuś obcemu. Jezioro Las Vegas leżało kilka kilometrów na wschód od miasta, wśród wzgórz, przy drodze prowadzącej do jeziora Mead. Do osiedla MiraBella oraz pozostałych osiedli ulokowanych nad jego brzegami prowadziła tylko jedna szosa, ze strzeżoną bramą, która miała utrzymać z dala obcych i gapiów. Kto dostał się do

środką, był bezpieczny.

Ale nie tym razem. Jak to możliwe, żeby zabójca dostał się na teren osiedla? - zastanawiała się Amanda.

- Gdzie Moose? - zapytała jednego z mundurowych. Dostrzegła niechęć w jego oczach. Nic nowego.

- Strażnik przy bramie zeznał, że wyjechał około szóstej. Przypuszczam, że już go szukają.

- Przypuszczasz? - spytała, a policjant wzruszył ramionami. - No więc nie przypuszczaj, tylko się dowiedz i mi zamelduj!

- Tak jest, proszę pana! - odparł z ledwo wyczuwalnym śladem szyderstwa w głosie.

Na miejscu zbrodni pracował już całkiem pokaźny zespół. Na tym polegała jedna z niewielu zalet bycia zastrzelonym w Las Vegas, gdzie tego typu zdarzenia należały do rzadkości - jeśli nie liczyć sytuacji, kiedy bogata żona zabijała bogatego męża. Tutaj każdy trup mógł liczyć na szczególne zainteresowanie. Policję zawiadomił jeden z sąsiadów, który usłyszał strzał. Był myśliwym, potrafił więc odróżnić po dźwięku sztucer lub dubeltówkę, z którymi często polowano na okolicznych wzgórzach, od pistoletu. Kiedy przyszedł, by sprawdzić, co się stało, zastał drzwi otwarte na oścież i martwą Tierney tuż za progiem. Odezwała się komórka Amandy. Dzwonił Stride.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Na zewnątrz, przy twoim samochodzie. Nie wiedziałam, że jeździsz spyderem na miejsce zbrodni.

- Zwykle nie, ale lubię od czasu do czasu przejechać się nim po górskich drogach. O co chodzi?

- Wyjdź do mnie, dobrze?

Irytacja, która ogarnęła ją w pierwszej chwili, ustąpiła miejsca niepokojowi. Zamknęła z trzaskiem

telefon i ruszyła do drzwi. Mijając dwóch techników, usłyszała szyderczy szept i parsknięcie śmiechu. Odwróciła się na pięcie, ale obaj mieli już kamienne twarze, więc tylko obrzuciła ich miażdżącym spojrzeniem, ominęła ciało Tierney i wyszła w ciepłą noc. Drogę dojazdową ogrodzono policyjnymi taśmami, musiała więc przejść przez ogródek skalny. Z tyłu rezydencji rozciągała się ciemna tafla jeziora; na drugim brzegu migotały światelka hoteli i luksusowych domów.

Stride opierał się o błotnik swojego bronca. Zaparkował pod latarnią, czekał na partnerkę z założonymi rękami. Kiedy podeszła, bez słowa wskazał głową na jej samochód. Amanda spojrzała... i zakłęła szpetnie. Na drzwiach kierowcy ktoś wypisał wielkimi literami słowo ZBOCZEK.

- Nie chciałem, żebyś była sama, kiedy to zobaczysz. W sercu Amandy wściekłość walczyła o lepsze z upokorzeniem.

- Sukinsyny! - wycedziła. - Czy to nigdy się nie skończy? Dzięki, że mi powiedziałeś.

- Pytałem, ale nikt niczego nie widział.

- Czemu mnie to nie dziwi?

Przesunęła palcami po farbie. Czowała się prawie tak, jakby została zgwałcona. Być może to też by ją spotkało, gdyby dopadli ją w ustronnym miejscu.

- Nie przejmuj się tak bardzo.

- Do tej pory jakoś mi się udawało.

Nie miała jednak pojęcia, jak dużo jeszcze zdoła wytrzymać. Bez względu na to, jak często udowadniała, ile jest warta, oni wciąż ją gnębili, próbując zmusić do odejścia. Zboczek. Czowała nienawiść do człowieka, który to zrobił. To nie był prymitywny żart. To było coś

pierwotnego i obrzydliwego.

- Wszystko w porządku? - zapytał Stride, przyglądając się jej uważnie.

Pokręciła głową. Nie, nic nie było w porządku.

- Mogłabym złapać najgroźniejszego seryjnego mordercę w kraju, a i tak w gazetach pisałiby o moim fiucie. Czy to naprawdę aż takie ważne?

Stride roześmiał się, a ona po chwili uczyniła to samo. Napięcie powoli opadało.

- No dobrze, może i ważne... - przyznała żartobliwie, po czym dodała: - Wiem, że ludzie o tym myślą, ale czy muszą bez przerwy mi o tym przypominać?

Jeszcze trochę użalała się nad sobą w duchu. Stride czekał cierpliwie, nie ponaglając jej. Była mu za to wdzięczna. Przypomniła sobie, co powiedziała Serena - że Stride pojawił się znikąd i nagle znowu zachciało jej się żyć. Ona też czuła coś w tym rodzaju, choć bez żadnych romantycznych podtekstów, ponieważ kochała Bobby'ego i wiedziała, że Stride kocha Serenę. Jednak dzięki niemu nie czuła się aż tak bardzo samotna, ponieważ był jej sojusznikiem i przyjacielem. Odkąd przestała być Jasonem, nie mogła uskarżać się na nadmiar przyjaciół.

- Powiedz mi, dlaczego ty mnie nie nienawidzisz?

- Daj spokój, Amando.

- Masz rację to głupie pytanie. Uznajmy, że go nie było.

- Wspominałaś, że Tierney ma goryla - powiedział Stride rzeczowym tonem. - Gdzie on był, kiedy się to zdarzyło?

- Samończyk? Przypuszczam, że wynajmowała go tylko wtedy, kiedy gdzieś wychodziła. Dom był pusty.- A czy w takim pałacu nie powinno być służby? Kamerdynera,

pokojówki, ogrodnika albo dwóch?

- Sąsiad, który znalazł ciało, powiedział, że mieli tylko dochodzącą służbę, na dzień. Wieczorami Moose lubił chodzić nago po domu.

- To musiał być ponętny widok - mruknął Stride, krzywiąc się z niesmakiem.

- Mnie najbardziej zastanawia to, w jaki sposób sprawca dostał się na teren osiedla. Na pewno nie przyszedł sobie ot tak, piechotą.

- Czy strażnicy zapisują numery wjeżdżających i wyjeżdżających samochodów?

Amanda skinęła głową.

- Kazałam sprawdzić wszystkie samochody, które opuściły teren osiedla po zabójstwie.

- Czy i tym razem zostawił łuskę?

- Tak. Kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem, taki sam jak przy MJ. Założę się, że kiedy odzyskamy pocisk, okaże się, że został wystrzelony z tej samej broni. Szukamy też odcisków palców - jeśli jakiś znajdziemy, na pewno będzie taki sam jak ten w kasynie.

- Trzy morderstwa - mruknął Stride. - Albo nawet cztery, jeśli doliczymy to w Reno. Nabiera tempa.

Nadbrzeżną drogą zbliżał się jakiś samochód. Była to ta sama limuzyna, w której Amanda rozmawiała z Tierney Dargon.

- A oto i Moose - powiedziała Amanda, wskazując na samochód.

Patrząc na Moose'a nietrudno było zgadnąć, skąd wziął się jego przydomek*. * **Moose** (ang.) - łoś. Był niesamowicie wysoki i w większości zdawał się składać z samych nóg, jakby chodził na szczudłach. Miał długie,

zmięzwione włosy, nienaturalnie czarne jak na kogoś w jego wieku. Kiedy siedział z łokciami opartymi na kolanach i długimi palcami zasłaniającymi twarz niczym macki, włosy opadały mu niemal do nosa. Miał na sobie luźny garnitur. Poluzowana muszka przypominała czarnego nietoperza rozgniecionego na białej koszuli. Siedział w limuzynie w towarzystwie Stride'a i Amandy, prawie dotykając stopami drugiej kanapy.

- Moje biedactwo! Nie powinienem jej tu ściągać. Jestem takim egoistą! Chciałem, żeby ktoś się mną zaopiekował, żeby miał mnie kto pochować, kiedy umrę. A teraz ja ją będę musiał pochować...

Podniósł na nich ciemne oczy ukryte pod słynnymi krzaczastymi brwiami, którymi potrafił poruszać w zupełnie nieprawdopodobny sposób. Ludzie umierali ze śmiechu podczas jego występów. Przed dwudziestu laty Stride widział go w telewizji. Prezentował kąśliwy, autoironiczny rodzaj czarnego humoru, odwołujący się do picia, rozwodów i zawałów serca, czyli do tego, co dobrze znał z własnego życia, ale te roztańczone brwi sprawiały, iż nawet najcięższy żart nabierał lekkości i wdzięku. Dzisiaj jednak brwi były zupełnie nieruchome.

- Może pan nam powiedzieć, gdzie spędził pan dzisiejszy wieczór? - zapytał Stride uprzejmie, lecz stanowczo.

Moose potrzebował trochę czasu, by się skupić i udzielić odpowiedzi. Sprawiał wrażenie autentycznie wstrząśniętego, ale Stride zbyt często miał do czynienia z rozpaczającymi mężami lub żonami, którzy potem okazywali się sprawcami zbrodni. Teraz był szczególnie czujny, bo przecież Moose był zawodowym aktorem.

- Występowałem podczas zbiórki pieniędzy na

kampanię - odparł, wskazując na wpięty w klapę marynarki znaczek zachęcający do ponownego głosowania na gubernatora Duranda.

- Dlaczego nie zabrał pan Tierney? Jedna brew ożyła na chwilę.- W dniu, kiedy mam występ, jestem jak dzikie zwierzę. Lepiej do mnie nie podchodzić. Tierney musiałyby przez cały wieczór siedzieć sama przy stoliku z gromadą wyfraczonych prawników, słuchać ich gadaniny i pozwalać, żeby gapili się na jej cycki. Dlatego nawet jej tego nie proponowałem.

- Kto jeszcze wiedział, że będzie w domu sama? - zapytał Stride, kładąc delikatny nacisk na słowo „jeszcze”.

- Nikt nie przychodzi mi do głowy. Zwykle Tierney gdzieś wychodzi, kiedy mam występ. Jest przecież młoda... Ale dziś wolala zostać w domu i obejrzeć film.

- Mówiła komuś o swoich planach?

- Tylko firmie ochroniarskiej. Zadzwoiła około południa i powiedziała, że dzisiaj nie będzie potrzebowała ochrony.

Stride zerknął na Amandę, pilnie zapisującą w notesie, i poprosił Moose'a o podanie szczegółów dotyczących firmy ochroniarskiej, z której usług korzystała Tierney. Pamiętał, że dziewczyna miała goryla również podczas pobytu w Vegas; należało sprawdzić, czy był z tej samej firmy.

Amanda pochylili się w stronę rozmówcy.

- Panie Dargon, czy znał pan MJ Lane'a?

- Syna Walkera? - zapytał Moose z kamienną twarzą. - Tego, którego zabito w zeszły weekend? Starego poznałem jeszcze w latach sześćdziesiątych, młodego w ogóle nie znałem. Czemu pani pyta?

- Cóż, trudno być delikatnym w takiej sprawie...

Tierney była jego kochanką.

- Ach... - Moose odchylił głowę do tyłu i oparł ją o podgłówek. - Rozumiem - powiedział ze wzrokiem wbitym w podsufitkę. - Myślicie, że jestem zazdrosnym starcem. Takim, co to najpierw zabił kochanka żony, a potem żonę.

- Jest pan znany z porywczego charakteru - przypomniał mu Stride.

Moose opuścił na nich wzrok i uśmiechnął się ze smutkiem. Stride dopiero teraz dostrzegł ziemistą cerę i charakterystyczny sposób, w jaki cienka skóra była opięta na szczęce i kościach policzkowych. Widział coś takiego już wcześniej - wtedy kiedy jego żona Cindy umierała na raka.

- Owszem, dawno temu. Wszyscy byliśmy wtedy chojrakami. Piliśmy, bawiliśmy się, wszczynaliśmy burdy, robiliśmy różne głupoty. Ludzie kochali nas za to. Zdarzało mi się sikać do fontanny w Caesars albo prowokować lalusiów z widowni tak długo, aż rzucali się na mnie z pięściami, a ja wtedy łamałem im szczęki. Skakałem po stołach do gry w blackjacka. Można powiedzieć, że to należało do rytuału. Kiedy posunąłem się za daleko, pakowali mnie do ciupy, żebym otrzeźwiał, a rano jadłem z policjantami jajka na bekonie. Byłem po imieniu ze wszystkimi gliniarzami w mieście i występowałem na przyjęciach urodzinowych ich dzieci.

- A więc tylko udawał pan zabijakę?

- Byłem taki, bo tego ode mnie oczekiwano. Rzeczywiście, czasem zdarzało mi się przesadzić, ale teraz mam już osiemdziesiąt lat i stoję nad grobem. Jestem jak stary pokwikujący cienko wieprz, któremu ucięto jaja. Tamte czasy to już historia. Nie ożeniłem się z Tierney dla seksu ani nawet nie po to, żeby imponować światu piękną

dziewczyną uczeploną mojego ramienia. Możecie mi wierzyć albo nie, ale po prostu się lubiliśmy. Byliśmy przyjaciółmi. Sam ją zachęcałem, żeby spotykała się z młodymi mężczyznami, bo zdawałem sobie sprawę, że wróci do tego życia, kiedy mnie nie będzie. Nie pytałem o szczegóły, więc nie wiedziałem, co dokładnie łączy ją z MJ albo z innymi.

Choć Stride słuchał bardzo uważnie, to jednak nie wychwycił fałszywej nuty.

- Pamięta pan Helen Truax? Na scenie występowała jako Helena Troy.

- Jasne. Była tancerką w Szeherezadzie.- Jak dobrze ją pan znał?

- Wystarczająco dobrze, żeby od czasu do czasu wypić z nią drinka, i to wszystko. Była dziewczyną Lea Rucciego, więc wołałem trzymać się z daleka. Do czego pan zmierza?

- Niespełna dwa tygodnie temu wnuk Helen miał śmiertelny wypadek. Nieznany sprawca potracił go samochodem. Potem zginął syn Walkera Lane'a, a teraz pańska żona. Przypuszczamy, że wszystkich zbrodni dokonała ta sama osoba.

Moose spojrzał na nich przenikliwie.

- Myślicie, że to ma jakiś związek z Szeherezadą?

- Rex Terrell wspominał o was trojgu w swoim artykule o zabójstwie Amiry Luz. Rozmawiał pan z nim?

Górna warga mężczyzny wykrzywiła się w grymasie odrazy, a brwi zdawały się naśladować ten ruch.

- Ja miałbym rozmawiać z takim padalcem jak Rex Terrell? Nigdy w życiu!

- Rex twierdzi, że śmierć Amiry była na rękę panu, Helen i jeszcze kilku osobom.

- Nie przeczę, że nie rozpaczałem za bardzo, kiedy tę sukę szlag trafił - przyznał Moose. - Wykorzystała mnie. Dzięki mnie dotarła do Boniego, a potem kopnęła mnie w jaja.

- Helen powtórzyła nam pańskie słowa, według których Amira była najlepszą kochanką, jaką miał pan w życiu.

- To żadna tajemnica, że byliśmy razem, a hiszpańska krew jest gorąca... Ale zachowała się jak pierwsza lepsza dziwka. Posłużyła się mną jak drabiną, żeby skrócić sobie drogę na szczyty kariery.

- Gdzie był pan tej nocy, kiedy ją zamordowano? - zapytała Amanda.

Moose roześmiał się.

- W kiciu. Pijany jak bela. Już wam mówiłem, że wtedy często mi się to zdarzało. I całe szczęście, jak się okazuje, bo przynajmniej mam solidne alibi.

- Więc nie wie pan, co się wtedy wydarzyło?

- Znam tylko plotki.

- Ma pan na myśli Walkera Lane'a? Moose skinął głową.

- Wszyscy byli pewni, że on to zrobił. Historyjka o sprawcy z zewnątrz pojawiła się w najbardziej odpowiednim momencie. Potrzebowali kozła ofiarnego. Cieszę się, że miałem alibi, bo kto wie, jak by to się dla mnie skończyło.

- A więc pan też uważa, że to sprawka Walkera?

- To bardzo prawdopodobne, choć dość dziwne.

- Dlaczego?

- Nigdy nie przypuszczałem, że Walkerowi starczy odwagi. To mięczak. Żył ostro i szybko, ale był tylko bogatym szczeniakiem z Los Angeles. Żeby zabić Amirę,

trzeba było mieć jaja. Trudno mi uwierzyć, że zrobił to i jeszcze żyje.

Stride i Amanda wymienili spojrzenia.

- Co pan ma na myśli?

- Większość ludzi nie miała o tym pojęcia, ale ja wiedziałem, bo znałem Amirę. Powiedziała mi o tym tylko po to, żeby mi dopiec. A Walker wiedział na pewno. Wiem, że ją uwielbiał, że chodził na wszystkie jej występy, ale Leo Rucci musiał go uprzedzić, żeby nie posuwał się ani kroku dalej.

- Dlaczego?

Brwi Moose'a wykonały krótki taniec.

- Amira Luz była wyłączną własnością jedyne go człowieka w Las Vegas, z którym nie należało zadzierać. Boniego Fisso.

21

Serena zaparkowała przed domem, ale nie wysiadła z samochodu. Wyłączyła komórkę i siedziała bez ruchu w ciemności.

Doskonale pamiętała, jak to było za pierwszym razem z Deirdre, kiedy miała osiemnaście lat. Brała prysznic. Deirdre wiedziała, że te ablucje trwają niekiedy wiele minut, jakby Serena miała nadzieję, że woda albo spłucze straszliwe wspomnienia, albo ją utopi. W Phoenix brała takie długie prysznice za każdym razem, kiedy dealer z nią skończył. Rdzawa woda, najpierw letnia, potem zimna.

Nie była pewna, ile czasu tym razem spędziła pod prysznicem, zmarznięta i zagubiona. Czuła się jak człowiek dotknięty całkowitym paraliżem, który co prawda zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje dokoła, ale nie może w żaden sposób w tym uczestniczyć ani pokierować własnym

losem. Przeszłość na okrągło przesuwała się jej przed oczami, zupełnie jakby te dwa lata, które upłynęły od ucieczki z Phoenix, minęły na rozpaczliwym, niemym krzyku.

Nagle poczuła, jak ktoś wpełza do jej kokonu. Bezszelestnie, nie wiadomo skąd, obok niej znalazła się Deirdre. Nagie ciało przy nagim ciele, usta tuż przy uchu, szepczące: „już dobrze, już dobrze...”. Dłonie na biodrach, brzuchu, kojące i pieszczące. Wstyd, strach, niepewność gdzieś nagle odplynęły, Serena zaczęła łkać, jej ciałem wstrząsały raptowne dreszcze. Zrobiło jej się potwornie zimno, w ciało i duszę. Gdyby nie ciepło promieniujące od Deirdre, pewnie zamarłaby na śmierć. Im bardziej płakała, tym mocniej Deirdre ją tuliła i pocieszała. Już dobrze. Już dobrze.

Serena odwróciła się i wtuliła twarz w miejsce, gdzie ramię łączyło się z szyją Deirdre. Nie miała pojęcia, jak długo tak stały. Choć woda była zimna, im zrobiło się prawie ciepło. Kiedy wreszcie spojrzała w oczy Deirdre, czuła się wolna. Z zachwytem wpatrywała się w mokrą, piękną twarz przyjaciółki, czując, jak wdzięczność, zachwyt i miłość błyskawicznie łączą się w pożądanie. Pierwszy krok uczyniła Deirdre, lecz Serena nawet nie próbowała jej powstrzymać. Wręcz przeciwnie. Ich usta się spotkały, ciała przywarły do siebie z ogromną siłą. Im bardziej Deirdre reagowała, tym bardziej Serena starała się dać jej przyjemność. Całowała, pieściła, dotykała... Słuchała szeptanych próśb, żeby mocniej, dalej, głębiej...

Prosto spod prysznicza wylądowały w łóżku. A potem były długie godziny kochania na skrzypiącym materacu, na którym Serena zwykle spała sama. Wreszcie zaspokojone zasnęły w swoich ramionach.

Przez pół roku były kochankami. Serena doskonale zdawała sobie sprawę, że Deirdre chciała, by tak było już zawsze. Początkowo chciała tego również ona. Bała się mężczyzn, a w objęciach Deirdre czuła się bezpieczna. Nie miała matki, a Deirdre grała także tę rolę. Przez jakiś czas całkowicie to wystarczyło.

Ale w miarę jak Serena odzyskiwała pewność siebie, coraz częściej stwierdzała, że ich związek ma kruche podstawy. Kochała Deirdre, lecz już nie chciała być jej kochanką. Chciała sprawdzić, co potrafi zbudować samodzielnie, bez niczyjego wsparcia ani liczenia na ratunek z czyjejkolwiek strony.

Rozmawiały o tym. Deirdre wpadła w histerię. W końcu Serena zrozumiała, że to właśnie Deirdre bała się bardziej, że to ona potrzebowała miłości i to ona bała się mężczyzn. I nie potrafiła żyć bez Sereny.

Mimo to zakończyła sprawę. W ten sposób zaczęło się nowe życie Deirdre: prostytutka i prochy. Sądziła, że Deirdre robi to dlatego, by się na niej odegrać, by ją ukarać. Do dzisiaj nie mogła sobie tego wybaczyć. Deirdre stanęła przy niej w najgorszych chwilach jej życia, ona zaś odeszła wtedy, kiedy przyjaciółka najbardziej potrzebowała pomocy. Po prostu pozwoliła jej umrzeć. Nawet nie spróbowała się z nią zobaczyć, nie zrobiła nic, żeby jej pomóc.

Siedziała w samochodzie pogrążona we wspomnieniach. Znowu miała osiemnaście lat. Tak się poczuła. Kiedy Claire wyszła na scenę, zamiast niej zobaczyła Deirdre. Kiedy Claire jej dotknęła, poczuła dłonie Deirdre. Ani trochę nie były do siebie podobne, ale to nie miało żadnego znaczenia. Claire miała rację: Serena jej pragnęła. Chciała wejść z nią pod prysznic, rozebrać się,

całować, dotykać i zrobić wszystko, żeby znowu kochać się z Deirdre. Powiedzieć jej, jak bardzo żałuje. Powiedzieć, że wszystko się ułoży.

Już dobrze.

22

- I co teraz? - zapytała Amanda, kiedy stanęli przed domem Moose'a.

- Rano zadzwonię do Walkera Lane'a - odparł Stride. - Gównu mnie obchodzi, co mówi Sawhill.

- Walker nie przyzna się do zamordowania Amiry.

- Nie, ale może wiedzieć, kto teraz zabija i dlaczego. To nie jest działanie na osłep, tylko wendeta.

- Jeśli to Walker zabił Amirę, to czemu Boni go nie załatwił? - zastanawiała się głośno Amanda. - Oczywiście, jeśli założymy, że Moose się nie myli, twierdząc, że Boni i Amira byli kochankami.

Stride pomyślał o apartamencie w Charlcombe Towers i o Bonim Fisso spoglądającym w dół na swoje stare kasyno.

- Zabić kogoś z rodziny to jedno, ale sprzątnąć tak znaną osobistość jak Walker Lane to całkiem coś innego. Gdyby nagle zniknął albo został zamordowany, ludzie zaczęliby zadawać pytania.

- Przecież zniknął - zwróciła mu uwagę Amanda. - Uciekł do Kanady.

Stride skinął głową.

- Może uciekał przed Bonim. I może wciąż ucieka. - Zadzwoniła jego komórka. Spodziewał się telefonu od Sereny, ale numer na wyświetlaczu był zupełnie obcy. - Słucham?

- Znaleźliście ją już? - zapytał męski, pozbawiony emocji głos.

Stride nawet nie musiał pytać, kto dzwoni. Od chwili kiedy zobaczył, jak zabójca zostawia odcisk palca w Oasis, wiedział, że nastąpi taka chwila, że tamten człowiek nawiąże kontakt. Strzelił palcami, żeby zwrócić uwagę Amandy, i włączył głośnik.

- Tak. Właśnie jesteśmy w domu Moose'a.

- Nie ją! - W głosie mężczyzny zabrzmiało zniecierpliwienie. - Nie o niej mówię.

- W takim razie o kim? - zapytał Stride, a patrząc na Amandę powiedział bezgłośnie, poruszając przesadnie ustami: Jeszcze ktoś?

- Musicie działać trochę szybciej. Nie mam czasu na podsuwanie wam wskazówek. Odjechałem srebrnym lexusem. Może to wam pomoże.

To wcale nie brzmiało jak przechwałka. Głos był spokojny i zrównoważony.

- Dlaczego dzwoni pan właśnie teraz? - zapytał Stride.

- Odwalam za was kawał roboty. Zamierzam schwycić zabójcę.

- Czy trzeba po to mordować? Zabił pan niewinnych ludzi. Czy nie lepiej przyjdź do nas i powiedzcie, co pan wie o śmierci Amiry, a my zajmiemy się resztą?

- Tak jak zajmowaliście się przez czterdzieści lat?

- Zabiłeś małego chłopca! - warknął Stride. - To dużo gorsze od tego, co się wtedy zdarzyło!

W słuchawce zapadła cisza. Czyżby trafił w czuły punkt? Słyszał tylko oddech rozmówcy, szybki i chrapliwy.

- Nie macie pojęcia, co się wtedy wydarzyło - powiedział wreszcie mężczyzna.

- Więc wytłumacz mi. I powiedz, co to ma wspólnego z tobą.

Był pewien, że tamten nie jest stary, najwyżej w jego wieku. Nie mógł mieć żadnego związku z wydarzeniami, które rozegrały się w Szeherezadzie.

- Jesteś tam? - zapytał Stride, kiedy milczenie się przedłużało. - Halo?

Połączenie zostało przerwane. Natychmiast zadzwonił pod ten numer, ale nikt nie odebrał.

- Niech to szlag trafi! - zaklął. - Wygląda na to, że mamy jeszcze jednego trupa.

Mylił się.

Pół godziny później znaleźli Corę Lansing, siedemdziesięciopięcioletnią wdowę, przywiązaną do ogromnego fotela w salonie jej domu, w pobliżu rezydencji Moose'a. Usta miała zaklejone taśmą izolacyjną. Była przerażona i zabrudziła cenny mebel, ale poza tym nic jej się nie stało.

Wezwali pogotowie. Sanitariusze podali kobiecie tlen i delikatnie odlepili taśmę. Pozostał po niej kleisty osad, którego z irytacją dotykała koniuszkami placów. Przypominała drobniotkiego ptaka, ale nawet po kąpieli i zmianie ubrania dosłownie zionęła wściekłością. Stride nalał jej dla uspokojenia solidną dawkę remy martin z obficie zaopatrzonego barku.

Nie miała wiele do opowiedzenia. Robiła zakupy w butik, a kiedy wróciła do samochodu, ten człowiek czekał na nią w środku. Zmusił ją, żeby pojechała do domu, a kiedy przejeżdżała przez bramę, położył się na tylnym siedzeniu. Zagroził, że jeśli będzie próbowała jakichś sztuczek, zastrzeli i ją, i strażnika. Miał taki głos, że uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Kiedy znaleźli się w jej domu, związał ją i zakneblował. O zmroku wsiadł do samochodu i odjechał.

- Zdążyła mu się pani przyjrzeć? - zapytał Stride.

- Oczywiście! - odparła z godnością. - Nigdy nie zapomnę tej twarzy!

Stride poczuł przypływ nadziei, choć zmieszanej z niepokojem.

- Niech szybko przyślą rysownika - rzucił do Amandy, po czym spojrzał na starą kobietę. Jakim cudem jeszcze żyjesz? - zapytał w duchu, głośno zaś powiedział: - Może spróbuje mi go pani opisać?

Wszystko wskazywało na to, że mężczyzna, którego widziała Cora, był bardzo podobny do tego, którego Elonda zauważyła na przystanku autobusowym: nie aż tak wysoki jak Stride, szczupły, ale sprawiający wrażenie silnego fizycznie, z krótko ostrzyżonymi ciemnymi włosami, o kanciastej twarzy. Albo zgolił brodę, albo ta, którą miał w kasynie, była fałszywa. Cora dostarczyła tylu szczegółów, że policyjny grafik nie powinien mieć problemu ze sporządzeniem dokładnego portretu pamięciowego.

Stride z uznaniem rozejrzał się po urządzonej ze smakiem wnętrzności. Cora miała dobre oko.

- Powiedział, kim jest albo dlaczego to robi? Kobieta pokręciła głową.

- Ani słowa. W ogóle mało się odzywał, ale widziałam, że był bardzo spięty.

Stride podziękował za pomoc i poprosił jedną z policjantek, by towarzyszyła kobiecie do chwili, aż przyjedzie grafik, by sporządzić portret pamięciowy, po czym wyszedł na zewnątrz. Wciąż myślał o rozmowie telefonicznej z mordercą. Żałował, że nie trwała dłużej, bo wcale nie był pewien, czy zadzwoni ponownie. Powiedział chyba wszystko, co zamierzał, wciągając Stride'a w polowanie. Ale w polowanie na co - albo na kogo?

- Nie masz zbyt szczęśliwej miny - zauważyła Amanda, podchodząc do niego. - Nie wydaje ci się, że dzisiaj nastąpił przełom? A skoro tak, to powinniśmy się cieszyć.

- Dowiedzieliśmy się tylko tego, co sam uznał za stosowne nam powiedzieć - odparł Stride. - Gdyby zabił tę kobietę, nie bylibyśmy ani trochę mądrzejsi. Zastanawiam się, dlaczego zależało mu na tym, żebyśmy dowiedzieli się, jak wygląda.

- Może po prostu jest aroganckim draniem. Nie byłby pierwszym seryjnym mordercą, który wpadł przez rozbujające ego. Na przykład tego z Wichita nigdy by nie złapano, gdyby po trzydziestu latach nie zaczął pisać listów do gazet. Stride pokręcił głową.

- On wie, że ryzykuje, że możemy go znaleźć. Przecież jego portret pamięciowy opublikują wszystkie gazety, ktoś może go rozpoznać...

- Widocznie sądzi, że zabezpieczył się tak dobrze, że nic mu nie grozi.

- Nie wydaje mi się. To znaczy jestem pewien, że dobrze się zabezpieczył, ale nie sądzę, żeby odsłonił się przed nami aż tak bardzo, gdyby nie stanowiło to części jego planu. Przecież mógłby zabić Tierney w mieście o dowolnej porze. Wcale nie musiał dostawać się na teren strzeżonego osiedla, a już na pewno nie musiał zostawiać nam swojego rysopisu.

- Pewnie chciał się przed nami popisać.

Stride zamyślił się głęboko. Wciąż wyraźnie słyszał głos zabójcy: chłodny, beznamiętny, może nawet odrobinę zniecierpliwiony. Zupełnie jakby oczekiwał, że będą działali sprawniej i szybciej.

- Albo przekazać jakąś wiadomość... - mruknął.

23

Kiedy w środę rano Serena pojawiła się w wejściu do jego boksu, Stride siedział w fotelu odchyłony mocno do tyłu, ze stopami na blacie biurka.

- Witaj, nieznajoma.

Zjawił się w domu długo po tym, jak Serena położyła się do łóżka, wstał zaś i wyszedł o świcie, kiedy jeszcze spała.

- Witaj.

- Szef kuchni poleca dzisiaj Śniadanie Podejrzanego. Uniosła pytająco brwi, a on wskazał na leżące na biurku ciastka oraz stojącą obok puszkę sprite'a. Roześmiała się, weszła i usiadła. Od razu wyczuł, że jest w nie najlepszym nastroju.

- Coś się stało?

Był wdzięczny za to, że nie próbowała zbyć go uśmiechem albo byle jakim wykrętem.

- Wczoraj wieczorem coś się wydarzyło.

- Ale nic ci nie jest?

- Nic. Tyle że na razie nie chcę jeszcze o tym mówić. Stride był dobry w pokera. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Czy powinienem już zacząć się przejmować?

- Nie. Być może. Nie wiem. - Pokręciła głową. - Jasno się wyrażam, prawda? Przepraszam.

Przyglądał jej się uważnie, starając się wyczytać z oczu Sereny to, co przed nim ukrywała.

- Wiesz, gdzie mnie szukać, kiedy już będziesz gotowa. Tylko proszę, nie odpychaj mnie.

- Chciałbyś, ale nic z tego.

Mrugnęła żartobliwie, a on od razu poczuł się odrobinę lepiej.

Do boksu weszła Amanda z naręczem papierów.

- Oto wasz podejrzany - oznajmiła, wręczając im odbitki podobizny wykonanej przez policyjnego grafika na podstawie zeznań Cory Lansing. Uwagę Stride'a zwróciły oczy mężczyzny, ciemne i wyraziste. Pomyślał, że gdyby powiesił portret na ścianie, te oczy cały czas by go śledziły.

- Mundurowi rozmawiają ze wszystkimi sąsiadami. Może ktoś go rozpozna. Przesłałam to też faksem do Jaya Wallinga w Reno, a Sawhill dzisiaj podczas konferencji prasowej udostępni podobiznę mediom.

Stride uśmiechnął się, ponieważ dobrze wiedział, jak bardzo Sawhill lubił blask reflektorów i fleszy. Na pewno zatroszczy się o to, by wszyscy sądzili, że nowe informacje udało się zdobyć dzięki wyteżonej pracy ekipy śledczej, a nie dzięki kaprysowi zbrodniarza.

- Dzwoniłeś do Walkera? - zapytała Amanda.

- Sawhill poprosił o kilka godzin zwłoki, żeby mógł skonsultować się z politykami. Powiedziałem mu, że jeśli nie odezwie się do południa, to biorę telefon i dzwonię.

- A co z Bonim? Jakiś postęp? Stride spojrzał na Serenę.

- Rozmawiałaś z Claire? Skinęła głową.

- Są ze sobą na noże. Wątpię, czy do niego zadzwoni, ale nie odmówiła kategorycznie.

- Jaka ona jest? - zainteresowała się Amanda.

- Całkowicie niezależna. Nie przejęła się tym, że może jej grozić niebezpieczeństwo. To bardzo utalentowana piosenkarka, uroczą osobowość. Myślę, że tak jak jej ojciec zawsze osiąga to, czego chce.

- Musimy ostrzec kilka osób, i to szybko - Stride zwrócił się do Amandy. - Chodzi o tych, których Rex wymienia w artykule. Może im grozić niebezpieczeństwo, i

ich rodzinom też. Spróbujmy również dotrzeć do Lea Rucciego. Był prawą ręką Boniego w Szeherazadzie i sypiał z Helen. Każdy, kto zacznie grzebać w sprawie Amiry, szybko trafi na niego.

- Już go mam na liście - odparła Amanda. - Może uda mi się go przycisnąć w sprawie śmierci Amiry.

- Tak, na pewno gaduła z niego... Jeśli ci się uda, spróbuj dowiedzieć się czegoś o bójce, która wybuchła w noc morderstwa. I o tym ratowniku Mickeyu.

- Okay.

Odwrócił się do Sereny.

- Czy ty albo Cordy możecie coś dla nas zrobić? Tierney korzystała z usług agencji ochroniarskiej Premium Security. Nie wiem, czy Karyn Westermark też z niej korzysta, ale powiedziała nam, że po południu tamtego dnia, jeszcze przed spotkaniem z MJ, miała ze sobą ochroniarza. Warto pokazać im podobiznę naszego bohatera. Może właśnie tam zdobywał informacje, które pozwoliły mu tak precyzyjnie zaplanować zabójstwa.

- Jasne, nie ma sprawy. - Serena zgarnęła kilka kartek i już zamierzała wyjść z boksu, ale w ostatniej chwili zawróciła, uśmiechnęła się do Amandy, pochyliła się i pocałowała Stride'a w usta. - Pomogło?

- I to jak!

Mrugnęła porozumiewawczo i wyszła.

- Na twoim miejscu wniosłabym oskarżenie o molestowanie seksualne - zażartowała Amanda.

- Ani mi się śni.

Zadzwoił telefon na biurku. Stride chwycił słuchawkę.

- Tak?

- Mówi Walker Lane. Podobno chciał pan ze mną

porozmawiać.

Stride odchylił się do tyłu w fotelu i błyskawicznie zebrał myśli.

- To prawda, panie Lane. Może mi pan poświęcić kilka minut?

Musiał zaczekać kilka sekund na odpowiedź.

- Myślałem, że spotkamy się osobiście.

- Przyjeżdża pan do Las Vegas? - zdziwił się Stride.

- Nie. Wie pan przecież, jakimi uczuciami darzę to miasto. Wyślę po pana samolot. Proszę być na lotnisku o drugiej po południu. Zapraszam pana do Vancouveru. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu?

24

Sekretarka w biurze Lea Rucciego poinformowała Amandę, że jej szef środy spędza zawsze na polu golfowym. Amanda zdołała dowiedzieć się tyle, że Rucci jest właścicielem sieci samochodowych stacji obsługi w Nevadzie i południowej Kalifornii, rozwiedzionym multimilionerem oraz że ma jednego syna, którego głównym zajęciem - tak jak MJ - jest wydawanie pieniędzy tatusia.

Nietrudno odgadnąć, kto pomógł Rucciemu uruchomić interes. W holu wisiała wielka fotografia przedstawiająca Lea Rucciego i Boniego Fisso podczas uroczystego otwarcia pierwszej stacji obsługi.

Ale Rucci nie był już mile widzianym gościem w kasynach Boniego ani w ogóle w żadnych kasynach. Jego nazwisko trafiło do Czarnej Księgi, czyli na listę osób, których związki ze światem przestępczym oraz rozmaite nielegalne poczynania sprawiły, iż nie wolno im było nawet skorzystać z toalety w żadnym kasynie w stanie Nevada. Według Nicka Humphreya Rucci popadł w

niełaskę u władz w latach siedemdziesiątych, kiedy kontrola finansowa w Szeherezadzie wykazała ogromne nadużycia podatkowe. Boni wyszedł z tego nawet nie drażnięty, ponieważ całą winę wziął na siebie Leo. Odsiedział nawet pięć lat, lecz nie powiedział nic, co mogłoby obciążyć szefa. A kiedy na początku lat osiemdziesiątych wyszedł na wolność, Boni pomógł mu rozkręcić legalny biznes. Lojalność się opłaca, pomyślała Amanda.

Jadąc w kierunku autostrady 1-15, jak zwykle zatrzymała się w pobliżu lotniska na kawę i papierosa. Obserwując startujące i lądujące samoloty, całkiem poważnie myślała o tym, żeby rzucić pracę i uciec z miasta. To zabawne, iż nie dalej jak wczoraj doszła do wniosku, że nigdy stąd nie wyjedzie. Jednak wczoraj w nocy, po powrocie z jeziora Las Vegas, odbyła z Bobbym długą, poważną rozmowę. Zawsze czekał na jej powrót, to takie miłe z jego strony... Kiedy jednak zobaczył napis na drzwiach spydera, wpadł w szal i chciał natychmiast jechać do ratusza. Miał już dość upokorzeń, zresztą tak samo jak ona. Wiedziała, że to nigdy się nie skończy. W Las Vegas zawsze będzie dziwolągiem, znienawidzonym i niechcianym. Problem polegał na tym, że lubiła swoją pracę i nie chciała dać się wygnać z miasta.

Zduśliła papierosa w popielniczce, uruchomiła silnik i pojechała na pole golfowe w północno-zachodniej części miasta, żeby porozmawiać z Leem Ruccim. Człowiek z obsługi poinformował ją, że Rucci i jego trzech kompani powinni w tej chwili być w okolicach dziewiątego dołka na trasie Diablo, i zaprowadził ją do wózka golfowego. Jadąc wąską dróżką, znowu zakochała się w tym mieście: szmaragdowozielona trawa zapuszczała się powyginanymi

jęzorami w pustynię, ostre jak brzytwa granie czerwonych gór wznosiły się zaledwie półtora kilometra na zachód. Było gorąco, ale wiatr sprawiał, że wysoka temperatura nie dokuczała tak bardzo.

Grupkę, w której był Rucci, dostrzegła z daleka. Wiatr niósł ich chrapliwe śmiechy. Zaczekała, aż rozprawią się z tym dołkiem i ruszą do wózków, po czym podjechała i zaparkowała tuż przy nich. Wysiadła z trzepoczącą kartką w ręce..

- Leo Rucci?

Cała czwórka przyjrzała się jej podejrzliwie. Jeden z mężczyzn szybko wsunął rękę pod połę marynarki, ale Rucci odprawił ich i podszedł do niej, obracając kij w dłoniach. Nie ulegało wątpliwości, że jest samcem alfa, najwyższym i najpotężniejszym w grupie. Z pewnością dawno już przekroczył sześćdziesiątkę, ale wciąż miał imponującą sylwetkę i kark jak pień drzewa. Był zupełnie łysy, miał okulary przeciwsłoneczne, a ubrany był w grafitową przewiewną bluzę i szorty w kolorze khaki. Bez trudu wyobraziła go sobie w znacznie młodszym wcieleniu, rozbijającego głowy wszystkim, którzy nie spodobali się Boniemu.

- Tak, jestem Rucci. A pani?

- Amanda Gillen z wydziału zabójstw policji miejskiej w Las Vegas.

Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień.

- Glina? Czego pani ode mnie chce? Amanda pokazała mu szkic.

- Chciałabym wiedzieć, czy rozpoznaje pan tego człowieka.

Rucci wziął kartkę do ręki i nawet nie rzuciwszy na nią okiem, pozwolił jej ulecieć z wiatrem.

- Nie, nie znam go.

- Dziękuję, że zechciał pan tak uważnie się przyjrzeć.

- Nie lubię glin, a to oznacza, że nie lubię pani. Jeśli chcecie kogoś zapuszkować, róbcie to beze mnie.

- Ten człowiek być może będzie chciał pana zabić. Albo pańskiego syna.

Rucci wyjął z kieszeni piłeczkę golfową, ujął ją w dwie dłonie i zaczął ścisnąć. Zbielały mu palce, a ścięgna i mięśnie przedramion napięły się jak postronki, ale na twarzy nie było widać ani śladu wysiłku. Kiedy piłeczka pękła z donośnym trzaskiem, rzucił jej resztki na trawę.

- Nikt nie zadziera z Leem, złotko. A gdyby nawet ktoś czegoś ode mnie chciał, to nie potrzebuję twojej pomocy.

- A co z pańskim synem? Jego też jest pan w stanie ochronić?

- Gino potrafi sam o siebie zadbać.

- Mimo to lepiej niech go pan ostrzeże, że być może ktoś namalował tarczę strzelniczą na jego plecach. Nie żyją już trzy osoby, w tym dziecko. Wszyscy byli w jakiś sposób powiązani z Szeherezadą i Amirą Luz. Tak więc pański Gino może być następny.

- Dzięki za dobre rady - rzucił lekceważąco Rucci, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do czekających z kamiennymi twarzami kolegów.

- Hej, Leo! - zawołała za nim Amanda. - Kto zabił Amirę?

Rucci zatrzymał się, odwrócił się powoli i oparł na kijku.

- Jakiś świr z Los Angeles. Najlepiej zapytać Nicka Humphreya, bo to on prowadził śledztwo.

- Są ludzie, którzy sądzą, że zrobił to Walker Lane.
- Są ludzie, którzy sądzą, że Kennedy'ego zabił Castro, ale to jeszcze nie znaczy, że to prawda.
- Walker musiałby mieć niezłe jaja, żeby ją zamordować, prawda? Przecież była kochanką Boniego. Walker wiedział o tym?

Twarz Rucciego wykrzywił grymas wściekłości. Ruszył gwałtownie w jej stronę, wymachując kijem tak, jakby zamierzał ją uderzyć. Odruchowo cofnęła się o krok.

- Boni Fisso zrobił dla tego miasta więcej niż wszyscy gliniarze i politycy razem wzięci. Czy to jasne? To dzięki takim jak on to miasto jest wielkie. Więc nie pieprz mi tu głodnych kawałków, dobrze? Jedno pierdnięcie Boniego znaczy tu więcej niż wszystko, co zrobiłaś i jeszcze zrobisz.

Amanda odzyskała rezon i śmiało weszła w cień Rucciego. Była od niego niższa prawie o głowę i doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby chciał, mógłby złamać ją na pół jak zapalkę, lecz mimo to odważnie zbliżyła twarz do jego twarzy.

- Gdzie byłeś, kiedy zabito Amirę?

Na twarzy Rucciego po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

- Dobrze wiesz, gdzie byłem. I wiesz, co robiłem. Różałem jedną z tancerek. Kiedy skończyłem, ledwo mogła ustać na nogach. Może i ty chciałabyś się przekonać, jakie to uczucie?

- A może chciałbyś, żebym ci go ucięła i wykorzystyła jako przycisk do papieru? - odparła Amanda, również się uśmiechając. - Opowiedz mi o tej bójce.

- O jakiej bójce?

- Tancerka, z którą sypiałeś, Helen, opowiedziała

nam, że wezwał cię jeden z ratowników, chłopak o imieniu Mickey. Pobili się podchmieleni goście, a ty poszedłeś zaprowadzić porządek.

Rucci pokręcił głową.

- Bzdury. Powinna trzymać gębę na kłódkę i nie rozmawiać z glinami. To może być dla niej niezdrowe.

- Próba zastraszenia świadka może cię drogo kosztować.

- Nie muszę nikogo straszyć. Nie było żadnej bójki, nikt mnie nie wzywał. Helen coś się pokręciło. To się zdarza. Ma swoje lata, mimo tych wszystkich operacji i masażu... Ciągłe ktoś się nawalał i rozrabiał, a ja łamałem nosy i odsyłałem palantów do domu, ale akurat nie tej nocy.

- Myślisz, że Mickey potwierdzi tę wersję?

- Znajdźcie go i zapytajcie.

- Wiesz może, gdzie powinniśmy szukać?

- Jasne. Mam aktualne adresy wszystkich gówniarzy, którzy dorabiali sobie u nas latem, a w każdej wolnej chwili pomagali dziewczynom wyskoczyć z bikini.

- Jak miał na nazwisko?

Rucci uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mouse.

Wrócił do wózka i z rozmachem wetknął kij do torby. Kiedy odjeżdżali, jeden z jego kompanów odwrócił się i pokazał Amandzie wyprostowany palec.

Pomachała im w odpowiedzi.

25

Do siedziby Premium Security pojechali cruiserem Cordy'ego. Serena siedziała na fotelu pasażera i spoglądała przez okno, zastanawiając się, jakie emocje wezmą w niej górę. Była na siebie wściekła za grzebanie w przeszłości,

niepewna co do uczuć, jakie żywiła wobec Claire, zakochana po uszy w Jonnym i nieziemsko podniecona.

Cordy nastawił radio na jakąś hiszpańskojęzyczną stację i uderzał palcami w kierownicę w rytm piosenki, której słów nie rozumiała. W końcu nie wytrzymała i wyłączyła radio.

- Co się dzieje? - zdziwił się Cordy.

- Nic takiego. Po prostu nie mam nastroju na *La Bambę*.

- Skoro tak...

Chwilę potem zaczął nucić tę samą melodię.

- Słuchaj, dlaczego właściwie zerwałeś z Lavender?

Tak dobrze wam się układało...

Cordy wskazał przez przednią szybę. Na chodniku stała długonoga brunetka, czekając na zielone światło.

- Widzisz tę dziewczynę? Seksowna *muchacha*. Kiedy na nią patrzę, natychmiast zaczynam rozbierać ją w myślach. Zastanawiam się, jakiego koloru ma sutki i jakiej wielkości. Jakie ma majteczki. A potem próbuję sobie wyobrazić, jaka jest w łóżku. A jeszcze potem...

- Dziękuję, wystarczy - przerwała mu Serena. Wzruszył ramionami.

- Sama zapytałaś.

Miała nadzieję, że nie będzie ciągnął tego tematu, i istotnie tak się stało. Zresztą nie potrzebowała męskich rad. To, co się działo w jej głowie, nie dotyczyło pożądania. A w każdym razie nie tylko tego.

Zastanawiała się, czy to możliwe, żeby była biseksualna. Kiedy stanowiła parę z Deirdre, nawet przez chwilę nie pomyślała o sobie i niej jako o dwóch dziewczynach, tylko jako o przyjaciółkach, dla których seks jest po prostu jednym ze sposobów okazywania uczuć.

Nigdy nie spotykała się z innymi kobietami, a doświadczeń z mężczyznami, do chwili poznania Jonny'ego, nie miała najlepszych. Przypisywała to wzmocnionym mechanizmom obronnym, będącym w stanie pogotowia od czasu piekła, przez które przeszła w Phoenix.

Z Claire do niczego nie doszło, powtarzała sobie, lecz fakt, że wykazała silną wolę, był dla niej umiarkowaną pociechą. Musiała w duchu uczciwie przyznać, że nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie telefon od Jonny'ego.

- No to jesteśmy - oznajmił Cordy, zatrzymując samochód przed niedużym centrum handlowym przy Spring Mountain Road, wyglądającym tak, jakby miał je zdmuchnąć pierwszy silniejszy powiew wiatru.

- To na pewno tutaj? - zapytała Serena z niedowierzaniem.

Cordy wskazał na sfatygowaną tabliczkę z nazwą firmy wypisaną białymi literami. Przez przyciemnione szyby nie sposób było zajrzeć do środka. Oprócz Premium Security w centrum handlowym mieściła się niby-grecka knajpka, sklep z częściami samochodowymi oraz lombard, na którego wystawie dominowała broń palna.

- Nieszczerólnie to wygląda - mruknęła.

- Mhm.

Okazało się, że drzwi są zamknięte. Serena kilkakrotnie wdusiła przycisk dzwonka i bezskutecznie próbowała dojrzeć cokolwiek przez szybę. Była prawie pewna, że są obserwowani przez kamerę. Kilka sekund później rozległo się ciche kliknięcie i drzwi stały się otworem. Weszli do maleńkiego przedsionka z kolejnymi drzwiami. Rzeczywiście, spod sufitu przyglądała im się kamera.

- Proszę zamknąć drzwi - odezwał się z głośnika

kobięcy głos.

Gdy tylko się zamknęły, usłyszeli stukot zatrząsków. Byli w pułapce.

- Czym możemy służyć? - zapytał głos.

Serena wyjaśniła, kim są, i podsunęła odznakę przed oko kamery. Rozległo się kolejne kliknięcie i otworzyły się wewnętrzne drzwi. Znaleźli się w zaskakująco ładnie urządzonej poczekalni, zupełnie niepasującej do zewnętrznego wyglądu budynku. Z głośników sączyła się jazzowa muzyka, a za biurkiem z czereśniowego drewna, udekorowanym wazonem z żonkilami, siedziała uśmiechnięta jasnowłosa recepcjonistka. Serena poczuła delikatny zapach jej perfum.

- Proszę siadać - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się jeszcze promienniej. - Pan Kamen za chwilę do państwa przyjdzie.

Serena i Cordy usiedli na ogromnej kanapie; była tak miękka, iż wydawało im się, że zapadną się po uszy. Na stoliku leżały najświeższe wydania „Economist”, „New York Timesa” i „Variety”. Mniej więcej po dziesięciu minutach za plecami recepcjonistki otworzyły się drzwi i z gabinetu wyszedł trzydziestokilkuletni mężczyzna w czarnym golfie i szarych spodniach. Z trudem dźwignęli się z kanapy, żeby ucisnąć mu rękę.

- Jestem David Kamen, prezes Premium Security. Kamen był wysoki i przystojny, miał piaskowe włosy i jasną, piegowatą cerę mieszkańca południowej Kalifornii. Nosił duże ciemne okulary w prostokątnych, ciężkich oprawkach; takie oprawki tak dawno wyszły z mody, że Serena podejrzewała, iż znowu stały się modne.

Zaprosił ich do gabinetu urządzonego równie ładnie jak hol. Uwagi Sereny nie uszedł fakt, iż drzwi były bardzo

ciężkie i zamknęły się za nimi z głuchym łoskotem.

- Zanim usiądziemy, czy moglibyście państwo potwierdzić swoją tożsamość?

Uważnie obejrzał odznaki, po czym oddał je z uprzejmym uśmiechem i zaprosił gestem, by zajęli miejsca przy okrągłym dębowym stoliku. Tam także stał wazon, oczywiście z żonkilami.

- Wśród naszych pracowników jest dwóch byłych funkcjonariuszy - poinformował ich gospodarz.

Serena skinęła głową i podała dwa nazwiska. Zależało jej, by wiedział, że przygotowali się do rozmowy. Z uznaniem skinął głową.

- Jest pan snajperem? - zapytał Cordy, wskazując wiszącą na ścianie fotografię. Przedstawiała Kamena w mundurze polowym z karabinem w dłoniach. Oprócz niej na ścianie pokrytej ciemną, metaliczną tapetą wisiało jeszcze kilka zdjęć. Kamen skinął głową.

- Afganistan.

- Snajper w okularach? - zdziwiła się Serena. Kamen mrugnął porozumiewawczo.

- Przyłapaliście mnie. Mam doskonały wzrok, ale dzięki okularom ludzie z góry zakładają, że jest inaczej, a mnie to odpowiada. Poza tym są po prostu ekstra, nie uważacie?

- Od snajpera do goryla długa droga - zauważył Cordy. - Skąd się pan tu wziął?

- Zaangażowano mnie - odparł lakonicznie Kamen, po czym splótł palce i uśmiechnął się. Z pewnością nie należał do ludzi, którzy z własnej woli udzielali jakichkolwiek informacji. Czekał na kolejne pytania z uprzejmym wyrazem twarzy, ale co chwila zerkał na zegar.

Serena delikatnym ruchem powstrzymała

Cordy'ego, który już sięgał po szkic wykonany przez policyjnego rysownika. Chciała się najpierw przekonać, czego zdoła dowiedzieć się od tego człowieka, nie pokazując mu twarzy zabójcy.

- Wie pan zapewne, że wczoraj wieczorem zamordowano Tierney Dargon?

- Oczywiście. To okropne.

- Zdaje się, że pańska firma zajmowała się jej ochroną?

- Podczas pobytu w Las Vegas pani Dargon często korzystała z ochrony. Moose jest bardzo zamożnym człowiekiem, więc musiał brać pod uwagę ewentualność porwania dla okupu, ale w MiraBella czuli się całkiem bezpiecznie i nie korzystali z naszych usług.

- Wygląda na to, że chyba jednak powinni, prawda?

- mruknął Cordy.

Kamen nie zareagował.

- Czy wczoraj Tierney anulowała telefonicznie poprzednie ustalenia? - zapytała Serena.

- Owszem.

- A jakie one były?

- Zamierzała spędzić wieczór w jednym z kasyn przy Stripie. Mój człowiek miał ją stamtąd odebrać i zawieźć do domu, ale około południa zadzwoniła i powiedziała, że zostaje w domu, więc nie będzie potrzebowała naszych usług.

- Czy rozmawiał pan z nią osobiście? Kamen pokręcił głową.

- Sprawę załatwiła recepcjonistka.

- Założę się, że pracujecie dla wielu gwiazd i jesteście świadkami różnych dziwnych rzeczy - odezwał się Cordy. - I musicie trzymać język za zębami, zupełnie jak

Secret Service.

- Rzeczywiście, zachowujemy daleko posuniętą dyskrecję.

- A co z tą gwiazdką seriali? Tą z pieprznego filmiku, który nakręcił MJ Lane. Pracowaliście kiedyś dla niej?- Tak, Karyn Westermarck jest jedną z naszych klientek.

- A MJ Lane?

- Nie.

- Jak wyglądała sytuacja w ostatnią sobotę? - włączyła się do rozmowy Serena. - Czy któryś z waszych ludzi był z Karyn?

Kamen skinął głową.

- Panna Westermarck skontaktowała się z nami zaraz po przyjeździe do miasta. Nasz człowiek, Blake, po południu towarzyszył jej przy zakupach. Panna Westermarck nie lubi rzucającej się w oczy ochrony, więc jesteśmy zawsze w pobliżu, ale nigdy nie na pierwszym planie.

- Czy Blake był z nią również w sobotni wieczór?

- Nie. Odprawiła go, kiedy jechała na spotkanie z MJ. Mam nadzieję, że nie sugerujecie, jakoby któryś z moich ludzi miał cokolwiek wspólnego z tymi zabójstwami albo że wyciekają od nas informacje na temat naszych klientów?

- Na razie staramy się ustalić, co łączy te morderstwa. Kiedy okazuje się, że dwie ofiary korzystały z usług tej samej agencji ochrony, staramy się przyjrzeć sprawie bliżej, i tyle.

- Obsługujemy kilkuset klientów, w tym wielu spośród najslawniejszych mieszkańców naszego miasta. Kiedy ktoś zabija znane osoby albo ich bliskich, jest bardzo

prawdopodobne, że my również pojawimy się w polu widzenia. Nie ma w tym nic dziwnego.

Serena wiedziała, że gospodarz ma rację. Polowanie na sławnych ludzi w Vegas przypominało łowienie ryb w stawie hodowlanym: wszędzie było ich pełno. Wymieniła kolejne nazwiska - Linda i Peter Hale'owie, Albert i Alice Fordowie - i dowiedziała się bez większego zdziwienia, że ludzie ci nie mieli żadnych związków z agencją. Kamen wyraźnie się odprężył.

- Czy jeszcze któryś z waszych klientów ma coś wspólnego z Szeherazadą? - zapytała Serena.

Kamen zawahał się.

- Przypuszczalnie wielu z nich - odpowiedział ostrożnie. - Szeherazada działała przez wiele lat. Dlaczego pani pyta?

- Ponieważ może istnieć związek między ofiarami a tym kasynem.

- Jakiego rodzaju?

- O tym jeszcze nie możemy oficjalnie mówić. Można by odnieść wrażenie, że próbuje pan nas wy badać, panie Kamen...

Zacisnął usta i bez słowa wpatrywał się w nią uważnie. Odniosła nieprzyjemne wrażenie, że tak samo przyglądał się swoim ofiarom przez celownik teleskopowy.

- Chce pan może coś dodać?

- Tylko tyle, że nie mamy żadnych bezpośrednich związków z Szeherazadą.

Cordy pochylił się do przodu.

- Żadnych konkretnych związków? A co z niekonkretnymi? Śmiało, Dave, nie krępuj się. Czekamy.

Kamen miał taką minę, jakby ktoś mu kazał pogryźć i połknąć szklanę.

- Właścicielem agencji jest pan Fisso... - wykrztusił wreszcie.

- Boni Fisso? - zapytała Serena z niedowierzaniem.

- Pan Fisso jest zaangażowany w wiele przedsięwzięć - pospieszył z wyjaśnieniami Kamen. - Produkcja automatów do gry, marketing bezpośredni, pola golfowe... W żaden sposób nie uczestniczy w planowaniu operacji ani zarządzaniu firmą. To po prostu jedna z jego inwestycji.

Cordy obdarzył rozmówcę promiennym uśmiechem.

- Chcesz mi powiedzieć, że ani ty, ani twoi chłopcy nigdy nie wykonujecie prywatnych zleceń pana Fisso? Że nie zdarzyło się wam na jego polecenie nauczyć dobrych manier jakiegoś oszusta albo postawić do kąta jakiegoś chłopca, który zapomniał dobrych manier?

- Nic o tym nie wiem - wycedził Kamen przez zaciśnięte zęby.

Serena nie wierzyła mu nawet przez chwilę. Agencja ochrony pozwalała Boniemu w każdej chwili dysponować realną siłą oraz zapewniała przykrywkę dla rozmaitych ciemnych interesów. Teraz stało się również jasne, dlaczego jej siedzibę ulokowano w takim miejscu: chodziło po prostu o to, żeby jak najmniej rzucała się w oczy. Ciekawe, ile wstydliwych tajemnic rozmaitych gwiazd stawało się pożywką dla szantażu i wymuszeń... Zdawała sobie jednak sprawę, że mają za mało poszlak, by wystąpić o nakaz przeszukania i dokładnie zbadać dokumenty firmy. Na razie Kamen i Boni mogli spać spokojnie.

- Jeśli zginie ktoś jeszcze, a my się dowiemy, że ukrywaliście informacje, które mogły pomóc zapobiec zabójstwu, to weźmiemy was pod lupę. Czy to jasne?

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to tylko czcze

pogróżki, niemniej starała się nadać głosowi jak najsurowsze brzmienie. Kamen jednak nie dał się nabrać.

- Oczywiście - odparł z ledwie skrywanym lekceważeniem.

Cordy wyjął szkic z kieszeni i położył go na biurku.

- A teraz chwila prawdy, Dave.

- Przyjrzyj się uważnie temu portretowi pamięciowemu i pokaż go swoim ludziom - dodała Serena.

- Jeśli ktokolwiek zobaczy tego człowieka, musimy o tym natychmiast wiedzieć. Nie można wykluczyć, że to jeden z waszych klientów.

- Oczywiście - powtórzył Kamen, przysunął kartkę i spojrzął w czarne oczy zabójcy.

Serena spostrzegła, że zbladł jak papier.

26

Stride pierwszy raz leciał prywatnym odrzutowcem. Było to o wiele przyjemniejsze niż podróżowanie w klasie „dla bydła”, z kolanami podkulonymi pod brodę. W kabinie gulfstreama zainstalowano osiem olbrzymich skórzanych foteli w kolorze kości słoniowej; kiedy usiadł w jednym z nich, odniósł wrażenie, że zapada się w morskiej pianie. Był jedynym pasażerem. Oprócz niego na pokładzie znajdowali się tylko dwaj piloci oraz stewardesa w średnim wieku, która nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok jego zachwyconej miny. Mógł usiąść albo przy stole z klonowego drewna albo przed zestawem składającym się z kina domowego i doskonałej jakości sprzętu stereo. Kiedy stewardesa - na imię miała Joannę - powiedziała mu, co będzie na lunch, bez wahania wybrał miejsce przy stole, gdzie pogрузzył się w lekturze „Wall Street Journal”, od czasu do czasu zerkając przez okno najpierw na pustynię, a potem na Góry Skaliste widniejące osiem tysięcy metrów

niżej. Miło było przez kilka minut poczuć się jak bogacz; stwierdził bez szczególnego zaskoczenia, że szybko przywykłby do takiego stylu życia.

Po lunchu, z filiżanką kawy w ręce, zmienił miejsce. Była czarna, niemal smolista, taka jak lubił. Po krótkim kursie obsługi pilota ustawił w satelitarnym tunerze jakąś stację nadającą muzykę country i podkręcił głośność. Przypuszczalnie po raz pierwszy na pokładzie tego samolotu ktoś słuchał *Watermelon Crawl* w wykonaniu Trący Bird, ale Joannę wiedziała, jak się zachować i nie zgłaszała zastrzeżeń. W trakcie lotu Stride zamierzał jeszcze raz przejrzeć dokładnie dokumentację sprawy oraz przypomnieć sobie, czego udało mu się dowiedzieć o Walkerze Lanie, lecz pomimo kawy obfity posiłek i kołysanie maszyny podziałały na niego niczym silny środek nasenny. Z pewnością nie bez znaczenia były też zmęczenie i ustawiczny brak snu. Po krótkim oporze zrezygnował z walki, odchylił do tyłu oparcie fotela i zamknął oczy.

Przyśniła mu się Minnesota. Znajdował się na plaży przed swoim starym domem na pasczku lądu wrzynającym się między Jezioro Górne i spokojne wody portu. Siedział na brudnym plastikowym krzeselku i patrzył na fale uderzające o brzeg. Obok, na takim samym krzeselku, siedziała jego pierwsza żona Cindy. Trzymali się za ręce. Wyraźnie czuł pod palcami jej pierścionek z brylantem. Milczeli. Jakaś jego część doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko sen, i pragnęła znowu usłyszeć jej głos, którego brzmienie zdążył już zatrzeć czas, ale ona nie odzywała się ani słowem, tylko patrzyła na niego z miłością. W końcu zasnął, a kiedy się obudził, był sam. Jej krzeselko znikło. Wcześniej w piasku, tuż poza

zasięgiem fal, bawiły się dzieci, ale teraz i one znikły. Znikła także barka do przewozu rudy żelaza, taka sama, na jakiej pracował jego ojciec do chwili, kiedy pewnego dnia zimowy sztorm zmiótł go do jeziora.

Maszyną szarpnęło i Stride ocknął się ze snu. Montgomery Gentry śpiewał *Gone*. To wszystko, co mu się śniło, też już dawno odeszło w przeszłość.

Joanne oznajmiła, że niedługo będą lądować. Stride wyjrzał przez okno na zaśnieżone szczyty dominujące nad wielkomijskim krajobrazem Vancouveru. Wiedział, dlaczego przyśniła mu się Cindy: wiele lat temu, w drodze powrotnej z Alaski, odwiedzili Vancouver. Spędzili tam magiczny weekend: poranny jogging w zatopionym we mgle Stanley Park, posiłek złożony z krabów na ławce na Granville Island, w towarzystwie gromady wygłodniałych mew... Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy jak wtedy. Ale zaraz po powrocie przypało mu w udziale śledztwo w sprawie zniknięcia kilkunastoletniej Kerry McGrath, chyba najmroczniejsze w jego karierze, a w trakcie dochodzenia jego cudowną Cindy dopadł rak. Pod koniec ledwo mógł ją rozpoznać. Później zrozumiał, że rak rozwijał się w najlepsze już wtedy, kiedy byli w Vancouverze. Zastanawiał się, jakie wnioski powinien z tego wyciągnąć na temat życia, ale nie był wcale pewien, czy naprawdę chce je poznać.

Stęsknił się za Vancouverem. Polubił to miasto i nie miał nic przeciwko temu, żeby zmierzyć się z zamieszkującymi je demonami, lecz zaraz po lądowaniu okazało się, że nie będzie miał ku temu okazji, ponieważ czekała na niego nie limuzyna, lecz prywatny śmigłowiec. Po krótkiej odprawie celnej maszyna wzbijała się w powietrze, zabierając go na południe, daleko od miasta, w

kierunku położonych w zatoce wysp. Trochę się niepokoił, lecąc nad wodą nie hydroplanem, lecz czymś w rodzaju kamienia, który zatonąłby w okamgnieniu, zaledwie kilka chwil po tym, jak zatrzymałyby się wirniki, ale na szczęście dzień był jasny i pogodny. Wydawało mu się, że podróż trwa bardzo długo, choć w rzeczywistości minęło zapewne najwyżej dwadzieścia minut, zanim na błękitnym bezmiarze wody pojawiły się skaliste wyspy. Po chwili ujrzał wioski rybackie oraz dębowe i sosnowe lasy porastające strome zbocza schodzące ku kamienistym plażom. Kiedy dotarli nad jedną z mniejszych wysp, pilot zaczął szybko obniżać pułap, niemal szorując brzuchem maszyny o wierzchołki drzew. Na południowym brzegu ukazała się rozległa posiadłość granicząca z plażą. Wzniesiony w stylu wiktoriańskim dom o ciemnych murach miał mnóstwo wieżyczek oraz potężną centralną basztę z dachem w kształcie muszli.

Pilot przeleciał nad budowlą i łagodnie posadził maszynę na betonowym lądowisku w ogrodzie. Stride wysiadł, gdy tylko łopatki wirnika przestały się obracać. Czekala już na niego kobieta, przypuszczalnie asystentka Lane'a, która poprowadziła go labiryntem ogrodowych ścieżek na obszerną werandę o posadzce z kremowej terakoty, zastawioną ciężkimi zabytkowymi meblami.

- Pan Lane zaraz przyjdzie - oznajmiła, po czym zostawiła go samego.

Stride stanął przy drzwiach, wystawiając twarz na podmuchy chłodnego wiatru. Zastanawiał się, czego powinien oczekiwać po Walkerze Lanie. Do tej pory widział tylko fotografie sprzed kilkadziesiątu lat, kiedy Walker bardzo przypominał swojego syna, MJ, bo nosił szopę zmierzwionych włosów i miał niezgrabne, długie

kończyny. Już wtedy był jednak milionerem, a przez ten czas stał się miliarderem. Sądząc po głosie, który Stride słyszał przez telefon, powinien być wysoki, poważny, dostojnie siwy, w swetrze i ze szklaneczką porto w dłoni.

Zgadzało się tylko to, że był w swetrze.

- Witamy w Kanadzie, inspektorze - powiedział Walter, wjeżdżając na werandę samobieżnym wózkiem inwalidzkim sterowanym za pomocą dżojstika. - Cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie.

Stride nie potrafił ukryć zaskoczenia. Rozpoznał dudniący, władczy głos, ale nie człowieka. Połowa twarzy Walkera była nieruchoma jak maska, nieruchome było też jego prawe oko. Dopiero po chwili Stride zorientował się, że jest szklane. Nos był zniekształcony, a zęby tak olśniewająco białe, iż nie ulegało wątpliwości, że one też są sztuczne.

- Nie tego się pan spodziewał, co? - zagadnął oschle Walker.

Był zbyt zdumiony, żeby odpowiedzieć, wyciągnął więc tylko rękę, a Walker zamknął ją w żelaznym uścisku swojej dłoni.

- Nie rozgłaszam wszem wobec o moim kalectwie - ciągnął gospodarz. - Mam nadzieję, że mogę liczyć na pańską dyskrecję. Większość moich gości musi przed spotkaniem ze mną podpisać zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Od pana tego nie wymagam, ponieważ chcę panu zaufać i chcę, żeby pan też obdarzył mnie zaufaniem.

Stride wciąż nie mógł przejść do porządku dziennego nad wyglądem Walkera oraz nad faktem, że sztuczne oko wydawało się zadziwiająco autentyczne.

- Rozumiem - wymamrotał.

- Czy wiecie już, kto zabił mojego syna? - zapytał

Walker z tą samą nutą zniecierpliwienia w głosie, którą Stride zapamiętał z rozmów telefonicznych.

- Tak, wiemy. - Dostrzegł zaskoczenie w prawdziwym oku gospodarza i sięgnął do teczki po portret pamięciowy. - Jeszcze go nie aresztowaliśmy, ale znamy jego twarz. To on zastrzelił MJ.

- Proszę mi pokazać.

Stride podał mu kartkę, a Walker prawie wyrwał mu ją z ręki.

- Zna go pan? - zapytał Stride po chwili. Walker z rozczarowaniem pokręcił głową.

- Niestety, nie. Widzę go pierwszy raz w życiu.

- Na wszelki wypadek zostawię panu ten portret. Walker położył sobie kartkę na kolanach.

- Może ma pan ochotę na małą wycieczkę, zanim przejdziemy do interesów? Wie pan, niewielu ludzi ma okazję tu się dostać...

Stride pokonał połowę kontynentu, żeby zobaczyć się z tym człowiekiem, był więc ciekaw, jak wygląda dom miliardera - tym bardziej że nie spodziewał się, by miał się znaleźć tu raz jeszcze.

- Czemu nie?

- Dobrze.

Walker zawrócił w miejscu i poprowadził go w głąb domu. Choć umeblowany antykami, okazał się niezwykle nowoczesny i wyposażony w mnóstwo automatycznych funkcji, z których Walker mógł korzystać dzięki panelowi wbudowanemu w swój wózek. Okna, oświetlenie, drzwi, zasłony, świetliki - wszystko otwierało się, zamykało, włączało i wyłączało za naciśnięciem guzika. Każde pomieszczenie wyglądało tak, jakby przeniesiono je z jakiegoś europejskiego muzeum: piękne, ale sterylne i

martwe, jak w muzeum. Stride wiedział, że dom ma najwyżej kilkadziesiąt lat, lecz wydawał się reliktem sprzed stuleci. Reliktem, w którym od dawna nikt nie mieszkał.

Cały dom był ogrzewany, ale wilgoć zdołała jednak zagnieździć się w ścianach, a pomieszczenia były na tyle wysokie, że gdzieś tam panował przejmujący chłód. Stride szczelnie otulił się połami marynarki. Uświadomił sobie, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy stał się tak wrażliwy na niskie temperatury, jakby urodził się i wychował w gorącej Nevadzie, a nie w chłodnej Minnesocie.

- Rzadko opuszczam wyspę - mówił Walker. - Z pewnością wie pan o tym. Ale prawie nic przez to nie tracę. Tutaj na przykład mogę oglądać wszystkie filmy, jakie zechcę.

Znaleźli się w sali kinowej z jednym rzędem przystosowanym dla niepełnosprawnych. Niczym nie różniła się od sal w najlepszych multipleksach Las Vegas. Różnica polegała na tym, że ta sala zawsze była prawie pusta; Stride'owi zaczęło robić się żal gospodarza. Walker chyba wyczuł jego nastrój.

- Proszę się nade mną nie roztkliwiać, inspektorze. Nie jestem Howardem Hughesem. Odwiedzają mnie aktorzy, reżyserzy, wydawcy i agenci. Aktywnie uczestniczę przy powstawaniu wszystkich moich filmów. Podczas produkcji codziennie oglądam materiały zdjęciowe i przekazuję ekipie uwagi.

- Dlaczego nie uczestniczy pan w tym osobiście?

- Po pierwsze dlatego, że nie muszę. Bez problemu mogę to robić, nie ruszając się z miejsca, a chyba przyzna pan, że to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

Stride skinął głową. Za każdym razem, kiedy mijał

jakieś okno, nie mógł się powstrzymać przed podziwianiem zapierających dech w piersi widoków.

- Po drugie, bardzo cenię sobie prywatność. Już nie bawi mnie życie towarzyskie. A mówiąc zupełnie szczerze, z uwagi na mój wygląd ludzie nie czują się swobodnie w moim towarzystwie. To irytujące. Ci, którzy tu się zjawiają, zwykle znają mnie wystarczająco dobrze, by uszanować moją prywatność, i nie przejmują się zanedo tym, jak wyglądam.

Przeszli przez salon z wysokimi oknami wychodzącymi na ocean, a potem znaleźli się na tarasie, z którego prowadził łagodny zjazd na pomost w małym porcie. W oddali płynął prom, wokół rosły drzewa, w górze majestatycznie krążyły orły.

- Pięknie tutaj - powiedział szczerze Stride.

- Dziękuję, inspektorze. - Walker chyba wyczuł, że komplement jest nieudawany, i sprawiło mu to przyjemność. - Zapewne chce się pan dowiedzieć czegoś o MJ, prawda? I o tym, co nas tak bardzo poróżniło?

Stride skinął głową.

- Owszem.

Walker podjechał do krawędzi tarasu, skąd mógł widzieć fale uderzające łagodnie o skalisty brzeg.

- Czy zdziwi pana informacja, że wiele kobiet chciałoby wyjść za mnie za męża?

- Ani trochę.

- Oczywiście chodzi o moje pieniądze. Aktorki, a nawet niektórzy aktorzy, błyskawicznie zmieniają pogląd na wózki inwalidzkie i deformacje fizyczne, gdy tylko pomyślą o stanie mojego konta. I niemal natychmiast mówią, że mnie kochają. Słowo daję, trzeba być z Los Angeles, żeby w to uwierzyć.

Obaj się roześmiali.

- Ale matka MJ była zupełnie inna. Okropna aktorka: mnóstwo namiętności i zero talentu. Reżyser chyba od początku podejrzewał, że coś między nami zaiskrzy, bo na pewno nie przysłał jej do mnie ze względu na oszałamiające zdjęcia próbne. Albo po prostu pomyślał, że zasługuję na dobry numer. Bardzo jej zależało, żeby wystąpić w tym filmie, i była gotowa zrobić wszystko, naprawdę wszystko, żeby to osiągnąć. Kiedy odmówiłem, całkiem się rozsypała. Była okropnie rozchwiana emocjonalnie, ale miała w sobie coś specjalnego, no i w dodatku była taka delikatna... Pewnie chciałem mieć kogoś, kim mógłbym się zaopiekować. Ku zaskoczeniu całego Hollywood wzięliśmy ślub. Chyba można powiedzieć, że przez pewien czas byliśmy od siebie wzajemnie uzależnieni.

- Rozumiem - powiedział Stride, myśląc o swoim drugim małżeństwie, z Andrea. Ich związek był bardzo podobny: dwoje ludzi, którzy bardzo się potrzebują, choć wcale się nie kochają.

- Parę lat później urodził się MJ. Nie wiedziałem, że ona równocześnie wpada w coraz głębszą depresję. W tamtych czasach nie rozmawiało się o takich rzeczach. Doszedłem do wniosku, że po prostu nie kocha ani mnie, ani chłopca. Byłem idiotą.

Z artykułów prasowych na temat Walkera Stride wiedział, że żona producenta popełniła samobójstwo kilka lat po urodzeniu dziecka.

- Słyszałem, co było dalej.

- Tak, o jej samobójstwie pisały wszystkie gazety. Ale nie zna pan przyczyn, inspektorze. MJ w końcu je poznał, albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Zrozumiał, że moja żona nie potrafiła poradzić sobie z konkurencją. Była delikatną neurotyczką, a ja tylko pogorszyłem jej stan, ponieważ nie potrafiłem zerwać z przeszłością. To dlatego cała sprawa z Szeherazadą tak bardzo go wzburzyła.

Na brzmienie słowa „Szeherazadą” Stride wzmógł czujność, równocześnie wyłączając emocje i pospiesznie opancerzając serce. Zrobił to niechętnie, ponieważ zaczął już lubić Walkera Lane’a.

- Wspomniał pan, że żona nie potrafiła sobie poradzić z konkurencją oraz że nie potrafił pan zerwać z przeszłością. Co pan miał na myśli?

Walker westchnął ciężko.

- No cóż, po to pan naprawdę przyjechał, prawda? Żeby usłyszeć całą historię. - Odwrócił wózek i wskazał na centralną wieżę domu. - Widzi pan, inspektorze?

Stride również skierował tam spojrzenie. Dachy, kamienne ściany, niezliczone okna... Na szczycie wieży znajdował się wąski, okalający ją balkon.

- Nie rozumiem, co...

Umilkł w pół zdania, ponieważ dopiero teraz dostrzegł pięć nieco jaśniejszych kamieni blisko szczytu wieży. Widniały na nich litery. Choć słońce i deszcz zrobiły swoje, były wciąż na tyle widoczne, że bez trudu odczytał cały napis: AMIRA.

Spojrzał ze zdziwieniem na Walkera. Gospodarz był głęboko pogrążony w myślach.

- Nazwał pan tę posiadłość jej imieniem? Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Widzę, że nie ma pan duszy romantyka...

- Przecież pan ją zabił! - wymknęło się Stride’owi. Walker pokręcił głową. Nie był zaskoczony ani

rozniewany, tylko skupiony i przybity.

- Skądże znowu. Naprawdę pan nie rozumie? Prędzej zabiłbym siebie niż ją. Wielokrotnie chciałem to zrobić, żeby znaleźć się bliżej niej. Kochałem Amirę, a ona kochała mnie. Mieliśmy się pobrać tamtej nocy. Tej nocy, kiedy zamordował ją Boni Fisso.

Kiedy wrócili na werandę, na bezchmurnym do tej pory niebie pojawiły się ciemne plamy. Takie zmiany - ze słońca w deszcz, z deszczu w słońce - zachodziły tu bardzo szybko. Zaczęło mżyć, ochłodziło się w okamgnieniu. Walker wezwał służącego, który rozpałił ogień w kominku i otworzył butelkę wina. Stride postanowił ten jeden raz zrezygnować ze swoich zasad i przyjął kieliszek. Walker pociągnął łyk pinot noir, po czym zapatrzył się w ogień.

- Trudno mi wyjaśnić, na czym polegał fenomen Las Vegas w tamtych czasach - zaczął. - Wydaje mi się, że roztaczało podobny urok jak Hollywood w latach trzydziestych. Było młode, elektryzujące, wspaniałe. Milionerzy i dziewczyny z baletu, muzyka do białego rana, tłum wystrojony w brylanty i smoki, jak na spektakl w Metropolitan. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy są piękni i bogaci. To oczywiście była tylko iluzja, tani trick - w tym to miasto jest najlepsze. Ale nie sposób było wejść do kasyna i nie dostać się pod jego urok. Może dlatego, że prawdziwy świat był wtedy tak daleko. Wystarczyło przejść sto metrów w lewo albo w prawo, żeby znaleźć się na szczerzej pustyni. Pamiętam, jak jechałem kiedyś nocą samochodem z Kalifornii i całymi godzinami otaczała mnie nieprzenikniona ciemność. Nagle, zupełnie niespodziewanie, na horyzoncie pojawiło się coś jakby ognista luna, a potem ze szczytu wzgórza ujrzałem tę rozjarzoną blaskiem neonów wyspę.

- Helen Truax powiedziała, że miasto miało wtedy klasę - wtrącił Stride.

- To prawda. Tak właśnie było.

- Helen występowała w zespole towarzyszącym Amirze.

- Naprawdę? Nie pamiętam.

- Wtedy nazywała się Helena Troy. Podobno spała z panem.

- Nie wątpię - odparł Walker z zażenowaniem. - Wtedy z zapalem uczestniczyłem w grze. Byłem młody, bogaty i sypiałem z wieloma dziewczętami. Las Vegas uwiodło mnie, tak jak wielu innych.

- Tak samo jak Amira?

- Owszem, ona też mnie uwiodła. Czytał pan o *Płomieniu*?

Stride skinął głową.

- Żadne słowa nie zdołają tego opisać. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Miałem mnóstwo dziewczyn, lecz Amira była zupełnie inna. Wpadłem po uszy. Może sobie pochlebiam, ale wydaje mi się, że z nią było tak samo. Może zależało jej na moich pieniądzach, a może chciała stamtąd uciec, ale myślę, że też mnie kochała, równie mocno jak ja ją.

- Problem polegał na tym, że była też kochanką Boniego, prawda? - zapytał Stride.

Na twarzy Walkera, to znaczy na tej jej części, która mogła się poruszać, pojawił się grymas bólu.

- Byłem idiotą, prawda? Naiwnym idiotą. Zadawałem się z gangsterami, myśląc, że to jeden z moich filmów. Twardzi chłopcy w garniturach i fedorach wyglądali jak aktorzy, ale byli prawdziwi.

- Co się stało?

- Sądziiliśmy, że uda nam się zachować sprawę w tajemnicy, że wszyscy dowiedzą się o naszym związku dopiero wtedy, kiedy wyjedziemy gdzieś daleko i się pobierzemy. Niestety, nie potrafiłem ukrywać uczuć. Byłem młody, miałem miłość wypisaną na twarzy. Wszyscy to widzieli, i Boni także. Któregoś dnia Leo Rucci powiedział mi, że Amira jest własnością Boniego jak stół albo pies. Ogarnęła mnie wściekłość, ale udawałem, że to tylko przelotna miłostka, nic poważnego. Amira była znacznie lepszą aktorką ode mnie. Ani razu nie spojrzała na mnie przy ludziach, a Boniemu powiedziała, że jeśli spróbuję jej choćby dotknąć, to zdzieli mnie w zęby. Podobno Boni śmiał się z tego do rozpuku. Tak więc, jak pan widzi, myśleliśmy, że uda nam się wywinąć. Po spektaklu, w środku nocy, miała przyjść do mojego apartamentu na dachu. To była nasza tajemnica.- W Las Vegas nie ma wielu tajemnic... - zauważył Stride.

- Rzeczywiście. Później domyśliłem się, że najprawdopodobniej byliśmy przez cały czas podsłuchiwani. Wydawało nam się, że jesteśmy tacy sprytni, a tymczasem on doskonale znał wszystkie nasze plany.

- Proszę opowiedzieć mi o tamtej nocy.

- O tamtej nocy... - Głos Walkera zadrżał. - O tamtej okropnej nocy... - Uniósł prawą rękę i badawczo dotknął nieruchomej części twarzy, jakby spodziewał się, że jednak coś poczuje. - Po ostatnim przedstawieniu zamierzaliśmy polecieć do Europy, wziąć tam ślub, a potem wyruszyć w półroczną podróż dookoła świata.

- Ale Boni dowiedział się o wszystkim? Walker skinął głową.

- Spędziłem wieczór w jego biurze. To nie było nic

wyjatkowego. Uważałem go za uroczego faceta, doskonale się bawiliśmy, ale tym razem zachowywał się jakoś dziwnie. Mijały godziny, wiedziałem, że Amira już na mnie czeka, i chciałem jak najprędzej do niej pójść, ale Boni wciąż wynajdywał jakiś pretekst, żeby mnie zatrzymać. A potem zjawił się Leo Rucci. Bałem się go. Boni kazał mu odprowadzić mnie do apartamentu. Tłumaczyłem, że to niepotrzebne, ale Boni się uparł, a kiedy wychodziliśmy, ucałował mnie w oba policzki i powiedział: Bóg z tobą, Walker. Wówczas zrozumiałem, że jest niedobrze.

Stride słuchał w milczeniu. Pamiętał, jak stał na balkonie mieszkania MJ i patrzył w dół, na dach Szeherazady.

- Próbowałem namówić Lea, żeby zostawił mnie samego, ale tylko mnie wyśmiał. Myślałem, że w apartamencie zastanę Amirę, ale jej nie było, więc doszedłem do wniosku, że miała dość czekania i poszła... A potem... potem zobaczyłem otwarte drzwi na patio i ogarnęło mnie paskudne przeczucie. Wyszedłem na zewnątrz. - Głos załamał mu się na chwilę. - Była w basenie, w wodzie czerwonej od krwi.

Stałem, patrzyłem na nią i myślałem, że to ja ją zabiłem. Zabiłem ją, bo się w niej zakochałem.

- Co panu zrobili? - zapytał Stride, choć częściowo znał już odpowiedź.

Walker spojrział na bezwładną rękę spoczywającą na oparciu wózka.

- Leo zawiózł mnie do podziemnego garażu, wsadził do limuzyny i powiedział, że wiozą mnie na lotnisko, że mam wsiąść do samolotu i już nigdy nie pokazywać się w mieście. Ale to by było za mało, rzecz jasna. Po drodze

skręcili na pustynię. Czy wie pan, jak to jest, kiedy ktoś gruchocze panu kolana kijem bejsbolowym? Albo wali mosiężnym kastetem w głowę? Oddałbym im wszystkie pieniądze, żeby mnie wreszcie zabili, ale oni bardzo się starali, żeby tego nie zrobić. Boni chciał, żebyśmy żył i pamiętał o tym, co mi zrobił.

Walker Lane, miliarder, rozplakał się jak dziecko.

Stride'a ogarnęła wściekłość. Był wściekły na Boniego Fisso, człowieka, którego nigdy nie widział na oczy. Był wściekły na Las Vegas za to, że zniszczyło życie tylu ludziom. Był wściekły na siebie za to, że przez chwilę poczuł coś jakby zrozumienie dla zabójcy ze szkicu pamięciowego, usiłującego we własny, amoralny sposób pomścić Amirę. Uświadomił sobie, że morderca cały czas był o krok przed nimi.

Nigdy nie chodziło o Walkera. Celem był Boni Fisso.

27

- Nazywa się Blake Wilde - poinformowała Serena Stride'a. - A przynajmniej takim nazwiskiem się posługuje. Pracował w Premium Security. David Kamen, który nią kieruje, rozpoznał go na portrecie pamięciowym. To nasz podejrzany, tyle że zniknął.

Był wieczór. Stride siedział w prywatnym hangarze Walkera na lotnisku w Vancouverze, czekając na powrót gulfstreama. Odrzutowiec nie mógł wystartować z Denver z powodu złej pogody. Teraz padało również na wybrzeżu.

- Jak długo tam pracował? - zapytał.

- Tylko parę miesięcy. Kamen twierdzi, że prześwietlili go i niczego nie znaleźli, ale teczka personalna znikła. Podobno Blake ją zwinął, ale wcale bym się nie dziwiła, gdyby to Kamen nakarmił nią niszczarkę.

- Myślisz, że się znali?

- Kamen służył w wojsku. Był strzelcem wyborowym w piechocie morskiej. Zadzwoiłam tu i tam i dowiedziałam się, że maczał też palce w przemyśle na Bliski Wschód i pomagał najemnikom. Gdybyś był Wilde'em i chciał zaczepić się w Las Vegas, czy nie zwróciłbyś się do starego kumpla?

- Pozostaje pytanie, dlaczego Wilde w ogóle zjawił się w Vegas.

- Żeby zabijać.

- To wiem, ale dlaczego? Dlaczego właśnie on i dlaczego teraz? Przypuszczam, że podał fałszywy adres.

- Dom w Boulder City - odparła Serena. - Rodzina mormonów, pięcioro dzieci i pies. Nigdy nie słyszeli o kimś takim.

- A numer ubezpieczenia?

- Należał do chłopca z Chicago, który umarł w wieku pięciu lat.

- W jaki sposób Wilde odbierał pensję?

- Realizował czeki w lombardach, za każdym razem w innym. Co prawda kosztowało go to dziesięć procent, ale za to unikał kamer i nikt nie zadawał mu pytań.

Stride spoglądał przez otwarte drzwi hangaru na zacinający deszcz.

- Więc to właśnie on był z Karyn Westermark w sobotę po południu?

- Niezłe, prawda? - mruknęła Serena. - To tłumaczy jego przebranie. My go nie obchodziliśmy, chodziło mu tylko o to, żeby ona go nie rozpoznała.

- A co z Tierney Dargon?

- Dla niej też pracował. Nic dziwnego, że otworzyła mu drzwi.

Stride nie mógł uwierzyć, że są tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

- Musi być coś jeszcze! Jakieś rachunki, numer karty kredytowej, konto w banku...

- Nic. Zero. Wszystkie dane, które im podał, były fałszywe. Podszedł do sprawy w profesjonalny sposób. Zadzwoiłam do Harveya Washingtona, sąsiada Nicka Humphreya. Kogo najlepiej wypytać o fałszerzy, jeśli nie fałszerza? Podał mi parę nazwisk. Cordy już sprawdza tych ludzi, ale wątpię, czy na coś trafi.

- Przypuszczalnie miał też drugą, zapasową osobowość - mruknął Stride.

- Kontaktujemy się ze wszystkimi, dla których pracował. Ostrzegamy, żeby mieli się na baczności, gdyby się znowu pojawił, i sprawdzamy, czy niechcący zdradził im jakieś informacje na swój temat. Gdzie robił zakupy, gdzie jadał... Cokolwiek, co pomoże nam ograniczyć obszar poszukiwań.

- Czy portret pamięciowy pokazali już w telewizji?

- Tak. Ludzie dzwonią, ale na razie nie mamy żadnych konkretów. A czego tobie udało się dowiedzieć od Lane'a?

Stride pokrótce zdał relację z przebiegu wizyty oraz powtórzył to, co Walker powiedział mu o związku Boniego Fisso ze śmiercią Amiry.

- Wierzysz mu? - zapytała Serena.

- Może być tak, że naprawdę to Walker zabił Amirę, a Boni poturbował go za karę, ale nie można wykluczyć, że Boni rzeczywiście wściekł się, kiedy się dowiedział, że zamierzają uciec. Tak właśnie twierdzi Walker i chyba mu wierzę. Choć ma więcej forsy od samego Boga, to wciąż boi się Boniego.

- Jest coś jeszcze: właścicielem Premium Security jest właśnie Boni.

Stride pokręcił głową. Wyglądało na to, że Boni zdołał opłacać swoimi mackami każdą osobę zamiesznaną w tę sprawę.

- Co oznacza, że wie już o wszystkim od Davida Kamena.

- Z pewnością - przyznała mu rację Serena. - Ciekawe, czy Blake Wilde wiedział o tym, do kogo należy agencja. Może właśnie na tym polegał jego plan - żeby zaatakować od wewnątrz?

- Przypuszczam, że Blake Wilde zna Boniego znacznie lepiej niż my. Musimy czym prędzej porozmawiać z Bonim - oświadczył stanowczo Stride. - Tylko on wie, co tu się naprawdę dzieje. Wszystkie nici prowadzą do niego i być może do jego planów związanych z budową Orientu.

- Sawhill twierdzi, że próbował umówić nas na rozmowę. Nawet poprosił ojca, żeby ten zadzwonił do Boniego, ale nic z tego nie wyszło. Na razie możemy co najwyżej liczyć na spotkanie z jego adwokatem.

- Niech to szlag trafi! - zaklął Stride. - Przecież nie zamierzam aresztować tego sukinsyna! Chciałbym, ale nie mogę. Nie jest przecież podejrzanym w żadnej z tych spraw, więc dlaczego nie chce z nami rozmawiać? Do jedyne go zabójstwa, o którego popełnienie go podejrzewamy, doszło czterdzieści lat temu, więc na pewno nie zdołamy go za to przyskrzynić!

- Wygląda na to, że woli trzymać się od nas z daleka.

- Jest tylko jedno wyjście: musisz jeszcze raz pogadać z Claire.

Serena milczała zaskakująco długo, aż wreszcie powiedziała:

- Wątpię, żeby coś z tego wyszło. Ona nie chce z nim rozmawiać.

- Sama powiedziałaś, że to nie była kategoriyczna odmowa. Potrzebujemy jej pomocy.

- To strata czasu.

Stride nie rozumiał jej nastawienia.

- Przecież masz niesamowity dar przekonywania. W czym problem?

- Claire próbowała mnie poderwać. Roześmiał się.

- I co z tego? Przecież faceci bez przerwy cię podrywają. Możesz być spokojna, nie będę zazdrosny. - Równocześnie usiłował zrozumieć co mu umknęło, dlaczego Serena zachowuje się w ten sposób. Wreszcie coś mu zaświtało: - Chyba że próba zakończyła się powodzeniem?

- Nie. To znaczy nie całkiem.

- Nie całkiem? To brzmi trochę tak, jakbyś była częściowo w ciąży...

- Nic się nie wydarzyło, ale ja... chciałam, żeby się wydarzyło. To było dla mnie całkowite zaskoczenie. Byłam gotowa od razu pójść z nią do łóżka. Przestraszyłam się tego. Cholera, a teraz nie mogę uwierzyć, że ci o tym opowiadam.

Stride nie potrafił zebrać myśli, nie umiał nazwać kłębiących się w nim uczuć. Czuł się zdradzony, zazdrosny, podniecony... Wszystko razem i jeszcze dużo więcej.

- Co właściwie próbujesz mi powiedzieć, Sereno? Nie był przygotowany na omawianie czegoś takiego. Sytuację z pewnością pogarszał fakt, że rozmowa odbywała

się przez telefon, na wielką odległość.

- Nie mam pojęcia. - W słuchawce szumiało tak bardzo, że z trudem cokolwiek słyszał. - Wielu rzeczy o mnie jeszcze nie wiesz. Nawet ja sama nie wiem wielu rzeczy o sobie.

- Za bardzo się tym przejmujesz. Nie byłaś przygotowana na coś takiego, i tyle. Nie jesteś z kamienia.

- Było mi łatwiej wtedy, kiedy byłam.

- Powiedz mi tylko, czy mnie kochasz. Wstrzymał oddech, bo wcale nie był pewien, co usłyszy.

- Tak.

- Czy Claire to zmieniła?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale teraz muszę zobaczyć się z nią ponownie.

Stride zastanowił się przez chwilę.

- Zdajesz sobie sprawę, że możesz wykorzystać jej zainteresowanie twoją osobą? Może skłonisz ją, by jednak zadzwoniła do Boniego.

- Oczywiście. I tak właśnie muszę postąpić. Boję się tylko, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli.

- Przyciąganie jest aż tak silne?

- Właśnie.

Zapatrzył się na przesłonięte mgłą światła portu lotniczego. Nigdy nie czuł się tak bardzo bezdomny jak teraz. Najchętniej ruszyłby przed siebie w wilgotny mrok i zniknął na zawsze.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak powinnaś postąpić.

Mówił w pustą przestrzeń. Połączenie zostało przerwane. Na jakiś czas każde z nich zostało zamknięte we własnym wszechświecie. Zdawał sobie sprawę, że to będzie długie oczekiwanie i długi nocny lot.

- Witaj, Sereno - powiedziała Claire. - Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Serena przecisnęła się obok niej. Owionął ją delikatny zapach perfum. Spojrzały sobie w oczy.

- Przepraszam, że jestem tak późno. W Limelight powiedzieli mi, że masz dzisiaj wolne.

- Wcale nie przeszkadzasz. Czytałam jakieś babskie powieścisko.

Światła były przyćmione, płonęły aromatyczne świece rozsiewające zapach wanilii. W miejscu, w którym Claire z książką w rękę siedziała na sofie, było wyraźne wgłębienie. Obok leżał koc. Na stoliku do kawy stał do połowy opróżniony kieliszek białego wina. Z ukrytych głośników sączył się łagodny jazz.

- Ładnie tutaj - powiedziała Serena.

Mieszkanie było maleńkie, ale panowała w nim ciepła, trochę staroświecka atmosfera. Stare drewniane meble były w doskonałym stanie; Serena zastanawiała się, czy Claire samodzielnie dokonywała renowacji. Wszędzie stały rozmaite bibeloty: inkrustowane szkatułki, szklane aniołki, kamienne zwierzątka.

- Może wina? - zapytała Claire.

- Dziękuję, nie piję. Jak zacznę, nie mogę przestać - dodała celowo.

- Rozumiem. Współczuję. W takim razie może wody mineralnej?

- Chętnie.

Claire znikła w kuchni, Serena zaś usiadła na sofie. Zdawała sobie sprawę, że prowadzi niebezpieczną grę, że się odsłania, że z własnej woli udziela informacji na swój temat. Taką wybrała strategię. Claire ją polubiła. Gdyby udało jej się utrzymać ich stosunki na poziomie

elektryzującej bliskości, ale nie intymności, być może Claire zrobiłaby to, na czym jej tak zależało: zadzwoniłaby do Boniego.

Serena wiedziała jednak, iż artyści czasami nie miewają zahamowań. Pamiętała dobrze, co przyjaciółka rozwódka mówiła jej o romansie: starasz się przekonać, jak blisko uda ci się podejść do linii, nie przekraczając jej, aż pewnego dnia stwierdzasz ze zdumieniem, że jest już kilometr za tobą. Może popełniła błąd, uważając, że uda jej się uzyskać od Claire to, na czym jej zależało, nie sprzeniewierzając się sobie?

Claire przyniosła jej wodę gazowaną w wysokim kieliszku do szampana. Przy okazji dołała sobie też wina. Usiadła na sofie i podwinęła nogi. Widać było, że czuje się wygodnie w swoim ciele, jak kot. Była boso, miała na sobie wytarte dżinsy i czarny jedwabny top.

- Jestem ci winna przeprosiny - powiedziała.

- Naprawdę?

- Za to, że tak nachalnie cię podrywałam. Zwykle nie bywam taka bezpośrednia. Pewnie wydałam ci się czymś w rodzaju rekina, ale tak naprawdę wcale taka nie jestem.

Serena zastanawiała się, czy to prawda, czy może właśnie rozpoczął się drugi etap uwodzenia.

- Zupełnie się tego nie spodziewałam, i tyle.

- Wybacz mi. Niech to będzie wina mojej romantycznej wyobraźni. Wydawało mi się, że coś między nami zaiskrzyło.

Cały czas bez drgnienia powieki wpatrywała się w twarz Sereny. Głos brzmiał miękko i zachęcająco. Serena zdawała sobie sprawę, że piłka jest po jej stronie siatki. Powinna jakoś zareagować, odsunąć się, zwiększyć

dystans, ale zamiast tego jeszcze bardziej zbliżyła się do granicy.

- Wcale ci się nie wydawało.

Claire nawet się nie zdziwiła, tylko jakby nigdy nic pociągnęła łyk wina.

- Cieszę się.

- Ale między nami i tak nigdy do niczego nie dojdzie - dodała Serena.

- Naprawdę? - zapytała Claire z przekąsem.

- Naprawdę.

- Szkoda. - Przez jakiś czas mierzyła Serene badawczym spojrzeniem, od niechcienia stukając czubkami palców w kieliszek. - Kim ona była?

- Kto taki?

Claire uśmiechnęła się.

- Dziewczyna, którą ci przypominam. Musiała być jakaś. Nie jestem aż tak zarozumiała, żeby przypuszczać, że na mój widok wszystkie kobiety zwijają się z pożądania.

- Rzeczywiście, był ktoś taki - przyznała Serena. - Ale to było dawno temu.

- Może mi opowiesz?

Serena odetchnęła głęboko. Osiągnęła cel: miała szansę wciągnąć Claire w swoją opowieść, zacieśnić łączący je związek. Ale jak łatwo będzie jej stracić rozeznanie, gdzie kończy się zaplanowana na zimno strategia, a zaczyna jej osobiste katharsis. Od wielu lat pragnęła porozmawiać z kimś o Deirdre, lecz nigdy się na to nie zdobyła. Nie rozmawiała o niej z terapeutą, nie rozmawiała z Jonnym. To znaczy powiedziała mu trochę, ale nie wyznała całej prawdy.

Odstawiła kieliszek z wodą i pozwoliła słowom płynąć. Choć minęło już dwadzieścia lat, wspomnienia

wciąż były świeże. Opowiedziała o tym, jak poznała Deirdre, starszą o dwa lata od niej, w restauracji w Phoenix, gdzie obie były kelnerkami. W miarę jak życie z matką i dealerem narkotyków stawało się coraz straszniejsze, Deirdre zamieniała się w opokę, w azyl, w koło ratunkowe, które pozwalało jej przetrwać. To Deirdre trzymała ją za rękę, kiedy poddała się paskudnej aborcji, stanowczo zbyt późno. Rozmawiały o tym, żeby ich zabić, matkę i dealera, ale wolność okazała się bardziej kusząca. Uciec, odejść, zniknąć. Pojechały we dwie do Vegas, razem mieszkały, razem pracowały i razem się bawiły. Były najlepszymi przyjaciółkami, a potem także kimś więcej.

Zostały kochankami. W ciągu tych lat, które minęły, wymyśliła sto sposobów na racjonalne wyjaśnienie tego, co się stało, i co najmniej tyle samo na wytłumaczenie, że w gruncie rzeczy chodziło o coś zupełnie innego. Prawda przedstawiała się jednak w ten sposób, że po prostu były kochankami. Opowiadając tę historię, uświadomiła sobie, że chce znowu poczuć to samo, że chce podniecać Claire. Obserwując ją, widząc, w jaki sposób porusza się na sofie, wiedziała, że to robi. Mogłaby mieć tę kobietę, mogłaby pozwolić, żeby zrobiła z nią, co zechce, i sama też mogłaby to zrobić.

Poczuła się tak, jakby znowu piła.

Opowiadając o tym, jak porzuciła Deirdre i jak jej przyjaciółka wpadła w zacieśniającą się spiralę, która w końcu doprowadziła ją do śmierci, nie rozplakała się jak zwykle. Była silna, ponieważ musiała taka być.

- Chyba trudno jest nosić taki ciężar - zauważyła Claire, kiedy Serena umilkła. - No tak, ale zapomniałam, że jesteś twarda...

- Byłam okrutna.

- Myślisz, że uwolnisz się od poczucia winy, kochając się ze mną? Nie uda ci się. Poza tym ja tego nie chcę.

- A czego chcesz? - zapytała Serena. Claire nie zawahała się ani przez chwilę.

- Chcę, żebyś się we mnie zakochała.

- Na to nie ma najmniejszych szans. - Serena zdołała nadać głosowi stanowcze brzmienie, choć łatwość, z jaką Claire przed chwilą wypowiedziała tych kilka słów, wstrząsnęła nią do głębi. - Nie kochałam Deirdre. Byłyśmy kochankami, ale ja nigdy jej nie kochałam.

- Nie jestem Deirdre. - Claire odgarnęła do tyłu jasno-blond włosy, lecz one i tak niesfornie opadły jej z powrotem na twarz, zasłaniając jedno oko. - A ty czego chcesz, Sereno?

- Chcę, żebyś zaprowadziła mnie i Jonny'ego do swojego ojca. Tylko tego. Niczego więcej.

Patrząc na Claire, można by pomyśleć, że od dawna zdawała sobie z tego sprawę.

- Jeśli się zgodzę, to czy pójdziesz ze mną do łóżka? Serena rozpaczliwie myślała o Jonnym i pokerze. Zdołała zachować kamienną twarz, choć najłżejszy podmuch wiatru mógłby teraz rzucić ją prosto w ramiona Claire.

- Nie. Poza tym sama powiedziałaś, że tego nie chcesz.

- Myślę, że jednak nie jesteś aż tak twarda. Myślę, że gdybym cię teraz pocałowała, to za chwilę już byśmy się kochały. Masz nadzieję, że nie zechcę tego sprawdzić...

Bawiły się teraz w „kto pierwszy stchórzy”. Serena bała się nawet mrugnąć.

- Chcę, żebyś zadzwoniła do Boniego.

Claire powoli wyciągnęła rękę w kierunku stolika do

kawy, wzięła do ręki komórkę, otworzyła ją, ponownie odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała twardo na Serenę.

- Zdajesz sobie sprawę, ile to mnie kosztuje?

- Tak.

- Nigdy się nie dowiesz, co mi kiedyś zrobił. Jak bardzo mnie zdradził.

- Rozumiem. Może kiedyś sama zechcesz mi opowiedzieć.

Claire nacisnęła przycisk. Wciąż miała numer Boniego w opcji szybkiego wybierania. Było już po północy, lecz jej ojciec natychmiast odebrał połączenie.

- Tu Claire - powiedziała, wciąż patrząc Serenie w oczy. - Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

29

Ekspresowa przeszklona winda o kuloodpornych, przyćmionych, szybach zawiozła ich do apartamentu na ostatnim piętrze północnej wieży Charcombe Towers. Do matecznika Boniego.

Obserwując oddalającą się z zawrotną prędkością ziemię, Stride myślał o MJ. Syn Walkera mieszkał w tym samym kompleksie apartamentowców co Boni Fisso i patrzył z góry na to samo kasyno, w którym życie jego ojca legło w gruzach, w którym kochanka Walkera Lane'a zginęła w migotliwym blasku neonu Szeherazady. Zastanawiał się, czy MJ kiedykolwiek spotkał Boniego, czy poznał choćby cząstkę konfliktu między Bonim a jego ojcem. Nic dziwnego, iż Walker tak gorąco prosił syna, by ten się stąd wyprowadził.

Zerknął na Serenę, która stała w milczeniu, patrząc na panoramę miasta. Przez całą drogę powrotną, wsłuchany w szum silników gulfstreama, zadawał sobie wciąż od nowa pytanie, co właściwie myślał o niej i o Claire... I

wciąż nie potrafił na nie odpowiedzieć. Podświadomie spodziewał się, że znikła, ona jednak, mimo późnej pory, nie spała i czekała na niego w łóżku. Nim zdążył o cokolwiek zapytać, wyznała, że do niczego nie doszło, a potem kochali się tak mocno i namiętnie jak nigdy. Nie mógł powstrzymać się od myśli, że być może stało się tak za sprawą niezaspokojonej namiętności do Claire. Ale wcale mu to nie przeszkadzało.

Winda stanęła, drzwi się otworzyły. Wyszli do niewielkiego, rzęsiście oświetlonego holu. Naprzeciwko, w białej ścianie, znajdowały się potężne, podwójne dębowe drzwi. Posadzka z białego marmuru była lśniąca i idealnie gładka. Na ścianie wisiały cztery oryginały obrazów z cyklu „Helga” pędzla Andrew Wyetha. Obecność dzieł sztuki miała zapewne wpłynąć kojąco na gości czekających na wpuszczenie do wewnętrznej świątyni albo świadczyć o tym, iż Boni bardziej od pieniędzy ceni dobry smak. Skoro Steve Wynn trzymał w Bellagio płótna Picassa, to Boni wcale nie musiał być gorszy.

Stride słyszał wiele historii o Bonim, choć trudno było stwierdzić, które są prawdziwe, a które nie. Według jednej z nich Boni trzymał oswojonego szczura, który odgryzał jądra osobom przyłapanym na oszustwie w kasynach. Druga część kary polegała na tym, że niefortunny szulerzy musieli po pewnym czasie zjadać szczurze odchody. Akurat ta opowieść wydawała się Stride’owi mało prawdopodobna, w przeciwieństwie do tej, że co najmniej połowa stanowych polityków w młodości pracowała w kasynach Boniego i zaprzedała mu duszę.

Rok temu Rex Terrell poświęcił Boniemu znaczną część swojego artykułu w „LV”. Bonadetti Angelo Fisso urodził się w Nowym Jorku w połowie lat dwudziestych.

Jego ojciec zarabiał grosze jako kierowca ciężarówek na Manhattanie, lecz mimo to zdołał posłać najstarszego syna na studia do Columbii - plotka głosiła, że nie bez pomocy szefów mafii. Boni opuścił uczelnię jako magister prawa i biznesu - bystry, kuty na cztery nogi i czysty jak łąza. Uniknął powołania do wojska z powodu siedemdziesięciopięcioprocentowej utraty słuchu w jednym uchu, a podczas boomu gospodarczego po zakończeniu drugiej wojny światowej zajął się kupowaniem i sprzedawaniem firm na Wschodnim Wybrzeżu. I tym razem plotki głosiły, iż pieniądze na swoje operacje dostawał od mafii, firmy zaś służyły wyłącznie jako pralnie brudnych pieniędzy. Jednak wiele pokoleń agentów FBI roztrwonilo mnóstwo pieniędzy podatników, by przyłapać Boniego na gorącym uczynku, a udało im się co najwyżej złapać kilka nieostrożnych plotek z jego otoczenia.

W roku 1955 Boni przybył do Las Vegas. Przejął kilka nędznych kasyn, rozbudował je, powiększył o część hotelową, zatrudnił tancerki i półnagie kelnerki i zmienił lokale w maszyny do robienia pieniędzy. Równocześnie kreował swój wizerunek dobroczyńcy, hojnie wspierając budowę szpitali i parków oraz opłacając naukę dzieci swoich pracowników. Publicznie prezentował się zawsze jak uśmiechnięty święty, ale za kulisami przez cały czas trwała bezwzględna walka. Ginęli ludzie, leciały zęby, trzaskały kości, a szczur Boniego tył w oczach, jeśli wierzyć w takie historie.

Najcenniejszym brylantem w koronie Boniego była Szeherazada. Ją pierwszą zbudował od fundamentów, a kiedy w roku 1965 otworzyła podwoje, ściągali do niej najsłynniejsi artyści tamtych czasów. Boni już wtedy wiedział to, co inni odkryli znacznie później: że Las Vegas

musi być ciągle nowe, ciągle inne. Dlatego ściągał do Szeherazydy kolejnych artystów, wystawiał kolejne spektakle. Byli wśród nich Amira i *Płomień*. Wymyślał nowe sposoby na szokowanie i kuszenie ludzi. A pieniądze płynęły wezbrany strumieniem.

Stride widział zdjęcia nieżyjącej matki Claire, z którą Boniego łączył krótki, lecz gwałtowny związek. Eva Belfort była piękną blondynką o arystokratycznych rysach twarzy, odlegle spokrewnioną z francuską rodziną królewską. Żeniąc się z nią, Boni zamierzał otoczyć się europejskim splendorem, ale tak naprawdę, jak wszystko i zawsze, po prostu ją kupił. Jej zadłużonej po uszy rodzinie groziła utrata pięknego chateau w dolinie Loary. Traf chciał, że właśnie wtedy Boni, zwiedzając krainę wina, poznał Evę. Jej rodzina na powrót szybko stała się zamożna, Boni zaś wrócił do Stanów ze wspaniałą zdobyczą. Jak bardzo musiała cierpieć dziewczyna wychowana na francuskiej prowincji w miejskim piekle wzniesionym na skraju rozpalonej pustyni? Jeśli wierzyć Reksowi Terrellowi, Eva była sekutnicą i bez przerwy urządzała Boniemu awantury z powodu jego romansów z tancerkami. Ciekawe, czy wiedziała o Amirze? - pomyślał Stride.

W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Ich małżeństwo - jedyne w życiu Boniego - trwało zaledwie trzy lata. Eva żyła tylko kilka miesięcy dłużej niż Amira. Umarła w połogu, zostawiając Boniego z ich córką, Claire.

Po prawie dziesięćminutowym oczekiwaniu dębowe drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem i pojawiła się atrakcyjna, mniej więcej dwudziestopięcioletnia dziewczyna z wysoko upiętymi

ciemnymi włosami, ubrana w elegancką garsonkę.

- Inspektorzy Dial i Stride? Proszę wejść. Przepraszamy, że musieli państwo czekać.

Zaprowadziła ich do salonu wielkości niemal boiska futbolowego. Cała północna ściana była przeszklona; za nią roztaczał się widok na Strip oraz panorama gór.

- Pan Fisso za chwilę przyjdzie. Przygotowaliśmy śniadanie. Będzie nam miło, jeśli zechcą państwo skosztować.

Wyszła przez drzwi w najbliższej, obitej skórą ścianie. Stride dopiero teraz zauważył bufet i poczuł, że jest potwornie głodny. To, co ustawiono na mahoniowym stole, wystarczyłoby dla dwudziestu ludzi. Wziął talerz, posmarował połowę bagietki serkiem kremowym i położył na niej wędzonego łososa. Potem nalał soku pomarańczowego dla siebie i dla Sereny.

Urządzony w stylu country and western salon zdobiły obrazy specjalizującego się w tym stylu Remingtona. Stała tam także rzeźba przedstawiająca jeźdźca podczas rodeo. Stride jakoś nie bardzo potrafił wyobrazić sobie urodzonego na Manhattanie Boniego w kowbojskim kapeluszu. Otwierał już usta, by zażartować na ten temat, ale nie zdążył, ponieważ do pomieszczenia wszedł Boni Fisso.

- Wszyscy mężczyźni są w głębi duszy kowbojami, inspektorze - powiedział gospodarz, jakby czytając w jego myślach. - Ja jestem włoskim kowbojem. Słyszał pan o spaghetti westernach?

Roześmiał się donośnie, niskim głosem, który przetoczył się po salonie jak grzmot.

Jak na osiemdziesięciolatka poruszał się zaskakująco szybko i sprawnie. Ucisnął im dłonie, po

czym zaprowadził do przeszklonej ściany i szerokim gestem wskazał imponującą panoramę.

- Tylko spójrzcie na to miasto! Mój Boże, co to za miejsce... Niektórzy mówią, że każde naprawdę wspaniałe miasto powinno leżeć nad rzeką. Pieprzyć ich! W naszym mieście są piasek, jukki i grzechotniki. No i pieniądze. Wolę to od ścieków w Missouri albo Hudsonie.

- A czy nie tęskni pan do przeszłości? - zapytał Stride. - Wszyscy, którzy pamiętają tamte czasy, uważają, że w latach sześćdziesiątych Vegas było lepszym miejscem.

- Skądże znowu! - wykrzyknął Boni. - To znaczy, pewnie, że chciałbym mieć takie ciało i choćby połowę energii co wtedy. Kto by nie chciał? Straciłem też wielu przyjaciół. Wszyscy się starzejemy, na to nie ma rady. Ale właśnie na tym polega urok tego miasta. Jest zawsze młode. Trzeba zapomnieć o przeszłości i żyć teraźniejszością. Założę się, że za czterdzieści lat znajdą się ludzie, którzy będą z łezką w oku wspominać, jak to wspaniałe było w Vegas w roku dwutysięcznym. - Boni nalał sobie szampana. - No, dalej, jedzcie, jedzcie! Boże, mówię zupełnie jak moja babcia...

Nie ulegało wątpliwości, że Boni jest czarującym człowiekiem. Stride musiał mocno się wysilić, aby przez cały czas pamiętać, że stojący przed nim starzec nigdy nie zawahał się przed zabójstwem, jeśli uważał, że wymaga tego sytuacja. Przypomniawszy sobie przykutego do wózka inwalidzkiego Walkera, którego zbiry Boniego mało nie zatłukły na śmierć, i Amirę, unoszącą się bez ruchu w basenie z roztrzaskaną czaszką.

Boni przez cały czas świdrował go przenikliwym spojrzeniem błyszczących błękitnych oczu. Stride był

gotów iść o zakład, że gospodarz zna jego myśli. Przypuszczalnie takie były myśli każdego, kto znalazł się tu po raz pierwszy i osobiście poznał gospodarza.

- Nałóżcie sobie na talerze i siadajcie.

Sam zajął miejsce w czerwonym skórzanym fotelu tak niskim, że mimo niewielkiego wzrostu Boni mógł oprzeć całe stopy na podłodze. To był jego tron. Stride niemal się zdziwił, że gospodarz nie ma na palcu pierścienia, który podsuwałby do pocałowania.

Boni ubrał się na czarno. Miał na sobie golf, szytą na zamówienie marynarkę, spodnie od garnituru i wypolerowane na wysoki połysk buty. Na starych fotografiach też już miał łysinę otoczoną wianuszkiem włosów. Różnica polegała na tym, że włosy były teraz siwe, a na czole pojawiły się liczne plamy. Miał podkrążone oczy i sinawy odcień skóry - jakby zarost, którego nie mogła usunąć żadna maszynka do golenia. Nadal jednak sprawiał wrażenie sprawnego i silnego człowieka, a jego oczy patrzyły bystro i przenikliwie. No i miał zęby jak gwiazdor filmowy. Spokojnie mógłby odtwarzać tytułową rolę w *Szczękach*, przemknęło Stride'owi przez głowę.

- Panie Fisso... - zaczęła Serena, lecz gospodarz natychmiast jej przerwał.

- Boni. Nie chcę się czuć tak okropnie staro.

Stride wyraźnie widział, że Serena nie ma najmniejszej ochoty na taką poufałość, ale jednak zdołała się jakoś przemóc.

- Dobrze. A więc... Boni. Nazywam się... Boni znowu jej przerwał.

- Wiem, wiem. Jesteś Serena Dial i jeśli się nie mylę, przybyłaś do Las Vegas z Phoenix. - Powiedział to

całkiem od niechcenia, ale Stride mógłby iść o zakład, że Boni mógłby opowiedzieć ze szczegółami całe dotychczasowe życie Sereny. Może nawet dokładniej, niż on potrafiłby to zrobić. - A ty jesteś tu całkiem nowy - ciągnął gospodarz, spoglądając na Stride'a. - Z Minnesoty? Macie tam sporo jezior. Aż ciśnie się na usta pytanie, co do cholery robisz na pustyni, ale przecież odpowiedź jest oczywista.

Mrugnął porozumiewawczo i wskazał oczami na Serene. Było oczywiste, że wie o ich związku. Stride zastanawiał się, czy źródłem tych informacji był Sawhill.

- Jestem ci winien podziękowania - mówił dalej Boni, znowu zwracając się do Sereny. - Od lat nie rozmawiałem z córką. Cieszę się, że znowu usłyszałem jej głos. Kiedyś miałem nadzieję, że będzie mieszkać tutaj i wspólnie pokierujemy moim imperium. Ma doskonałe wyczucie w interesach. Nie znam nikogo lepszego od niej. Pewnie odziedziczyła to po mnie, bo jej matka, Eva, miała talent do wydawania pieniędzy, nie do robienia. Tak, nie ulega wątpliwości, że moja mała Claire jest cholernie bystrą dziewczyną.

- Co was poróżniło? - zapytała Serena.

Twarz Boniego stwardniała jak szybko schnący beton.

- Inspektor policji troszczący się o moje stosunki rodzinne... Jakie to wzruszające. Chyba jednak nie przysłiście po to, żeby pośredniczyć między mną a Claire, prawda?

- Nie, ale...

- Nie pokłóciliśmy się o moje przedsięwzięcia biznesowe. Claire zaczęła śpiewać te swoje smutne piosenki tylko po to, żeby mi zrobić na złość. I zamieszkała

w tej maleńkiej klitce, choć dobrze wiem, że zarobiła miliony na giełdzie. - Serena wiedziała, że bystremu wzrokowi Boniego nie umknął wyraz zdumienia i zaskoczenia, jaki pojawił się na jej twarzy. - Pewnie powiedziała ci, że poszło o to, że lubi sypiać z dziewczętami, a to nie po katolicku.

No cóż, z pewnością byłbym szczęśliwszy, gdyby wyszła za jakiegoś przystojnego młodzieńca, takiego jak na przykład inspektor Stride. Posłałem ją nawet na randki z paroma sensownymi chłopakami. Czy to coś złego? Ale nie wysłuchiwałem co niedziela jej spowiedzi, o nie. A skoro o tym mowa... ojciec D'Antoni wciąż o nią pyta. Pewnie nie może się doczekać pikantnych szczegółów.

- Słyszałeś kiedyś jak śpiewa?

- Owszem. Jest świetna. Gdyby przeprowadziła się do Nashville, owinęłaby sobie wszystkich wokół palca. Ale to się nigdy nie stanie. Jej serce należy do Vegas. - Rozparł się w fotelu i pociągnął łyk szampana. - Ale przecież nie o tym mieliśmy rozmawiać, prawda? Claire powiedziała, że chcecie pogadać ze mną prywatnie, bez świadków i prawników. Szanuję to, bo sam jestem prawnikiem, i powiem wam, że większość z nich mogłaby postawić na biurku klatkę z papugą powtarzającą w kółko „Nie, nie, nie” i kasować po tysiąc dolarów za godzinę. A więc nie ma tu żadnych prawników. Tylko my troje, a ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Czy to jasne?

Oboje skinęli głowami.

- Przyszliśmy tu po to...

- Przyszliście tu po to, żeby złapać zabójcę. I potrzebujecie mojej pomocy.

Stride skinął głową.

- Zgadza się.

- Widziałem w gazecie portret pamięciowy. Nie mogę wam pomóc. Przykro mi.

- Ten człowiek pracował w pańskiej firmie. David Kamen zatrudnił go w Premium Security. Z pewnością pan o tym wie, bo nie wątpię, że Kamen zadzwonił do pana.

- Rzeczywiście - przyznał Boni. - Ale to niczego nie zmienia. Nigdy w życiu nie widziałem tego Blake'a Wilde'a i nie mam pojęcia, gdzie moglibyście go znaleźć. Chętnie bym wam pomógł, ale nie potrafię.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że jego kolejnym celem może być Claire? - zapytała Serena.

- Nie jestem idiotą - odparł ostro Boni. - Moi ludzie bez przerwy obserwują Claire. Zawsze ją chronię, nawet kiedy o tym nie wie.

- Czy jednym z tych ludzi był właśnie Blake? - zapytała spokojnie Serena.

Boni nie odpowiedział. Stride pomyślał, że to mogło być bardzo celne pytanie.

- Panie Fisso, czy mogę być z panem zupełnie szczerzy? - odezwał się Stride.

- Oczywiście.

- Co prawda nie pisano o tym w gazetach, ale z pewnością wiedział pan jeszcze przed nami, że jest coś, co łączy wszystkie te zabójstwa: Szeherezada. Ściśle mówiąc, Amira Luz. Blake Wilde, kimkolwiek jest, chyba ma obsesję na punkcie pomszczenia śmierci Amiry, ponieważ jego zdaniem prawda na ten temat wygląda zupełnie inaczej niż oficjalna wersja ogłoszona przez policję i powtórzona w prasie. Niewykluczone, że ma rację, ale nie jesteśmy tu po to, by na nowo rozpocząć śledztwo w sprawie zabójstwa Amiry. Ta sprawa jest zamknięta.

- Doprawdy? Jeśli się nie mylę, mocno wokół niej

węszycie, a pan nawet złożył wizytę mojemu staremu przyjacielowi Walkerowi Lane'owi.

- Wie pan, że jest przykuty do wózka. Od tamtej nocy.

- Paskudna sprawa. Zdaje się, że to był wypadek samochodowy? Kolejna nauczka, żeby nie prowadzić pod wpływem narkotyków.

- Walker twierdzi co innego.

- Czyżby?

- Według niego to pan kazał go skatować. To pan zrobił z niego kalekę. Za to, że próbował odbić panu kochankę.

- Zapewne oskarżył mnie również o to, że zamordowałem Amirę?- Owszem.

- No tak, oczywiście... Bardzo go lubiłem, ale postępował wyjątkowo nieroztropnie. Kiedy popełniasz błędy, które pociągają za sobą okropne konsekwencje, często starasz się zwalić winę na kogoś innego.

- A więc to nie ty zabiłeś Amirę? - zapytała wprost Serena.

- Oczywiście, że nie ja.

- Czy nie należała do ciebie? Czy nie była twoją własnością?

Boni pokręcił głową.

- Amira nie należała do nikogo, a już na pewno nie do Walkera. Przypuszczam, że ogromnie go to irytowało.

- Twierdzi więc pan, że to on ją zamordował? - zapytał Stride.

- O ile wiem, zrobił to jakiś naćpany szczeniak. Kiedy to się stało, Walkera nie było już w mieście. Jechał z powrotem do Los Angeles. I chyba właśnie wtedy miał ten wypadek.

- Gdybyśmy pogrzebali w archiwach, zapewne znaleźlibyśmy policyjny raport na ten temat?

- Oczywiście. Chociaż, z drugiej strony, w ciągu czterdziestu lat sporo rzeczy może się gdzieś zapodziać.

- A co z dokumentacją zatrudnienia w Szeherazadzie? Też mogła się zapodziać?

- Tego nie wiem. Co was tam interesuje?

- Informacje o chłopaku, który pracował latem jako ratownik. Nazywał się Mickey.

Boni uniósł brwi.

- Czemu miałby was obchodzić ktoś taki jak on?

- Tamtej nocy zadzwonił do Lea Rucciego z informacją o jakiejś bójce. Chcielibyśmy wiedzieć więcej na ten temat.

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie. Oczywiście w jakimś magazynie na pewno leżą stare księgi zatrudnienia, na pół zżarte przez karaluchy, ale tacy sezonowi pracownicy po prostu dostawali wypłatę w gotówce, bez żadnych papierów. Nikt nie chciał zwracać sobie głowy.

Stride miał wrażenie, że mocuje się ze starym, doświadczonym łosiem, zaprawionym w niezliczonych bojach i wciąż chętnie podejmującym kolejne wyzwania.

- Skoro w śmierci Amiry nie było nic nadzwyczajnego, to dlaczego Blake Wilde tak bardzo chce ją pomścić? - wtrącała się do rozmowy Serena.

Przez twarz Boniego przemknął ironiczny uśmiech.

- To seryjny zabójca. Znacie takich ludzi lepiej ode mnie.

- Gdybyśmy wiedzieli, dlaczego to robi, na pewno łatwiej byłoby nam go schwytać - powiedział Stride. - A ja myślę, że pan to wie.

- Wydaje mi się, że już pan o tym wspominał, inspektorze. Ten człowiek po prostu ubzdurał sobie coś na temat śmierci Amiry.

Stride pokręcił głową.

- Wiem, że chce go pan dostać pierwszy. Wiem, że chce pan mu odpłacić po swojemu. - Uwagi Stride'a nie uszedł fakt, że Boni nawet nie starał się zaprzeczyć. - Najważniejsze jednak jest to, żeby ktoś go złapał, zanim zabije po raz kolejny. Jeśli panu się uda, to w porządku, nawet się o tym nie dowiemy. Nie wydaje mi się jednak, żeby stracił pan cokolwiek, gdybyśmy to my zgarnęli.

- Więc się starajcie - odparł Boni lodowatym tonem. To był wyścig, a Boni musiał w nim zwyciężyć nie tylko po to, żeby ukarać Blake'a, ale przede wszystkim po to, żeby szybko i bez rozgłosu go uciszyć. Kto wie, co opowiedziałyby Blake podczas przesłuchań. Jego zeznania mogłyby zaszkodzić biznesowej reputacji Boniego, a tym samym odstraszyć inwestorów i utrudnić budowę Orientu. Boni Fisso nie zamierzał im pomóc.- Co będzie, jeśli się spóźnisz? - zapytała Serena. - Jeśli on najpierw dopadnie Claire? Czy warto ryzykować?

Nie doczekała się odpowiedzi.

- Skąd wygrzebał go Kamen?

- Akurat to niewiele wam pomoże. Wilde był najemnikiem w Afganistanie. David wykorzystywał go czasem do mniej oficjalnych operacji. Był dobry. Odważny i bezwzględny.

- A może inni znają go trochę lepiej? Ci, z którymi pracował?

- Ja na pewno was do nich nie skieruję. Ani David. Stride oczywiście mógł spróbować zdobyć te informacje kanałami wojskowymi, ale jeśli Wilde działał półlegalnie i

do tego stosował dość ostre metody, to niewiele by się dowiedział.

- W takim razie proszę nam chociaż powiedzieć dlaczego.

Stride niemal widział, jak w głowie Boniego obracają się trybiki. Dla gospodarza to była kwestia zwykłych obliczeń, rachunku zysków i strat. Już myślał, że i tym razem stary człowiek odmówi współpracy, lecz niespodziewanie Boni pochylił się do przodu i oparł dłonie na kolanach.

- Powiem wam to i będziemy kwita. Oboje skinęli głowami.

- Amira nie żyła w celibacie. Na początku, gdy tylko przyjechała do miasta, sypiała z Moose'em. Sprytna dziewczyna. Moose był wtedy na fali. Bardzo szybko została solistką w jednym z naszych spektakli, a potem niby wyjechała do Paryża. Właśnie tam wymyśliła *Płomień*. - Chyba zauważył ich zdezorientowane miny. - W rzeczywistości wcale nie wyjechała do Paryża. Była w ciąży nie chciała, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Odesłałem więc ją na kilka miesięcy w ustronne miejsce, żeby urodziła dziecko.

Niekiedy najtrudniejsze zagadki miewają najprostsze 258 rozwiązania, pomyślał Stride. Blake Wilde był synem Amiry.

- Co się stało z dzieckiem?

- Zostało oddane do adopcji. Amira chciała jak najprędzej wrócić na scenę. Wiedziała, że *Płomień* odniesie ogromny sukces.

- Moose o niczym nie wiedział?

- Nikt o niczym nie wiedział.

Stride nagle doznał olśnienia. Poczł się tak, jakby

znalazł brakujący element układanki. Pozornie chaotyczny obraz nagle stał się wyraźny i oczywisty.

- Dokąd ją odesłałeś? - zapytał, choć już znał odpowiedź na to pytanie.

- Mój wspólnik wynajmował domki letniskowe nad jeziorem w Reno. Wiele dziewcząt z Vegas tam jeździło, kiedy miały podobne problemy.

Stride i Serena spojrzeli na siebie.

- Reno... - wyszeptali niemal równocześnie.

CZĘŚĆ TRZECIA

BLAKE

30

- Już drugi raz w tym tygodniu mam przyjemność cię oglądać - powiedział Jay Walling, kiedy Serena wysiadła z wynajętego samochodu przed domem spokojnej starości w pobliżu centrum Reno. Miał na głowie zawadiacko przekrzywioną fedorę. - Szczęściarz ze mnie.

- Wypchaj się, dobrze? - zaproponowała uprzejmie. Zasunęła suwak skórzanej kurtki. Było zimno, od gór wiał przenikliwy wiatr, niosąc płatki śniegu. W Las Vegas panowały niemal upały, ale tutaj można było się poczuć jak w prawdziwą zimę. Niebo miało barwę grafitu, a góry groźnie szczyrzyły zęby.

- Nazywa się William Borden - poinformował ją Walling. - To brat Alice Ford.

Kiedy już się dowiedzieli, co łączyło Blake'a z Reno, stał się dla nich jasny związek zabójstwa Alice Ford z morderstwami popełnionymi w Las Vegas. Brat Alice przez trzydzieści lat kierował agencją zajmującą się doradztwem i pomocą dla rodzin w północnej części stanu,

w tym także organizowaniem dyskretnych adopcji dla dzieci dziewczyn takich jak Amira.

- Wiesz coś więcej na temat tej agencji? - zapytała Serena.

- Są święci, przynajmniej zdaniem ludzi z Carson City. Niewielki budżet, aktywna działalność, prawie żadnych zastrzeżeń. Odwalają kawał dobrej roboty.

- Czy Borden był dyrektorem wtedy, kiedy Amira Luz urodziła dziecko?

Walling skinął głową.

- Rządził od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego aż do emerytury. Teraz już ledwo ciągnie. Serce. Zamieszkał tu w zeszłym roku.

Serena popatrzyła na dwupiętrowy, przypominający pudełko budynek o brudnoszarych ścianach i poczuła, jak ogarnia ją przygnębienie. Niedaleko stąd stały piękne stare domy z których roztaczał się wspaniały widok na szybko płynące wody rzeki Truckee, ale jej wydawało się, że trafili do innego wszechświata. Wrażenie jeszcze się spotęgowało, kiedy weszli do środka. Mimo starań pielęgniarek, które wieszały na ścianach kolorowe dziecięce obrazki i uśmiechały się szeroko, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż jest to miejsce, gdzie starzy ludzie trafiają, żeby umrzeć. Minęli mężczyznę z amputowanymi kończynami jadącego na wózku, kobietę z zaawansowaną chorobą Parkinsona, ludzi o pozbawionych wyrazu spojrzeniach. Serena obawiała się, że lada chwila dopadnie ją atak klaustrofobii.

William Bordena znaleźli w świetlicy na piętrze. W kącie stał telewizor; grupa starszych osób siedziała na wózkach lub kanapach i oglądała powtórkę *Przyjaciół*. Pielęgniarka zaprowadziła ich do mężczyzny siedzącego

przy oknie w fotelu, z książką na kolanach. Przedstawili się i przysunęli sobie krzesła. Serena zdjęła kurtkę; w pokoju było bardzo ciepło.

- Przykro mi z powodu pańskiej siostry - powiedziała Serena. Zauważyła, że książka nosi tytuł *Jak oswoić się ze śmiercią bliskich*. Ciekawe, czy to w ogóle możliwe, przemknęło jej przez głowę. Szczególnie jeśli to była gwałtowna śmierć.

- Wciąż odczuwam potworne wyrzuty sumienia - odparł Borden. Miał nieobecne spojrzenie i silny, może trochę zbyt donośny głos. Był drobnej postury, miał siwą brodę i siwe, dawno niestrzyżone włosy. Siedział ubrany w niebieską piżamę i kaptcie. - Przypuszczam, że od samego początku to właśnie było jego celem: zadawać ból i rozsiewać poczucie winy. Jeszcze nie widziałem się z Alem. Nie wiem nawet, czy zechce mnie jeszcze widzieć po tym, jak odebrałem mu żonę...

- Pan tego nie zrobił, panie Borden - rzekł stanowczo Walling.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Czyżby?

- Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy rozpoznaje pan człowieka, który przypuszczalnie zamordował pańską siostrę.

Serena podała mu policyjny portret pamięciowy, lecz Borden nawet na niego nie spojrział.

- Nie trzeba. I tak wiem, kto to jest. Wiem od samego początku, jak tylko zadzwonił do mnie pan Walling.

Mimo wysokiej temperatury panującej w pomieszczeniu i wełnianego koca na nogach ciałem mężczyzny wstrząsnął dreszcz.

- Twierdzi, że nazywa się Blake Wilde. Borden pokręcił głową.

- To nazwisko nic mi nie mówi. Jestem pewien, że wiele razy je zmieniał. Wtedy, kiedy go znałem, nazywał się Michael Burton. Ale to było ponad dwadzieścia lat temu.

- Mimo wszystko wołałabym, żeby jednak spojrzął pan na ten rysunek.

Borden westchnął, po czym z wyraźnym trudem i odrazą zerknął na portret pamięciowy. Przyglądał mu się przez jakiś czas, po czym zamknął oczy i skinął głową.

- Kiedy widziałem go po raz ostatni, miał zaledwie szesnaście lat, ale to na pewno on. Te oczy... Reszta twarzy się postarzała, ale oczy są takie same. - Od strony gromadki skupionej przed telewizorem dobiegł stłumiony śmiech. Borden zmarszczył brwi. - Oto o co tak naprawdę chodzi w takim miejscu jak to: zebrać starców jak bydło i czekać, aż padną. Co za ironia losu, przez całe życie starałem się poprawić los dzieci. Nie miałem czasu, żeby założyć własną rodzinę. Wylądowałem tutaj, gdzie odwiedzała mnie wyłącznie moja siostra, a teraz i jej już nie ma. Z powodu błędu, jaki popełniłem. Z powodu jednego jedyne błędu, jaki popełniłem przez trzydzieści lat.

- Czy Blake, to znaczy Michael, był synem Amiry Luz? - zapytała Serena.

- Naprawdę nie wiem i nigdy nie wiedziałem. Nie spotkałem jego matki.

- Proszę nam dokładnie opowiedzieć, co się stało.

- Wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku przyszedł do mnie pewien człowiek. Było już po godzinach urzędowania. Miał ze sobą dziecko - bardzo małe, mogło mieć najwyżej kilka dni. Powiedział,

że matka nie jest w stanie zająć się noworodkiem, i zapytał, czy mógłbym poszukać nowego domu dla chłopca.

- Czy wie pan, kim był ten człowiek? - zapytała Serena.

Borden pokręcił głową.

- Nie przedstawił się. Był wielki, z byczym karkiem. Nie wyglądał przyjemnie.

Serena pomyślała, że opis pasuje jak ulał do Lea Rucciego, choć w tamtych czasach właściciele kasyn zatrudniali pewnie wielu takich jak on.

- I wziął pan to dziecko? Tak po prostu? Bez żadnych pytań?

- Wtedy takie rzeczy były na porządku dziennym. Dziewczyny z Vegas po występie szły do łóżka z zamożnymi klientami i zachodziły w ciążę. Później chciały szybko i dyskretnie załatwić sprawę. Żadnych dokumentów, żadnych problemów z dziedziczeniem. Co miesiąc trafiała się co najmniej jedna. Teraz wielu wspomina z sentymentem tamte czasy, ale wtedy dobrze było tylko białym i bogatym. Nikt nie zaglądał za kulisy, a tam szalała zaraźliwa dyskryminacja, kobiety były wykorzystywane, a dzieci porzucane.

- Więc wziął pan to niemowlę? Borden skinął głową.

- Nie mam nic złego na myśli, ale czy były z tym związane jakieś pieniądze? - zapytał Walling przyciszonym głosem.

- Tak. Były i pieniądze. Ci ludzie zawsze dobrze płacili, ale zapewniam was, nie wziąłem dla siebie ani centa. Wszystko poszło na potrzeby agencji. Dzięki temu przetrwaliliśmy trudne czasy.

- A co z rodziną, do której trafiło dziecko? Nie

zadawali pytań?

- Wtedy wszystko odbywało się anonimowo. Nie mieli powodów, żeby o cokolwiek pytać. Nie to co teraz, kiedy czasem biologiczne matki utrzymują kontakty ze swoimi dziećmi jeszcze długo po adopcji.

Walling niepewnie obracał kapelusz w rękach.

- Jednego nie mogę zrozumieć, panie Borden. Skoro ani pan, ani nowa rodzina nie wiedzieliście nic o pochodzeniu dziecka, to w jaki sposób ten człowiek dowiedział się, że jego matką była Amira Luz? I dlaczego rozpoczął tę swoją paskudną grę od zamordowania pańskiej siostry?

Przez twarz starego człowieka przemknął grymas bólu. Oddychał głęboko, z trudem.

- Nie mam pojęcia, jak dowiedział się o Amirze, a jeśli chodzi o wendetę... To się zaczęło dawno temu.

- Proszę nam opowiedzieć.

- Już wspominałem, że popełniłem błąd. Okropny błąd. Nie chodzi o to, że wziąłem dziecko i przyjąłem pieniądze. Teraz postąpiłbym tak samo. Moje zadanie polegało przecież na chronieniu dzieci.

- W takim razie o co chodziło?

Serena patrzyła Bordenowi w oczy i powoli zaczynała rozumieć. Ona też przez to przeszła. Nagle temperatura panująca w pomieszczeniu stała się nie do wytrzymania.- Mój błąd polegał na wyborze rodziny - wykrztusił wreszcie starzec.

Walling chyba też już się domyślił.

- Co zrobili chłopcu?

- Musicie mnie zrozumieć - mówił Borden, jakby nie usłyszał pytania. - Wybór nowej rodziny to nie jest nauka ścisła. Kierujemy się własną, subiektywną opinią,

która wyrabiamy sobie na podstawie spotkań, rozmów i rozeznania środowiskowego. Od czasu do czasu pojawiają się problemy. Przyznaję: byłem wtedy młody i zanadto pewny siebie. Zrobiłem doktorat z psychologii dziecięcej, wydawało mi się, że potrafię w ciągu paru minut ocenić, czy dana rodzina nadaje się, czy nie. O tylu rzeczach jeszcze wtedy nie wiedziałem...

- Ta rodzina się nie nadawała. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- On, owszem. Porządny człowiek, ciężko pracujący, niższa klasa średnia. Byli małżeństwem od pięciu lat. Rozpaczliwie starali się o dziecko. Jego żona, Bonnie, tryskała entuzjazmem. Wydawało mi się, że będą dobrymi rodzicami. Nie zauważyłem wyraźnych sygnałów. Opierając się na tym, co wiem teraz, jestem w stanie stwierdzić z całą pewnością, że Bonnie też była wykorzystywana co najmniej przez jedno ze swoich rodziców. Kontynuowała tylko to, do czego była przyzwyczajona. Chociaż, jeśli chłopiec mówił mi prawdę, to wyróżniała się szczególnym okrucieństwem.

- Czy nie składał pan wizyt kontrolnych? - zapytał Walling.

- Oczywiście, że składałem. Wszystko wyglądało jak najlepiej. Proszę zrozumieć, panie Walling: ja nie mówię o fizycznym znęcaniu się, biciu, okaleczeniu. Mówię o wykorzystywaniu seksualnym. Bonnie Burton robiła to ze swoim synem.

Serena odniosła wrażenie, że sufit opuszcza się coraz niżej i że za chwilę ją przygniecie. Zobaczyła swoją matkę i dealera, razem w jej łóżku. Z nią. Momentalnie oblała się potem.

- Nie chodziło tylko o seks - ciągnął Borden. -

Terroryzowała chłopca, żeby go zdominować. Całkowicie kontrolowała jego psychikę. Kiedy usiłował się przeciwstawić, karciała go w najbardziej wymyślne sposoby.

- Na przykład? - zapytał Walling.

Serena nie miała najmniejszej ochoty słuchać szczegółów.

- Chłopiec opowiadał, że Bonnie zamykała go nagiego w łazience, wyłączała światło, a potem przez szparę pod drzwiami wpuszczała... różne rzeczy.

- Takie jak?

- Choćby karaluchy.

- Cholera! - wyrwało się Serenie. - Wtedy naprawdę nic pan o tym nie wiedział? A jej mąż?

- Nie wiedziałem. Zresztą nasze kontakty z rodzinami kończą się dość szybko. A mąż... Jeśli wiedział, to nie zrobił nic, żeby to zakończyć. Mam nadzieję, że nie wiedział.

- A jak pan to odkrył? - zapytała Serena.

Twarz Bordena znowu wykrzywiła się boleśnie. Gromadka przed telewizorem ponownie zarechotała.

- To było wiele lat później. Chłopiec włamał się nocą do mojego domu i związał mnie, kiedy spałem. Początkowo nie miałem pojęcia, z kim mam do czynienia. Sądziłem, że to napad rabunkowy. A potem usiadł przy łóżku i powiedział, kim jest. Chciał odnaleźć matkę.

- Więc już wtedy miał obsesję na jej punkcie...

- O tak. Wyobrażał sobie, że jego biologiczna matka jest ofiarą tak jak on. Uważał, iż łączą ich pewne więzy. Opowiedział mi, że czasem przychodzi do niego i szepcze mu coś na ucho, mówi, że wszystko będzie dobrze. Prosi, żeby ją odszukał.

Serenie kręciło się w głowie. Była wściekła na

siebie, że dopuszcza do tego, by jej własna przeszłość mieszała się z terażniejszością.

- Czy właśnie wtedy opowiedział panu o tym, że jest wykorzystywany? - zapytał Borden.

Borden skinął głową.

- Ze szczegółami. Jeśli zastanawiacie się, czy tego nie zmyślił, to zapewniam was, że nie. Rozmawiałem z tysiącami dzieci. Wiem, jakie mają fantazje i jak kłamią. To nie było ani kłamstwo, ani fantazja. Niezależnie od tego, co potem uczynił i kim się stał, jedno nie ulega wątpliwości: w tamtym domu przeszedł prawdziwe piekło.

- Jaki był? Gwałtowny?

- Owszem, ale to była kontrolowana gwałtowność. Nie zionął nienawiścią, był opanowany i okrutny, choć to raczej nie było celowe okrucieństwo. Radził sobie z cierpieniem w ten sposób, że odgradzał się od bólu. Starał się też kontrolować uczucia. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale wydał mi się bardzo... skupiony. Skoncentrowany. Jak na swój wiek był bardzo dojrzały. Gwałtowność i przemoc to były tylko środki, za pomocą których chciał dotrzeć do celu.

- A jego celem było odnalezienie prawdziwej matki
- wyszeptwała Serena.

Uświadomiła sobie, że doskonale rozumie reakcje i zachowanie Blake'a w dzieciństwie. Ona postępowała tak samo. Próbowwała otoczyć się skorupą. Ukryć we własnym wnętrzu.

- Tak jest. Niestety, nie potrafiłem go do niej skierować.

Walling zmrużył oczy.

- Co panu zrobił?

Borden spokojnie rozpiął pizzamę i zsunął ją ze

szczyłych ramion. Na klatce piersiowej widać było wyraźne ślady po Operacji na otwartym sercu, ale były tam również inne znaki. Dziesiątki owalnych, zniekształconych blizn porozrzucanych po całym torsie.

- Wypytywał mnie o zasady adopcji, o dokumentację, gdzie może ją znaleźć. Początkowo kłamałem, że dokumenty sprzed lat zaginęły podczas jednej z przeprowadzek, ale on szybko się zorientował, że kłamię. Palił papierosa i za każdym razem, kiedy nie spodobała mu się odpowiedź, przypalał mnie. Nawet nie będę próbował opisać, jak to bolało. Widziałem jednak, że torturowanie mnie nie sprawia mu żadnej przyjemności. Robił to tylko po to, by uzyskać to, czego chciał.

- W końcu powiedział mu pan prawdę?

- I to bardzo szybko. Trudno mu było uwierzyć, że nie mam żadnych papierów dotyczących jego adopcji, że nie wiem, kim była jego matka. Najlepiej, jak potrafiłem, opisałem mu człowieka, który go przyniósł, ale nie sądzę, żeby mu to coś dało. Przecież minęło szesnaście lat. Powiedziałem też, że zawsze podejrzewałem, iż w tej sprawie maczała palce mafia, ale wątpię, by szesnastoletni chłopak zdołał dowiedzieć się czegokolwiek od bossów mafijnych.

- A więc nie wydaje się panu, żeby już wtedy dowiedział się o Amirze? - zapytała Serena.

- Nie mam pojęcia, jak by to się mogło stać. Nadal nie wiem, jak do tego doszło. Przecież nawet ja nie znałem prawdy, dopóki mi nie powiedzieliście.

- Załóżmy jednak, że jakoś się dowiedział. Jak pan sądzi, dlaczego to robi? Jaki ma plan?

Borden popatrzył na portret pamięciowy. Milczenie się przedłużało. W pewnej chwili spod powieki wymknęła

mu się ła i spłynęła po policzku. Otarł ją szybko. Serena nie wiedziała, czy to z żalu za siostrą, czy ze współczucia dla człowieka, którego niechcący skazał na życie pełne cierpień.

- Częściowo na pewno z chęci zemsty. Mści się nie za siebie, ale za matkę. Samodzielnie wymierza sprawiedliwość.

- Ale czemu zabija członków rodzin? Dlaczego nie weźmie się do ludzi, którzy jego zdaniem przyczynili się do śmierci Amiry?

- Bo wyobraża sobie, że w ten sposób zadaje im większy ból - odparł Borden. - Chce, żeby ci ludzie doświadczyli na własnej skórze, jak to jest, kiedy traci się kogoś bliskiego. Tak jak on stracił i jak straciła Amira.

- Z tego, co wiemy, można wywnioskować, że Amira raczej się ucieszyła, pozbywając się dziecka - zauważyła Serena.

- Być może, ale on o tym nie wie. Poza tym i tak z pewnością by w to nie uwierzył.

- Ale przecież pan jej nie zabił - zauważył Walling. - Dlaczego więc zaczął od pana?

Borden pokręcił głową.

- Nie chodzi tylko o tych, którzy ją zabili. Chodzi o wszystkich, którzy ją zdradzili. Jego zdaniem, ja byłem pierwszy. Oddzieliłem dziecko od matki. Stało się to dla mnie jasne już wtedy, kiedy się u mnie zjawiał. Obwinał mnie i za to, że go jej odebrałem, i za to, że oddałem go Burtonom.

- Musimy z nimi porozmawiać - stwierdziła Serena.

Z jednej strony wzdragała się przed spotkaniem z wyrodną matką, z drugiej natomiast nie mogła się doczekać chwili, by dać jej odczuć swoją pogardę.

- To będzie raczej trudne - powiedział Burton. - Wtedy, kiedy chłopak zjawił się u mnie, uciekał z miasta. Wychodząc z domu, podpalił go. Dom spłonął doszczętnie. Razem z nimi.

31

Blake doskonale pamiętał, jak dowiedział się prawdy o Amirze.

Wydarzyło się to zupełnie przypadkowo. Niektórzy pewnie powiedzieliby, że cudownym zrządzeniem losu. Istniało co najmniej milion powodów, dla których nie powinien się nigdy o tym dowiedzieć, ale złożyło się tak, że on i czasopismo znaleźli się w tym samym miejscu o tym samym czasie, i poczuł, jak prawda zalewa go falą piekącego gorąca. Życie wisi czasem na bardzo cienkim włosku.

Kilka miesięcy temu siedział w poczekalni dentysty w Cancun. Stomatolog ten nie specjalizował się w leczeniu kanałowym ani w koronkach, lecz w zaopatrywaniu amerykańskich turystów w kokainę. Popełnił jednak błąd, ponieważ przywłaszczył sobie sporą kwotę należącą do ludzi ulokowanych wyżej od niego w narkotykowej piramidzie; do ludzi, którzy nie tolerowali złodziejstwa. Zadanie Blake'a było proste: pozbawić dentystę dwóch siekaczy.

Czekając, aż wyjdzie ostatni pacjent, Blake odkrył, że dentysta ma jeszcze jedną pasję - hazard. Przypuszczalnie właśnie to było przyczyną jego zwiększonych potrzeb finansowych. W poczekalni leżało mnóstwo czasopism z Las Vegas, Missisipi i Monte Carlo, a wśród nich także najnowsze wydanie „LV”. Traf chciał, iż był to numer z artykułem Reksa Terrella o Amirze Luz i Szeherazadzie.

Otworzył pismo i od razu zobaczył swoją matkę patrzącą na niego z fotografii sprzed czterdziestu lat. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Miał wrażenie, że patrzy w lustro i widzi odbicie własnych oczu. Nikt nie musiał mu niczego mówić. Nie potrzebował badania porównawczego DNA. Po prostu wiedział. Czuł łączące ich więzy.

W miarę jak czytał artykuł, elementy układanki trafiały we właściwe miejsca, tworząc obraz potwierdzający to, co widział na zdjęciu. Okres, w którym Amira rzekomo występowała w Paryżu, pokrywał się z miesiącami przed porodem i tuż po nim. Wcale nie byłaś w Paryżu, prawda? Mieszkałaś wtedy w Reno - samotna, zagubiona dziewczyna spodziewająca się dziecka. Potwierdził się też wątek mafijny, o którym wspomniał człowiek z agencji.

Boni Fisso.

Tutaj, w poczekalni dentystycznej, matka wezwała go z powrotem do Nevady, choć kiedyś przysiągł sobie, że już nigdy tam nie wróci. Wezwała go, żeby wymierzył sprawiedliwość.

Blake zostawił zemdlonego stomatologa na podłodze gabinetu, we krwi sączącej się z rozchylonych ust. Zęby umył i zachował na szczęście. Tego dnia rozpoczęły się dla niego nowe poszukiwania. Już kompletował listę osób, które powinny zapłacić za swoje grzechy. Za to, że skrzywdziły Amirę i jej syna.

Wrócił do Stanów przez zieloną granicę w Meksyku. Nie było to trudne. Przez większą część życia prześlizgiwał się nieopatrzenie przez granice w krajach takich jak Kolumbia, Afganistan, Nigeria albo Irak. Przybierał dziesiątki tożsamości i nie miał problemów, by się z nimi

identyfikować, ponieważ czuł się tak, jakby nie miał własnej. Jego przeszłość skończyła się w Reno, w chwili kiedy związał swoich przybranych rodziców, oblał ich i wnętrze domu benzyną, wyszedł na zewnątrz, zapalił zapalniczkę i patrzył na szalejące morze ognia, słuchając ich żalonych krzyków. Potem wciągnął głęboko powietrze, żeby zapamiętać smród ich przypiekanych ciał, odwrócił się i uciekł.

Nowe życie. Po prawie dwudziestu pięciu latach ucieczki.

Był zdruzgotany, kiedy poszukiwania matki spełzły na niczym. Przypiekany papierosem człowiek z agencji adopcyjnej zapewniał go że łzami w oczach, że Blake był mafijnym dzieckiem, które zjawilo się znikąd. W końcu mu uwierzył. Jakiejś jego cząstce chyba nawet spodobała się tajemnica spowijająca jego pochodzenie, lecz pragnienie poznania prawdy nigdy nie minęło. Jego matka nigdy od niego nie odeszła - w głowie wciąż słyszał jej głos. Prowadziła go. Wciąż byli połączeni niewidzialną pępowiną.

Blake nie zagrzeał długo miejsca w Stanach. Co prawda miał szesnaście lat, ale bez trudu mógł uchodzić za dwudziestolatka. Po inwazji na Grenadę przedostał się tam wraz z paroma najemnikami z Luizjany, którzy zwietrzyli zarobek. Przekonał się, że zawsze znajdują się ludzie gotowi zapłacić za to, by wykonano jakąś robotę. Nie potrzebował tożsamości, ponieważ nikt go o nic nie pytał. Był przebiegły, bezwzględny i anonimowy. Tego właśnie oczekiwali jego pracodawcy i dobrze mu płacili.

Z Grenady przeniósł się do Nikaragui, stamtąd do Afryki. Okręzał glob, zawsze pozostając w cieniu. Niemal przez całą minioną dekadę przebywał na Bliskim

Wschodzie, gdzie co prawda ryzyko było znacznie większe, ale wynagrodzenie także. Nie miał nic przeciwko wyzwaniom, w końcu jednak znudziła mu się współpraca z fanatykami i żar pustyni. Podążył do Meksyku, wynajmował się do pracy tylko wtedy, kiedy potrzebował gotówki, a poza tym rozkoszował się wiatrem znad zatoki i opalonymi kobietami.

Uważał się za kogoś w rodzaju częściowego emeryta. Odłożył w banku sporą sumkę, pracował okazjonalnie i tylko wtedy, kiedy nie wiązało się to z koniecznością opuszczania wybrzeża. Jako ktoś, kto nigdy nie miał domu, najbardziej u siebie czuł się w promieniach słońca i nad wodą. Jego popęd seksualny zaspokajał niekończący się korowód pięknych kobiet, zarówno turystek, jak i miejscowych. Kupił dom. Nauczył się gotować i łowić ryby, a w środowe wieczory pił corone i grał w pokera z dokerami i kelnerami.

Ale najgłębsze zakamarki jego duszy nadal spowijał mrok. Światło tam nie docierało. Coś się tylko ciągle poruszało, skrzypiąc i szeleszcząc, a z ciemności przemawiał jej głos. Matka przypominała mu szeptem o niewykonanym zadaniu. W pewnej chwili uświadomił sobie, że ogarnęło go lenistwo. Groziło mu stetryczenie, a na to jeszcze nie mógł sobie pozwolić. Po lecie spędzonym na całkowitym nieróbstwie, wypełnionym jedynie piciem i co wieczór zaspokajaniem żądzy z inną kobietą, zdał sobie sprawę, że jeszcze nie jest gotów się wycofać. Coś nadal pchało go naprzód. Później zrozumiał, że prowadziła go czyjaś ręka. Niewykonane zadanie.

Kilka miesięcy później w poczekalni dentystycznej zobaczył twarz matki. Gdyby przestał pracować, nigdy by jej nie odnalazł. Po lekturze artykułu, który nappełnił go

palącym gniewem, wiedział na pewno, że było mu pisane znaleźć się o tym czasie w tym miejscu. Tak po prostu miało być. Wracał do domu.

W Las Vegas zamieszkał w niedrogim mieszkanku w mało ciekawej okolicy, po niewłaściwej stronie rozsypującego się kamiennego muru, który oddzielał dzielnicę biedoty od miasta bogaczy. Mógłby sobie pozwolić na coś znacznie lepszego, ale zależało mu na kryjówce w miejscu, gdzie sąsiad nie pamięta twarzy sąsiada i gdzie nikt nie rozmawia z gliniarzami.

W takich dzielnicach obowiązują proste zasady: Nie rozglądaj się za bardzo. Pilnuj własnego nosa.

Pochłaniał wszystkie informacje na temat Amiry Luz. Godzinami czytał na jej temat. Szperał w sieci, a na eBayu znalazł piracki, czarno-biały, beznadziejny pod względem jakości film przedstawiający jeden z występów Amiry w *Płomieniu*. Odtwarzał go w kółko, patrząc jak zaczarowany na matkę rozbierającą się przed pożądanym tłumem. Uwodziła go tak samo jak obecnych na sali. Zapamiętał każdy szczegół przedstawienia, zaczął nawet rozpoznawać niektórych widzów i pozostałe tancerki. Czuł się tak, jakby artykuł z czasopisma ożył przed jego oczami.

Helena Troy. Widać było, jak patrzy na Amirę; tylko przez moment, ale to całkowicie wystarczyło. Jej spojrzenie stanowiło kwintesencję zazdrości i nienawiści.

Moose Dargon. Pijany na scenie między występami baletu. Brwi falujące jak czarne żagle. Sprośne dowcipy. „Kiedy Bóg stworzył Amirę, siódmego dnia nie odpoczywał. Walił konia”.

Walker Lane. Ledwo go było widać w pierwszym rzędzie, choć był najwyższy ze wszystkich. Ale i tak Blake niemal słyszał jego lubieżne posapywanie, kiedy Amira

pojawiła się na scenie.

Leo Rucci. Ukryty za kulisami. Obmacujący dziewczęta wygłodniałym spojrzeniem. Człowiek z byczym karkiem. To on wyrwał Blake'a z ramion Amiry.

Wydawało mu się, że dobrze zna ich wszystkich, że potrafi przeniknąć do starego filmu, znaleźć się w tamtej sali, poczuć woń perfum, brylantyny i dymu tytoniowego. Że może wmieszać się w tłum, ubrany w smoking, w którym prezentował się znacznie lepiej od reszty. Że jest w stanie porwać Amirę ze sceny i wywieźć ją na pustynię swoim kabrioletem. Że cały świat zamienił się w czarno-biały film.

Im głębiej zanurzał się w przeszłości, tym łatwiej było mu planować teraźniejszość. Były też dodatkowe korzyści: spotkał Davida Kamena, snajpera z Kabulu, aktywnie działającego na afgańskim czarnym rynku. Kamen sporo zawdzięczał Blake'owi, który parę razy wykonał dla niego mokrą robotę. Dzięki temu Blake dostał pracę umożliwiającą mu łatwy dostęp do ludzi, z którymi miał porachunki.

Pomału wszystko zaczynało się układać.

Nocą przed wyjazdem do Reno jeszcze raz obejrzał *Płomień*. Zęby dentysty jego szczęśliwy amulet, zwykle leżały w pudełku na telewizorze, ale tym razem wyjął je i obracał w palcach. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zacznie działać. Patrząc na film, myślał o sobie, małym dziecku w przeklętym domu Bonnie Burton. Gniew już go opuścił. Jeszcze kilka godzin i zacznie wyrównywać rachunki.

Wiedział jednak, że nie zaśnie tej nocy. Był potwornie spięty, a przecież powinien się uspokoić, żeby szybko i precyzyjnie wykonać plan. Po obejrzeniu filmu

poszedł na drinka i papierosa do klubu, w którym dość często bywał: Limelight.

Teraz, wiele tygodni później, trudno było mu uwierzyć, że gra prawie dobiegła końca.

Siedział w nierzucającym się w oczy brązowym samochodzie na parkingu, przecznice od popularnego klubu ze striptizem, niedaleko kasyna Stratosfera. Była noc, ale ulicę oświetlał blask neonu. W lusterku wstecznym widział kabriolet zaparkowany przy krawężniku. Minęło już półtorej godziny, więc Blake spodziewał się lada chwila ponownie zobaczyć mężczyznę. Uważnie obserwował wchodzących i wychodzących klientów.

Opuścił szybę, palił papierosa. Co jakiś czas podchodziła któraś z krążących w okolicy dziwek, wpychała cycki przez okno i proponowała swoje usługi, ale kiedy on nadal w milczeniu palił, wpatrując się w nią nieruchomym spojrzeniem, szybko cofała się, zbita z tropu i zaniepokojona. Zastanawiał się, czy mogły w nim rozpoznać człowieka z portretu pamięciowego pokazywanego w telewizji, ale w samochodzie było ciemno, więc wydawało mu się to raczej niemożliwe. Poza tym wątpił, by którakolwiek z nich pobiegła na policję.

O wpół do dwunastej mężczyzna wreszcie wyszedł z klubu. Trudno było go nie zauważyć. Wysoki, młody i otyły, z wielkim brzuszyskiem przelewającym się nad paskiem spodni. Miał na sobie białą koszulę i krawat tak mocno poluzowany, że powiewał mu między nogami. Jego ramienia uczepliła się filigranowa blondynka w kusej różowej sukience. Szli, mocno się zataczając, lecz mimo to wsiedli do kabrioletu.

Od ściany budynku, którą do tej pory podpierał,

oderwał się ochroniarz i wolnym krokiem ruszył za parą. Był albo bardzo głupi, albo mało doświadczony: Blake mógłby podejść do kabrioletu i zrobić wszystko z jego pasażerami, a tamten nadal żułby gumę.

Blake wyjechał z parkingu na Strip. W lusterku widział, jak kabriolet też rusza, tyle że znacznie gwałtowniej. Ochroniarz właśnie wsiadał do dużej terenówki, lecz był zbyt wolny. Blake przepuścił kabriolet i ruszył jego śladem. Kilkadziesiąt sekund później obok niego przemknęła terenówka z ochroniarzem. Blake spokojnie podążał za obydwoma samochodami.

Mijali urzędy stanu cywilnego, cukiernie i oszustów czytających z dłoni albo z kart tarota. Ruch był duży, przez otwarte okno wpadało suche, gorące powietrze. Blake przypuszczał, że para w kabrioecie zmierza do jednego z kasyn przy Fremont Street.

Na uchu miał zestaw bluetooth. Wystukał numer na klawiaturze aparatu i chwilę później usłyszał niechętne warknięcie:

- Taaak?

- Dobry wieczór, Leo.

- Kto mówi, do cholery?

- Blake Wilde. Wiesz, kim jestem? Zapadło milczenie.

- Tak, Boni mi o tobie mówił - powiedział wreszcie Leo Rucci. - Gliniarze też. Jesteś ten facet, co myśli, że wskrzesi mamuszkę, rozjeżdżając samochodem małych chłopców. I co z tego? Mam się ciebie bać?- Powinieneś.

- No więc ani trochę się nie boję, gnojku. Może przyjechałbyś teraz do mnie i pogadał? Jasne, nie zrobisz tego, bo wiesz, że nie wyszedłbyś żywy.

- Po prostu chciałem się upewnić, że to na pewno ty.

- Blake dodał gazu, wyprzedził jakąś limuzynę i wrócił na prawy pas. Po lewej stronie miał kabriolet z dziewczyną i grubym mężczyzną.

- Co to ma znaczyć?

- Byłeś prawą ręką Boniego w Szeherezadzie. Chciałem się upewnić, że to ty zabiłeś Amirę.

Rucci roześmiał się.

- Załatwił ją jakiś naćpany świrus. Odpuść sobie.

- Obaj wiemy, że było inaczej.

- Tak? A skąd niby masz cokolwiek na ten temat wiedzieć? Sikałeś wtedy w pieluchy.

- Powiedz mi, jeśli to byłeś ty, Leo. Wtedy to będzie sprawa tylko między mną a tobą.

- Niczego nie muszę ci mówić, świrusie!

- No cóż, skoro chcesz tak to rozegrać... - Blake wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc. - Jadę teraz obok białego kabrioletu. Numer rejestracyjny YA8 371. Zdaje się, że prowadzi twój syn Gino, zgadza się?

Znowu odpowiedziało mu milczenie, tym razem przesycone nienawiścią i wściekłością.

- Nawet się nie waż, dupku! - wycedził Leo. Kabriolet zatrzymał się na czerwonym świetle. Blake zatrzymał swój samochód tuż obok.

- A teraz uważaj, Leo.

- Ty świrusie! Nie rób tego, słyszysz?

Blondynka tuliła się do Gina Rucciego. Prawą rękę wepchnęła mu w spodnie. W lusterku wstecznym Blake widział ochroniarza siedzącego spokojnie za kierownicą terenówki.

- Hej, mała! - zawołał do blondynki. - Ile bierzesz?

Spojrzała na niego wściekle.

- Odpieprz się!

- Pytałem, ile bierzesz. Ile ten grubas daje ci za ręczną robotę. Wątpię, żeby była warta więcej niż pięć dolców.

Znowu zerknął w lusterko. Ochroniarz właśnie wysiadał z samochodu. Gino odepchnął blondynkę i z twarzą nabrzmiałą wściekłością pochylił się w stronę Blake'a.

- Nie możesz sobie pozwolić na jakąś dziwkę z klasą? - zapytał Blake.

Wydawało się, że krew za chwile tryśnie z twarzy Gina.

- Mam nadzieję, że podobał ci się twój ostatni spacer, dupku! - wycharczał. - Bo już nigdy więcej nie będziesz chodził!

- Słuchasz, Leo? - rzucił Blake.

- Amira była dziwką! - wrzasnął Leo Rucci. - Była tylko cholerną, pieprzoną dziwką!

Ochroniarz był coraz bliżej, Gino zaczął podnosić się z fotela niczym gigantyczny balon. Blondynka wcisnęła się w fotel i zasłoniła twarz rękami.

- Chcesz pożegnać się z synkiem, Leo?

- Zniszczę cię, dupku!

W kabriolecie zadzwoniła komórka. Blake wiedział, że to Leo usiłuje ostrzec syna. Sięgnął po leżącego na jego kolanach sig-sauera i wystawił go przez okno.

- Słuchaj uważnie, Leo.

Ochroniarz sięgnął pod marynarkę. Gino miał równie idiotyczną minę jak MJ, kiedy otworzył oczy. Blake dwa razy nacisnął spust, po czym skierował broń ukośnie do tyłu i posłał pocisk w szyję ochroniarza. W słuchawce usłyszał nieludzki krzyk. Krzyczała też blondynka.

- Pozdrów ode mnie Boniego - powiedział spokojnie Blake, ruszając z miejsca. - Powiedz mu, że będzie następny.

32

Znowu Sara Evans. Niespokojna.

Kiedy Stride wyjął z kieszeni komórkę, zobaczył na wyświetlaczu kierunkowy 218. Niemal całe życie spędził na obszarze objętym tym właśnie numerem, czyli w północnej Minnesocie.

- Jak leci, szefie? - usłyszał znajomy głos.

- Mags! - wykrzyknął radośnie. - Miło cię słyszeć. Brakuje mi ciebie, wiesz?

- Nawzajem.

Pracował z Maggie Bei przez ponad dziesięć lat. Była szczuplutką, niską chińską dziewczyną, ale nie znał nikogo, kto by dorównywał jej inteligencją. Krótco przed jego wyjazdem do Las Vegas poinformowała, że jest w ciąży i występuje ze służby. Dzięki temu łatwiej mu było podjąć decyzję.

- Jaka u was pogoda? - zapytał Stride.

Dla mieszkańców Minnesoty było nie do pomyślenia, żeby zacząć rozmowę od innego tematu.

- Paskudna. Zimno i deszcz. A u was.

- Upał. Przez parę dni było trochę chłodniej, ale teraz znowu zrobiło się gorąco. Miałem już nadzieję, że po sierpniu na stałe się ochłodzi.

- Przystosowałaś się już, szefie? Jedwabna koszula, ciemne okulary i musujące drinki z parasoleczkami?

- Jasne. Oprócz tego farbuję sobie włosy i czeszę je do tyłu.

- Pewnie. A ja jestem teraz platynową blondynką i wszczepiłam sobie implanty.

Stride śmiał się tak bardzo, że musiał zatrzymać samochód przy krawężniku.

- Naprawdę brakuje mi ciebie, Mags.

- To chyba oczywiste. - Spowaźniała. - Mam wiadomości. Obawiam się, że niezbyt dobre.

- Co się stało?

- Straciłam dziecko - powiedziała łamiącym się głosem.

- Och, nie... Tak mi przykro.

- To było już ponad dwa tygodnie temu, ale jakoś nie mogłam się zebrać, żeby ci o tym powiedzieć.

- Mags, powinnaś była od razu zadzwonić. Westchnęła ciężko.

- To i tak nic by nie zmieniło.

- Jak się czujesz?

Natychmiast pokręcił z niesmakiem głową. Takie idiotyczne pytania zadawali reporterzy ludziom, którzy wyszli cało z wypadków albo katastrof.

- Tak sobie. Lekarz mówi, że takie rzeczy się często zdarzają, że będziemy próbować jeszcze raz i tak dalej, ale wcale mi dzięki temu nie łatwiej. Erie też to bardzo przeżywa. Mówi, że nie jest pewien, czy jeszcze chce mieć dzieci. To trochę tak, jakby Bóg próbował nam coś przekazać.

- Mags, przecież to bzdura!

- Wiem, wiem. - Zawahała się. - Zastanawiam się nad powrotem do służby. Tak naprawdę wcale nie chciałam odejść. To był pomysł Erica.

- Naprawdę ci na tym zależy?

- Sama nie wiem. Bez ciebie to nie to samo.

Stride nie wiedział, co odpowiedzieć, toteż po prostu milczał. Maggie podkochiwała się w nim przez wiele lat i

powiedziała mu o tym krótko po śmierci Cindy, ale nic z tego nie wyszło. Nie miała do niego żalu, nawet wtedy, kiedy pojawiła się Serena, choć Stride często się zastanawiał, co się dzieje w jej wnętrzu. Nawet po tym, jak wyszła za Erica, od czasu do czasu dostrzegał znaki świadczące o tym, że nie zawahałaby się, gdyby tylko ją zechciał.

- Ale ty pewnie jesteś szczęśliwy w Mieście Grzechu - odezwała się ponownie.

- O, tak. Doskonale tu pasuję. Przecież to oczywiste. Zignorowała sarkazm.

- Jak to jest znowu harować jak wół, a nie zgrywać wielkiego szefa?

- Robię to, co zawsze, to znaczy narzekam na porucznika.

- Nieźle. A jak tam Serena?

- W porządku.

Wiedział, że jego głos brzmi jak ze studni. Wiedział też, że nie oszuka Maggie. Nigdy mu się to nie udawało.

- Macie jakieś kłopoty?

- Nie wiem, co mamy - przyznał.

- Serena musi sobie radzić z upiorami z przeszłości.

Wiedziałeś o tym, szefie.

- Tu nie chodzi o żadne upiory.

Nabrał powietrza w płuca i opowiedział jej o Serenie i Claire, i o swojej obawie, że w końcu ją straci.

- Ale ona mówi, że wciąż cię kocha?

- Tak.

- A ty? Jak ty się czujesz?

Stride przypomniał sobie stary dowcip: zapytaj kogoś z Minnesoty, jak się czuje, w dniu, kiedy zdechł mu pies, żona odeszła z innym i stracił pracę. Co usłyszysz?

Doskonale.

- Przecież wiesz, że ją kocham.

- To na czym polega problem? Do licha, szefie, może masz szansę na atrakcyjny trójkącik?

Stride roześmiał się niewesoło.

- Jasne. Szczerze mówiąc, taka myśl przemknęła przez mój zboczony umysł, ale daj spokój...

- Świat jest dziwniejszy, niż ci się wydaje - powiedziała zupełnie nieswoim głosem.

- Tylko mi nie mów, że ty byś się na coś takiego zdecydowała!

- Lepiej nie rozprawiajmy na ten temat.

Nie musiała mu tego dwa razy powtarzać. I tak czuł się tak, jakby stąpał po kruchym lodzie.

- No więc, co z tobą? Wracasz?

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Na razie jest trochę za wcześnie.

- Aha. - Tak bardzo przyzwyczał się myśleć o niej jako o kimś twardym jak skała, że teraz, słysząc ból w jej głosie, czuł się potwornie nieswojo. - Naprawdę cholernie mi przykro, Mags.

- Dzięki. Wiesz... To nie jedyny powód, dla którego zadzwoniłam.

- Tak?

- Poprosił mnie o to K2. Sam nie mógł się zdobyć na odwagę.

Zastępca szeryfa Kyle Kinnick był bezpośrednim przełożonym Stride'a w Duluth.

- Czego chce? - zapytał Stride, czując niepokojące trzepotanie w piersi.

- Nie znaleźli nikogo sensownego na stanowisko porucznika w wydziale śledczym. Poprosił mnie, żebym

wybrała, czy chciałbyś wrócić.

- Biblioteki - powiedziała Amanda. - Myślę, że powinniśmy szukać w bibliotekach.

Stała przy otwartym oknie w gabinecie Sawhilla. Prawie nie było wiatru, na biurku furkotał przenośny wentylator, pchając gorące powietrze na twarz porucznika. Kilka godzin temu zabrakło prądu w znacznej części śródmieścia i choć komenda policji miała awaryjny generator, to jednak nie wystarczał on do zasilania klimatyzacji. We wszystkich pomieszczeniach panował potworny upał.

- Ten człowiek musiał gdzieś szukać informacji o Amirze. Oczywiście mógł szperać w sieci, ale mógł też pójść do biblioteki. Tylko tam znajdzie stare gazety, czasopisma i inne materiały. Przy okazji mógł kompletować listę ofiar.

- Dobrze, sprawdźcie to. - Choć twarz Sawhilla lśniła od potu, ani trochę nie poluzował krawata. Jedynym ustępstwem na rzecz upału z jego strony było zdjęcie czarnej marynarki. - Pokazujemy go w gazetach i telewizji, a mimo to nie możemy znaleźć. A on jakby nigdy nic rozwała na środku Stripu Gina Rucciego i jego goryla. Możecie mi to wytłumaczyć?

- Wiemy, że potrafi się maskować - odezwał się Stride. - Jeśli nie chce być rozpoznany, to nie będzie. Ale szuka go policja, szukają go też ochroniarze w kasynach. Świadkowie zgodnie twierdzą, że wczoraj poruszał się brązowym samochodem, ale nikt nie zapamiętał numerów. Dodaliśmy to do jego profilu.

- Dzwonią jacyś ludzie z informacjami?

- Tak, ale do tej pory nie dowiedzieliśmy się w ten

sposób niczego nadzwyczajnego.

- Co jeszcze o nim wiemy?

- Że właściwie go nie ma - odparła Serena. - W Reno aż do szesnastego roku życia nazywał się Michael Burton. Jay Walling dokopał się do jakichś jego szkolnych papierów, ale nie było tam nic, co mogłoby nam pomóc. Po tym, gdy spalił rodziców, jakby rozpląnął się w powietrzu. Nie mamy pojęcia, kim był ani gdzie mieszkał.

- Sprawdziłem w wojsku - uzupełnił Stride. - Zdołałem dotrzeć do dwóch ludzi, którzy służyli w oddziale Davida Kamena w Afganistanie. Jeden z nich pamiętał Wilde'a i potwierdził wersję Kamena, że ten gość był w gruncie rzeczy najemnikiem. Facet nie wiedział jednak o niczym, co pomogłoby nam schwytać Wilde'a.

- Nie ujawniliśmy jego powiązań z Amirą - zauważyła Serena. - Może powinniśmy to zrobić?

Patrząc na Sawhilla, Amanda bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak w jego głowie obracają się kółeczka politycznych zależności.

- W jaki sposób miałyby nam to pomóc? - zapytał podejrzliwie.

- Mógł rozmawiać z kimś o Amirze albo o Szeherezadzie. Dzięki temu ktoś mógłby go zapamiętać.

Sawhill pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne. Na pewno sprawa trafiłaby na pierwsze strony gazet, ale w niczym nie ułatwiłoby nam to roboty. Powstałoby tylko niepotrzebne zamieszanie.

Polegające na tym, że ludzie zaczęliby zadawać Boniemu Fisso niewygodne pytania, pomyślała Amanda, głośno zaś powiedziała:

- Prędzej czy później sprawa i tak wyjdzie na jaw. Albo nastąpi przeciek, albo jakiś dziennikarz w rodzaju

Reksa Terrella doda dwa do dwóch.

- Niech oni się o to martwią, a my skoncentrujemy się na złapaniu tego typu, zanim znowu kogoś zabije. - Sawhill wyjął chusteczkę i otarł czoło. - Co zamierzamy zrobić, żeby mu to uniemożliwić?

Serena zerknęła przez ramię na Cordy'ego.

- Przygotowałeś listę? Cordy skinął głową.

- Skontaktowaliśmy się z dziesięcioma kolejnymi osobami, które pracowały wtedy w Szeherazadzie i miały jakkolwiek związek z Amirą albo jej przedstawieniem. Tancerki, choreografowie - wszyscy, którzy mogli mu podpaść. Ostrzeżyliśmy ich, żeby oni i ich najbliżsi mieli się na baczności.

- Ale Wilde najwyraźniej posuwa się w górę łańcucha pokarmowego - wtrącił się Stride.

Sawhill uniósł brwi.- To znaczy?

- Że teraz na celowniku jest Boni. Wilde nie dopuściłby do tego, żebyśmy dowiedzieli się, jak wygląda, gdyby nie zbliżał się do końca. Chce, żeby Boni wiedział, że teraz jego kolej.

- Dlaczego miałby to robić? Stride wzruszył ramionami.

- Może chce się popisać. Może cierpi na przerost ego. A może chce, żeby Boni pocił się ze strachu.

Sawhill, marszcząc brwi, kołysał się w fotelu.

- Tyle że tak naprawdę wcale nie chodzi mu o Boniego, zgadza się? Do tej pory zawsze uderzał w kogoś z rodziny. Z czego wynika, że największe niebezpieczeństwo grozi córce Boniego, Claire, prawda?

- Owszem - potwierdził Stride.

Sawhill pochylił się do przodu i wycelował palec w Serenę.

- Znasz ją, no nie? W takim razie weźmiesz na siebie jej ochronę. Masz nie odstępować jej na krok, zrozumiano?

- Nie jestem niańką, poruczniku - zaprotestowała Serena.

- Nie, ale jesteś policjantem starającym się ocalić czyjeś życie. Czy to jasne? - Nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej: - Od tej pory odpowiadasz za ochronę Claire Belfort. W żadnym wypadku nie wolno nam dopuścić Wilde'a w jej pobliżu. Rozumiesz? Masz być jej cieniem aż do chwili, kiedy go złapiemy. Niech zamieszka u ciebie. Czy to jasne?

- Tak jest.

Serena wyglądała tak, jakby lada chwila miała rozpląnąć się z gorąca. Amanda była trochę zdziwiona, ponieważ do tej pory uważała ją za osobę opanowaną i niepoddającą się emocjom. Nagle zabrzączał jej telefon. Amanda przeprosiła i wyszła z gabinetu.

- Gillen, słucham?

- Tu Leo Rucci.

Amanda usiadła na najbliższym krześle. Nawet tapicerka wydawała się gorąca, jakby wchłonęła znaczną część wiszącego w powietrzu upału.

- Przykro mi z powodu pańskiego syna.

- Daruj sobie. Nie potrzebuję współczucia. Nawet śmierć Gina nie zmiękczyła go ani odrobinę.

- Chciałabym porozmawiać z panem o tym morderstwie. Może zdoła nam pan pomóc schwytać tego człowieka, zanim znowu kogoś zabije.

- Nie mam wam nic do powiedzenia. Przeszłość już się nie liczy, jasne? A z tym szajbusem sam się porachuję. Nie potrzebuję pomocy. Chciałem tylko was uprzedzić, że

jeśli zamierzacie go złapać, to zróbcie to szybko.

- Dlaczego?

- Bo teraz i ja na niego poluję.

33

Blake wydmuchnął kłęb gryzącego dymu, wziął do ręki szklaneczkę, zliżał nieco soli z krawędzi i pociągnął łyk słodko-kwaśnej margarity. Tak naprawdę to wolałby piwo albo szkocką, ale w Cancun wszyscy turyści pijali wyłącznie margaritę, a poza tym rudowłosy prawnik uczestniczący w zjeździe specjalistów od spraw upadłościowych, w okularach przeciwsłonecznych, z identyfikatorem i szklaneczką margarity w dłoni, nie budził niczyjego zainteresowania. Ot, jeszcze jeden krętaacz chłonący atmosferę i flirtujący z kelnerką.

Usiadł przy okrągłym stoliku w ostatnim rzędzie w Limelight. Wokół niego tłoczyli się ludzie, pobrzękiwali lodem w szklaneczkach, rozmawiali podniesionymi głosami i kasłali... W półmroku trudno było rozróżnić twarze, ale i tak zdążył wypatrzeć ochronę. Niebyło to trudne: przy stoliku blisko sceny siedzieli dwaj potężnie zbudowani mężczyźni w garniturach, pod ścianą z tyłu sali stał jeszcze jeden gliniarz o latynoskich rysach twarzy, czarnych zaczesanych do tyłu włosach, z szyderczym uśmiechem przyklejonym do warg. Był tak blisko, że Blake mógł go prawie dotknąć. Po obu stronach sali zajęli stanowiska chłopcy z Premium Security. Blake znał obu. Ogromne chłopcy o budowie goryli, z mózgam wielkości piłki tenisowej. Pomachał do jednego z nich, a ten tylko wlepił w niego tępe spojrzenie. Blake mało nie wybuchnął śmiechem.

To był drugi występ Claire tego wieczoru; północ już dawno minęła. Blake nie był miłośnikiem muzyki, ale

spodobał mu się jej chropawy, smutny głos, który przywodził mu na myśl cierpienia, jakich zaznał w dzieciństwie. Rzadko przywoływał te wspomnienia, ale brzmienie głosu Claire sprawiło, iż stały się mniej bolesne. Przez chwilę mógł uwierzyć, że poszukiwanie czegoś, co się utraciło, może być piękniejsze niż samo posiadanie. Ale tylko przez chwilę.

Myślał o swojej przybranej matce Bonnie Burton. Nawet teraz, po dwudziestu latach, cierpła mu skóra. Wtedy to było zupełne szaleństwo: tak bardzo ją kochał, tak bardzo chciał ją zadowolić... W gruncie rzeczy nienawidził tylko przybranego ojca, bo to on pozwalał, żeby to się działo, i nie robił nic, żeby ją powstrzymać. Na początku, kiedy Blake zaczął utrzymywać stosunki z Bonnie, lubił to przyprawianie mu rogów. Wciąż pamiętał dotyk jej dłoni, doprowadzało go do wściekłości to, że na myśl o niej czasem dostawał erekcji. Że wciąż miała nad nim taką władzę. Powtarzała mu, że jest jej najwspanialszym kochankiem, że nigdy go nie skrzywdzi, że jej ciało należy do niego. Ciało o obwisłych piersiach i pękatym brzuchu.

Kiedyś powiedziała mu, że byłoby cudownie, gdyby zabił ojca, tak żeby mogli być tylko we dwoje. Ojca, który doskonale wiedział, co działo się w sypialni, ale albo nic go to nie obchodziło, albo zbyt się bał, żeby zareagować.

Odparł, że istotnie to wspaniały pomysł, ale nie dodał, że jeszcze lepiej byłoby zabić ich oboje. Zaledwie miesiąc później stał na podwórzu i patrzył, jak dom trawia płomienie.

Myślał też o chłopcu z ulicy w Summerlin, o Peterze Hale'u. To była dla niego lekcja: jednak nie był aż tak opanowany, jak sądził, wściekłość mogła powrócić w

każdej chwili i zupełnie go oślepić. Patrzył, jak chłopiec rzuca piłką w drzwi garażu. Powtarzane rytmicznie ruchy i dźwięki wprowadziły go w coś na kształt hipnozy. Mógłby uśmiechnąć się do chłopca, wejść do domu, poderżnąć gardło Lindzie Hale, a potem jakby nigdy nic wrócić do samochodu. Po drodze może nawet sam parę razy rzuciłby piłką. Potem jednak wyobraził sobie, że zostawia chłopca bez matki i zrozumiał, że tego nie robi. Siedział jak sparaliżowany. Piłka z łoskotem odbijała się od drzwi. Szczęśliwe dziecko. Dziecko, które miało wszystko to, czego brakowało Blake'owi. W któregoż życiu nie było żadnej Bonnie. Którego prawdziwa matka nie została zwabiona, osaczona i zabita przez Las Vegas. Gardło ścisnął mu gniew, połączony z szaleńczą zazdrością i odrazą. Tak mocno trzymał kierownicę, jakby chciał ją złamać. A potem, bez wahania, wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu do dechy. Chciał zniszczyć tego dzieciaka, unicestwić go, zamienić w pył pod kołami samochodu.

Czasem nicość bywa błogosławieństwem.

Blake zamrugał gwałtownie. Pozwolił sobie na zbyt długą dekoncentrację, ale tak działały na niego wspomnienia. Uwiódł go głos Claire, łagodny, a zarazem ostry jak chłaśnięcie brzytwą po nadgarstku.

Skup się.

Amira.

Musiał działać szybko. Już kilka razy był na występie Claire i wiedział, że do końca zostały tylko trzy piosenki. Musiał zacząć działać teraz, jeśli nie chciał ugrzęznąć w tłumie cisnącym się do wyjścia, wykorzystać tłok i zamieszanie po to, by wyrwać Claire spod opiekuńczych skrzydeł ochrony.

Wiedział, jak to zrobić. Z jej pomocą.

Gdy tylko rozległy się oklaski po kolejnej piosence, wstał i lawirując między stolikami, ruszył w kierunku najbliższych drzwi. Miał na sobie sportową marynarkę, koszulę, krawat, dżinsy i półbuty. Znalazłszy się w sali kasyna, zdusił papierosa na obudowie jednego z automatów i wyszedł przez szklane drzwi na parking. Rozejrzał się uważnie dookoła. Po lewej miał Boulder Strip, przed sobą centralną alejkę parkingu, po której obu stronach stały ukośnie samochody. Swój wóz zostawił na samym końcu, tak by mógł jak najszybciej wyjechać na ulicę.

Oparty o maskę czerwonego caprice classic gliniarz w cywilnym ubraniu obserwował ludzi wchodzących do kasyna i wychodzących. Kiedy spojrzenie policjanta padło na jego twarz, Blake zeszywniał, zastanawiając się, czy zostanie rozpoznany, ale nie dał niczego po sobie poznać, tylko skinął obojętnie głową i podążył dalej, w stronę wozu. Nasłuchiwał z niepokojem, czy za jego plecami nie rozlegną się szybkie kroki, lecz nic takiego nie nastąpiło.

Wsiadłszy do samochodu, wyjął telefon komórkowy. Zaczekał dziesięć minut, a kiedy z budynku kasyna zaczęli wychodzić pierwsi widzowie, wybrał numer. Claire odebrała prawie od razu. Jej głos podobał mu się również wtedy, kiedy mówiła.

- Tu detektyw Johathan Stride. Pracuję z Sereną. Słyszał jej przyspieszony oddech. Zapewne jeszcze nie opadły emocje po występie.

- Tak?

- Musimy cię stąd natychmiast zabrać, Claire.

- A gdzie Serena? Zdaje się, że mieliście przyjechać we dwoje?

Blake zmarszczył brwi. Nie miał dużo czasu, musiał szybko myśleć.

- Coś jej wypadło. Nie możemy czekać. Jestem na parkingu przed kasynem. Czerwony caprice classic w drugim rzędzie. Im szybciej się zjawisz, tym lepiej.

- Czy to bezpieczne?

- Nasi ludzie ani na chwilę nie spuszczaają cię z oka. Oczywiście robią to dyskretnie. Nie chcemy go spłoszyć, tylko zgarnąć.

- Czyli mam odegrać rolę robaka na haczyku? Uśmiechnął się.

- Mniej więcej.

Claire zwlekła sekundę lub dwie z odpowiedzią.

- W porządku - odparła wreszcie. - Skoro tak to wymyśliliście... Widzimy się za pięć minut.

Stride ominął stojące rzędem taksówki i zaparkował ukośnie na chodniku.

- Właśnie się skończyło.

Wysiedli z samochodu. Stride machnął odznaką portierowi i weszli do środka, przepychając się między ludźmi podążającymi w przeciwnym kierunku.

- Jesteś pewien? - zapytała Serena.

Stride wiedział, co ma na myśli. Sawhill zażyczył sobie, żeby Claire zatrzymała się u nich do końca polowania na Blake'a. Serena chciała wiedzieć, czy jest pewien, że chce wpuścić Claire do ich domu, czy jest pewien, że chce pozwolić, by uwodziła jego dziewczynę. Nie, wcale nie był tego pewien.

- Sawhill ma rację, musimy się nią zaopiekować - odparł. - A najłatwiej będzie nam wtedy, gdy zamieszka u nas.

- Wątpię, czy się zgodzi. Jest dość niezależna.

- To użyj swojego wdzięku, żeby ją przekonać.

Zarumieniła się po uszy.

Sala była już prawie pusta. Kelnerki sprzątały ze stolików. Serena zauważyła Cordy'ego, który rozmawiał na scenie z członkinią zespołu Claire: farbowaną blondynką z kolczykiem w nosie i tatuażem na ramieniu.

- Claire jest na zapleczu? - zapytała.

- Zgadza się. Weszli na scenę.

- A Blake?

- Ani śladu.

- Nikt nie wchodził i nie wychodził przez te drzwi poza członkami zespołu?

- Nikt. Nasi ludzie byli też na sali i przy drzwiach.

Mamy listę personelu - wpuszczamy tylko tych, którzy są na liście i mają identyfikatory ze zdjęciem.

Stride skinął głową. Razem z Sereną wyszli przez drzwi na mały podest, a stamtąd, po kilku stopniach w dół, do wąskiego korytarzyka. Z lewej strony dobiegały odgłosy z kuchni. Serena skręciła w prawo; zatrzymali się przed drewnianymi drzwiami w pobliżu wyjścia pożarowego. Ktoś przykleił na nich wyciętą z papieru gwiazdę oraz czarno-białe zdjęcie Claire. Serena nigdy wcześniej go nie widziała; poczuła się trochę nieswojo, ponieważ Claire wyglądała na nim niezwykle atrakcyjnie.

Zapukała do drzwi.

- Claire!

Cisza. Zapukała jeszcze raz, mocniej.

- Może jest pod prysznicem? - zastanawiała się na głos, ale Stride miał niedobre przeczucia. Nacisnął klamkę, lecz drzwi się nie otworzyły. Załomotał w nie pięścią.

- Cholera!

Prawie położył się na podłodze i zajrzał do środka przez szparę pod drzwiami. Co prawda nie zobaczył tego,

czego się obawiał - to znaczy ciała - ale pokój był pusty.

- Sprawdzę w kasynie.

- A ja z drugiej strony - powiedziała Serena. - Może wyszła na papierosa.

Wybiegła na schody pożarowe, Stride zaś popędził korytarzem. Jakimś cudem uniknął zderzenia z kelnerką niosącą tacę zastawioną kieliszkami, zajrzał do kuchni, by się upewnić, że Claire tam nie ma. Wreszcie wpadł przez dwuskrzydłowe drzwi do głównej sali kasyna i mało nie zderzył się z ochroniarzem.

- Czy Claire tędy wychodziła?

- Kto?

- Claire Belfort. Kobieta, którą wszyscy próbujemy ocalić!

Ochroniarz wzruszył ramionami.- Ach, ta piosenkarka... Tak, szła tedy jakąś minutę temu.

- Sama?

- Sama.

- I nie próbowałeś jej zatrzymać?

- Nikt mi nie mówił, że mam zatrzymywać kogoś, kto wychodzi! Powiedzieli mi tylko, żeby nikogo nie wpuszczać. Poza tym była umówiona z kimś z pohcji.

Stride'a oblał zimny pot.

- Z kim?

- Z jakimś Stride'em.

Stride zaklął i sięgnął po broń.

- Którędy wyszła?

Strażnik wskazał przeszklone drzwi prowadzące na parking.

- Tędy.

Stride popędził co sił w nogach, ściągając na siebie nieprzychylny spojrzenia graczy. Przy drzwiach tłoczył się

spory tłumek widzów. Tłok to bezpieczeństwo, przemknęło Stride'owi przez głowę. Przepychał się energicznie, ale każda sekunda zdawała się trwać wieczność. Wiedział, że właśnie sekundy zadecydują o życiu lub śmierci. Jego odbicie w szklanych drzwiach mierzyło go szyderczym spojrzeniem.

Blake ułożył ciało policjanta na tylnym siedzeniu caprice'a, wytarł nóż w jego spodnie i schował do kieszeni. Następnie zatrzasnął drzwi i uśmiechnął się do pary wsiadającej do zaparkowanej tuż obok terenówki.

- Trochę za dużo wypił. Obojętnie skinęli głowami.

Stanął przy masce samochodu i obserwował ludzi wychodzących z kasyna. Kobiety w eleganckich sukniach, mężczyźni w garniturach i koszulach z poluzowanymi krawatami. Pary idące powoli, bez pośpiechu, śmiejące się. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Wlepił wzrok w drzwi. Po dwóch minutach ją zobaczył: ciepły wiatr rozwiewał długie włosy Claire. Zatrzymała się przy krawężniku i rozejrzała dookoła. Miała na sobie czerwoną jedwabną bluzkę z długimi rękawami, dżinsy i pantofle na wysokim obcasie. Jej skóra lśniła w blasku lamp.

Dostrzegła go przy samochodzie. Skinął jej głowę, a ona przez chwilę przyglądała mu się uważnie, po czym ruszyła w jego stronę. Zdjął ciemne okulary i uśmiechnął się. Spojrzeli sobie w oczy.

Zawahała się i przystanęła, wciąż zbyt daleko.

- To ja! - zawołał.

Ruszyła ponownie, ale wolniej.

Za jej plecami wybuchło zamieszanie: jakiś człowiek wybiegł z budynku, bezceremonialnie roztrzając

ludzi. Blake zacisnął zęby na jego widok. To był Stride, prawdziwy Stride. Detektyw miał prawą rękę ukrytą pod marynarką. Blake również sięgnął po broń.

- Chodź, chodź... - wycedził.

Claire znieruchomiała, obejrzała się przez ramię, a kiedy znowu spojrzała na niego, w jej oczach malowało się przerażenie. Wzrok opuściła na dłonie Blake'a.

Kiedy i on na nie spojrzął, zobaczył, że są zbroszone krwią.

Stride wreszcie przepchał się przez tłum i znalazł się na chodniku. Nie mogła odejść daleko. Bacznie przyglądał się twarzom, słuchając docierających do niego strzępów rozmów.

Co za głos...

Popłakałam się, wiesz? Nie pamiętam, kiedy zdarzyło mi się to ostatnio...

Niezła. Boże, ona naprawdę jest niezła!

Nigdy nie widział Claire na własne oczy, więc pozostało mu mieć nadzieję, że rozpozna ją dzięki fotografii na drzwiach. A może teraz wygląda zupełnie inaczej? Wyszedł na jezdnię, wciąż rozglądając się dookoła. Najchętniej zawołałby ją, ale nie chciał zwracać na nią czyjejś uwagi.

Jakaś blondynka otarła się o jego. Chwycił ją za łokieć i odwrócił gwałtownie twarzą do siebie, po czym szybko przeprosił; to nie była Claire.

- Palant! - syknęła wściekle, ale jego mało to obchodziło.

Gdzie ona się podziała? Szukał jej wzrokiem w tłumie. Claire... Blake... Wiedział, że oboje tam są.

Była umówiona z kimś z policji. Z jakimś Stride'em.

Przyciszone głosy dobiegały z lewej strony.

To ona?

Kto?

Ta piosenkarka.

Podążył spojrzeniem za wzrokiem rozmawiających. Zobaczył odwracającą się w jego stronę twarz otoczoną burzą jasnych włosów i błękitne oczy. Ulga, jaką poczuł, trwała tylko chwilę; nad jej ramieniem zobaczył rudowłosego mężczyznę w koszuli z krawatem. Twarz nie wywołała żadnych skojarzeń, ale oczy...

Te oczy widział na portrecie pamięciowym.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego. Wiedział. Rękę wsunął pod marynarkę.

Stride rzucił się naprzód.

- Claire! Padnij!

Na ułamek sekundy zamarła w bezruchu, a potem dała nura za jeden z samochodów i potoczyła się po asfalcie. Stride wyszarpnął pistolet spod marynarki i przybrał pozycję strzelecką, ale był za wolny. Blake poruszał się jak błyskawica: rzucił się na ziemię, przeturlał w lewo, równocześnie wyjmując broń, i nacisnął spust. W ostatnim ułamku sekundy Stride padł płasko na asfalt; grad pocisków przemknął nad jego głową. Wielkie szklane tafle w ścianie kasyna eksplodowały miliardem odłamków.

Wybuchła panika. Niektórzy padali na ziemię, inni uciekali na oślep, zewsząd dobiegały przeraźliwe krzyki.

- Policja! - wrzasnął Stride. - Wszyscy na ziemię, nie ruszać się!

Ludzie szukali schronienia między samochodami. Blake znikł bez śladu. Claire siedziała oparta plecami o koło pół-ciężarówki, obejmując kolana rękoma i patrząc przed siebie pustym spojrzeniem. Położył jej dłoń na

ramieniu.

- Jestem Stride. Nie ruszaj się. Zostań tutaj.

- Krew... Na rękach...

- Co takiego?

- Miał krew na rękach.

Stride zaklął i rozejrzał się szybko dookoła, ale nikogo nie zobaczył. Wszyscy znikli, jakby jakaś siła nadprzyrodzona zabrała ich na inną planetę, ale wiedział, że Blake wciąż może przebierać w zakładnikach.

- Zostań tu - powtórzył.

Przemknął między samochodami i pobiegł główną alejką parkingu. Nikt do niego nie strzelał. Rozpoznał czerwone caprice i zajrzał do środka. Z tyłu leżało nieruchome ciało. Stride otworzył drzwi i z wnętrza samochodu pociekła krew, plamiąc mu spodnie. Chwycił bezwładną rękę, szukając pulsu, ale niczego nie wyczuł.

Za plecami usłyszał szybkie kroki. Odwrócił się i kątem oka dostrzegł Serenę. Znowu posypały się strzały; Serena zanurkowała między samochodami, pociski rykoszetowały od dachów, krzesząc iskry.

- Serena!

Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Wszystko w porządku! - usłyszał wreszcie.

Z pistoletem gotowym do strzału wychylił się nad maskę sąsiedniego wozu. Dostrzegł Blake'a trzy rzędy dalej i zdążył dwukrotnie nacisnąć spust, zanim tamten zniknął mu z oczu. Pociski roztrzaskały przednią szybę jakiegoś cadillaca. Wiedział, że Sawhill urwie mu za to jaja.

Odczekał chwilę za minivanem, ale kiedy ruszył w poprzek alejki, znowu posypały się w jego stronę kule. W chwili gdy dobiegł na drugą stronę, poczuł piekący ból w

piersi; zerknąwszy w dół ujrzał szybko powiększającą się czerwoną plamę na koszuli. Rozerwał ją i z ulgą stwierdził, że tylko skaleczył go jakiś odłamek. Mimo to bolało jak diabli.

W kieszeni zadzwonił telefon. Przyłożył go do ucha i usłyszał szept Sereny:

- Nic ci nie jest?

- To tylko draśnięcie.

- Posiłki są już w drodze. Będą za jakieś dwie minuty. Może uda nam się go otoczyć.

- Mamy tutaj od cholery cywilów. Uda ci się dotrzeć do Claire?

- Chyba tak.

- Będę cię osłaniał. Zostań z nią. Nie chcę, żeby zaszedł nas od tyłu.

Stride ostrożnie wyrzął zza pontiaca, za którym się schował. Za plecami usłyszał tupot stóp Sereny, kilka rzędów z przodu dostrzegł jakiś ruch. Nie miał pojęcia, czy to Blake, więc strzelił wysoko w powietrze. Tamten natychmiast znikł mu z oczu.

- W porządku! - zawołała Serena.

Stride pobiegł, lawirując między samochodami. Blake nie mógł być daleko.

Kończyła mu się amunicja, zawodzenie syren stawało się coraz głośniejsze. Wielu syren. Najdalej za minutę, może półtorej, w okolicy zaroi się od policjantów i choć Blake wiedział, że zdoła się wymknąć, korzystając z zamieszania, to jednak sytuacja stawała się niebezpieczna.

Widział, jak policjantka, Serena, biegnie tam, gdzie ukryła się Claire. Nie miał szans na oddanie celnego strzału. Dzisiejszy plan się nie powiódł. Claire znalazła się

poza jego zasięgiem.

Pora się zwijać.

Usłyszał czyjeś szybkie kroki. Zbliżał się Stride.

Blake bezszelestnie przemknął do ostatniego rzędu, tam gdzie czekał na niego jego brązowy sedan. Po drodze trafił na jakąś parę przytuloną do boku toyoty. Na widok broni otyła kobieta z krótkimi kręconymi włosami ukryła twarz na ramieniu męża. Mężczyzna opanował strach i zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Miał okrągłą twarz i podwójny podbródek.

- Ani słowa! - syknął Blake i wycelował sig-sauera w jego czoło.

Syreny zawodziły ogłuszająco, pierwszy radiowóz wpadł na parking i zahamował z poślizgiem. Kilka osób, do tej pory ukrywających się między samochodami, podniosło się i pobiegło w jego kierunku.

Kolejny strzał... nie, to tylko tłumik samochodu. Dwa rzędy dalej, przy samym końcu parkingu, zawył silnik i zapiszczały opony. Stride poczuł bolesny skurcz żołądka - dobrze wiedział, co to oznacza. Popędził co sił w nogach w tamtą stronę. Brązowy sedan przejechał przez niski krawężnik oddzielający parking od jezdni. Stride przykucnął i wycelował, mierząc w tylną oponę... Ale nie nacisnął spustu. W samochodzie wyraźnie widział dwie sylwetki. Nie mógł ryzykować.

- Wziął zakładnika!

Samochód skierował się na północ, szybko nabierając prędkości. Stride wybiegł na jezdnię, machając rękami, zwrócił uwagę kierowców kolejnych radiowozów, wskazał im oddalający się pojazd. Rozpoczął się pościg.

Stride wrócił truchtem na drugi koniec parkingu. Był tam już Cordy, razem z kilkoma umundurowanymi

funkcjonariuszami, dwa radiowozy blokowały wyjazdy. Spisywali nazwiska i adresy świadków, ale większość ludzi już zdążyła odjechać.

Zapytał o Serenę; Cordy wskazał kciukiem na budynek. Siedziała z Claire daleko od roztrzaskanych okien, w otoczeniu niespuszczających ich z oka policjantów. Claire zarzuciła Serenie ręce na szyję i oparła głowę na jej ramieniu. Kiedy podszedł, Serena z niepokojem spojrzała na jego pierś.

- Potrzebujesz lekarza.
- To nic wielkiego. Wystarczy zwykły plaster.
- A nogi?
- To nie moja krew.
- Co z Blakiem?

Claire podniosła głowę i spojrzała na niego wyczekująco.

- Złapaliście go?

W milczeniu pokręcił głową.

Blake spokojnym krokiem opuścił parking przy kasynie. Miał na sobie sportową obszerną koszulkę i krótkie spodenki, a na głowie czapkę bejsbolową. Resztę ubrania zwinął i wepchnął do bagażnika jakiegoś mustanga. Zaczekał na przerwę w ruchu, przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął rozglądać się za taksówką.

Wciąż słyszał odległe zawodzenie syren. Pościg za brązowym sedanem wkrótce się zakończy. Miał nadzieję, że mężczyzna o okrągłej twarzy i jego otyła żona będą mieli dość zdrowego rozsądku, żeby trzymać ręce na widoku i nie wykonywać gwałtownych ruchów.

To było takie proste: wręczyć mężczyźnie kluczyki i kazać mu jechać jak najszybciej co najmniej przez dziesięć

minut. Powiedział im, że w bagażniku jest bomba, którą zdetonuje drogą radiową, gdyby za wcześniej się zatrzymali. Kompletna bzdura, ale człowiek, który patrzy w otwór lufy pistoletu, uwierzy we wszystko - szczególnie jeśli oferuje mu się szansę ocalenia życia. Dlatego wsiedli i pojechali.

Sam uciekłby w ten sposób, gdyby nie to, że szanse na ujście z życiem z pościgu oceniał na pięćdziesiąt procent. A to było stanowczo za mało. Miał jeszcze coś do zrobienia.

34

Stride leżał nago na łóżku. Pod sufitem obracał się wentylator, mieląc gorące powietrze sączące się przez otwarte na oścież okno. Była trzecia nad ranem. Kiedy wreszcie wrócili z Limelight, okazało się, że w domu nie ma prądu. Sypialnia była pogrążona w całkowitej ciemności. Choć leżał z otwartymi oczami, nic nie widział.

Bolało go całe ciało. Był to najgorszy ból, promieniujący z kości, niemający nic wspólnego z mięśniami, które można było rozciągnąć albo rozmasować. Kiedy miał dwadzieścia lat, padanie na asfalt i turlanie się tam i z powrotem nie robiło na nim takiego wrażenia. Teraz było inaczej.

Piekły go niezliczone zadrapania i skaleczenia. To największe, na piersi, zostało opatrzone, ale pozostałe odkrył dopiero wtedy, kiedy się rozebrał. Zmusił się, by wejść pod prysznic; gorąca woda kłuła go bezlitośnie, ale przynajmniej zmył z siebie pot i brud.

Drzwi sypialni otworzyły się cicho, po czym się zamknęły. Serena podeszła do okna i w milczeniu patrzyła na miasto. Z trudem mógł dostrzec jej wysoką, piękną sylwetkę.

- Co z Claire? - zapytał.

- Śpi. Dałam jej proszek. - Odwróciła się i usiadła na łóżku. - Bałam się, że dasz się tam zabić.

- Trochę żałuję, że tak się nie stało.

Poczuł delikatne muśnięcia jej palców na piersi.

- Gdzie boli?

- Wszędzie.

- Może uda mi się coś zaradzić...

Jej dłonie wędrowały po jego ciele, muskając, uciskając i głaszcząc.

- Claire cię kocha - powiedział. - To widać.

- Wiem.

Rzeczywiście, Claire nawet nie próbowała tego ukryć. Widać to było w jej wzroku, w sposobie, w jaki trzymała ją za rękę w drodze do domu.

„A ty ją?”

Raptownie wciągnął powietrze, ponieważ dotknęła szczególnie obolałego miejsca.

- Przepraszam.

- Specjalnie to zrobiłaś.

- Więc nie zadawaj głupich pytań. - Zaczekała chwilę, po czym jej dłonie wznowiły wędrówkę. - Owszem, ukrywam coś przed tobą, ale to nie ma nic wspólnego z Claire.

Mruknął pytająco, choć tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Przynajmniej dopóty, dopóki robiła to co teraz.

- Deirdre i ja byliśmy kochankami. Dawno temu. Wybacz, powinnam była powiedzieć ci wcześniej. - Ujęła go za rękę, przez chwilę głaskała jego palce, potem zaczęła pieścić ustami i językiem. Usłyszał, jak wysuwa szufladę nocnej szafki i coś stamtąd wyjmuje. - Wielu mężczyzn to

bardzo podnieca. Dwie kobiety...

- Wiem.

- Ciebie też?

- A jak myślisz?

Nie musiała pytać. Czowała to wyraźnie. Zawsze podejrzewał, że łączyło ją z Deirdre więcej, niż była gotowa przyznać. Żałował, że nie naciskał mocniej, by wyznała prawdę. O ileż łatwiej byłoby mu rozpracować tę skomplikowaną zagadkę, jaką była Serena...

Jej ręce wędrowały teraz po jego udach, przesunęły się na brzuch, szybko uciekły ku stopom.

- Mój psychiatra nazwałby to przeniesieniem. Mam wyrzuty sumienia z powodu Deirdre, więc pociąga mnie Claire.

- A ty jak byś to nazwała? Roześmiała się.

- Jest cholernie atrakcyjna i mnie podnieca.

Cofnęła dłonie, usłyszał dziwny odgłos, jakby otwieranej butelki, a potem nagle jakiś chłodny płyn popłynął po jego członku. Zaczęła go nacierać, w mgnieniu oka stał się śliski.

- To twoja wina - dodała. - To ty uzależniłeś mnie od seksu.

Próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł. Miał wrażenie, że unosi się nad łóżkiem. Ból znikł bez śladu.

- Już lepiej?

Nie widział jej, ale doskonale wiedział, że uśmiecha się figlarnie.

Kiedy jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze rozkoszy, wstrzymał oddech. Przez głowę przemykały mu oderwane obrazy. Cindy, jego pierwsza żona, z nim w łóżku. Maggie, jego współpracownica. Amanda. Serena. Myślał o tym, że właściwie nigdzie nie ma domu, i o tym,

jak to jest, kiedy człowiek odrywa się od własnego ciała, wznosi się wysoko i patrzy w dół, w ciemność. Tak jak on teraz.

Nie miał pojęcia, ile minęło czasu, zanim poszła do łazienki i wróciła z ciepłym wilgotnym ręcznikiem, żeby go wytrzeć. Potem wsunęła się do łóżka i niemal natychmiast zasnęła z głową na jego ramieniu. Czuł na twarzy jej oddech. Sądził, że też szybko zaśnie, ale tak się nie stało.

Myślał o niej, o Minnesocie i o tym, jak to jest mieć dom. Dużo później poczuł, jak powoli odpływa, ale usłyszał jeszcze - albo mu się zdawało, że słyszy - kroki Claire w holu, i zdążył się jeszcze zastanowić, czy była tam przez cały czas i wszystko słyszała.

35

Czerwony na twarzy Sawhill odłożył słuchawkę. Porucznik, któremu do tej pory udawało się utrzymać uczucia na wodzy, powoli tracił panowanie nad sobą. Stride całkiem serio się obawiał, że Sawhill lada chwila dostanie udaru.

- Dzwonił gubernator Durand - wychrypiął przez zaciśnięte gardło. - Chciałby wiedzieć, dlaczego sprawca jest jeszcze żywy, mimo iż jeden z moich detektywów miał go na muszce. Chciałby też wiedzieć, dlaczego kilka naszych radiowozów ściga Bogu ducha winną parę z Nebraski, a w tym samym czasie morderca nie niepokojony opuszcza miejsce zbrodni, zamordowawszy uprzednio policjanta.

Stride przypomniał sobie, z jakiego powodu nie znosi polityków.

- Z całym szacunkiem dla pana gubernatora chciałbym zwrócić uwagę, że go tam nie było. Ten typek

jest niesamowicie przebiegły. Wywabił Claire na otwartą przestrzeń i postawił nas w sytuacji, w której musieliśmy liczyć się z ofiarami wśród niewinnych ludzi. Nie mogliśmy ot tak, po prostu, otworzyć ognia.

- Wiem, wiem. Czytałem raport. Prawda jest taka, że okazał się lepszy od ciebie, Stride. Mogłeś go załatwić, ale ci się wywinął.

- Rzeczywiście - przyznał Stride. - Ale on jest wyszkolonym najemnikiem.

- Bardzo mi przykro, że mamy tu bardziej wyrafinowanych przestępców od tych, do których przyzwyczaiłeś się w Minnesocie - wycedził Sawhill, z całych sił ściskając kauczukową piłeczkę. - Jednak oczekuję, że moi ludzie potrafią radzić sobie w każdej sytuacji. Tobie udało się tylko rozstrzelać cadillaca escalade, który, nawiasem mówiąc, należy do jednego z dyrektorów Harrah's, a przy okazji przyjaciela mojego ojca. Według moich zasad, jak możesz, to strzelasz, a jak strzelasz, to trafiasz.

Stride był ciekaw, czy Sawhill wyczytał to w *Jak zostać dobrym detektywem*.

- Rozumiem.

- Tak więc sprawca wystrychnął was wszystkich na dudka - ciągnął Sawhill. - Para, którą ścigaliśmy, prowadzi sklep w Lincoln Falls. Mało nie odstrzeliliśmy im głów tylko dlatego, że powiedziałeś nam, że w samochodzie jest człowiek, który przed chwilą zabił policjanta.

- To był samochód sprawcy... - wymamrotał Stride. Uczynił to bez przekonania, ponieważ nie znosił tłumaczeń, a poza tym w głębi ducha wiedział, że zawałił sprawę.

- A więc ten typek po raz kolejny okazał się

sprytniejszy od ludzi, którzy mają za zadanie go schwytać. Może chociaż powiesz mi na pocieszenie, że znaleźliśmy coś ciekawego w jego wozie?

Stride pokręcił głową.

- Tylko odciski palców, ale te i tak już mieliśmy. Samochód kupił za gotówkę trzy miesiące temu, podając fałszywy adres i nazwisko. Laboratorium bada wszelkie możliwe ślady, ale to trochę potrwa.

- Nie mamy czasu! - warknął porucznik. - Czy Claire jest pod ochroną?

- Tak. Serena nie opuszcza jej ani na krok.

- Co zamierzamy zrobić, żeby złapać gościa?- Możemy zastawić pułapkę - odezwała się Amanda, do tej pory w milczeniu śledząca wymianę zdań między dwoma mężczyznami. - Możemy wprowadzić Claire z powrotem do gry w kontrolowanym przez nas otoczeniu.

Sawhill parsknął ze zniecierpliwieniem.

- Nie możemy posługiwać się córką Boniego Fisso jako przynętą! Kropka, koniec dyskusji. Serena jej pilnuje, a sprawca nie wie, gdzie szukać Claire, i niech tak zostanie.

- Sprawdziliśmy wszystkie biblioteki w mieście - dodała Amanda. - Bez rezultatu.

- Szuka go połowa policji w mieście - powiedział Stride. - Zabił funkcjonariusza i dziecko. Każdy chce do dopaść.

- Ja też. I gubernator. Miasto wiele traci przez tę sprawę. Czy domyślamy się, czego spróbuje teraz?

- Moim zdaniem znowu zaatakuje Claire - odparł Stride. - Musimy zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Podwoiliśmy też ochronę pozostałych osób, które mogą być na jego liście, choć ja uważam, że zależy mu już wyłącznie na Claire.

- A czy nie może uderzyć bezpośrednio w Boniego?
Amanda skinęła głową.

- Do tej pory tak nie robił, ale to nie znaczy, że możemy z góry wykluczyć taką ewentualność.

- Boni nie jest łatwym celem - zwrócił uwagę Stride.
- Szeherazada zostanie zburzona w przyszłym tygodniu. To na pewno kojarzy się z Amirą.

- Świetnie. Po prostu świetnie. Nie wiem, czy wiecie, ale będzie transmisja telewizyjna z wyburzenia.

- Gdyby sprzątnął Boniego podczas uroczystości, ludzie zaczęliby tu walić drzwiami i oknami.

Sawhill pochylił się do przodu.

- Czy ciebie to bawi, Stride?

- Wie pan doskonale, jak to działa. Najdalej za pół roku biura podróży organizowałyby wycieczki autobusowe w miejsca zbrodni, a na plakatach i w reklamówkach pojawiłoby się hasło: „Grzech wraca do Miasta Grzechu”.

- Jesteś tu od kilku miesięcy, a ja mieszkam w tym mieście całe życie. Tak samo jak mój ojciec. To jest nasz dom, detektywie. Ty tylko służysz temu miastu, więc traktuj je z szacunkiem!

Amanda wstała i pociągnęła Stride'a za rękaw.

- Jesteśmy bardzo zmęczeni, panie poruczniku. Proszę się nie obawiać, traktujemy tę sprawę bardzo poważnie. Na pewno go złapiemy.

Pociągnęła Stride w kierunku wyjścia. Sawhill wstał i oparł się rękami o biurko.

- Obyś się nie myliła.

Chwilę potem Amanda wypchnęła Stride'a na korytarz i zamknęła drzwi. Westchnęła z ulgą, oparła się o ścianę i otarła czoło. Spociała się jak mysz, chociaż klimatyzacja już działała. Uśmiechnęła się do Stride'a i

pokręciła głową.

- To nie było zbyt taktowne...

- Wiem. Przepraszam. Nie chciałem cię w to mieszać.

- To miasto jest jednym wielkim przedsięwzięciem finansowym. Tym ludziom zależy na jego wizerunku.

- Tak naprawdę zależy im tylko na pieniądzach.

- Nie zmienisz tego, Stride. Skinał głową.

- Wiem. - Po czym dodał szybciej, niż zdołał pomyśleć: - Zresztą nie wiem, czy tu zostanę.

- Co takiego? - zapytała ze zdumieniem Amanda.

- Potrzebują mnie z powrotem w Minnesocie - wyjaśnił. - Poważnie się nad tym zastanawiam.

- A co z Sereną?

Nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że z tym będzie największy problem. A przecież od odpowiedzi na to pytanie zależało jego życie: Co z Sereną?

- Na razie jeszcze nic nie jest postanowione. Przed wszystkim musimy złapać Blake'a Wilde'a.

36

Kiedy Amanda wysiadła z samochodu na parkingu przed śródmiejską biblioteką, odniosła wrażenie, że powietrze przepali jej płuca. Było październikowe późne popołudnie, czyli pora roku i dnia, kiedy pogoda w Las Vegas powinna być najprzyjemniejsza, lecz w dalszym ciągu utrzymywały się takie temperatury, jakby był środek lata.

Próbowała oswoić się z myślą o odejściu Stride'a. Nie miała żadnego powodu, by się na niego wściekać, a jednak była wściekła. Wreszcie trafiła na kogoś, z kim dobrze jej się pracowało, i zaraz miała go stracić. Ani trochę nie uśmiechało się jej zaczynać z kimś od nowa, tym

bardziej iż najprawdopodobniej byłby to ktoś w rodzaju Cordy'ego: będzie żartował z niej za jej plecami, gapił się na jej cycki i starał się skłonić ją do odejścia. Znowu zaczęła się zastanawiać, co tutaj właściwie robi i czy nie byłoby lepiej dla niej i Bobby'ego, gdyby poszła w ślady Stride'a. Gdyby wyjechała do San Francisco, zostawiając daleko to miasto i jego szaleństwa.

Nie miała ochoty na bezsensowne gierki. Jej cierpliwość przypominała stary t-shirt, prany już tyle razy, że prawie przezroczysty. Po drugiej stronie Las Vegas Boulevard znowu zobaczyła srebrzystego terenowego lexusa. Wcześniej zdażyła już zapisać numer rejestracyjny i sprawdzić go w wydziale komunikacji, wiedziała więc, do kogo należy.

Przeszła przez ulicę. Samochód miał przyciemniane szyby, dlatego nie widziała wnętrza. Zapukała w okno po stronie kierowcy. Szyba opuściła się bezszelestnie, ze środka powiało lodowatym powietrzem.

- Witaj, Leo - powiedziała, starając się zachować spokój. - Śledzisz mnie?

Leo Rucci był w ciemnych okularach. Czerwone żyły na jego karku nabrzmiały.

- To chyba wolny kraj, prawda?

- Jasne. I do tego nawet taki dupek jak ty może tu zostać milionerem. Niech Bóg błogosławi Amerykę.

- Ejże, co to...

- Nie rób sobie ze mnie jaj, Leo. Nie mam nastroju ani ochoty do zabawy. Spadaj stąd i przestań się koło mnie kręcić albo wpakuję cię na czterdzieści osiem godzin do pierdła.

- Za co?

- Za utrudnianie pracy funkcjonariuszom wymiaru

sprawiedliwości i niewykonywanie ich poleceń.

- Mogę ci pomóc - odparł Leo. - Załatwiam takie sprawy szybciej niż sąd, w dodatku nie obciążam kosztami podatników. Daj mi znać, jak znowu przyuważysz tego gnoja. Zajmę się resztą.

- Zajmij się lepiej grą w golfa. Blake'a zostaw nam. Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem przez ulicę. Wchodząc do budynku, usłyszała ryk silnika i pisk opon ruszającego gwałtownie samochodu.

- Szukam Moniki Ramsey.

Bibliotekarka wskazała na wysoką, około pięćdziesięcioletnią kobietę wkładającą do szuflad pudełka z mikrofilmami. Amanda podeszła do niej.

- Panna Ramsey? Jestem Amanda Gillen. Zostawiła pani wiadomość na mojej poczcie głosowej.

Monica miała okrągłe okulary i włosy związane w koński ogon. Przypominała chodzącą tyczkę, a na dłoniach miała lateksowe rękawiczki.

- Ach, tak. To pani szuka tego człowieka.

- Owszem - odparła Amanda, czując, jak rozpała się w niej wątyły płomyczek nadziei. - Widziała go pani?

- Tak mi się wydaje, chociaż to było dobrych parę tygodni temu. Naprawdę nie wiem, jak to może w czymkolwiek pomóc...

- Zdziwiłaby się pani. Proszę mi opowiedzieć.

- Tak, oczywiście. Może byśmy usiadły?

Zajęły miejsca przy końcu długiego stołu. Monica zdjęła rękawiczki.

- Zawsze je noszę, kiedy zajmuję się mikrofilmami. Niektóre są takie stare i delikatne... - Postukała palcem w portret pamięciowy, który Amanda położyła na stole. - Ten człowiek zupełnie nie potrafił się z nimi obchodzić.

Musiałam go specjalnie upominać, żeby zachował ostrożność.

- Jest pani pewna, że to właśnie on?

- Naturalnie. Trudno zapomnieć takie oczy.

- Proszę się nie gniewać, ale muszę o to zapytać: dlaczego nie zadzwoniła pani wcześniej?

- Och, tak mi przykro... Byliśmy za granicą. Rejs po Karaibach. Dzisiaj jestem pierwszy dzień w pracy.

- W takim razie zamieniam się w słuch.

- No cóż, jak już wspomniałam, to było dość dawno temu... Chyba w połowie lata. Lipiec, może początek sierpnia. Przychodził przez trzy albo cztery dni z rządu, szukając wszelkich materiałów o Las Vegas z lat sześćdziesiątych. Przynosiłam mu mikrofilmy, roczniki czasopism i książki.

- Czy powiedział, co szczególnie go interesuje?

- Poprosił, żebym znalazła wszystko, co się da, o jednym ze starych kasyn. Zdaje się, że chodziło o Szeherazadę. Tak, na pewno: interesował go też Boni Fisso, a jak się pani domyśla, na jego temat mamy mnóstwo materiałów.

- Wspomniał może, po co mu te informacje?

- Nie. W ogóle rzadko się odzywał, ale to akurat nic nadzwyczajnego.- Prosił o teksty o innych osobach niż Boni Fisso?

- Nie przypominam sobie.

- Monico, naprawdę bardzo potrzebuję pani pomocy. Musimy jak najprędzej odszukać tego człowieka. Skup się, zastanów i spróbuj sobie przypomnieć wszystko na jego temat. Jak się ubierał, co mówił, jak się zachowywał. Każdy, pozornie najmniej istotny drobiazg może doprowadzić nas na jego ślad.

Monica wyprostowała się, wyciągnęła szyję i zwilżyła usta językiem. Przypominała żyrafę sięgającą po liście na wierzchołku drzewa.

- Miał ze sobą niebieski plecak - powiedziała wreszcie. - W nim nosił wszystkie materiały. Nie pamiętam, jak się ubierał. Dżinsy? W każdym razie nie było w nim nic nadzwyczajnego. Bardzo mi przykro.

Amanda nie kryła rozczarowania.

- A samochód? Widziałaś, jak przyjeżdżał albo odjeżdżał, a jeśli tak, to skąd i w którą stronę?

Kobieta pokręciła głową.

- Widziałaś go potem?

- Nie, od tamtej pory już się nie pojawił. W każdym razie nie na moim dyżurze.

Amanda podniosła się z krzesła.

- Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś, Monico. Gdybyś jednak coś sobie przypomniła, natychmiast mnie zawiadom.

- Oczywiście.

Kiedy się odwróciła, usłyszała za plecami stłumiony chichot.

- O co chodzi? - zapytała, spoglądając na Monice. Kobieta zarumieniła się.

- Och, nic takiego. Przepraszam, to głupie, ale pomyślałam sobie, że jeśli chcecie go złapać, to powinniście obstawić wszystkie cukiernie w mieście.

Amanda zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- Bo właśnie sobie przypomniłam, że uwielbiał ciastka. Przyłapałam go kiedyś, jak pałaszował jedno przy czytniku. Oczywiście powiedziałam mu, że w czytelnicy nie wolno jeść słodczy, a on odparł, że wie o tym, ale to

silniejsze od niego.

Serce Amandy zabiło żywiej.

- Bardzo dziękuję, Monico.

Sukinsyn, pomyślała. Cholerny miłośnik ciastek.

37

Claire siedziała na sofie z jedną nogą podwiniętą pod siebie. W dłoniach ścisnęła kubek z gorącą kawą. Miała rozpuszczone, nieuczesane włosy, a ubrała się w rozciągnięty, sięgający do połowy uda t-shirt. Paznokcie stóp pomalowała na czerwono. Zerknęła na tykający na ścianie zegar.

- Późno już - zauważyła. - Po jedenastej. Gdzie podziewa się twój facet?

Serena oderwała wzrok od ekranu notebooka. Była tak zmęczona, że z trudem skupiała się na pracy.

- Szuka Blake'a - odparła lakonicznie.

- Jesteś niezadowolona, prawda? Z tego, że u was siedzę.

- Nie jestem niezadowolona, ale nie znoszę beczynnego czekania. Lubię działać.

- To prawda - odparła Claire z uśmiechem. - Przecież twardziel z ciebie, zgadza się?

- Właśnie.

Istotnie, mało nie oszalała, siedząc cały dzień w domu. Dzwoniła, szukała informacji w sieci i po raz nie wiadomo który przeglądała notatki w nadziei, że zwróci uwagę na coś, co wcześniej przeoczyła, ale to nie było to samo. Czuła się odizolowana, odsunięta na bok.

- Jest bardzo atrakcyjny. Chyba wiem, co cię w nim pociąga.

- Dzięki.

- I kocha cię. Widać to w jego oczach, kiedy na

ciebie patrzy.

Serena dobrze pamiętała, że nie dalej jak minionego wieczoru Jonny powiedział to samo o Claire.

- I ja go kocham.

- Wiesz... Bywałam też z mężczyznami.

- To znaczy?

- To znaczy, że wiem, co kobietę może w nich pociągać. - Wstała, podeszła do białej ściany i przyjrzała się wiszącym na niej fotografiom. - Ty je robiłaś?

Zerknęła na nią przez ramię; Serena skinęła głową.

- Są niesamowite. Masz oko do krajobrazów. Tego nikt cię nie nauczy. Albo ma się oko, albo nie. Mnóstwo ludzi ma doskonałą technikę, ale brakuje im oka.

- Spokojnie to przyjęłaś - zauważyła Serena.

- Co?

- To, że ktoś próbował cię zabić. Claire wzruszyła ramionami.

- Wczoraj wieczorem nie byłam taka spokojna. Ale z tobą czuję się bezpieczna.

- Mogłabym zawieźć cię do Boniego. Byłabyś jak w fortecy.

- Raczej jak w więzieniu.

- Chce się z tobą pogodzić. Ucieszył się, kiedy zadzwoniłaś.

- Bawisz się w terapeutę rodzinnego?

- Nie. Ale wiem, co to znaczy być dorosłym bez rodziców. Często żałuję, że moje życie nie ułożyło się inaczej.

Claire nadal przyglądała się zdjęciom, lecz Serena odniosła wrażenie, że trafiła w czułe miejsce.

- Ja też czasem tego żałuję, ale jest, jak jest, i już nie będzie inaczej.

- Powiedział mi, że nic go nie obchodzi, że jesteś lesbijką.

- Katolików nigdy to nie obchodzi, pod warunkiem że żyjesz samotnie.

Uśmiechnęła się, ale Serena wiedziała, że to fałszywy uśmiech, że Claire walczy z łzami.

- To, że jesteś lesbijką, nie ma z tym nic wspólnego, prawda? Nie to was poróżniło, zgadza się?

- Tak.

- W takim razie co to było? Claire pokręciła głową.

- To dawne dzieje. Nie chcę do tego wracać.

Serena domyśliła się, że to musiała być naprawdę okropna tajemnica.

- W mojej przeszłości też czają się potwory.

- Wiem. Właśnie dlatego coś nas łączy. Obie uciekamy przed przeszłością.

- Chodziłaś na terapię?

- Nie.

- Dlaczego?

Claire westchnęła ciężko.

- Serena, proszę... Daj spokój. Nie mogłam o tym mówić wtedy, nie mogę teraz. Z nikim. Między innymi dlatego, że mój ojciec nazywa się Boni Fisso.

Claire wciąż przyglądała się zdjęciom. Jej twarz wyrażała niewysłowione cierpienie. Milczenie się przedłużało.

- Boni twierdzi, że masz miliony na koncie - przerwała je wreszcie Serena.

Tym razem uśmiech Claire był autentyczny.

- Masz na nie ochotę?

- Po prostu jestem ciekawa.

- Kiedy odeszłam, chciałam być niezależna. I

jestem. Boni nie dał mi nawet dolara. Sama do wszystkiego doszłam. Owszem, mam dużo pieniędzy. Pewnie trochę dzięki genom tatusia, a trochę dzięki temu, czego nauczyłam się w szkole.

- I wystarczy ci, że mieszkasz w małym mieszkanku i śpiewasz piosenki?

- Wiele się nauczyłam, będąc tak długo sama. Jestem wolna, do nikogo nie należę... Ale oczywiście skłamałabym, mówiąc, że nie mam żadnych ambicji. Od czasu do czasu odzywa się we mnie chęć wzięcia spraw we własne ręce, pokierowania tym wszystkim po mojemu.

- To przecież możliwe. Claire pokręciła głową.

- Na pewno nie, jeśli miałyby oznaczać powrót pod skrzydła ojca.

- A jak byś tym wszystkim pokierowała, gdybyś miała klucze do królestwa?

- Mam dosyć splendoru, manii wielkości, gwiazdorstwa. Mim zdaniem ludzie poszukują intymności. Nie chcą roztapiać się w tłumie. Zależy im na oglądaniu artystów, nie spektakli. Wolą talenty od wielkich nazwisk. A jeśli przepych, to taki w dawnym stylu. W tym, który jest teraz, nie ma odrobiny charakteru.

- Mogłabyś zacząć na własną rękę.

- Może kiedyś... Przyjemnie byłoby pokazać Boniemu, że potrafię zrobić to bez jego pomocy i że nie trzeba zaprzedać duszy diabłu, żeby osiągnąć sukces - dodała z goryczą w głosie.

- Powiesz mi, co ci zrobił? - zapytała cicho Serena.

- To nie był on, ale pozwolił, żeby to się stało. Biznes przede wszystkim, jak zwykle. - Otworzyła już usta, żeby powiedzieć więcej, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się, objęła się ciasno ramionami i zadrżała. - Nie chcę o

tym mówić.

- W porządku.

- To już przeszłość. Już się tym nie zadreczam. Śpiewam, piję, rozmawiam o życiu i kocham się do upadłego.

- Ja lubię dwie z tych czterech rzeczy. - Serena się zaśmiała.

- Które?

- Wiesz już, że nie piję.

Claire także się roześmiała. Podeszła do fotela, w którym siedziała Serena, i uklękła przy nim. Nagie ramiona oparła na podłokietniku.

- Idę do łóżka - powiedziała.

- Dobrze.

- A ty?

Serena nie chciała spojrzeć jej w oczy ale nagle odniosła wrażenie, że nie mogłaby patrzeć nigdzie indziej.

- Czy to zaproszenie? - zapytała takim tonem, jakby to miał być żart.

- Tak.

- Nie sędzę, żeby Jonny był zadowolony, gdyby zastał nas razem.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Wybacz, Claire. Gdyby pewne sprawy ułożyły się inaczej... Kto wie. Ale jest, jak jest.

- Rozumiem.

Claire musnęła czubkiem palca jej przedramię. Serena była tak spięta, że aż podskoczyła.

- Złapiecie jeszcze dziś Blake'a? - zapytała Claire.

- Jeśli nie dziś, to niebawem. Szuka go połowa policjantów w mieście. Dolina nie jest aż tak wielka. Dopadniemy go.

Sama chciałaby uwierzyć we własne słowa.

- Nie zabijajcie go - wyszeptwała Claire. Serena nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Proszę?

- Powiedziałam: nie zabijajcie go.

- Dlaczego? Czemu to cię obchodzi?

Claire opuściła wzrok. Jasne włosy zasłoniły częściowo jej twarz.

- Naprawdę nie wiesz, prawda? A dla mnie to takie oczywiste.

- O czym ty mówisz? Podniosła spojrzenie.

- Przyjrzyj mi się.

- Przyglądam. I co?

- Blake jest moim bratem.

- Co takiego?!

- Domyśliłam się tego natychmiast, gdy go zobaczyłam. Trudno mi uwierzyć, że tego nie widzisz. Te oczy... Jest podobny do Amiry ale nie tylko. Przypomina też Boniego, bo Boni to jego ojciec.

38

Za dziesięć dwunasta, pomyślała Amanda.

Mogłaby być w domu z Bobbym. Mogliby kochać się tak, jak lubili najbardziej, leżąc na boku, twarzą w twarz, ciepło i bezpiecznie pod kocem. Albo mogliby siedzieć w jej spiderze i pędzić autostradą do Kalifornii, oddalając się od Las Vegas z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zmierzając ku nowemu życiu.

Ale nie.

Siedziała samotnie w cukierni na obrzeżach centrum miasta. Kawa już prawie wystygła. Co jakiś czas podnosiła wzrok i gapiała się jak zahipnotyzowana na rzędy ciastek w chłodzonej gablocie. Mimo późnej pory panował spory

ruch, ale większość klientów wchodziła, kupowała i wychodziła. Tylko ona siedziała plecami do drzwi, z gazetą w dłoniach, filiżanką kawy na stoliku i do połowy zjedzonym pączkiem na talerzyku.

Prawdę powiedziawszy, był to już czwarty pączek.

W stanie najwyższej gotowości utrzymywał ją nie tylko cukier, lecz przede wszystkim adrenalina. Trafiała tu po kilku godzinach wędrówki od cukierni do cukierni. Niski Azjata za kontuarem rzucił okiem na portret pamięciowy i z zapalem pokiwał głową.

- Tak, tak, on tu przychodzi! Dzień, noc, czasem kilka razy. Zawsze kupi to samo: sześć pączek i sprite.

- Jest pan pewien? Ten człowiek często zmienia wygląd.

- O tak, on różnie wyglądać. Czasem jasne włosy, czasem broda, czasem stary, czasem młody. Ale zawsze kupi to samo. Sześć pączek i sprite. To on.

- Nie zdziwiło pana, że za każdym razem inaczej wygląda?

Sprzedawca wzruszył ramionami.

- To Vegas.

Czekała na Blake'a. Sprzedawca powiedział, że dziś jeszcze go nie było, istniała więc spora szansa, że wpadnie po spóźnione zakupy. Usiadła w ten sposób, żeby wchodząc, nie zobaczył jej twarzy, a na wszelki wypadek włożyła jeszcze czapkę bejsbolową i zsunęła ją na oczy. Nie chciała go spłoszyć. Woląla zaskoczyć go tu, w zamkniętej przestrzeni, niż na ulicy. Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się zrobić czegoś aż tak niebezpiecznego. Starła się o tym nie myśleć. Zameldowała, że robi sobie godzinną przerwę, po czym wyłączyła radiotelefon. Była teraz zdana wyłącznie na własne siły.

Oczywiście wiedziała, że powinna wezwać posiłki. Tak przewidywała procedura. Cukiernia została by otoczona, lecz Amanda nie wiedziała, czy pozwolono by jej wejść, a bardzo chciała tu być. Poza tym podejrzewała, iż Blake był wystarczająco sprytny, żeby zwietrzyć podstęp. Zniknąłby bez śladu i nie wiadomo, kiedy znowu trafiliby na jego trop. Musiała to załatwić sama, tu i teraz.

Oczywiście mogła zawiadomić Stride'a, ale on natychmiast wdrożyłby oficjalne procedury, a poza tym za nic w świecie nie zgodziłby się jej narażać. Albo przynajmniej chciałby jej towarzyszyć, a to również oznaczałoby fiasko przedsięwzięcia.

Jednak tak naprawdę zależało jej na tym, by wprowadzić na posterunek zakutego w kajdanki Blake'a, pokazać wszystkim środkowy palec, wyjść i nigdy już tam nie wrócić.

Odłożyła gazetę i upiła łyk kawy. Zupełnie zimna. Zastanawiała się, czy zamówić coś gorącego, ale nie chciała zwracać na siebie uwagi. Skośnooki sprzedawca uwijał się za kontuarem. Poprosiła go, żeby zachowywał się normalnie, żeby na widok Blake'a nie dał niczego po sobie poznać. Miała nadzieję, że mu się uda. Na wszelki wypadek nie wspomniała, że człowiek z portretu pamięciowego jest wielokrotnym zabójcą. Prawie północ.

Dzwonek nad drzwiami oznajmił przybycie kolejnego klienta. Ugryzła kawałek pączka i podniosła wyżej gazetę. Nie odwracała się, ale odgłos ciężkich kroków świadczył, że wszedł mężczyzna.

- Dobry wieczór - powiedział sprzedawca. - To samo co zwykle, tak? Sześć pączków i sprite, tak?

Odłożyła gazetę i znowu sięgnęła po kawę, równocześnie zerkając kątem oka w kierunku kontuaru.

Mężczyzna nie patrzył na nią. Miał jasne włosy i szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Sprzedawca włożył sześć pączków do pudełka, następnie wyjął z chłodziarki butelkę.

- Bardzo proszę.

- Dziękuję.

Czy to ten głos słyszała w telefonie Stride'a?

Mężczyzna płacił. Kiedy skończy, powinna być gotowa, z pistoletem wymierzonym w jego stronę. Jest niesamowicie szybki, powiedział Stride. Przypomniała sobie słowa Sawhilla: jak możesz, to strzelasz, a jak strzelasz, to trafiasz.

Zacisnęła spocone dłonie na rękojeści glocka, wyjęła go z kabury i ukryła pod stolikiem. Ani na chwilę nie spuszczała Blake'a z oka. Jeżeli to był Blake.

- Pan mieć jedenaście centów?

- Nie.

- Dobrze.

Sprzedawca odliczył resztę i podał ją na wyciągniętej dłoni. W tej samej chwili czas spowolnił bieg.

Mężczyzna wyciągnął rękę, ale zamiast wziąć drobne, chwycił Azjatę za gardło i gwałtownym szarpnięciem wyciągnął go zza kontuaru. Bilon posypał się na podłogę. Zaskoczona Amanda szarpnęła się raptownie do tyłu, zerwała się, wywracając krzesło, i wyciągnęła przed siebie broń.

- Policja, nie ruszać się!

Ale Blake, też z pistoletem w dłoni, już zdążył się zasłonić sprzedawcą. Skośnooki mężczyzna wpatrywał się w nią z przerażeniem. Na jego spodniach szybko powiększała się ciemna plama moczu.

Amanda i Blake mierzyli się wzrokiem. Znowu zapuścił brodę. Trochę przytył. Miał okulary. Ale nie

ulegało wątpliwości, że to on. Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

- Gratuluję - powiedział spokojnie. - Miałem przeczucie, że prędzej czy później łakomstwo ściągnie na mnie problemy. Ale co ja na to poradzę, że tak bardzo lubię pączki?

- Odłóż broń i puść go. Budynek jest otoczony. Nie uda ci się uciec. Zakończmy tę sprawę bez niepotrzebnej przemocy, dobrze?

Blake pokręcił głową.

- Jesteś tu sama, Amando.

Znał jej imię. To było przerażające.

- Wycofaliśmy ludzi, żeby cię nie spłoszyć, ale gdy tylko wszedłeś, dałam im sygnał przez radio.

Blake skinął głową.

- Sygnał przez radio. Doskonale. Uwierz mi, Amando, przez lata miałem do czynienia z wojskowymi wyszkolonymi znacznie lepiej nawet od najlepszych policjantów. W okolicy nikogo nie ma. Jesteśmy tylko ty i ja. Od godziny przyglądałem się, jak zjadasz swoje pięć pączków.

- Cztery - poprawiła go Amanda. - Odłóż broń.

- Nie idź za mną, to będziesz żyła. Podobnie jak ten miły człowiek.

Zaczął się powoli cofać w kierunku korytarzyka prowadzącego do toalet i tylnych drzwi. Amanda wiedziała, że prowadzą na pusty placik graniczący z boczną uliczką. Ostrożnie podążała za nim, nie opuszczając pistoletu. Teraz żałowała, że nie wezwała posiłków. Za drzwiami nie było nikogo, więc jeśli Blake'owi uda się przez nie wyjść, natychmiast rozplynie się w powietrzu.

Jeśli możesz strzelać - strzelaj.

Ale ona nie mogła. Nie podejmie takiego ryzyka.

Blake był już prawie przy drzwiach.

- Wychodzimy. Nie zmuszaj mnie, żebym go zabił.

Zostań na miejscu.

- Wystaw tylko głowę na zewnątrz, a rozwalą ci ją jak starego arbuza.

Kłamstwa. Oboje o tym wiedzieli.

Dzieliły ich mniej więcej dwa metry. Blake plecami dotykał już prawie drzwi, ale jakby się zawahał. Dlaczego? Czyżby jednak jej uwierzył? Czyżby obawiał się, że po drugiej stronie naprawdę czekają na niego ludzie ze SWAT?

Ponownie zabrzączał dzwonek przy drzwiach wejściowych i do cukierni wszedł kolejny klient. Amanda odruchowo zerknęła w tamtą stronę, a wtedy Blake dosłownie cisnął w nią sprzedawcą, powalając oboje na podłogę. Kiedy zdołała podnieść głowę, jego już nie było. Zakłęła soczyście, wygramoliła się spod sprzedawcy, zerwała się na równe nogi, dopadła drzwi...

Ale ich nie otworzyła.

Blake uciekł czy może czekał za nimi?

Przygotowana do strzału, kopnęła w nie z całej siły, tak że mało nie wypadły z zawiasów i z łoskotem uderzyły o ścianę budynku.

Kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie, Blake wiedział już, że ma do czynienia ze sprytnym przeciwnikiem. Niewiele brakowało, żeby pociągnął za spust, ale w ostatnim ułamku sekundy uświadomił sobie, że nikt nie wychodzi z budynku. Chciała sprowokować go do oddania strzału, żeby zdradził swoje położenie. Jego strzał, zaraz potem jej, i leży martwy. I po wszystkim.

Ale nie strzelił. Nie wiedziała, gdzie jest, a to oznaczało, że będzie musiała wybrać w ciemno.

Cholera! Nie strzelił!

W lewo czy w prawo?

Musiała podjąć decyzję. Był albo po lewej stronie drzwi, albo po prawej. Albo pędził co sił w nogach i każda sekunda jej wahania zwiększała jego szanse na ucieczkę.

Przeturla się, znieruchomieje i strzeli. Jeśli dokona dobrego wyboru, będą mieli równe szanse. Pół na pół. Jeśli się pomyli, będzie martwa. Po prostu. W prawo albo w lewo.

Raczej w lewo, bo właśnie w tę stronę otwierały się drzwi. Gdyby stanął po prawej, byłby całkowicie odsłonięty. Z lewej strony drzwi zapewniały mu minimalną ochronę, dawały leciutką przewagę. Doskonale o tym wiedział.

Ale przecież wiedział też, że i ona o tym wie, więc mógł postąpić inaczej, niż się spodziewała... To był czysty hazard. Gra o przetrwanie. Las Vegas.

Nie mogła zbyt wiele kombinować. Miała do czynienia z doświadczonym taktykiem, który zawsze starał się zapewnić sobie przewagę. A to oznaczało, że zaczął się po lewej stronie.

Albo że uciekł.

Musiała wykonać ruch. Pomyślała o Bobbym, przypomniała sobie smak ich ostatniego pocałunku, a potem kopnęła drzwi ponownie, dała nura naprzód, przeturlała się po chodniku, przykłęka, wycelowała w lewą stronę. Wystarczył ułamek sekundy, by jej mózg zarejestrował obraz świadczący o tym, że jednak popełniła błąd: puste miejsce, pusta ściana. Nie nacisnęła spustu,

tylko rzuciła się na ziemię i poturlała się jak najprędzej.
Ale nie wystarczająco prędko.

Czekał po prawej stronie, z pistoletem gotowym do strzału. Był pewny, że skieruje się w lewo, bo tak ją szkolono, a gliniarze zawsze postępowali tak jak na szkoleniu. Kiedy istotnie tak zrobiła, nie poczuł ani satysfakcji, ani żalu, ani smutku. Jak w każdej grze, tak i w tej ktoś musiał wygrać, a ktoś przegrać.

Była bardzo szybka. Zaimponowała mu.

Większość gliniarzy zawahałaby się, znieruchomiła na dłużej, ale ona zamarła najwyżej na ułamek sekundy, a potem rzuciła się w przeciwną stronę. Gdyby potoczyła się w prawo, z pewnością trafiłby ją już pierwszym pociskiem. Ale tak się nie stało.

Ponownie nacisnął spust.

Wszystko trwało zaledwie kilka chwil, choć wydawało się, że znacznie dłużej.

Amanda stała na skalnej grani. Dokoła wznosiły się górskie szczyty niczym gigantyczne figury szachowe sięgające do samego nieba. Spojrzała w dół, lecz nie dostrzegła dna, nie ujrzała szmaragdowej ziemi. Tylko mgłę. Zrozumiała, że potrafi latać.

Kiedy się obejrzała, ujrzała Bobby'ego ze łzami spływającymi po twarzy. Nie rozumiała, dlaczego jest taki smutny, skoro tuż obok, na wyciągnięcie ręki, jest tyle radości.

Uśmiechnęła się, posłała mu całusa, po czym rozłożyła szeroko ramiona i dała krok naprzód.

39

Blake uciekał pod osłoną nocy. Przebiegł przez podwórko, rozgniatając stopami potłuczone szkło, po czym

skręcił na północy wschód, w kierunku małych domków w okolicach wiaduktu na szosie 95. Wolnym krokiem przeszedł na drugą stronę Stewart Avenue, po czym znowu przyspieszył, gdy tylko wydostał się poza zasięg latarni.

Fakt, że musiał porzucić samochód, nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Ukradł ten, ukradnie następny. Do mieszkania, od którego dzielił go niecały kilometr, znacznie bezpieczniej dotrze na piechotę.

Nieliczni ludzie, których mijał po drodze, w większości także byli na bakier z prawem: albo sprzedawali narkotyki, albo z nich korzystali. Zerkali na niego podejrzliwie, po czym obojętnie odwracali wzrok. Było ich coraz mniej, aż wreszcie został zupełnie sam. Ponownie zwolnił.

Zbliżał się do wiaduktu. Okoliczne domy przypominały rudery, na podjazdach stało kilka poobijanych samochodów. Minął dwa porzucone przy krawężniku wózki sklepowe z urwanymi kółkami. Nagle gdzieś blisko zawyła syrena policyjna. Blake dał nura w głębszy cień między budynkami. Chwilę potem ulicą przemknął radiowóz z migającymi czerwonymi światłami na dachu. Niebawem w okolicy zaroi się od policji.

Przechodząc obok domu, przed którym suszyło się pranie, wślizgnął się na podwórze, ściągnął ze sznura dzinsową koszulę i włożył ją na swój biały t-shirt. Na głowę wcisnął czyjaś czapeczkę bejsbolową i skorzystał z rozpuszczalnika, który na wszelki wypadek zawsze nosił w kieszeni w małej fiolce. Chwilę potem był już bez brody.

Zastanawiał się nad wyborem najlepszej strategii. Zawsze zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później policja zacznie deptać mu po piętach, ale w duchu liczył jeszcze na kilka dni spokoju. Teraz wiedział, że nic z tego. Musiał

przystąpić do akcji natychmiast. Tej nocy.

Nagle sobie uświadomił, że to zamieszanie i policja szukająca go na ulicach mogą działać na jego korzyść. Potrzebował zaledwie kilku godzin.

Znalazł się pod wiaduktem. Uszy wypełnił mu pomruk niezliczonych silników, całym ciałem odbierał delikatną wibrację. Rozglądał się dookoła w poszukiwaniu ewentualnych napastników - łatwo było wpaść tu w pułapkę - ale dostrzegł tylko młodą dziwkę, która siedziała oparta plecami o filar.

Nie miał pojęcia, po co tu przyszła; w tym miejscu trudno było liczyć na płacących klientów. Po chwili zauważył jednak, iż dziewczyna od czasu do czasu pociąga kokainę z wymiętej folii. W jego głowie błyskawicznie wykiełkował nowy plan. Dziewczyna starała się wyglądać na dwadzieścia lat, ale przypuszczał, że naprawdę ma najwyżej piętnaście. Ubrana była w sięgające do kolan buty, kurtkę ze sztucznej skóry, miała krzywo umalowane usta i włosy ufarbowane prawie na biało. Kiedy zauważyła, że się jej przygląda, obdarzyła go półprzytomnym uśmiechem i rozłożyła nogi. Nie miała bielizny. Powoli wsunęła sobie rękę między uda i palcami rozszerzyła różowe wargi sromowe.

- Dwadzieścia dolców, przystojniaku - wymamrotała. Blake złapał ją za włosy i gwałtownym szarpnięciem postawił na nogi.

- Co robisz, dupku! - wrzasnęła. - To boli! Uderzył ją na odlew w twarz.

- Zamknij się!

Zobaczyła wyraz jego oczu i spróbowała rzucić się do ucieczki, ale chwycił ją za ramię i bez trudu odwrócił do siebie. Miała przerażoną twarz. Łagodnie dotknął jej

policzka.

- Nie rób mi krzywdy... - poprosiła dziecinnym głosem.

- Nie mam zamiaru. A teraz zamknij się i słuchaj. Dam ci dwieście dolarów, jeśli spędzisz noc ze mną.

Wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił. Chciwość wzięła górę nad strachem. Uśmiechnęła się z udawaną pożądlivością.

- Dwieście dolców? Jasne, nie ma sprawy. Tylko pamiętaj, żeby nie w tyłek, dobra? Robię wszystko, tylko nie to.

Blake ujął ją za łokieć i zmusił, by szła obok niego.

- W porządku. Mieszkam niedaleko stąd. Dziewczyna z trudem za nim nadążała i miała buty na wysokich obcasach. Sprawiała wrażenie nieco wystraszonej tym, że ma pójść do niego.

- Trzysta - rzucił Blake, jeszcze przyspieszając kroku.

- Trzysta? Jasne, w porządku.

Wyszli spod wiaduktu i wrotce dotarli do miejsca, w którym ulica skręcała ostro na północ. Blake cały czas rozglądał się dookoła. Dźwięk syren dobiegał już zewsząd, obok nich co chwila przemykały radiowozy.

- Strasznie się te gliny dzisiaj kręcą... - wymamrotała dziewczyna.

Przed nimi zamigotało coś żółtego. Blake wiedział, co to jest: policjant w odblaskowej kamizelce, patrolujący okolicę na rowerze.

- Pocałuj mnie, prędko!

Zanim zdążyła zareagować, zatrzymał się, objął ją i przycisnął usta do jej ust. Zareagowała z zapalem, zarzuciła mu ramiona na kark. Pachniała perfumami, jakich używają

bardzo młode dziewczyny, a jej usta miały smak dymu. Oddychała szybko, gwałtownie; wyraźnie czuł łomotanie jej pulsu. Usłyszał, jak policjant zwalnia. Przyglądał im się.

Nie zatrzymuj się, zaklinał go w myślach. Nie potrzebował kolejnego trupa i rozhisteryzowanej, wrzeszczącej dziwki u boku.

- Hej, kolego - odezwał się gliniarz.

Blake oderwał usta od ust dziewczyny i odwrócił twarz tylko na tyle, żeby kątem oka dostrzec profil policjanta na tle ulicznych latarni. Miał nadzieję, że tamten nie zauważy resztek kleju na jego brodzie.

- Co jest?

- Obaj wiemy, kim ona jest, więc nie zapomnij o kondomie, dobrze?

Dziewczyna szarpnęła się gwałtownie.

- Ej! - wrzasnęła.

Gliniarz roześmiał się, a Blake złapał dziewczynę w pól i ruszył przed siebie, nie zważając na jej protesty. Kiedy mijali policjanta, splunęła w jego kierunku.

- Ostra dziewczucha - zauważył gliniarz. - Pamiętaj, co ci mówiłem.

- Dziękuję. I przepraszam.

Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał poskrzypywanie oddalającego się roweru. Postawił dziewczynę na ziemi i ścisnął jej szczękę.

- Odezwiesz się jeszcze słowem, zanim do mnie dojdziemy, i nie zobaczysz ani centa. Jeśli trafimy na jeszcze jednego gliniarza, masz się zachowywać jak moja dziewczyna i milczeć. Zrozumiano?

- Słyszałeś, co on powiedział? Zupełnie jakbym miała jakiegoś syfa albo co!

- Bo pewnie masz.

Wzięła zamach, żeby go uderzyć, ale złapał ją za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że aż skrzywiła się z bólu.

- Ani słowa! - powtórzył i pociągnął ją za sobą.

Ku jego uldze tym razem zastosowała się do polecenia. Szła naburmuszona, z wysuniętą dolną wargą. Po drodze mijali śródmiejską komendę policji; mimo późnej pory panował tam ożywiony ruch, policjanci wbiegali do budynku i wybiegali, radiowozy ruszały z piskiem opon.

- Nie przejmuj się! - syknął. - Po prostu idź.

Było zupełnie tak, jakby ukrywał się pod latarnią. Zastanawiał się, co powiedziałby Jonathan Stride, gdyby się dowiedział, że on, Blake, mieszkał zaledwie kilka przecznic od posterunku policji. Nie niepokojeni przez nikogo minęli budynek i dotarli do końca Dziewiątej Ulicy, gdzie skręcili w wąską alejkę biegnącą wzdłuż upstrzonego graffiti muru. Po lewej znajdowało się składowisko starych, niepotrzebnych neonów. W alejce było niemal zupełnie ciemno. Spojrzała na niego wystraszona i próbowała uwolnić się z jego uchwytu, ale przytrzymał ją jeszcze mocniej.

W tej okolicy było mnóstwo ślepych zaułków i rozmaitych zakamarków. Między obskurnymi domami tu i ówdzie pojawiał się ognik papierosa. Były też inne oznaki życia: pokasywania, prowadzone przyciszonymi głosami rozmowy. Ci ludzie z pewnością nie chcieli rzucać się w oczy. Blake trzymał się środka alejki, a dziewczyna zaprzestała oporu i przywarła do niego.

Mieszkał przy czwartej przecznicy. Zatrzymał się zaraz za rogiem, nasłuchując, głęboko wciągając powietrze, badając. Nie wyczuł niczego podejrzanego - i nie spodziewał się wyczuć, ale wołał zachować ostrożność.

Skierował się w stronę zaniedbanego jednopiętrowego domu z mieszkaniami do wynajęcia. Na balkonie suszyło się pranie, przed drzwiami wejściowymi stał motocykl, w pobliżu rośla rachityczna palma.

- Szybciej! - ponaglił ją.

Wepchnął ją do środka i poprowadził schodami na piętro. Jego mieszkanie znajdowało się na samym końcu korytarza. Gdzieś był włączony telewizor, gdzie indziej jakaś para uprawiała seks, sądząc po jękach i posapywaniach.

- Chyba ją znam! - ucieszyła się dziewczyna.- Zamknij się.

Zabezpieczenia, które zostawił na drzwiach - włos między skrzydłem a futryną, nitka na podłodze - były nienaruszone. Podczas jego nieobecności nikt nie wchodził do środka. Otworzył drzwi, wepchnął dziewczynę, wślizgnął się za nią, szybko zamknął drzwi i dopiero wtedy włączył światło.

- Tam jest sypialnia. - Wskazał drzwi po prawej stronie. - Idź i rozbierz się.

- A moja kasa?

Blake westchnął wyciągnął portfel i odliczył osiem banknotów pięćdziesięciodolarowych. Dziewczynie zabłysły oczy.

- Czterysta dolców? Super! Będiesz mógł sobie jeździć tak długo, aż ci opadnie.

- Idź, rozbierz się i czekaj na mnie.

- Nie musisz zakładać kondoma, słowo daję. Naprawdę niczego nie mam.

Zniecierpliwiony machnął ręką. Posłusznie weszła do pokoju, ściskając pieniądze w dłoni.

Rozejrzył się dookoła, zastanawiając się, czego

potrzebuje. Broń palną już miał, podobnie jak nóż i skradziony telefon komórkowy. Zgarnął nową rolkę taśmy klejącej - zaczęta zostawił w samochodzie. Nie musiał niszczyć żadnych śladów ani dowodów, bo to już i tak nie miało żadnego znaczenia.

Otworzył małe plastikowe pudełeczko po gumie do zucia. W środku leżały dwa ludzkie zęby. Przyglądał im się przez chwilę, myśląc o Amirze. Długą drogę przeszedł od dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył jej zdjęcie w czasopiśmie i wreszcie przyoblekł w ciało piękny głos, który towarzyszył mu od dzieciństwa. Widział ją wyraźnie w basenie na dachu Szeherezady. Słyszał rozpaczliwe wołania o pomoc, która nie nadeszła.

Teraz on pospieszy jej z pomocą. Została mu do zrobienia jeszcze tylko jedna rzecz.

Wszedł do sypialni. Naga dziewczyna leżała na wznak na łóżku. Piersi ledwo odznaczały się na klatce piersiowej, sutki wyglądały jak ukłucia komara. Rozłożyła szeroko nogi.

- Jesteś gotów, przystojniaku?

Usiadł obok niej. Uśmiechnęła się do niego promiennie, a on zatkał jej usta dłonią i przystawił lufę pistoletu do czoła, pomiędzy przerażonymi oczami.

40

Stride zamknął oczy i zacisnął usta, żeby nie krzyknąć.

Policję zawiadomił właściciel sklepu. Postrzelony funkcjonariusz. Stride dotarł na miejsce po dwóch, najdalej trzech minutach, razem z jeszcze kilkoma radiowozami. Dopiero tam dowiedział się, kim jest ofiara.

Amanda.

Zbierało mu się na wymioty. Czuł się tak, jakby ktoś

wbił mu zardzewiały nóż w żołądek i obracając powoli, przesuwał go w górę, do samego serca.

Stride tracił już kolegów, czasem nawet przyjaciół, ale nigdy partnera. Przez ten krótki okres, kiedy razem pracowali, bardzo się do niej przywiązał, zupełnie jakby wypełniła sobą pustkę, jaka powstała po rozstaniu z Maggie. Zupełnie nie rozumiał kwestii związanych z jej seksualnością, ale mało go to obchodziło. Była mądra i zabawna, a do tego skopana przez życie. Stride lubił ludzi skopanych przez życie. W tym mieście bardziej obchodziły go prostytutki i kelnerki niż właściciele kasyn w garniturach po pięć tysięcy dolarów albo zawiani turyści.

Amanda.

Jego mózg zaczęła spowijać otepiająca mgła depresji. Oparł się plecami o ścianę sklepu, a przed oczami, jak na zwolnionym smutnym filmie, przesuwał mu się korowód jego życiowych porażek.

Gdyby był szybszy niż Blake. Gdyby trafił go na parkingu przed Limelight.

To był zawsze jego problem: nie potrafił uwolnić się od poczucia winy. Kolejne porażki kumulowały się, tworząc coraz większy ciężar.

Nie zdążył jej zobaczyć. Kiedy zatrzymał się przy krawężniku, sanitariusze właśnie zatrzaskiwali drzwi karetki. Ich poważne, skupione twarze powiedziały mu całą prawdę. Walczyła, nie mając prawie żadnych szans na wygraną. Było wątpliwe, czy przeżyje transport do szpitala.

Ogarnął go gniew na nią za to, że tu była. Pomysł, żeby wysledzić Blake'a, obserwując cukiernię, był genialny. Najbardziej przebiegłi przestępcy wpadali przez drobiazgi. Na przykład takie jak upodobanie do ciastek. Stride nie mógł sobie darować, że sam na to nie wpadł.

Może Blake właśnie z myślą o tym zostawił w samochodzie paragon z Reno? Żeby sprawdzić, czy są wystarczająco bystrzy. Dlaczego nie wezwałaś posiłków, Amando? Przecież to podstawy, najprostsze zasady wpajane na początku szkolenia w każdej akademii policyjnej: nigdy nie ryzykuj w pojedynkę, nigdy nie staraj się zostać bohaterem. Wiedziała o tym.

Stride domyślał się, dlaczego to zrobiła. Wiedziała, że Blake jest sprytny, że zwęszy zasadzkę z daleka. Ktoś, kto radził sobie w Afganistanie, poradzi sobie i z policją. Mieli tylko tę jedną, jedyną szansę. Nie chciała jej zmarnować, więc próbowała zrobić to sama.

Było coś jeszcze: chęć zagrania na nosie tym wszystkim, którzy najchętniej by się jej pozbyli. Chęć pokazania, kim jest i na co ją stać. Ego. Trudno było ją za to winić... ale i tak ją winił.

- Chociaż mnie mogłaś zawiadomić, Amando - wyszeptał.

Ale Blake cię zna, usłyszał w myślach jej głos.

Otworzyły się drzwi i z cukierni wyszli dwaj umundurowani funkcjonariusze. Nie zauważyli Stride'a stojącego po lewej stronie. Przystanęli i zapalili papierosy. Zapach dymu nappełnił go tęsknotą, jakiej nie czuł co najmniej od roku. Spojrzał na swoje dłonie: drżały. Czuł w środku przeraźliwą pustkę, którą mógł wypełnić tylko papieros. Wyobrażał sobie jego dotyk, smak.

- Poczęstujecie mnie? - zapytał.

Nie znał ich ani oni jego. Wyższy gliniarz, mniej więcej wzrostu Stride'a, z ciemnymi włosami i wąsem, skinął głową i podał mu papierosa. Stride pochylił się do ognia.

- Dzięki.

Zaciągnął się i od razu poczuł się jak w raju, jakby odezwały się anielskie głosy. Nie mógł uwierzyć, że przez cały rok obywatel się bez tego.

- Znasz ją? - zapytał policjant, wskazując ruchem głowy sklep.

Stride skinął głową i wypuścił kłęb dymu. Bóg mu przebaczy, nawet jeśli Serena nie. Naprawdę tego potrzebował.

- Z jednej strony trochę szkoda, a z drugiej - będzie o jedno dziwadło mniej na świecie.

Stride'owi zaszumiało w głowie. Spojrzał w uśmiechniętą twarz mężczyzny, po czym opuścił wzrok na trzymanego w dłoni papierosa. Nagle wydał mu się czymś obcym i paskudnym. Czuł wzbierający kaszel. Rzucił papierosa na chodnik i zdeptał.

- Co robisz, człowieku? - zirytował się policjant. - To drogie fajki!

Stride złapał go za koszulę na piersi i z całej siły pchnął na ścianę budynku. Uderzenie było tak mocne, że pod mężczyzną ugięły się kolana. Oszołomiony i zaskoczony, potrząsnął głową. Stride zacisnął pięść i wziął już zamach, żeby rąbnąć tamtego w twarz, ale drugi gliniarz wskoczył między nich.

- Uspokój się! - krzyknął. - Oszalałeś?

Usiłował odepchnąć Stride'a, ale bez skutku, zupełnie jakby ten zapuścił korzenie. Widać było, że zastanawia się, czy sięgnąć po broń.

- On tylko tak gada. Ma niewyparzoną gębę. Nie powinien tego mówić.

Stride odwrócił się i odszedł bez słowa. Zamierzał przejść na drugą stronę ulicy, ale już zgromadził się tam tłumek gapiów, zawrócił więc i skręcił w najbliższą

przecnicę. Znalazł się na żuźlowym parkingu, na którym stała pół-ciężarówka z wielkimi podświetlonymi zdjęciami oszłamiająco pięknych kobiet. Takie półciężarówki jeździły bez przerwy tam i z powrotem po Stripie, reklamując usługi agencji towarzyskich i hostess. I hostessy, i dziewczęta z tych agencji w niczym nie przypominały kobiet z fotografii.

Jeszcze jedno oszustwo w mieście naciągaczy.

Przysiadł na zderzaku samochodu, żałując zmarnowanego papierosa. Wyjął komórkę i zadzwonił do Sereny. Odebrała od razu.

- Postrzelili Amandę.

- Nie!

Opowiedział jej, co się stało.

- Czy ona... To znaczy, jakie są szanse?

- Niewielkie.

- Tak mi przykro, Jonny... Nie wiń siebie. Nic nie mogłeś zrobić.

- Wiem.

- Cholera, powinnam tam być. Zwariuję tutaj.

- Będę cię informował na bieżąco.

Zakończył połączenie. Z całych sił starał się odegnać ogarniająca go rozpacz. Wstał i wtedy zza zakrętu wypadła jakaś zadyszana postać. Był to Cordy.

- Stride! Wszędzie cię szukam.

Natychmiast przypomniał sobie niechęć, z jaką Cordy odnosił się do Amandy, i znowu poczuł wzbierający gniew.

- Czego chcesz? - warknął.

Cordy zatrzymał się. Bez trudu wyczuł emocje Stride'a. Na jego twarzy malował się autentyczny smutek.- Wiem, wiem... Słowo daję, przykro mi. Ze stu różnych

powodów. Ona jest taka sama jak my wszyscy. Teraz to wiem.

Stride skinął głową i odetchnął głęboko.

- O co chodzi?

- Zadzwoiła jakaś dziwka z Harris Avenue. Wiesz, to te rudery w pobliżu komendy. Podobno widziała, jak nasz gość wchodzi do budynku z jej koleżanką.

Stride zmarszczył brwi.

- Blake? Z dziewczynką? Coś tu nie gra.

- Może postanowił wziąć zakładnika.

- Jest pewna? Cordy skinął głową.

- Zaklina się na wszystkie świętości. Kilka razy widziała jego portret pamięciowy w gazetach i telewizji.

- Znamy adres, numer mieszkania?

- Adres tak, numeru mieszkania nie. Ma facet jaja, co? Przez cały czas mieszkał tak blisko, że mogliśmy napluć mu w okno.

- Kiedy ich widziała?

- Pięć, dziesięć minut temu.

Stride zrozumiał, co czuła Amanda. Też chciał załatwić to sam, stanąć z nim oko w oko, *mano a mano*, pomścić Amandę i wszystkich, którzy zginęli. Gliniarza z parkingu przed Limelight, Petera Hale'a, Tierney Dargon, MJ Lane'a, Alice Ford... Doskonale pamiętał twarz Blake'a i jego arogancki uśmiech. Najchętniej pojechałby tam zaraz, natychmiast, i wpadł do mieszkania, zionąc wściekłością. Piętnaście lat temu na pewno popełniłby ten błąd. Tak jak Amanda.

- Zawiadomię Sawhilla. Będzie nam potrzebny.

- Aha - przytaknął Cordy. - Trzeba odgrodzić cały rejon.

- Jasne. Ustawcie radiowozy na wszystkich

skrzyżowaniach w okolicy, ale żadnych świateł ani syren, jasne? I pod żadnym pozorem niech nikt nie zapuszcza się w tę ulicę.

- Musimy szybko działać. Nie wiadomo, jak długo będzie tam siedział.

- Zgadza się. Bazę zrobimy na Harris. Za dziesięć minut spotkamy się tam z Sawhillem.

- Czy nie powinniśmy przeprowadzić wstępnego rekonesansu?

Stride zastanowił się przez chwilę.

- Może i tak. Sprawdź, czy w obyczajówce nie mają kogoś przebranego za prostytutkę. Jeśli tak, niech idzie przed budynek i stanie w miejscu, z którego będzie widziała wejście, byle nie za blisko.

Cordy pobiegł, wybierając numer na komórce.

Stride wrócił do samochodu, który zostawił przed cukiernią. Chciał jak najprędzej znaleźć się na miejscu. Jeśli Blake zamierzał spędzić tam noc, jeśli czuł się bezpiecznie, to może uda im się zgarnąć go szybko i bezboleśnie, bez rozlewu krwi.

Ale po co mu dziewczyna? Owszem, niektórzy zabójcy odczuwali po dokonaniu morderstwa wzmożony pociąg seksualny, ale Blake z pewnością do nich nie należał. Czyżby Cordy miał rację i Blake'owi chodziło o zakładnika? Tak czy inaczej, obecność dziewczyny komplikowała sytuację. Będą musieli działać wolniej i ostrożniej. Być może na to właśnie liczył.

41

Zwykle Serena lubiła ciszę panującą w ich domu, ponieważ stanowiła pożądaną przeciwwagę dla miejskiego zgiełku. W Las Vegas nie sposób było uciec od hałasu, zarówno czynionego przez ludzi, jak i maszyny. W domu

zdarzało im się, że wyłączali muzykę i siedzieli w ciemności, rozkoszując się spokojem.

Ale teraz cisza brzmiała groźnie. Niepokojąco.

Od chwili kiedy odłożyła telefon, nie mogła przestać myśleć o Amandzie. Słyszała ból w głosie Jonny'ego. Była potwornie spięta, lęk wyostrzył jej zmysły. Nasłuchiwała, sprawdzała wszystko, co działo się wokół jej domu. Nic się nie poruszało, lampa nad garażem oświetlała jej mustanga stojącego na podjeździe. Ulice były puste: żadnych obcych samochodów, żadnych świateł reflektorów. Badawczo przyglądała się cieniom po obu stronach domu. Kiedy uświadomiła sobie, że zostawiła broń wewnątrz, dłonie spocily jej się ze strachu. Ale nic się nie wydarzyło. Była sama.

Wróciła do środka i zarygnowała drzwi. Sprawdziła, czy alarm jest na pewno włączony. Zastanawiała się, czy zgasić światło i pójść na górę, ale w końcu postanowiła je zostawić. Gdyby ktoś przyszedł, niech myśli, że wciąż nie śpi. Niemniej zabrała ze sobą broń na piętro.

Czuła się winna z powodu tego, że była bezpieczna. Jonny ścigał teraz Blake'a, a ona powinna być u jego boku. Modliła się w duchu, żeby nie dał się ponieść emocjom, żeby nie zachował się tak głupio jak Amanda, która postanowiła w pojedynkę rozprawić się z Blakiem.

Nie umieraj, Jonny. Nie zostawiaj mnie. Tylko tyle. I aż tyle.

Mijając drzwi sypialni gościnniej, w której spała Claire, zatrzymała się, przez chwilę nasłuchiwała, po czym delikatnie nacisnęła klamkę. Tylko po to, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, powtarzała w duchu, ale to było kłamstwo. Chciała wejść, położyć się obok niej, dotknąć jej, wysłuchać tajemnic. Otoczyć ją ramionami i chronić.

Cofnęła rękę. Rozległo się głośnie kliknięcie. Skrzywiła się, po czym szybko przeszła do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Choć pod sufitem nieustannie obracał się wentylator, w pokoju panował potworny zaduch. Położyła na nocnym stoliku pistolet i komórkę, rozebrała się i poszła do łazienki wziąć prysznic. Kiedy wróciła, była jeszcze wilgotna. Naszykowała sobie ubranie na krzesle, na wypadek gdyby musiała szybko ubrać się w środku nocy, po czym zupełnie naga wyciągnęła się na łóżku.

Wyłączyła nocną lampkę. Pokój spowiła ciemność. Leżała na wznak z otwartymi oczami. Samotność i cisza doskwierały jej coraz bardziej.

Tap. Tap. Tap.

Wstrzymała oddech. Cisza... a potem znowu.

Tap. Tap. Tap.

Okno.

Zerwała się z łóżka, złapała pistolet, podbiegła do okna, gwałtownym ruchem rozsunęła zasłony. Do wnętrza wtargnął mętny blask latarni ulicznych. Z drugiej strony szyby szamotała się duża biała ćma, uderzając skrzydłami o szkło. Po chwili odleciała.

Nieźle, pomyślała Serena. Z pistoletem na ćmę.

Nie zasłaniając okna, wróciła na łóżko. Smuga światła spływała łagodnie na jej nagie ciało.

Uspokoila się, pomału zaczął ogarniać ją sen. Starła się nie zasnąć na wypadek, gdyby zadzwonił Jonny, ale im bardziej walczyła z coraz cięższymi powiekami, tym trudniej jej to przychodziło. Wreszcie poddała się i zamknęła oczy.

I zaraz pojawiły się sny. Niedobre sny. Ktoś ją ścigał, słyszała czyjeś szybkie kroki, próbowała uciec przed

niewidocznym zagrożeniem. Była nocą sama na pustyni; słyszała grzechotniki, jakieś szelesty i czyjś równy, głośny oddech.

Obudziła się, nie wiedząc dlaczego. Zerknęła na zegarek; spała zaledwie godzinę. Czyżby coś usłyszała? Kliknięcie. Kroki. Naprawdę, czy tylko to sobie wyobraziła? Przy drzwiach zobaczyła cień. Poruszył się. Ktoś był w pokoju.

Leżała sparaliżowana strachem, naga i bezbronna w sączącej się przez okno poświacie. Gdy tylko odzyskała zdolność ruchu, powoli wyciągnęła rękę w kierunku pistoletu.

- Kto tu jest?

- To tylko ja, Sereno - usłyszała szept Claire. Ona też była naga.

Bez pytania podeszła i położyła się obok Sereny. Przez jakiś czas leżały bez słowa na wznak, wpatrując się w sufit.

- Przepraszam, ale nie mogłam zasnąć - odezwała się wreszcie Claire. - Słyszałaś coś wcześniej?

- Myślałam, że to ty, w holu.

- Nie. To było coś innego.

Nasłuchiwały w milczeniu. Serena знаła wszystkie odgłosy domu. Do jej uszu nie docierało nic niepokojącego.

- Pewnie to tylko moja wyobraźnia... - westchnęła Claire.

- Spróbuj zasnąć.

Serena odwróciła się na bok, plecami do Claire. Na zegarze przy łóżku była już prawie druga. Zastanawiała się, gdzie teraz jest Jonny i kiedy do niej wróci. Chętnie znowu zamknęłaby oczy, ale bliskość Claire nie dawała jej spokoju.

Słyszała jej cichy oddech. Ona też nie spała. Milczały. Obie czekały, która zrobi następny ruch.

Claire też ułożyła się na boku, po czym niespodziewanie przysunęła się do Sereny i przywarła ciasno do niej całym ciałem. Serena czuła jej oddech na karku, włosy łaskotały ją w ucho. Czuła też dotyk twardych sutków.

- Nie przeszkadzam? - zamruczała Claire.

- Nie.

Położyła dłoń na biodrze Sereny, zsunęła ją na jej brzuch.

- Przyjemnie cię dotykać...

- Masz miły dotyk...

Claire delikatnie musnęła ustami jej kark. Leżały bez ruchu przez kilka minut. Serena czuła ciepło i pożądanie promieniujące od kobiety za jej plecami.

- Nigdy nie czułam czegoś takiego - odezwała się Claire.

- To miłe. - Zamknęła oczy, zawstydzona swoją odpowiedzią. Claire powiedziała, że ją kocha, a ona nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

- Masz piękne ciało. Takie silne.

Akurat teraz Serena wcale nie czuła się silna. Palce Claire ożyły, zaczęły gładzić ją po brzuchu, badać, ile im wolno, na jak wiele im pozwoli.

- Chcesz, żebym sobie poszła? - zapytała Claire.

- Sama nie wiem, czego chcę. Nie mówić „tak”, nie mówić „nie”.

- Chyba wiesz.

Dłoń cofnęła się na chwilę, a kiedy wróciła, opadła na pierś. Serena zeszywniała.

- Za szybko?

- Za... wszystko.

- Mogę pójść.

Dłoń wciąż spoczywała na jej piersi.

- Nie. Nie odchodź.

Dłoń zaczęła powolną wędrówkę w dół. Serena uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech.

- Odręź się - szepnęła Claire. - Pozwól, żeby po prostu się działo.

Wsunęła jej rękę między nogi.

- Podoba ci się?

Serena usłyszała własne westchnienie.

Pozostało jej już tylko jedno: wpuścić Claire do wilgotnego, nabrzmiałego wnętrza. Rozłożyć nogi i pozwolić, żeby doprowadziła ją do orgazmu kilkoma ruchami palców. Tylko tego było trzeba. Tak blisko już była.

Poczuła, jak palec Claire wślizguje się do środka, usłyszała jej zadowolony pomruk.

Serena przygryzła wargi, żeby nie krzyknąć.

A potem przestała cokolwiek widzieć, oślepią światłem, które nagle zapłonęło w sypialni.

42

Czarna furgonetka sunęła powoli ulicą, jakby kierowca czegoś szukał, choć można było się zastanowić, dlaczego robi to z wyłączonymi światłami. Częściowo starty napis na boku głosił: MEADOWS - ZAOPATRZENIE KASYN. Samochód zatrzymał się naprzeciwko budynku, w którym mieszkał Blake. Kierowca nie wyłączył silnika.

Stride siedział z tyłu, razem z jedenastoma policjantami w rynsztunku bojowym. Atmosfera była gęsta od napięcia. Sawhill podjął decyzję o wtargnięciu do

środku; teraz czekali tylko na rozkaz.

- Ulica pusta. Żadnych cywilów. Droga wolna - usłyszał w słuchawkach głos kierowcy.

- Tammy, potwierdzasz? - zapytał Sawhill.

Tammy była policjantką przebraną za prostytutkę, która już od niemal godziny kręciła się w pobliżu wejścia do budynku.

- Zgadza się, żadnych cywilów. Dobrze, że to środek nocy.

- Alonzo, co tam z tyłu?

- Nic.

Alonzo zajął stanowisko od strony podwórka.

- Pałają się światła w oknach?

- Nie.

- W porządku. Oddział szturmowy, przygotować się do akcji.

Napięcie narastało. W kamizelkach kuloodpornych z każdą chwilą robiło się coraz cieplej.

Przełom nastąpił krótko po tym, jak ustawili blokady na okolicznych ulicach. Okazało się, że pewien Wietnamczyk wracający z pracy w kasynie mieszka po sąsiedzku z Blakiem. Bez trudu go zidentyfikował i podał im dokładną lokalizację mieszkania. Kwadrans temu dostali nakaz przeszukania.

- Powtarzam jeszcze raz - zatrzeszczał głos Sawhilla w słuchawkach. - Czterech od tyłu, Rodriguez i Holtz od północy, Han i Baker od południa. Balkon jest dokładnie pośrodku. Być może będzie próbował tamtędy uciekać. Lee, Salazar, Alexander, Odom, Stride i Cordy tworzą zasadniczą grupę szturmową. Podkradacie się korytarzem, Lee i Salazar wyłamują drzwi, Alexander i Odom wchodzi, Stride i Cordy ubezpieczają. Pamiętajcie, że w środku jest

cywil.

- Tak jest - odpowiedział za wszystkich Stride.

- Kwan i Davis zabezpieczają tyły; Kwan w holu, Davis przed budynkiem.

- Tak jest.

- Ruszamy za minutę, na mój sygnał.

Sekundy mijały powoli. Stride miał czas, żeby myśleć o Amandzie. I Serenie. Do tej pory zaledwie kilka razy brał udział w bezpośrednim szturmie. Zawsze miało to związek z narkotykami i zawsze było niebezpieczne.

- Teraz - powiedział spokojnie Sawhill.

Tylne drzwi furgonetki otworzyły się na doskonale nasmarowanych zawiasach i oddział wysypał się na ulicę. Jak na tak potężnych mężczyzn, wszyscy poruszali się zaskakująco szybko i sprawnie. Byli uzbrojeni w karabiny szturmowe. Stride i jeszcze sześciu przemknęli przez ulicę i wbiegli do budynku, po czym zaczęli ostrożnie wchodzić po drewnianych schodach, poskrzypujących cicho pod ich ciężarem.

- Jesteśmy już na pozycjach - zameldowali ci z tyłu budynku.

Na przód wysforowali się dwaj policjanci z taranem do rozbijania drzwi, za nimi pobiegli Stride i Cordy. Po każdej stronie korytarza było pięćdziesiąt drzwi. Na samym końcu, jakieś trzydzieści metrów od schodów, znajdowały się te, ku którym zmierzali.

Starali się nie robić żadnego hałasu, ale było to niemożliwe. Budynek był stary, o drewnianej konstrukcji, więc pod ciężarem sześciu roślących, uzbrojonych mężczyzn wszystko uginało się i skrzypiało. Zrezygnowali więc z prób zachowania dyskrecji i po prostu starali się działać jak najprędzej. Stride zastanawiał się, czy Blake obserwuje ich

przez judasza; jeśli to robił, musiał się zorientować, że nie ma żadnych szans.

W chwili gdy mijali jedne z drzwi po lewej stronie, otworzyły się gwałtownie. Odruchowo przykleknął i wycelował broń; w drzwiach stała starsza kobieta w wymiętym białym szlafroku. Na jego widok wytrzeszczyła z przerażeniem oczy i otworzyła usta, ale nie zdążyła krzyknąć, ponieważ doskoczył, wepchnął ją do środka i zasłonił jej usta dłonią.

- Czekajcie! - syknął do radia, do kobiety zaś powiedział: - Jesteśmy z policji. Proszę zostać w mieszkaniu i nie otwierać drzwi. Czy pani rozumie?

Energicznie pokiwała głową. Stride uśmiechnął się, cofnął się na korytarz i zamknął drzwi.

- Możemy ruszać.

Alexander i Odom zajęli stanowiska po obu stronach drzwi Blake'a, pozostali ustawili się z tyłu. Z wnętrza nie dobiegał żaden odgłos, przez szparę pod drzwiami nie sączyło się światło.

Alexander podniósł trzy palce, zacisnął dłoń w pięść, po czym zaczął je kolejno prostować.

Jeden. Dwa. Trzy.

Drzwi ustąpiły już po pierwszym uderzeniu taranem. Alexander i Odom wskoczyli pierwsi, zaraz za nimi Stride i Cordy.- Policja! - krzyknęli niemal równocześnie. Wystarczyło pięć sekund, by stwierdzić, że w małym salonie nikogo nie ma. To samo w kuchni. Drzwi sypialni były zamknięte, ale po jednym kopnięciu zostały z nich tylko drzazgi.

- Zakładniczka na łóżku!

Dziewczyna leżała z rozłożonymi ramionami i nogami, naga, przywiązana do narożników łóżka. Usta

miała zakneblowane bawełnianą koszulką, oczy wielkie jak spodki. Usiłowała krzyknąć i szamotała się rozpaczliwie.

- Nie ma sukinsyna! - zawołał Alexander, zajrzawszy do szaf i łazienki.

- Na pewno? - zapytał Sawhill przez radio.

- Na pewno!

- Rodriguez, Holtz... Macie go?

- Przykro nam, żadnego ruchu.

- Do cholery, przecież byliśmy na miejscu pięć minut po zawiadomieniu! - Sawhill gotował się z wściekłości. - Przecież nie mógł rozplynać się w powietrzu! Przetrząśnijcie cały budynek, przeszukajcie wszystkie mieszkania!

- Bez nakazu?

- Ścigamy wielokrotnego mordercę, do jasnej cholery.

- Proszę mi dać pół minuty - wtrącił się Stride. - Chcę porozmawiać z dziewczyną. - Wskazał na szafę. - Alexander, rzuć mi jakiś ciuch.

Potężny gliniarz podał mu pierwszą z brzegu koszulę. Stride przykrył dziewczynę; koszula sięgała jej od szyi prawie do kolan.

- Już dobrze, dobrze... - przemawiał uspokajającym tonem. - Jesteś bezpieczna.

Wyjął z kieszeni składany nóż i przeciął krępujące ją sznury. Tak bardzo się szarpała, że otarła sobie ręce do mięsa. Jak tylko poczuła, że jest wolna, rzuciła mu się na szyję i przycisnęła twarz do jego kevlarowej kamizelki. Pozwolił jej szlochać przez kilka sekund, po czym odsunął delikatnie.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem... - wychlipała.

- Kiedy wyszedł?

- Niedawno. Może godzinę temu. Nie wiem dokładnie. Bałam się, że wróci.

Stride miał graniczące z pewnością przeczucie, że Blake nie zamierzał już tu nigdy wrócić.

- Co działo się po tym, jak cię tu przyprowadził?

- Kazał mi się rozebrać. Potem przywiązał do łóżka i kazał zadzwonić. Trzymał mi pistolet przy głowie i gadał, co mam mówić. Potem zakneblował mnie i wyszedł.

- Zadzwonić?

W głowie Stride'a zaczęło kiełkować okropne podejrzenie.

- Tak, na policję.

- To ty dzwoniłaś?! Dziewczyna skinęła głową.

- Niech to szlag! - Stride podniósł krótkofalówkę do ust. - Ten telefon od dziwki to była pułapka. Blake kazał to zrobić dziewczynie, a potem uciekł. Nie ma go tu co najmniej od godziny.

Słysząc było, że Sawhill z trudem nad sobą panuje.

- Nie wierzę. Na wszelki wypadek sprawdźcie jednak inne mieszkania.

- Tak jest.

- Przypuszczalnie ma jakąś awaryjną metę w innej części miasta. Zwracajcie szczególną uwagę na meldunki o kradzieżach samochodów w okolicy. Może zwinął sobie jeden, żeby jakoś tam dojechać.

Stride myślał intensywnie. Blake nie mógł się spodziewać, że spotka Amandę w cukierni, musiał więc teraz działać błyskawicznie. Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później policja tutaj trafi. Potrzebował więc czegoś, co odwróci ich uwagę, co da mu trochę czasu.

Nawet nie trochę, tylko całkiem sporo, uświadomił

sobie. Wcale nie chodziło mu o to, żeby uciec, a przynajmniej nie tylko o to. Chciał zatrzymać ich tu jak najdłużej, żeby...

Żeby mieć czas na finałowy występ.

Stride poczuł się tak, jakby wszedł pod lodowaty prysznic.

- Sukinsyn...

Zapomniał, że ma włączone radio.

- Co mówisz? - zapytał Sawhill.

Stride nie odpowiedział, tylko wyszarpnął z kieszeni komórkę i wcisnął przycisk szybkiego wybierania. Szybkie było tylko z nazwy - wydawało mu się, że to trwa godzinę. Wreszcie usłyszał sygnał. Jeden... Drugi... Trzeci... Z każdą mijającą chwilą ogarniał go coraz większy niepokój.

Telefon dzwonił i dzwonił. W jego domu. Tam gdzie były Serena i Claire.

Odbierzcie, błagał bezgłośnie. Niech ktoś odbierze.

Nikt nie odbierał.

Stride rzucił się ku drzwiom.

43

Gdy tylko Serena odzyskała wzrok, zrozumiała, że zaraz umrze. W drzwiach stał Blake z pistoletem wycelowanym prosto w jej głowę.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział z lekkim uśmiechem. Pożądliwie gapił się na dwie nagie kobiety splecione w objęciach na łóżku.

Serenie zrobiło się żal wielu rzeczy: że nigdy nie była na Hawajach, że nie miała dzieci - choć prawie zdążyła już sobie wmówić, że to nie ma znaczenia, że Jonny znajdzie je razem w łóżku i domyśli się, że go zdradziła, że jej słabości okazały się silniejsze od niej, że Jonny nigdy się nie dowie, jak bardzo go kochała.

Ukradkiem zerknęła na nocny stolik, obliczając, ile czasu zajęłoby jej sięgnięcie po broń. Za dużo. Stanowczo za dużo.

Jej spojrzenie nie uszło uwagi Blake'a.

- Nie rób tego, proszę. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił.

- Przecież i tak to zrobisz.

Leżała na wznak, przedramieniem zasłaniając piersi.

- Zachowajmy spokój. Claire, wstań z łóżka i stań przy szafce nocnej.

Claire zawahała się, ale Serena uspokajająco ścisnęła jej rękę.

- Wszystko będzie w porządku - skłamała.

Claire wykonała polecenie.

- Dobrze. A teraz weź dwoma palcami pistolet i podaj mi go.

Claire podniosła broń tak, jakby to była śnięta ryba znaleziona na plaży. Blake cały czas trzymał Serenę na muszce. Wziął pistolet od Claire i wetknął za pasek.

- Ubierzcie się.

Claire stała bez ruchu, czekając, aż na nią spojrzy. Jego wzrok przewędrował po jej ciele, po czym Blake zamrugał raptownie, jakby zażenowany. Serena nie spodziewała się takiej reakcji po wielokrotnym mordercy.

- Wiesz, kim jestem? - zapytała.

- Córką Boniego.

- A zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - Jej spojrzenie zdawało się przeszywać go na wylot. - Na pewno. Nie wierzę, żebyś to przeoczył.

W skorupie niewzruszonego spokoju Blake'a pojawiła się wąziutka rysa.

- Owszem.

- To dlaczego to robisz? Nie odpowiedział.
- Ubierajcie się! - warknął ponownie.
- Moje ubranie jest w drugim pokoju - odparła

Claire.

- Więc włóż jej. Tylko żadnych gwałtownych ruchów. Serena nie rozumiała, co się dzieje. Po co miały się ubierać? Spodziewała się, że natychmiast je zabije, ale najwyraźniej jego plan był bardziej skomplikowany. I bardzo dobrze. Im dłużej będzie żyła, tym więcej nadarzy się okazji do ucieczki albo do tego, żeby go obezwładnić.

Usiadła na łóżku i sięgnęła po ubranie. Następnie przeszła do drugiego pokoju i podała rzeczy Claire; była od niej niższa, musiała więc podwinąć nogawki spodni.

- Dokąd idziemy?

Zignorował jej pytanie. Z tylnej kieszeni wyciągnął rolkę taśmy izolacyjnej i rzucił ją Claire.

- Skrępuj jej ręce.

Kobiety spojrzały na siebie, po czym Serena wyciągnęła ku niej złączone dłonie. Claire stała jak sparaliżowana.

- Rusz się!

Claire spojrzała znacząco na coś za plecami Sereny, a potem na nią. Najwyraźniej usiłowała zwrócić jej uwagę. Sekundę albo dwie później Serena domyśliła się, o co chodzi. Szafka nocna. Telefon komórkowy.

- Nie rozumiem, jak mogłam ci zaufać - powiedziała Claire z goryczą.

- Przykro mi.
- Obiecowałaś, że mnie obronisz!
- Zamknijcie się! - warknął Blake.

- Ciebie? - zapytała Serena szyderczym tonem. - Ty arogancka dziwko! Mogłaś poprosić o pomoc tatusia, ale ty

wolałaś zgrywać ambitną, a teraz przez ciebie i ja zginę!

- Pieprz się!

Claire doskoczyła do Sereny i pchnęła ją mocno. Serena zatoczyła się, zawadziła o szafkę i przewróciła się, zrzucając na podłogę wszystko, co leżało na blacie. Spadła też nocna lampka; żarówka pękła z hukiem. Serena błyskawicznie odwróciła się na brzuch; telefon był na wyciągnięcie ręki.

- Zaraz ci pokażę! - wrzasnęła Claire i rzuciła się na nią, częściowo zasłaniając Blake'owi widoczność.

- Dostyc tego!

Złapał ją za włosy i szarpnął do tyłu, a chwilę potem strzelił w poduszkę na łóżku. Huk mało ich nie ogłuszył, a w powietrze poleciała fontanna pierza.

- Następna kulka będzie dla Sereny - ostrzegł. Kobiety znieruchomiały. Claire się rozplakała.

- Przepraszam...

- Wstawaj! - polecił Serenie.

Podniosła się, ciężko dysząc, z zarumienioną twarzą.

- A teraz zwiąż jej wreszcie ręce, do cholery!

Claire potulnie skinęła głową i zaczęła owijać taśmą nadgarstki Sereny.- Mocniej! I wyżej.

Oplotła niemal całe przedramiona Sereny. Stojąc odwrócona plecami do Blake'a, lekko uniosła brew, a Serena ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Przez twarz Claire przemknął leciutki uśmiech.

- A teraz zaknebluj ją. Szybko!

Claire posłusznie zakleiła taśmą usta Sereny.

- Połóż ją na łóżku.

Claire zawahała się, więc Blake wkroczył między nie i brutalnie pchnął Serenę. Wylądowała na wznak, po czym obserwowała, jak Blake krępuje ręce Claire i również

ją knebluje.

- Idziemy - powiedział. - Wy przodem. Jeśli spróbujecie jakichś wygłupów, zginiecie, a przy okazji być może umrze jeszcze paru niewinnych ludzi.

Pomógł Serenie wstać, po czym opuścili mieszkanie i schodami zeszli na parter. Blake przemknął naprzód, otworzył drzwi, po czym uważnie rozejrzał się dookoła, a następnie ruchem głowy dał znak, żeby wyszły za nim na ulicę.

Przy krawężniku, tuż przed jej mustangiem, stał stary biały Chevrolet impala. Albo Blake zdążył go ukraść, albo przygotował go sobie już wcześniej. Pilotem otworzył bagażnik. Serenę ogarnęły niedobre przeczucia; wyobraziła sobie, jak wywozi je na pustynię i porzuca, by umarły z pragnienia, albo jak grzebie je gdzieś żywcem. Jego żądza zemsty była tak wielka, że niczego nie dało się wykluczyć.

- Do bagażnika - polecił. - Prędko!

Serena pochyliła się, próbując wczołgać się do środka, ale ze skrępowanymi rękami nie szło jej najlepiej. Blake podszedł od tyłu, chwycił ją za pasek, podniósł i wrzucił jak walizkę. Uderzyła twarzą w twardą podłogę; poczuła smak krwi i zaczęła szybko ją przetykać, żeby się nie zadławić. Przeturlała się głębiej, a sekundę później w bagażniku wylądowała również Claire.

Blake zatrzasnął bagażnik.

Ogarnęła ją okropna, niemal namacalna ciemność. Nie mogła się poruszyć ani odezwać. Pozostał jej tylko słuch.

I świadomość, że w kieszeni spodni ma telefon komórkowy.

Otworzyły się drzwi kierowcy... ale odgłosy, które rozległy się potem, nie miały żadnego sensu. Metaliczny

brzęk, jakby pistolet Blake'a upadł na asfalt. Łoskot gdzieś w górze, któremu towarzyszyło gwałtowne zakołysanie samochodu, po czym szelest, jakby coś ześlizgiwało się po karoserii.

Dopiero po chwili zrozumiała, że ktoś cisnął Blake'a na dach samochodu.

44

Leo Rucci obszedł samochód i stanął nad oszołomionym i zdezorientowanym Blakiem. Blake stracił broń; sięgnął po wetknięty za pasek pistolet Sereny, ale poruszał się zbyt wolno. Leo bez trudu wytrącił mu go kopnięciem z ręki.

- No dobra, mądralo, teraz to sprawa tylko między nami dwoma. Myślisz, że dasz radę staremu człowiekowi?

Zanim Blake zdążył dojść do siebie, Rucci podniósł go za kołnierz jak szczeniaka i z ogromną siłą pchnął na tylne drzwi samochodu. Z nosa Blake'a trysnęła krew, w głowie zahuczało, świat znowu zatańczył mu przed oczami.

- Zamordowałaś mojego syna. Zabiłaś go jak psa. Zanim z tobą skończę, dopilnuję, żebyś nie miał ani jednej całej kości.

Odwrócił Blake'a twarzą do siebie i wziął zamach ogromną pięścią, ale Blake zdążył się uchylić, więc pięść trafiła w okno, a na twarzy Rucciego pojawił się grymas bólu. Blake spróbował skorzystać z okazji i się uwolnić, lecz jedna ręka Rucciego wciąż z żelazną siłą trzymała go za ramię. Druga zacisnęła się na jego gardle i nagle Blake zawisł w powietrzu.

Nie mógł złapać oddechu. Złapał oburącz dłoń ściskającą jego gardło i próbował ją odsunąć, ale z równym powodzeniem mógłby odpychać węża boa, który już zaczął zacieśniać swój morderczy uścisk. Leo uśmiechnął się

szeroko i rąbnął go w żołądek. Blake'owi mało nie pękły płuca, ponieważ powietrze, które chciało je opuścić, nie miało którędy uciec. Poczuł się tak jakby połknął granat, który właśnie w nim eksplodował.

Powoli tracił świadomość. Szumiało mu w uszach, oczy wyszły mu z orbit. Wciąż rozpaczliwie próbował odepchnąć rękę Lea, ale bez rezultatu.

- To tylko początek - wycedził Leo. - A właściwie nawet jeszcze nie zaczęliśmy. Jak stracisz przytomność, zabiorę cię w ustronne, zaciszne miejsce.

W zamroczonym umyśle Blake'a zamajaczyło niewyraźne wspomnienie: długi ostry kształt, chłodna stal... Nóż. Miał go przez cały czas w tylnej kieszeni spodni. Sięgnął tam ostatkiem sił. Impulsy wysyłane przez mózg z trudem torowały sobie drogę do mięśni. Szukał na oślep, rozpaczliwie, zaciskając i prostując palce.

Wreszcie zacisnęły się na rękojeści noża. Na sekundę zamroczenie ustąpiło, odzyskał możliwość precyzyjnego działania. Z całej siły uderzył nożem w przedramię Rucciego, który ryknął jak raniony niedźwiedź i zwolnił uchwyt. Blake łapczywie chwycił haust powietrza i kopnął Rucciego w kolano. Stary człowiek zachwiał się i runął jak drzewo.

Blake wciąż miał w ręce nóż.

Zadał cios, celując w pierś przeciwnika, ale Leo zdążył zasłonić się ranionym przedramieniem. Nóż tylko płytko skaleczył go w bark. Zanim Blake zdążył zadać drugi cios, Leo zamachnął się drugą ręką jak kijem bejsbolowym. Uderzenie było tak silne, że Blake potoczył się po asfalcie.

Leo dźwignął się z ziemi. Broczył krwią i chwiał się na nogach, lecz mimo to machnął na Blake'a.

- Chodź tu, cwaniaku. Potrzebujesz noża, żeby rozprawić się ze starym człowiekiem? No, chodź tu i zobacz, czy ci się uda.

Ale Blake nie dał się sprowokować. Dyszał ciężko, zbierając siły i starając się odzyskać jasność myślenia. Nóż trzymał przed sobą. Leo zbliżał się powoli.

- Tchórz! Gino rozgniółłby cię jak muchę, gdybyś odważył się stanąć z nim oko w oko!

- Żałuj, że nie widziałeś, jak dostał kulkę w głowę. Rozpadła się jak włochaty kokos.

Leo zawył wściekle i ruszył do ataku. Blake wykonał unik i uderzył od tyłu, trafiając pod łopatkę. Leo wrzasnął przeraźliwie i szarpnął się tak mocno, że mokra od krwi rękojeść noża wyslizgnęła się z dłoni Blake'a. Ułamek sekundy później w jego głowę trafił potężny cios zadany ogromną pięścią i Blake osunął się na kolana. Podparł się rękami, by nie upaść, i poczuł pod palcami coś metalowego. To były kluczyki od jego samochodu. Ścisnął je w pięści i zaczął powoli podnosić się z ziemi.

Za plecami usłyszał stęknienie i nieprzyjemny, wilgotny odgłos. To Leo wyszarpnął nóż z rany. Blake odwrócił się i pewnie by upadł, ale w ostatniej chwili oparł się o bok impali. Obserwowali się czujnie. Koszula Rucciego była przesiąknięta krwią, twarz miał śmiertelnie bladą, ale był większy i silniejszy, a co ważniejsze, trzymał teraz nóż. W jego wielkiej dłoni wyglądał jak zabawka.

Blake cofał się pomału wzdłuż samochodu. Leo postępował za nim krok w krok. Blake rozglądał się ukradkiem dookoła w poszukiwaniu pistoletu, ale przypomniał sobie, że broń leży po drugiej stronie wozu. Leo jakby czytał w jego myślach. Zaczekał, aż Blake zbliży się do bagażnika, po czym szybko okrążył samochód od

przodu. Gdyby pistolet rzeczywiście leżał po drugiej stronie, dostrzegłby go pierwszy.

Chwilę potem jego usta wykrzywiły się w groźnym, szyderczym uśmiechu. Spełniły się najgorsze przewidywania Blake'a: Leo znalazł broń.

Blake nacisnął przycisk pilota i bagażnik otworzył się z cichym kliknięciem.

Leo zmarszczył ze zdziwieniem brwi, ale trwało to tylko ułamek sekundy; zaraz potem schylił się z wysiłkiem po broń.

Blake dał nura za podniesioną klapę bagażnika, spodziewając się, że lada chwila posypią się strzały. Claire wpatrywała się w niego szeroko otwartymi ze strachu oczami. Porwał ją w ramiona, wyszarpnął jak piórko, zatrzasnął klapę. Ramieniem otoczył jej szyję, drugą rękę położył na głowie i odwrócił się w stronę Rucciego.

Nie było go tam, gdzie spodziewał się go ujrzeć. Cofnął się, by uniemożliwić przeciwnikowi podkradnięcie się wzdłuż samochodu. Trzymał Claire tuż przed sobą. Czuł jej strach; drżała jak osika.

Leo wyprostował się powoli. Znowu stał przed maską impali, ale teraz miał broń. Wycelował pistolet w Blake'a.

- Puść ją.

- Będziesz strzelał? Zaryzykujesz jej życie? Proszę bardzo.

Popychając Claire przed sobą, zaczął stopniowo zbliżać się do samochodu.

- Rzuć broń, Leo. Dobrze ci radzę.

W oczach Rucciego pojawiło się wahanie.

- Skręcę jej kark, jeśli nie posłuchasz. Jeden ruch i będzie po niej.

Claire zaczęła rozpaczliwie szarpać się i wierzgać, ale trzymał ją mocno.

- Po tobie też - warknął Leo. - Jeśli ona zginie, ty też.

- A potem Boni zabije ciebie za to, że pozwoliłeś umrzeć jego córce. Tego chcesz? Chcesz osobiście powiedzieć Boniemu, że pozwoliłeś, by ktoś zabił jego córkę na twoich oczach? Jesteś gotów tak bardzo go zawieść?

Po twarzy Leo widać było, że targają nim sprzeczne uczucia. Chciał strzelać, ale nie mógł. Poza tym był poważnie ranny, obficie krwawił i z pewnością zdawał sobie sprawę, że nie będzie mógł tak stać w nieskończoność. Blake coraz bardziej zbliżał się do drzwi po stronie kierowcy.

- Rzuć broń, Leo. Jeśli to zrobisz, dziewczynie nic się nie stanie. Leo parsknął wściekle i cisnął broń na ziemię.

- Mądra decyzja - pochwalił go Blake. - A teraz cofnij się od wozu. Odjeżdżamy.

Leo posłusznie zrobił kilka kroków w tył. Miał uniesione ręce, w jego ciemnych oczach można było dostrzec gniew i cierpienie.

- Marnie wyglądasz, Leo. Radziłbym ci wezwać pogotowie, gdy tylko odjedziemy.

Rucci nadal się cofał. Blake otworzył drzwi i wepchnął Claire do środka, na fotel pasażera, po czym zajął miejsce za kierownicą i zatrzasnął drzwi, przez cały czas nie spuszczać Rucciego z oka. Stary człowiek z każdą chwilą chwiał się coraz bardziej. Już nawet nie patrzył na Blake'a ani na samochód. Zatoczył się, uderzył o rosnącą przy krawężniku palmę, pochylił się do przodu i oparł dłonie na kolanach. Z jego ust popłynęła krew.

Blake uruchomił silnik, cofnął wóz, wyjechał na jezdnię. Kątem oka dostrzegł, jak Leo unosi głowę, a na jego twarzy pojawia się mściwy uśmiech. To była tylko sztuczka. Udawał. Zataczając się i chwiejąc, niepostrzeżenie dotarł w pobliże miejsca, gdzie leżał pistolet Sereny. Schylił się po niego, a kiedy się wyprostował, broń była już wycelowana w przednią szybę chevroleta.

- Połóż się! - rzucił Blake do Claire.

Wcisnął pedał gazu w podłogę i z piskiem opon ruszył prosto na Rucciego. Sekundę później gwałtownie szarpnął kierownicą w lewo - niemal dokładnie wtedy, kiedy rozległ się strzał i przednia szyba rozprysła się na kawałki, zasypując ich oboje ostrym szklanym konfetti. Zaraz potem samochód uderzył w drzewo, z hukiem otworzyły się poduszki.

Samochód przygniół Rucciego do drzewa, miażdżąc dolną połowę jego ciała. Pistolet wypadł staremu mężczyźnie z dłoni. Leo żył jeszcze, wpatrując się w Blake'a wzrokiem człowieka, który zdaje sobie sprawę, że przegrał najważniejszą bitwę w życiu. Po jego policzkach płynęły łzy, ale nie jęczał ani nie wzywał pomocy. Blake wysiadł z wozu i podniósł pistolet.

- Sprytnie to rozegrałeś, Leo - przyznał z autentycznym uznaniem. - Gino byłby z ciebie dumny.

Leo spróbował splunąć w jego stronę, ale mu się nie udało.

Blake zerknął na Claire; patrzyła na niego, a on poczuł przypływ czegoś, co można by nazwać litością. Wsadził broń za pasek, podszedł do samochodu od strony pasażera i otworzył drzwi. Dziewczyna prawie wypadła w jego ramiona. Była zbyt zaszokowana, żeby samodzielnie

iść, więc zaniósł ją na tył wozu, otworzył bagażnik i delikatnie ułożył obok Sereny. Następnie zatrzasnął klapę i wrócił do Rucciego.

- Podejrzewam, że musisz bardzo cierpieć - powiedział.

Leo odwrócił wzrok.

- Jeśli chcesz, możesz zamknąć oczy.

Leo nadludzkim wysiłkiem zwrócił ku niemu twarz i spojrzał mu prosto w oczy. Blake skinął głową, wyciągnął pistolet, wycelował w środek czoła i strzelił.

45

Serena mocno zacisnęła palce na skrępowanych rękach Claire. Kiedy rozległ się strzał, Claire zaczęła krzyczeć - na tyle, na ile pozwalały jej zakneblowane usta - po czym przycisnęła twarz do ramienia Sereny w ciasnym, ciemnym wnętrzu bagażnika. Łzy szybko przesiąkły przez koszulę. Claire odwzajemniła się tak silnym uściskiem, że prawie wbiła jej paznokcie w skórę.

Samochód zakotłosał się, kiedy Blake wrócił za kierownicę, po czym ruszyli. Serena bez trudu rozpoznawała znajome zakręty. Miała nadzieję, że ktoś usłyszał strzały i zawiadomił policję, ale równocześnie wiedziała, że kiedy przyjadą radiowozy, ich już dawno tam nie będzie.

Była poobijana, bolało ją całe ciało. Kiedy samochód uderzył w przeszkodę, rzuciło ją na przednią ściankę bagażnika. Skrępowane ręce dokuczały coraz bardziej, podobnie jak kolano, o które zawadziła walająca się luzem łyżka do opon.

Uwolniła się z uścisku Claire i z trudem przekręciła na plecy. Już wcześniej odkryła, że może zgiąć ręce w łokciach i zbliżyć dłonie do twarzy. Czubkami palców

złapała za końcówkę taśmy zakrywającej jej usta, odlepiała ją powoli, po czym rozmasowała zdrętwiałą szczękę i kilka razy odetchnęła głęboko. Była mokra od potu. W bagażniku robiło się coraz bardziej gorąco.

Samochód podskoczył na jakiejś nierówności. Rąbnęła czołem o spód pokrywy bagażnika i zakłęła soczyście. Ponownie odwróciła się na bok, twarzą do Claire, i odszukała jej dłonie.

- Słuchaj! - wyszeptała. - Przypuszczalnie tobie też uda się podnieść ręce do twarzy, żeby odlepić taśmę. Spróbujesz?

Miała nadzieję, że Claire zostało jeszcze tyle sił, fizycznych i psychicznych, żeby to zrobić. Cofnęła dłonie i natychmiast poczuła, jak Claire wierci się, usiłując zbliżyć skrepowane ręce do ust. Udało jej się nadzwyczaj szybko. Chwilę potem Serena usłyszała jej zdyszany oddech.

- Cholera, to bolało!

Roześmiały się obie. Serena z ulgą stwierdziła, że Claire zdołała zapanować nad paniką. Zbliżyła usta do jej ucha.

- Musimy być cicho, żeby nas nie usłyszał. Co tam się działo?

- To był Leo. Zdaje się, że Blake go zabił.

- Zrobił ci coś?

- Nie, ale okropnie się bałam.

Serena przytuliła policzek do jej twarzy

- Już wszystko w porządku. Wyjdziemy z tego.

Niespodziewanie poczuła nagły przypływ energii i optymizmu. Jakby właśnie dostała drugą szansę, by odpokutować przeszłość, by ocalić Deirdre, ratując Claire.

- Wiesz, dokąd nas wiezie?

- Nie mam pojęcia.

Serena uznała, że nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Nic, co przychodziło jej do głowy, nie brzmiało szczególnie zachęcająco. Usiłowała zapamiętać kolejność i liczbę zakrętów, ale szybko pogubiła się w rachunkach. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, iż nie wyjechali jeszcze z miasta, ponieważ do wnętrza bagażnika wciąż docierały odgłosy wielkomiejskiego ruchu.

- Przykro mi, że cię w to wplątałam - powiedziała Claire.

- To nie twoja wina.

Claire umilkła na jakiś czas, po czym wyszeptała:

- Jeśli chodzi o to, co się między nami zdarzyło...

- Nie mówmy teraz o tym.

- Muszę wiedzieć, czy tego żałujesz.

- Nie żałuję. - Serena postanowiła zmienić temat. - Ten twój plan był całkiem sprytny. Te krzyki, te wyzwiska...

- Udało ci się zabrać telefon?

- Tak. Musisz mi go podać. Mam go w kieszeni. Dłonie Claire wędrowały po przedniej części jej spodni tak długo, aż natrafiły na podłużną, twardą wypukłość w kieszeni.

- Możesz się trochę przysunąć?

Serena maksymalnie zgięła nogi. Poczwała palce Claire w kieszeni. Było to zaskakująco intymne doznanie. Tuż przy twarzy miała jej piersi ciasno opięte przeupoconą bluzką.

- W normalnych warunkach nawet by mi się to podobało - szepnęła Claire.

- Ciii...

Wreszcie zdołała wysunąć aparat z kieszeni, ale

kiedy chciała podać go Serenie, wyslizgnął jej się z palców.

- Cholera! Mam spocone dłonie.

Samochód wszedł w ostry zakręt. Przesunęły się w bagażniku w jedną, potem w drugą stronę. Serena straciła orientację, nie wiedziała gdzie jest przód, a gdzie tył.

- Claire?

- Jestem.

- Musimy znaleźć telefon.

Ruszyły się w całkowitej ciemności i przypominało to niezdarny, tajemniczy taniec. Bezszykownie obmacywały podłogę w poszukiwaniu aparatu. Serena zdawała sobie sprawę, że mogą nie mieć wiele czasu, że Blake lada chwila może dotrzeć do celu.

- I co? - zapytała szeptem Serena.

- I nic.

Kolejny zakręt. Serena miała przeczucie, że ich podróż zbliża się do końca. Nie potrafiłaby powiedzieć, skąd wzięło się to przeświadczenie, ale przez minione lata nauczyła się wierzyć swojemu szóstemu zmysłowi. Nawierzchnia stała się bardziej wyboista, na zewnątrz zrobiło się ciszej. To nie mogła być ruchliwa ulica.

- Musimy się pospieszyć.

- Mam go! - wyszeptała triumfalnie Claire. - Tutaj, przy mojej twarzy. Przysunął się na zakręcie.

- Spróbuj go złapać, zanim odjedzie.

Serena spróbowała podsunąć się do Claire. Po kilku próbach zdołała dotknąć palcami jej przedramienia, a następnie dotarła do telefonu. Claire ścisnęła go ze wszystkich sił.

- Już dobrze, możesz puścić. Mam go. Claire westchnęła z ulgą.

Samochód znowu skręcił. Serena starała się w nic

nie uderzyć, ale Claire wpadła na nią z takim impetem, że niewiele brakowało i wytraciłaby jej komórkę z rąk. Na szczęście szybko wszystko wróciło do normy. Przesunęła palcami po klawiaturze, próbując przypomnieć sobie ułożenie klawiszy. Nacisnęła ten, który jej zdaniem powinien być oznaczony dwójką. W opcji szybkiego wybierania właśnie pod tym numerem miała wpisaną komórkę Jonny'ego.

Nic.

Spróbowała sąsiedniego klawisza - z takim samym rezultatem. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że podniósłszy ukradkiem aparat z podłogi, wyłączyła go, by nie zadzwonił w najmniej właściwym momencie.

- Cholera, jest wyłączony!

Przytrzymała właściwy przycisk. Samochód znowu podskoczył, zwolnił, zakołysał się i zatrzymał.

Zaświeciła się klawiatura i ekran, aparat rozpoczął poszukiwanie sieci.

- Pospiesz się... - błagała szeptem Serena. - Szybko... Trzasnęły drzwi, zaskrzypiały zbliżające się kroki. - Szybciej! - szepnęła Claire.

Serena wcisnęła dwójkę i wstrzymała oddech. Blake był już prawie przy bagażniku. Usłyszała sygnał połączenia.

46

Stride domyślił się, że coś jest nie w porządku już w chwili, kiedy skręcił z ulicy we wjazd na osiedle. Brama była otwarta na oścież, zewsząd dobiegało zawodzenie syren. Po raz kolejny spróbował dodzwonić się na komórkę Sereny; bez rezultatu. Pod domowym numerem włączyła się automatyczna sekretarka. Uczucie przeraźliwej pustki w żołądku ustąpiło miejsca potwornemu łupanemu w głowie.

Dodał gazu.

Skręciwszy w swoją ulicę, od razu dostrzegł ciało pod latarnią. Był to potężny mężczyzna, przypominał wyrzuconego przez fale na brzeg wieloryba. Stride zahamował i wyskoczył z samochodu, nie wyłączając silnika. Mężczyzna leżał twarzą w dół, częściowo na jezdni, w kałuży krwi. Musiał zginąć całkiem niedawno, bo w powietrzu czuć jeszcze było ostrą woń prochu. Choć Stride widział tylko część jego twarzy, bez trudu rozpoznał Lea Rucciego.

A przez chwilę miał nadzieję, że to Blake.

Ile sił w nogach popędził do domu, starając się nie myśleć o tym, co może tam zastać. Drzwi były otwarte. Z bronią gotową do strzału ostrożnie wszedł do środka. Wyteżał słuch, ale nie usłyszał żadnego szmeru ani szelestu. Sprawdził centralkę alarmu na ścianie; była rozłączona. Strach ścisnął go za gardło.

Niewiele brakowało, żeby zaczął wykrzykiwać jej imię. Opanował się jednak: Blake mógł tu jeszcze być.

Bezszelestnie podkraść się do schodów, odczekał chwilę, po czym wspiął się na piętro. Drzwi do wszystkich trzech pokojów były otwarte na oścież. Pierwszy używany jako gabinet, był nietknięty. W drugim, pełniącym funkcje gościnnej sypialni, zobaczył na podłodze ubranie Claire. W łazience ani w szafie nie znalazł nic podejrzanego.

Została jeszcze sypialnia na końcu korytarza.

Stał bez ruchu, bojąc się podejść. Badawczo wciągnął powietrze; z ulgą stwierdził, że nie czuje charakterystycznego metalicznego zapachu krwi. Widział fragment łóżka z wymiętą pościelą.

Jeśli ktoś tam był, i tak już z pewnością go usłyszał.

- Serena? - zawołał, nie spodziewając się

odpowiedzi. Ostrożnie pchnął drzwi stopą, żeby otworzyły się szerzej, a następnie wślizgnął się do środka, oburącz trzymając przed sobą gotowy do strzału pistolet. Sypialnia była pusta, ale nie ulegało wątpliwości, że rozegrały się tu jakieś dramatyczne wydarzenia; nocna szafka leżała przy ścianie, na podłodze wałały się rozmaite drobiazgi. Ktoś tu walczył?

Nie miało to żadnego znaczenia. Serena i Claire znikły.

Stride powoli schodził na dół, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Jeśli Blake ich nie zabił, to po co je zabrał? Do tej pory wyłącznie mordował, nie bawił się w porwania. Dlaczego tym razem postąpił inaczej? I dokąd uciekł?

Wyszedł w noc. Syreny wyły coraz bliżej. Nie chciał, żeby go tu ktoś zastał. Każda sekunda zwłoki oznaczała większe zagrożenie dla Sereny i Claire.

Wsiadł do samochodu. W chwili kiedy wyjeżdżał na ulicę, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pokazał się numer Sereny.

- Gdzie jesteś, na litość boską?!

Serena zamarła w bezruchu. Słyszała zdesperowany głos Jonny'ego, ale zdawała sobie sprawę, że Blake stoi tuż obok bagażnika. Spodziewała się, że lada chwila podniesie klapę.

- Zaczekaj! - szepnęła do aparatu.

Nasłuchiwała uważnie. Blake poszedł parę kroków dalej. Rozległ się metaliczny szcęk i grzechot, jakby ktoś przesuwiał łańcuch między prętami.

- Serena!

- Jestem, jestem.

- Ale gdzie?

Nie mogła dać się ponieść emocjom, za wszelką cenę musiała zachować spokój. Najważniejsze są fakty. Blake może wrócić lada chwila.

- Jeszcze nie wiem. Wywiózł nas w bagażniku białej impali. - Podała numer rejestracyjny. - Jechaliśmy jakieś dwadzieścia minut, teraz stoimy.

- Jesteście ranne?

- Nie. Trochę poobijane, ale to nic poważnego. Zabił Rucciego.

- Wiem, znalazłem ciało. Wiesz, w jakim kierunku jechał?

- Wydaje mi się, że na wschód, ale potem straciłam orientację.

- Co teraz robi?

- Nie mam pojęcia, ale mam wrażenie, że zabawa się kończy.

- Jak mogę was znaleźć?

Serena zastanowiła się przez chwilę.

- Nie wiem.

- Jeśli zostawisz włączony telefon, może uda się go namierzyć.

- To długo potrwa, Jonny.

- Wiem.

Blake cały czas coś robił na zewnątrz. Znowu rozległ się szcęk metalu.

- Zdaje się, że otwiera jakąś bramę. Chyba będziemy gdzieś wjeżdżać. Nie rozłączaj się.

Usłyszała kroki Blake'a, który minął bagażnik i skierował się ku przodowi samochodu. Chwilę potem wsiadł do wozu.

- Jest z powrotem w samochodzie - wyszeptała. -

Chyba nie mamy dużo czasu.

- Możesz nie wyłączać telefonu?

- Spróbuję. Jesteśmy związane, ale może uda mi się go jakoś ukryć.

Samochód ruszył. Jechał powoli, ale wyboje były tak duże, że nadwozie kołysało się na wszystkie strony. Serena czuła się paskudnie, co chwila słyszała bolesne posykiwanie Claire. Zatrzymali się po niespełna minucie.

- To chyba tu. Nie będę mogła nic mówić. Nie wiem, co uda ci się usłyszeć, Jonny. Jeśli znajdzie telefon, spróbuję coś krzyknąć, zanim go wyłączy.

- Znajdę cię.

Otworzyły się drzwi, Blake podszedł do bagażnika, otworzył zamek i podniósł klapę. Serena łąpczywie wciągnęła do płuc świeże powietrze, mimo upału wydawało się niemal chłodne w porównaniu z wnętrzem bagażnika. Zmrużyła oczy, bo po kilkunastu minutach spędzonych w całkowitej ciemności nawet noc wydawała się zbyt jasna. Daleko w górze zobaczyła gwiazdy, a na ich tle sylwetkę Blake'a.

Wyciągnął Claire z bagażnika i postawił na ziemi, ale nogi miała jak z waty, więc musiał ją podtrzymać, żeby nie upadła. Rozejrzała się dookoła; chyba poznała to miejsce, bo raptownie wciągnęła powietrze.

Serena ukryła aparat w dłoniach. Miała nadzieję, że przypadkowo nie przerwie połączenia. Blake wyjął pistolet zza paska i wycelował w nią.

- Tylko bez żadnych sztuczek, proszę. Skinęła głową.

- Chyba będzie łatwiej, jeśli się odwrócę.

- W porządku.

Przekręciła się na brzuch. Blake złapał ją za pasek,

wyciągnął z bagażnika jak walizkę i postawił na ziemi. Odwróciła się i ogarnęła wzrokiem wielką, pogrążoną w ciemności budowlę.

- Witajcie w Szeherezadzie - powiedział Blake.

47

Budynek był całkowicie pusty pozbawiony wyposażenia, przygotowany dla ekip instalujących ładunki wybuchowe. Tam gdzie niegdyś znajdowało się główne wejście, w ścianie ziała dwupiętrowa dziura, jakby tędy wdarła się do środka jakaś bestia z komiksu. Wszystkie szyby na niższych piętrach były roztrzaskane, bogato zdobione niegdyś kolumny pozbawione wszelkich ozdób.

Wyżej, przynajmniej z zewnątrz, trudno było dostrzec jakkolwiek różnicę. Gdyby włączono światła, hotel wyglądałby tak samo jak każdego wieczoru, kiedy mijała go, wracając samochodem do domu. Kiedyś należał do najwspanialszych klejnotów miasta, ale to było dawno temu. Wyrosły nowe, większe i piękniejsze. Dwadzieścia pięter nostalgii i wspomnień. Głos Sinatry. Grzechot kulki w kole ruletki. Kochające się pary w podróży poślubnej. Wszystko to miało zamienić się w pył.

Nigdy nie była w środku, nigdy nawet nie zbliżyła się do budynku. Aż do dzisiaj.

- Szeherezada - powiedziała głośno. Słyszałeś, Jonny? - Po co nas tu przywiozłeś?

Wiedziała po co. To był dom Amiry: tu tańczyła, tu umarła. Blake wrócił do domu.

Gestem kazał im wejść do środka. Serena i Claire szły przodem, omijając gruz i szkło. Stały w holu głównym, jakby zamierzały wynająć pokój.

- Chyba potraficie sobie wyobrazić, jak tu było kiedyś?

Rzeczywiście, w tym miejscu łatwo było przenieść się w lata sześćdziesiąte, znacznie łatwiej niż jeszcze kilka tygodni temu, w tłumie gości. Teraz zostały tu tylko duchy. Meble znikły, podobnie jak boazerie, okucia, kosze na śmieci, popielniczki, obrazy, automaty do gry, stoliki i fotele. Został tylko szkielet, ale nawet on był przesiąknięty historią.

Blake nacisnął przycisk windy.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Serena.

Rozległ się melodyjny gong i drzwi otworzyły się z cichym sapnięciem. Trochę się zdziwiła, że w przeznaczonym do wyburzenia hotelu wciąż działają windy, ale szybko sobie uprzytomniła, że bez nich prace przygotowawcze i zakładanie ładunków wybuchowych w tak ogromnym budynku trwałyby znacznie dłużej. Bała się, że kiedy wejdą do windy, znajdą się poza zasięgiem.

- Na dach? - zastanawiała się głośno. - Oczywiście, przecież tam właśnie zamordowano Amirę. Apartament Walkera? Tam nas wieziesz?

Jonny, słyszysz?

Drzwi zamknęły się, winda ruszyła w górę. Zgodnie z jej przypuszczeniami jechali na dach. Ale po co?

- Nie rozumiem, co zamierzasz osiągnąć. Przecież nie wskrzesisz Amiry.

- Ale znajdę prawdę.

Winda jechała bardzo powoli albo tylko czas się tak dłużył, ponieważ nie znała dalszych planów Blake'a. Kolorowe cyferki na wyświetlaczu zmieniały się w ślimaczym tempie, aż wreszcie winda zatrzymała się z szarpnięciem, zadźwięczał gong i otworzyły się drzwi. Blake wypchnął je z windy. Znaleźli się w korytarzu przed dwuskrzydłowymi, pomalowanymi na złoty kolor

drzwiami. Nie było na nich numeru - albo mosiężne cyferki sprzedano na aukcji, albo apartament nigdy nie miał numeru, bo ci, którzy z niego korzystali, i tak wiedzieli, gdzie go znaleźć.

Blake nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Serena i Claire weszły pierwsze. Pozbawiony mebli pokój wydawał się ogromny i choć zupełnie pusty zachował resztki elegancji. Zdjęto nawet wykładzinę z podłogi, ale pozostawiono cokolik z płytek ceramicznych, przypuszczalnie zbyt kruchych, żeby dało się je w całości usunąć.

Serena spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał apartament w dniach swojej świetności, z wykładzinami, suto marszczonymi zasłonami, kryształowymi żyrandolami, wymyślnymi meblami i niezliczonymi bibelotami. W takim miejscu, u boku dziwki za pięćset dolarów, każdy mógł się poczuć jak sułtan.

- Idźcie dalej.

Wyszły na patio przez uchylone, sięgające od podłogi do sufitu okno z witrażowego szkła. Ogromny neon z nazwą hoteli i kasyna, ułożony z liter co najmniej trzymetrowej wysokości, jarzył się różnokolorowym blaskiem. Litery gasły i zapalały się w rytmie, który Serenie przywiódł na myśl taneczne szaleństwa w nocnym klubie.

Obszerne patio z trzech stron otaczał czterometrowy mur ozdobiony marokańskimi płytkami, za którym rozciągał się właściwy dach hotelu. Na szczycie muru zainstalowano zasięki z drutu kolczastego. Czwarta ściana była znacznie niższa.

W kamiennych donicach wciąż jeszcze rosły daktylowce, pozostały też marmurowe, nieczynne teraz

fontanny. Woda w basenie była zielona i cuchnąca. Blake zapatrzył się w nią z ponurą miną.

- Przykro mi - odezwała się Claire. Spojrzał na nią.

- Dlaczego?

- Dlatego że straciłeś matkę. Ja swojej nigdy nawet nie poznałam. Trudno jest żyć w taki sposób.

Nie odpowiedział. Serena zastanawiała się, jak często w ostatnich tygodniach odwiedzał ukradkiem to miejsce. Nie miała żadnych wątpliwości, że to robił.

- Chyba wiem, czego chcesz - ciągnęła Claire. - Ale od niego tego nie uzyskasz. Za dobrze go znam. Nie przyzna się, nie przeprosi. Nie powie ci prawdy.

- Zobaczmy.

- On mnie też zdradził, Blake. Nienawidzę go tak samo jak ty.

Serena po raz nie wiadomo który zastanawiała się, jakie okropne wydarzenia poróżniły Boniego i Claire. Cokolwiek to było, Claire do dzisiaj nie zdołała się otrząsnąć. Nawet kiedy były w łóżku, czuła emanujący od niej smutek i żal. I może dlatego było jej z nią tak dobrze.

- Nie odrzucił cię - odparł Blake. - Nie zanegował faktu twojego istnienia.

- Zrobił coś znacznie gorszego.

Blake zawahał się przez chwilę, ale jego twarz szybko zastygła w nieprzeniknionej masce.

- Niedługo zapewne się przekonamy, ile naprawdę dla niego znaczysz. - Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer. - Cześć, Boni. Chyba wiesz, kto mówi, prawda? Jestem tam, gdzie to wszystko się zaczęło. Jestem w domu. Jeśli wyjdiesz na balkon, zobaczysz nas wszystkich tu, na dole. Przy basenie. Tam gdzie zamordowałeś moją matkę. - Umilkł, słuchając odpowiedzi. - Czego chcę? To proste.

Chcę spotkać się z tobą twarzą w twarz. Tutaj. Masz dwadzieścia minut. Jeśli nie przyjdiesz, zabiję twoją córkę.

48

Stride zaparkował po drugiej stronie ulicy i przez chwilę patrzył w górę, w kierunku dachu budynku, chcąc sprawdzić, czy ktoś go stamtąd obserwuje, ale jego wzrok nie mógł przeniknąć ciemności. Musiał zaryzykować. Wysiadł z wozu, wyciągnął pistolet, przebiegł przez ulicę i przywarł do otaczającego posesję płotu z desek.

Kilkanaście sekund później dotarł do otwartej na oścież bramy, wślizgnął się do środka i rozejrzał dookoła. Jedynym obcym elementem był biały Chevrolet impala. Stride podbiegł do samochodu, sięgnął do kieszeni po nóż i jednym ruchem odciął wentyl przy prawym tylnym kole, a następnie przy prawym przednim. Powietrze zaczęło uciekać z sykiem. Blake już stąd nie odjedzie.

„Na dach?”

Tak brzmiały ostatnie słowa Sereny, zanim połączenie zostało przerwane, ale to mu wystarczyło. Domyślił się, że będą w apartamencie na dachu Szeherzady.

Stride wszedł do opuszczonego hotelu. Zdawał sobie sprawę, że popełnia ten sam błąd co Amanda, że robi coś, czego do tej pory unikał jak ognia. Działał na własną rękę, bez wsparcia. Nie zawiadomił Sawhilla, w ogóle nikogo nie zawiadomił. Tyle że tym razem sytuacja wyglądała zupełnie inaczej: tam, w środku, była Serena. Stride nie miał pojęcia, jak zareagowałby Blake, gdyby przekonał się, że jest w pułapce, ale podejrzewał, że obie kobiety byłyby martwe jeszcze przed początkiem akcji.

Oczywiście mogły być martwe już teraz, ale wołał o

tym nie myśleć.

Rozejrzał się w poszukiwaniu windy i już miał ruszyć w jej kierunku, kiedy nagle przed budynek zajechał jakiś długi, czarny samochód. Stride uskoczył w bok przed snopem światła z reflektorów, po czym ukrył się za załomem ściany, w miejscu, gdzie kiedyś wisiały automaty telefoniczne. Niecałą minutę później ujrzał niskiego, elegancko ubranego mężczyznę zmierzającego energicznym krokiem ku windom.

Boni Fisso.

- Boni! - syknął Stride, zanim tamten zdążył dotknąć przycisku.

Fisso odwrócił się, zaskoczony.

- Detektyw Stride! Czyżby i pana zaproszono na to małe przyjęcie?

Stride pokręcił głową.

- Na górze jest Serena. Blake porwał ją i Claire. Dała mi znać, że je tutaj przywiózł.

- Czy policja organizuje akcję na dużą skalę?

- Nie. Nikogo jeszcze nie zawiadomiłem. Pomyślałem, że lepiej załatwić tę sprawę po cichu.

- Ja też tak uważam. Dziękuję panu. Nie obchodzi mnie, co się stanie z Blakiem. Interesuje mnie wyłącznie los Claire.

- Właściwie nie powinienem pana tam wpuścić - powiedział Stride. - Jak tylko pan tam wejdzie, stanie się pan jeszcze jednym zakładnikiem, w dodatku z marnymi szansami na przeżycie. Blake chce pana zabić.

- Ale mimo to mnie pan nie powstrzyma - odparł Boni. - Chce pan odzyskać Serenę tak samo jak ja chcę uratować Claire. Poza tym to wciąż mój hotel, a jeśli nie zjawię się tam za pięć minut, Blake zabije Claire i

prawdopodobnie także Serenę. Mam wrażenie, że on dotrzymuje słowa.- Są w apartamencie?

- Nie, na patiu przy basenie. Tam gdzie zamordowano Amirę.

- Proszę mi opisać teren.

Boni bez trudu opowiedział mu o rozkładzie pomieszczeń oraz o tym, jak urządzono patio. Z punktu widzenia Stride'a najbardziej interesujący był fakt, że z trzech stron patio było ogrodzone wysokim murem.

- Jest tam jakieś wejście awaryjne?

- Furtka i drabina blisko frontu budynku.

- Pewnie nie ma pan klucza? Boni uśmiechnął się.

- Kłódka jest na zamek szyfrowy. Dwanaście-szesnaście. Data moich urodzin. Lubię mieć dostęp do wszystkiego, detektywie. A teraz już lepiej chodźmy. Czas ucieka.

Wjechali windą na najwyższe piętro hotelu. Stride zaczął na sygnał od Boniego, że drzwi apartamentu są zamknięte i w polu widzenia nie ma Blake'a, po czym wyszedł na korytarz. Natychmiast zauważył zielony napis WYJŚCIE nad drzwiami w końcu korytarza po lewej stronie.

- Tymi schodami wyjdzie pan na dach. Drzwi powinny być otwarte.

- Proszę go czymś zająć. I postarać się, żeby nie patrzył w kierunku miejsca, w którym jest drabina.

- Postaram się. Powodzenia, detektywie.

- Nawzajem.

Stride ostrożnie otworzył drzwi prowadzące na dach, po czym wyslizgnął się na zewnątrz i równie ostrożnie je zamknął. Gorący wiatr od gór mało nie zwałił

go z nóg. Nie miał żadnej osłony, jeśli nie liczyć kilku kominów.

Dzięki migoczącemu neonowi na dachu było całkiem jasno. Dach był otoczony wysokim murem, z wyjątkiem miejsca, z którego roztaczał się widok na patio apartamentu piętro niżej. Stride najchętniej pobiegłby ile sił w nogach, ale bał się narobić hałasu, ruszył więc szybkim krokiem, starannie stawiając stopy. Po chwili był już przy furcie.

Znajdowała się blisko krawędzi dachu. Tu wiatr wiał jeszcze mocniej. Kłódka miała zamek szyfrowy, tak jak powiedział Boni. Stride miał nadzieję, że starego człowieka nie zawiodła pamięć i że podał mu właściwą kombinację cyfr. Chwilę później przekonał się, że tak właśnie było. Zdjął kłódkę, przytrzymując łańcuch, po czym odwinął go ostrożnie. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ jego ciałem, a więc i rękami, bez przerwy targały podmuchy silnego wiatru.

Wreszcie łańcuch zawisł mu w dłoniach jak martwy wąż. Położył go delikatnie na dachu i w tej samej chwili kolejny podmuch wiatru otworzył furtkę, która zaskrzypiała przeraźliwie. Złapał ją czym prędzej i przytrzymał.

Nasłuchiwał ze wstrzymanym oddechem. Sploty drutu kolczastego pobrzękiwały cicho na wietrze. Powoli otworzył furtkę, centymetr po centymetrze, tak by skrzypienie od dawna nieoliwionych zawiasów wtopiło się w inne odgłosy. Jak tylko szczelina okazała się wystarczająco szeroka, przecisnął się na drugą stronę, po czym zamknął furtkę, założył łańcuch i zatrzasnął kłódkę.

Od krawędzi dachu wznoszącego się nad patio dzieliły go jakieś dwa metry. Znajdował się co najmniej

trzy i pół metra nad poziomem patia. Tuż przed sobą zobaczył górną część i mocowanie metalowej drabiny. Podpełzł bliżej i stwierdził, że była niewymieniana od początku istnienia budynku, czyli od roku 1964: zarówno sama drabina, jak i podtrzymujące ją haki zupełnie przetrzymały. Nie miał pojęcia, czy drabina wytrzyma jego ciężar, a nawet jeśli tak, to czy uda mu się zejść po cichu. Ale nie miał wyboru: innej drogi nie było, a wolał nie ryzykować skoku z takiej wysokości.

Ostrożnie podpełznął do krawędzi. Z dołu, od strony basenu, do jego uszu zaczęły docierać jakieś głosy.

49

Serena zobaczyła Boniego w witrażowych drzwiach apartamentu. Choć stary i niewysoki, emanował siłą. Pasowała do niego równie dobrze jak skrojony na miarę garnitur. Claire również go dostrzegła; Serena usiłowała odczytać uczucia, jakie w ułamku sekundy przemknęły przez twarz kobiety. Miłość. Tęsknota. Ale przede wszystkim pogarda.

Niezbyt udane spotkanie rodzinne.

Boni nawet nie spojrzął na Blake'a. Patrzył tylko na Claire. W jego oczach widać było gorącą ojcowską miłość. Bez wątpienia bardzo tęsknił przez te wszystkie lata. Było tam coś jeszcze - coś bardzo zaskakującego u Boniego Fisso. Poczucie winy. Nie śmiał spojrzeć córce w oczy i dosłownie kurczył się pod jej wzrokiem.

Tak, to było zupełnie niepodobne do Boniego.

Blake wykrzywił triumfalnie usta.

- Długo na to czekałem. Na to, żeby stanąć z tobą twarzą w twarz.

Boni wyszedł na otwartą przestrzeń oświetloną migotliwym blaskiem neonu.

- Nic ci nie jest? - zapytał Claire, nadal ignorując Blake'a.

- Trochę późno o to pytasz.

- Wybacz mi.

- Nawet o tym nie myśl. Ani teraz, ani nigdy.

- Obie na kolana! - warknął Blake, wskazując pistoletem na Claire i Serenę.

- Co robisz? - zapytał Boni.- Myślę, że kto jak kto, ale akurat ty doskonale wiesz, co robię.

Szykuje się, żeby nas zabić, przemknęło Serenie przez głowę. Ogarnęła ją gorzka mieszanina żalu i rozpacz, tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyła Blake'a w drzwiach sypialni. Uklękła tuż przy marmurowym obrzeżu basenu. Claire zrobiła to samo. Przez cały czas Serena obserwowała Blake'a w nadziei, że nastąpi coś, co odwróci jego uwagę, dając jej szansę do ataku.

Claire nie interesowała się ani Blakiem, ani jego pistoletem. Przez cały czas patrzyła gniewnie na ojca.

- Zdejmij marynarkę - polecił Blake Boniemu. - Chcę zobaczyć, czy niczego nie chowasz.

- Dobrze wiesz, że zawsze noszę broń - odparł Boni.

- Pistolet jest w kieszeni marynarki. Chyba nie sądzisz, że zdążę go wyjąć na tyle szybko, żeby do ciebie strzelić?

- Zdejmij marynarkę! - powtórzył Blake.

Boni wzruszył ramionami i zastosował się do polecenia. Serena podziwiała spokój tego człowieka, którego obudzono w środku nocy informacją, że jego córka może zginąć za dwadzieścia minut, a który mimo to zjawia się starannie ubrany, z nienagannie zawiązanym krawatem. Blake wziął od niego marynarkę i rzucił na posadzkę daleko od nich.

- Jestem, tak jak sobie życzyłeś - powiedział do

niego Boni. - Czego chcesz?

- Czego chcę? A jak ci się wydaje, do diabła?

- Nie mam pojęcia. Jesteś tylko mordercą. Blake wzruszył ramionami.

- Jaki ojciec, taki syn.

Boni wycelował w niego palec.

- Nie waż się mnie oceniać! Dostarczałem rozrywki milionom ludzi. Zapewniałem dom, jedzenie i wykształcenie tysiącom pracownikom. Budowałem szpitale, parki i przedszkola. Tu, gdzie teraz stoimy, powstanie największy kompleks hotelowo-rozrywkowy w mieście. Dlatego nie próbuj porównywać swojego żalnego życia do mojego, ty bezwartościowy śmieciu!

- To ty uczyniłeś mnie tym, kim jestem! - wrzasnął Blake.

- Gówno prawda. Nie miałeś łatwego życia, rzeczywistość. Wielka sprawa. Ja też niczego nie miałem, a jakoś do tego wszystkiego doszedłem. Nie wiń mnie za to, że wciąż jesteś małym, zasmarkanym chłopaczkiem chowającym się w szafie w Reno!

Blake zrobił krok naprzód i przystawił Claire lufę do czoła. Z przerażenia otworzyła szeroko oczy i usiłowała się cofnąć, ale on chwycił ją za gardło.

- Nic cię nie obchodzi twój syn, to może bardziej przejmiesz się córką?

- Puść ją - wycedził Boni lodowatym tonem.

- Opowiedz mi o Amirze.

- Puść moją córkę!

Blake wycelował pistolet w Boniego.

- Amira.

- Co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego zmusiłeś ją, żeby oddała dziecko?

Boni zawahał się. Serena znowu wyobraziła sobie szybko obracające się kółeczka w jego głowie, obliczające szanse, szukające najlepszej odpowiedzi, takiej, która da największe szanse na wygraną.

- To było nasze dziecko - powiedział cicho Boni. - Ja byłem ojcem.

- Myślisz, że o tym nie wiedziałem, tatusiu? - zapytał Blake, kładąc szyderczy nacisk na ostatnie słowo. - Ale to tylko pogarsza sprawę.

Boni pokręcił głową.

- Nie miałem wyboru. Eva, moja żona, wiedziała o Amirze. Nie mogła zająć w ciążę i dostała szału, kiedy się dowiedziała, że Amira będzie miała dziecko. Moje dziecko. Chciała się go natychmiast pozbyć. Chciała, żeby Amira usunęła ciążę, ale ja się na to nie zgodziłem. Odesłałem Amirę w ustronne miejsce, żeby urodziła dziecko. Eva myślała, że Amira dokonała aborcji i dochodzi do siebie w Paryżu.

- Amira chciała mnie zatrzymać - wyszeptał Blake. Boni ponownie zawahał się, zerknął szybko na Claire.

- Tak, istotnie. Była zdruzgotana tym, że musi rozstać się z dzieckiem.

Serena doskonale pamiętała, co Boni powiedział im wcześniej: że Amira nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie pozbędzie się wrzeszczącego kłopotu, że ani trochę nie interesowała się dzieckiem. Czyżby wtedy kłamał? A może teraz nie chciał ryzykować nagłego pogorszenia nastroju Blake'a, co bez wątpienia pociągnęłoby za sobą fatalne następstwa.

- A potem Eva wreszcie zaszła w ciążę - ciągnął Boni. - Akurat wtedy, kiedy Amira była poza miastem. Natychmiast zacząłem podejrzewać, że jej wcześniejsze

problemy wcale nie były przypadkowe.

- Ale Eva umarła - wtrącił Blake. - Umarła, rodząc Claire. Ty miałaś córkę, ja trafiłem w ręce potwora. Dlaczego mnie stamtąd nie zabrałeś? Jak mogłeś porzucić własnego syna?

- Nikt nie wiedział, że to moje dziecko. Tylko ja, Amira i Eva. Nie mogłem tak po prostu się przyznać, tym bardziej że...

Zawiesił głos.

- Tym bardziej że zamordowałaś Amirę - dokończył za niego Blake.

Boni milczał.

- Powiedz mi, jak to się stało.

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

- Powiedz!

- To niczego nie zmieni.

Blake doskoczył z powrotem do Claire i przystawił jej pistolet do czoła z takim impetem, że prawie się przewróciła.

- Powiedz!!!

Oddychał gwałtownie, uwagę skoncentrował na Bonim. Serena zaczęła powoli przesuwać stopy, ustawiać je w lepszej pozycji do skoku, na wypadek gdyby nadarzyła się sposobność.

I właśnie wtedy dostrzegła coś w ciemności nad ramieniem Blake'a: jakiś ruch na dachu. Dopiero teraz zauważyła metalową drabinę przymocowaną do ściany. Ktoś wyłonił się zza krawędzi i postawił stopę na pierwszym szczeblu.

Serce zabiło jej gwałtownie.

Jonny.

Stride wiedział, że lepsza okazja może się już nie nadarzyć. Blake tak bardzo zaangażował się w rozmowę z Bonim, że zupełnie przestał zwracać uwagę na otoczenie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie sprzątnąć go stąd, gdzie był teraz. Jeśli możesz strzelać - strzelaj. Tak z pewnością powiedziałyby Sawhill. Skończ to zaraz, natychmiast. Ale odległość, silny wiatr, zmienne różnobarwne oświetlenie - wszystko to działało przeciwko niemu. Poza tym Claire i Serena były na linii strzału. Gdyby chybił albo gdyby Blake się poruszył, mógłby trafić jedną albo obie. Nie odważył się podjąć takiego ryzyka.

Przykucnął, odwrócił się i jedną ręką chwycił poręcz drabiny. W drugiej całej czas ścisnął pistolet. Spojrzawszy w dół, odniósł wrażenie, że Serena patrzy w jego stronę, po czym szybko kieruje wzrok z powrotem na Blake'a.

Wiatr szarpał nim niemiłosiernie, drabina chwiała się i kołysała. Nie miał pojęcia, co będzie, kiedy stanie na niej całym ciężarem. Ostrożnie postawił stopę na pierwszym szczeblu, stopniowo zwiększając nacisk.

Stopień wytrzymał. Zacisnął mocniej dłoń na poręczy i postawił drugą stopę na szczeblu. Usiłował trzymać broń wycelowaną w kierunku Blake'a, ale było to prawie niemożliwe.

Zaczął schodzić.

I nagle wszystko diabli wzięli.

Silniejsze od poprzednich uderzenie gorącego wiatru przycisnęło go do przerdzewiałej drabiny. Pistolet wypadł mu z dłoni i runął jak kamień w dół, na patio. Równocześnie wiatr zmienił kierunek; podciśnienie szarpnęło nim w tył, przerdzewiały hak wyskoczył ze ściany i drabina z przeraźliwym zgrzytem odchyliła się od pionu. Stride zawisł na jednej ręce, czując, jak szczebel

wygina się coraz bardziej.

Chwilę potem poddał się również drugi hak.

Drabina zaczęła powoli zginać się w połowie wysokości. Stride spojrział w dół i zobaczył zbliżającą się powierzchnię patio, wąski parapet, a za nim dwadzieścia pięter pustki.

Serena kątem oka zobaczyła, jak pistolet wypada Jonny'emu z dłoni. Oparła mocno stopę o obramowanie basenu i obserwowała Blake'a. Kiedy pistolet z łoskotem upadł na terakotę, Blake instynktownie odwrócił się w tamtym kierunku, a w tej samej chwili Serena odbiła się ze wszystkich sił, skoczyła naprzód i rąbnęła Blake'a złączonymi dłońmi w żołądek. Pistolet wypadł mu z ręki, Blake zatoczył się wstecz, a rozpędzona Serena razem z nim. Oboje upadli ciężko. Ze względu na skrępowane ręce Serena nie miała jak zamortyzować upadku, więc przez dobrych kilka chwil nie mogła złapać oddechu. W końcu udało jej się podnieść na kolana i rozejrzeć dookoła. Gdzie broń?

Pistolet Blake'a leżał dwa, trzy kroki od niej. Popęzła w tamtą stronę, chwyciła pistolet w dłonie i spróbowała wstać, lecz nagle poczuła potworny ból w głowie. Blake rzucił się na nią, z całej siły uderzył łokciem i sięgnął po broń.

*

Parapet zbliżał się w zastraszającym tempie, a potem rozległ się metaliczny trzask i Stride zawisł nad dwudziestopiętrową przepaścią, rozpaczliwie trzymając się poręczy. W żołądku poczuł roztopiony ołów. Ręce miał śliskie od potu. Rozpaczliwie wymachiwał nogami, szukając oparcia; w końcu zawadził czubkiem buta o mur i

powoli, nadludzkim wysiłkiem zdołał przepelznąć na parapet. Przez chwilę chwiało się tam, na granicy między bezpieczeństwem a pewną śmiercią, aż wreszcie mocniejszy podmuch wiatru pchnął go w kierunku budynku. Usiłował jeszcze chwycić się krawędzi, ale nie udało mu się i z impetem runął na nawierzchnię patio.

Siła uderzenia oszołomiła go. Stał się chwiejnie i rozejrzał się za swoim pistoletem, lecz nigdzie go nie zauważył. Dostrzegł natomiast Blake'a, pełznącego w kierunku innej broni. Morderca miał ją na wyciągnięcie ręki.

Stride ruszył naprzód w tej samej chwili, kiedy palce Blake'a zacisnęły się na rękojeści pistoletu.

Rozległ się ogłuszający huk wystrzału. Stride poczuł przeszywający ból w nodze, po czym runął na Blake'a. Usłyszał trzask; to pękły kości w nadgarstku Blake'a, na którego zwałił się całym ciężarem ciała. Zabójca krzyknął z bólu i wypuścił pistolet. Stride natychmiast wyciągnął się jak długi, by po niego sięgnąć, ale Blake podskoczył jak ujeżdżany byk, zrzucił Stride'a z grzbietu i ponownie złapał broń, ale z największym trudem utrzymywał ją w dłoni. Stride przeturlał się na bok i zerwał się na nogi. Blake został na posadzce, bezskutecznie próbując złożyć się do strzału. Stride z całej siły kopnął go w rękę; Blake krzyknął przeraźliwie, pistolet przeleciał blisko krawędzi basenu.

Stride schylił się, gwałtownym szarpnięciem poderwał Blake'a na nogi. Zabójca nie był w stanie ustać na nogach, wodził dokoła półprzymkniętym spojrzeniem. Stride wziął zamach, żeby zdzielić go pięścią w szczękę, lecz nie zdążył, ponieważ przeciwnik niespodziewanie kopnął go w krocze. Stride skulił się, a w następnym

ułamku sekundy zobaczył pędzącą mu na spotkanie pięść. Spróbował się uchylić, ale nie zdążył; pięść trafiła go w policzek. Zatoczył się i ciężko padł na kolana.

Serena wypatrzyła pistolet Stride'a metr albo półtora od muru, w pobliżu poskręcanych resztek drabiny. Blake podążył spojrzeniem za jej wzrokiem i też go dostrzegł. Wystartowali równocześnie. Serena nie odzyskała jeszcze pełni sprawności po upadku; zrozumiała, że Blake jest szybszy, że dotrze tam prędzej, skrzyła więc nagle i rzuciła się na niego, by go powalić. Blake dostrzegł niebezpieczeństwo, wykonał unik, spróbował nad nią przeskoczyć, ale zawadził stopą o jej nogi, potknął się i upadł.

Jonny zdążył wstać i on też biegł do pistoletu.

Serena poczuła, jak ktoś zamyka jej szyję w żelaznym uścisku. Blake podniósł ją. Próbowwała się opierać, ale nie mogła wciągnąć powietrza.

- Stride! - zawołał Blake.

Jonny znieruchomiał. Miała wrażenie, że lada chwila oczy wyskoczą jej z orbit.

- Zabiję ją.

Chciała krzyknąć: Bierz pistolet! Pieprz Blake'a! Skończ to! Nie mogła jednak wykrztusić ani słowa. Przed oczami zaczęły jej wirować ciemne plamy, ręce i nogi stały się bezwładne jak u marionetki. Czy kiedy Amira tu umierała, czuła to samo?

Tuż przy uchu słyszała ciężki oddech Blake'a. Ani trochę nie zwalniał uchwytu. Dusił ją. Krew huczała jej w głowie, zakończenia nerwowe eksplodowały jak fajerwerki, powodując ból, który zdawał się rozsadać głowę.

Jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem Jonny'ego.

Bierz pistolet, Jonny.

Zrobił krok w kierunku broni.

- Zabiję ją - powtórzył Blake.

Drugą ręką chwycił ją za włosy na czubku głowy. Zamierzał jednym ruchem skrócić jej kark, ale choć półprzytomna, zdała sobie sprawę, że nie zdołał nawet zacisnąć palców. Przecież miał złamaną rękę.

Wierzyła, że zdoła unieść skrupowane ręce nad głowę. Maksymalnym wysiłkiem woli zmusiła odrętwiałe kończyny do posłuchu. Z całej siły zacisnęła palce na uszkodzonym nadgarstku.

Blake wrzasnął przeraźliwie, a Serena szarpnęła z całej siły. Ucisk na krtań zelżał; wyrwała się na wolność, ciężko łapiąc powietrze, i zatoczyła się, nie mogąc utrzymać równowagi.

Jonny rzucił się do pistoletu. Blake też.

Blake miał bliżej, ale Stride dopadł go, zanim zdążył zrobić użytek z broni, i tak mocno pchnął na parapet, że tamten odbił się jak od lin w ringu. Stride już na niego czekał: potężny cios trafił w szczękę, głowa mordercy odskoczyła do tyłu, z ust popłynęła krew. Blake cofnął się, a Stride ruszył za nim, zadając kolejne ciosy. W pewnej chwili poczuł przeszywający ból w prawej dłoni i domyślił się, że złamał sobie co najmniej jeden palec.

Blake osunął się na kolana, głową dotknął posadzki, a następnie zwałił się na bok i znieruchomiał. Stride odetchnął głęboko i sięgnął do paska po kajdanki. Nagle uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku.

Serena zorientowała się niemal w tej samej chwili.

- Gdzie pistolet? - wykrzyknęła.

Blake celowo upadł w taki sposób, żeby przykryć go

ciałem. Usiadł raptownie, podpierając się jedną ręką. W drugiej trzymał broń. Wycelował ją nie w Stride'a ani nie w Serenę, lecz we własną skroń. Dłoń trzęsła mu się tak bardzo, że z trudem mógł utrzymać pistolet.

- Rzuć to, Blake - polecił Stride.

Blake dźwignął się na nogi i zatoczył pod ścianę. Stride i Serena zbliżali się powoli z dwóch stron.

- Oddaj broń - powiedziała Serena.

Blake uśmiechnął się zakrwawionymi ustami, chwycił za jedną z kopulek zdobiących parapet, podciągnął się i oparł stopę na krawędzi. Odpoczywał chwilę, po czym to samo zrobił z drugą, a następnie wstał, chwiejąc się w podmuchach wiatru. Pistolet beztrzesko cisnął w przepaść.

Stride postąpił krok naprzód, ale Blake powstrzymał go gestem i pokręcił głową. Spojrzał w dół.

- Amira... - wyszeptał.

Pochylił się pod wiatr i szeroko rozpostarł ramiona.

- Nie rób tego, bracie.

Spojrzał w kierunku, z którego dobiegł ostry głos. Stride i Serena uczynili to samo. Nie wierzyli własnym oczom.

To była Claire. Stała obok basenu z pistoletem Sereny w dłoni i celowała w głowę Boniego Fisso.

50

- Co ty robisz, do diabła?! - wykrzyknęła Serena.

Claire nawet na nią nie spojrzała. Patrzyła na ojca i zbliżała się do niego krok po kroku, aż wreszcie wylot lufy znalazł się dwa centymetry od jego czoła. Drżała jak w febrze, jej twarz wyrażała nienawiść i ogromne cierpienie.

Boni sprawiał wrażenie, jakby nie widział pistoletu. Jego błękitne oczy wpatrywały się w równie błękitne oczy córki. Claire płakała, z trudem trzymała pistolet w

wyciągniętej ręce.

- Teraz już wiesz, jak się wtedy czułam. Całkowicie bezsilna.

- Czego chcesz, Claire?

- Żebyś powiedział Blake'owi prawdę. Jesteś mu to winien.

- Niczego nie jestem mu winien! - parsknął Boni. Claire pokręciła głową.

- Przecież zabiłaś Amirę, prawda? Dlatego że miała odwagę spróbować wydostać się spod twojej absolutnej władzy. Ponieważ nie chciała być niczyją własnością.

- Kochałem ją.

- Wszyscy, których kochasz, marnie kończą.

- Nie mogę o tym mówić.

- Minęło czterdzieści lat. Jesteś już bezkarny.

- Zabij mnie, jeśli chcesz, ale nic nie powiem o Amirze.

- Czy naprawdę tego chcesz? Żebyś nacisnęła spust?- Na litość boską, przestańcie!

Serena ruszyła powoli w ich stronę, ale Boni powstrzymał ją gestem.

- Wszystko w porządku. - Ponownie zwrócił się do Claire: - Możesz mnie zabić, jeśli chcesz, ale czy warto, żebyś w ten sposób marnowała swoje życie?

- Czyżby moje życie miało dla ciebie większą wartość niż twoje? - Claire odchyliła głowę do tyłu i przystawiła sobie lufę do brody. - Co powiesz teraz?

- Claire, nie! - krzyknęła Serena.

Boni wpatrywał się w córkę oczami wilgotnymi od łez.

- Jesteś taka piękna. Zupełnie jak matka.

- Wydaje ci się, że zmienisz coś takimi gadkami? Co

jeszcze mi powiesz? Że kochasz mnie najbardziej na świecie? Przecież to nic nie znaczy.

- Naprawdę cię kocham.

- Myślisz, że tego nie zrobię? - Przycisnęła pistolet jeszcze mocniej. - Jestem twoim dzieckiem. Wiesz, że wystarczy mi odwagi.

- Na pewno, jeśli uznasz, że w ten sposób zadasz mi wystarczająco wielki ból.

- Spójrz na nas! - wykrzyknęła Claire. - Oto jaką zbudowałeś rodzinę. Spójrz na swojego syna, zobacz, co mu zrobiłeś! I wiesz bardzo dobrze, co mnie zrobiłeś!

Boni wzdrygnął się.

- Claire, proszę... Nie mów o tym.

- Och, jak mi przykro! Nie powinnam publicznie prać twoich brudów? Nie powinnam cię upokarzać?

- Claire...

Ale ona nie słuchała. Przypominała rekina, który zwęszył świeżą ranę.

- Dobrze wiedziałeś, co ten drań ze mną zrobił. Serena nie wiedziała, o kim mówi Claire, ale Boni wiedział.

- To... To było nieporozumienie! - wykrztusił.

- Nieporozumienie? Zarzuciłeś mi, że byłam pijana, że go sprowokowałam. Od początku wiedziałeś, że to nieprawda.

- Nie mogłem uwierzyć w to, co zrobił... Wyciągnął rękę, próbując jej dotknąć, lecz Claire cofnęła się o krok i z rozmachem cisnęła pistolet do mętnej zielonkawej wody.

- Zgwałcił mnie! - krzyknęła.

- Claire, nie mówmy o tym. Nie tu i nie teraz.

- No tak, oczywiście. Ta sprawa może zachwiać fundamentami imperium. Może jemu zaszkodzić. Mój

Boże, ten drań zgwałcił twoją córkę, a ty wszystko zatuszowałaś!

- Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro...

- Mogłeś wybierać: ja albo on. Ale w gruncie rzeczy trudno mówić o jakimkolwiek wyborze, prawda? Zawsze liczył się tylko on. Cokolwiek robiłeś, miało służyć temu, żeby go chronić.

O kim mówicie, cisnęło się Serenie pytanie na usta.

- Już o tym rozmawialiśmy. Powiedziałaś, że mnie rozumiesz.

- Oczywiście, że rozumiałam. Chciałam, żebyś przyznał się do kłamstw, które towarzyszyły ci przez całe życie. Straciłbyś wszystko, poszedłbyś do więzienia... Zachowałam się więc jak grzeczna dziewczynka i nie puściłam pary z ust, chociaż przez lata dręczyły mnie koszmary. Nie puściłam pary z ust, chociaż dostawałam dreszczy za każdym razem, kiedy widziałam jego twarz. Nie puściłam pary z ust i uratowałam ci tyłek.

- To było ponad dziesięć lat temu... Co mogę zrobić? W jaki sposób mogę to naprawić?

- Nigdy tego nie naprawisz, ale przynajmniej raz w życiu możesz powiedzieć prawdę i stanąć twarzą w twarz z tym, co zrobiłeś. Co się stało z Amirą?- Nie chcę o tym mówić... - wyszeptał zdruzgotany Boni.

- Dlaczego? Powiedziałaś, że nie jesteś nic winny Blake'owi, ale na pewno jesteś coś winny mnie.

- Wiem. Nie wymagaj tego ode mnie, Claire. Błagam. Serena była niemal pewna, że gdyby Claire miała jeszcze broń w ręce, jak nic zastrzeliłaby Boniego. Albo siebie. Albo oboje. Odwróciła się gwałtownie i ukryła twarz w dłoniach. Jej ramionami wstrząsnął gwałtowny szloch.

Boni zacisnął powieki. Ból jego córki otworzył stare rany.

- To był on, Claire - powiedział cicho. - Wtedy. Z Amirą.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, a on skinął głową.

- Wtedy to się właśnie zaczęło. Stworzyłem go. Jest moim potworem.

- Mickey zabił Amirę?

Na twarzy Boniego zastygł grymas przerażenia i rozpacz, jakby wypowiadając to imię, Claire otworzyła puszkę Pandory i wypuściła na świat wszelkie możliwe demony. Albo jakby po prostu wyjęła broń i go zastrzeliła.

Serena nie posiadała się ze zdumienia. Spojrzała z niedowierzaniem na Stride'a. Mickey?

Claire szybkim krokiem podeszła do ojca i uderzyła go w twarz z taką siłą, że aż się zachwiał.

- Dobrze wiedziałeś, jakim jest potworem. Dlaczego dopuściłeś go blisko mnie? Dlaczego poprosiłeś, żebym z nim poszła?

- Minęło tak dużo czasu... Sądziłem, że się zmienił. Myślałem, że mogę mu zaufać.

- Wciąż znaczy dla ciebie więcej niż ja, prawda? Po tylu latach. No jasne, przecież nadal chodzi o imperium. O Orient. Zwieńczenie twojego życia, wzniesione z bólu, cierpienia i łez.

- Przestań, Claire.

- Mickey! - wrzasnęła mu prosto w twarz, wykrzywiając usta w grymasie nienawiści. - Oto twój wielki sekret, tatusiu! Od czterdziestu lat wisiał tobie i mnie u szyi!

Boni pokręcił głową.

- Nadal wisi, Claire. Dobrze o tym wiesz. To niczego nie zmienia.

- Owszem, zmieni. Już po wszystkim. Będzie rozprawa Blake'a. Wszystko wyjdzie na jaw: Amira, Mickey, ty, wszystko.

- Nie mogę do tego dopuścić.

- Problem polega na tym, że sprawy wymknęły się spod twojej kontroli.

- Nic nigdy nie wymyka się spod mojej kontroli, Claire - odparł znużonym tonem. Z tylnej kieszeni spodni wyjął paczkę europejskich papierosów, wytrząsnął jednego, a następnie z innej kieszeni wydobył staromodną zapalniczkę zippo. - Nigdy - powtórzył.

Pstryknął zapalniczką. Mimo silnego wiatru natychmiast pojawił się płomień.

Sekundę później stojący wciąż na parapecie Blake szarpnął się gwałtownie jak człowiek porażony prądem. Na jego koszuli pojawiła się czerwona, szybko rosnąca plama. Po kolejnej chwili nad tarasem przetoczyło się echo wystrzału. Blake zgiął się wpół, zbladł, po czym runął ku oddalonej o dwadzieścia pięter nawierzchni parkingu.

Część czwarta

MICKEY

51

Stride wiedział, że będą problemy, gdy tylko okazało się, że nikt nie spisuje ich zeznań.

Znajdowali się na miejscu zbrodni. Padły strzały. Dwadzieścia pięter niżej, na parkingu, leżał martwy człowiek - to prawda, że przestępca odpowiedzialny za śmierć wielu ludzi. Został zastrzelony. Policja powinna

dwoić się i troić, zbierać zeznania i zabezpieczać dowody niezbędne do szybkiego i sprawnego przeprowadzenia śledztwa.

Nic takiego się nie działo.

Sawhill osobiście objął dowodzenie, co sprowadzało się do tego, że pilnował, żeby nikt się nie kręcił. Zamiast rozmawiać ze swoimi detektywami, przez ponad dwadzieścia minut konferował z Bonim Fisso, po czym uściskali się jak starzy przyjaciele. To był pierwszy niedobry znak. Zaraz potem Sawhill polecił umundurowanemu policjantowi, żeby odwiózł Claire do mieszkania. Nie zwrócił się z tym ani do Stride'a, ani do Sereny. Claire spojrzała na nich z niepokojem, ale pozwoliła się odprowadzić do samochodu.

Sawhill wreszcie zwrócił na nich uwagę.

- Może poszlibyście się trochę przespać? Kolejny zły znak.

- Przecież musimy złożyć zeznania - odparła Serena.

- Możemy poczekać do jutra. Macie za sobą cholerną noc. Dobrze się spisaliście. Pozbyliśmy się seryjnego mordercy. A teraz zmykajcie, pogadamy rano.

Uśmiechał się jak dumny ojciec, lecz Stride wiedział, że to jest uśmiech polityka robiącego wszystko, żeby zminimalizować straty. Wszystkie dawne grzechy i przewiny miały już za tydzień wylecieć w powietrze razem z Szeherezadą. Stride był zbyt zmęczony żeby protestować. Opatrzona rana na nodze pulsowała boleśnie. Bolało go właściwie całe ciało. Był szczęśliwy że może odejść.

Pojechali do domu. Nie mieli nawet tyle sił, żeby rozmawiać; padli na łóżko i błyskawicznie zasnęli. Tuż przed zaśnięciem w głowie Stride'a zaświtała myśl, że pościel pachnie perfumami Claire. Spał niespokojnie,

erotyczne fantazje przeplatały się z gwałtownymi, brutalnymi scenami.

Spali dziesięć godzin.

Na posterunku zjawili się dopiero wczesnym popołudniem. W budynku panowała radosna atmosfera. Ludzie podchodzili, klepali po plecach, gratulowali, przybijali „piątki”. Uśmiechnięty od ucha do ucha Sawhill zaprosił ich do gabinetu. Uśmiech był ten sam co poprzedniego wieczoru i Stride od razu się domyśli, co to oznacza.

Jak tylko zamknęły się drzwi, Sawhill polecił przez interkom sekretarce, żeby nie łączyła żadnych rozmów.

Serena i Stride zajęli miejsca w fotelach przed biurkiem. Sawhill nie sięgnął po piłeczkę; już jej nie potrzebował, stres ulotnił się bez śladu.

- Szczere gratulacje dla obojga. Gubernator Durand osobiście prosił mnie, żebym przekazał jego podziękowania.

Nie odpowiedzieli.

- Nie muszę wam chyba mówić, jak bardzo mi przykro z powodu Amandy. Ale cieszę się, że dopadliście tego gnojka. A w dodatku podatnicy nie będą musieli płacić przez czterdzieści lat na jego utrzymanie.

- Kto prowadzi śledztwo? - zapytał Stride.

- Jakie śledztwo?

- W sprawie śmierci Blake'a.

- Załatwiliśmy to już wczoraj - odparł gładko Sawhill. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale nie wiedzieć czemu wyglądał przez to, jakby urósł mu nos.

- Załatwiliśmy? - powtórzył Stride. - W takim razie kto go zabił?

- David Kamen, szef agencji ochrony Boniego.

Pewnie pamiętacie, że jest strzelcem wyborowym. Na szczęście Boni pomyślał o tym, żeby się zabezpieczyć przed rozmową z Blakiem, i kazał Kamenowi zająć stanowisko w Charcombe Towers naprzeciwko Szeherazady.

Stride skinął głową. Domyślił się tego wcześniej.

- Czy Boni został aresztowany?

- A niby za co? - zdziwił się Sawhill.

- Przecież Blake zginął na jego polecenie. To był zamach. Boni bał się, że podczas procesu Blake'a wyjdzie na jaw prawda o śmierci Amiry.

- Mylisz się. Rozmawiałem z Kamenem. Przez cały czas trzymał Blake'a na celowniku, a strzelił wtedy, kiedy ten spróbował sięgnąć po broń, którą miał w kaburze na łydce.

- Blake nie wykonał najmniejszego ruchu.

- Jesteś tego pewien? Wydawało mi się, że wszyscy patrzyliście na Boniego i Claire. Całe szczęście, że Kamen był na posterunku, bo mogłoby się okazać, że popełniliście kolejny błąd. Fatalny w skutkach. Blake załatwiłby was w ciągu sekundy.

Stride zmarszczył brwi. Istotnie zawahałby się zeznać pod przysięgą, że podczas konfrontacji Boniego z Claire nie przestał, przynajmniej na chwilę, obserwować Blake'a. A wystarczyłaby przecież właśnie zaledwie chwila.

Tyle że to było kłamstwo i wszyscy o tym doskonale wiedzieli.

- Na ziemi w pobliżu ciała znaleźliśmy pistolet - ciągnął Sawhill. - Walther. Niewielki, ale zabójczy. Blake miał kaburę na łydce.

Jak się dobrze składa, pomyślała Serena, głośno zaś

zapytała:

- Więc już po wszystkim?- Tak jest.
- Kim jest Mickey? - spytał Stride, pilnie wpatrując się w oczy Sawhilla. Nie dostrzegł żadnej reakcji.
- Mickey? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- A co z Amirą? Sawhill uśmiechnął się.
- To ustalono już dawno temu: zabił ją niezniszczalny fan.

Stride zapalił papierosa. Serena patrzyła na niego, marszcząc brwi.

Siedzieli na ławce w parku kilka przecznic od posterunku. Było późne popołudnie. Upał wreszcie zelżał, październikowe słońce świeciło na błękitnym niebie tak, jak powinno świecić w maju. Smog gdzieś znikł na horyzoncie, góry rysowały się ostro i wyraźnie.

Zdawał sobie sprawę, że jest na najlepszej drodze, by na nowo wpaść w objęcia nałogu. Dym papierosa był jak dawno niewidziany przyjaciel.

- Nie miałbym do ciebie żadnych pretensji, gdybyś chciała teraz się napić - powiedział, nie patrząc na Serenę.
- Akurat ci wierzę. Wytrąciłbyś mi szklanekę, a butelkę opróżnił do zlewu.
- Może i tak.

Wyjęła mu papierosa z ust, rzuciła na ziemię i zdeptała energicznie. Stride poczuł żal, ale zaraz nasunęło mu się pytanie, czy po raz drugi wygrałby wojnę ze sobą.

- Ani razu nie zapytałeś o mnie i Claire - powiedziała Serena, mrużąc oczy w promieniach słońca. Czubkiem języka przesunęła po spieczonych ustach.

- Rzeczywiście.

Myślał o tym - wciąż pamiętał zapach perfum w

pościeli - ale nie zamierzał pierwszy poruszać tego tematu.

- Rozumiem. Decyzja należy do mnie: powiedzieć czy nie powiedzieć. Większość facetów nie mogłaby żyć, nie znając prawdy.

- Skąd wiesz, że ja mogę?

Przez chwilę w skupieniu oglądała sobie paznokcie.

- Kochaliśmy się.

Słowa zawisły w powietrzu. Stride próbował odczytać uczucia widoczne na twarzy Sereny. Była zażenowana. Nieszczęśliwa. Wystraszona. I dumna.

- To znaczy zamierzałyśmy się kochać, ale Blake nam przeszkodził, zanim cokolwiek się zdarzyło. Ale to bez znaczenia. Zaczęłyśmy i miałyśmy zamiar to zrobić. Taka jest prawda.

Miał nadzieję, że w jego nieruchomej twarzy nie wyczyta potępienia.

- Nic nie powiesz?

- Mam cholerny wzwód - wypalił.

Oboje parsknęli śmiechem, po czym pocałowała go mocno i wyszeptwała:

- A reszta?

- Z mojego punktu widzenia to niczego nie zmienia.

Nie wiem, jak to wygląda od twojej strony.

- Czuję się tak, jakbym właśnie wygnała demona.

Tak się bałam, że cię przez to stracę...

- To w ogóle nie wchodziło w rachubę.

- Przepraszam.

- Nie musisz. Nie masz za co.

- Muszę wreszcie powiedzieć jej prawdę.

- Próbowałaś już? Serena pokręciła głową.

- Martwię się. Dzwoniłam do domu, na komórkę, do kasyna... Nie mam pojęcia, gdzie jest.

- Pewnie w objęciach Boniego.
- Tego się właśnie najbardziej obawiam.
- Nie sądzę, żeby ją skrzywdził...
- Naprawdę? Przecież zamordował własnego syna.

Nie chcę, żeby skończyła jako ofiara sfabrykowanego samobójstwa. „Moja córka była przygnębiona, nie zniosła napięcia...”.

- Rzeczywiście ci na niej zależy? Serena zawahała się przez chwilę.

- Owszem. Chyba mogłabym ją nawet pokochać... ale nie pokocham.

Stride zdumiał się, jak wielką ulgę poczuł, słysząc te słowa.

- Chciała, żeby prawda wyszła na jaw, ale teraz pewnie nic z tego nie będzie. Czy ona się z tym pogodzi?

- Boni nie da jej wyboru.

- A co z nami? Uda nam się zapomnieć? Wzruszyła ramionami.

- To chyba nie będzie pierwszy raz, prawda? Rzeczywiście. Zabójstwo Rachel Deese, nad którym wspólnie pracowali, pozostało nie do końca wyjaśnione. Na wyraźne życzenie Stride’a. Tylko oni o tym wiedzieli.

- Czasem polityka i pieniądze okazują się silniejsze.

- Tutaj?

- Wszędzie.

- A czy my wyjdziemy z tego cało? Słyszeliśmy rzeczy, których nie powinniśmy słyszeć.

- Mickey...

- Właśnie. Kimkolwiek jest, odgrywa kluczową rolę w tej sprawie.

- Ale wtedy musiał być jeszcze dzieckiem...

- Wiem od Helen Truax, że pracował jako sezonowy

ratownik i podrywał żony graczy. Może próbował też uwieść Amirę i sprawy wymknęły się spod kontroli?

Serena pokręciła głową.

- Niemożliwe. Był z Amirą na wyraźne życzenie Boniego, a kiedy sprawa została załatwiona, zawiadomił Rucciego. Historyjka z bójką to był tylko pretekst.

- I począwszy od tego dnia, Boni stał się jego panem i władcą. - Stride wyciągnął telefon. - Sprawdźmy, kto to tak naprawdę jest.

- Helen nie wiedziała.

- Może Moose będzie wiedział.

Jak tylko Stride się przedstawił, Moose zasypał go gratulacjami z powodu schwywania, a właściwie usunięcia zabójcy Tierney. Stride bez trudu mógł sobie wyobrazić wielkie brwi tańczące z radości.

- Mam pytanie - powiedział, kiedy wreszcie Moose przerwał dla nabrania oddechu.

- Zamieniam się w słuch.

- Czy przypominasz sobie ratownika o imieniu Mickey, który pracował w Szeherzadzie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym?

Komik umilkł, po czym odparł z wahaniem:

- No cóż, kręciło się wtedy tutaj mnóstwo szczeniaków z college'u...

- To nie jest odpowiedź, Moose. Znałeś go?

- Dlaczego pytasz? Jakie to ma znaczenie?

- Nazwij to pobocznym wątkiem śledztwa, jeśli chcesz. Moose oddychał ciężko.

- No cóż, nie sądzę, żeby się tego wstydził... Dzięki temu, że tu dorabiał, mógł skończyć college. Wiele dzisiejszych szych tak kiedyś robiło.

Stride poczuł gęsią skórkę i zaczął się zastanawiać,

czy właśnie popełnił błąd, który będzie kosztował ich życie.

- Więc nadal utrzymujesz z nim kontakty?

- Oczywiście. Mickey Durand to najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem w show-biznesie. Szczerze mu życzę, żeby został gubernatorem na jeszcze jedną kadencję.

52

Beatrice Erdspring po raz kolejny nacisnęła przycisk pilota, ale nie dało to żadnego rezultatu: spiker nadal szeptał pod nosem, tak że nie rozumiała ani słowa.

- Och, na litość boską! - wymamrotała, podciągając wyżej koc.

Na innych kanałach było to samo, wróciła więc na lokalny kanał CBS, na którym wiadomości czytał mężczyzna o latynoskiej urodzie i imieniu Raul. Wyglądał schludnie i rzeczowo, i miał ładny wąsik. Jej mąż, Emmett, zawsze nosił wąsy.

On także szeptał, choć było to do niego zupełnie niepodobne. Nawet kiedy przekręciła głowę i przyłożyła dłoń do ucha, nadal nie mogła nic zrozumieć.

- Mów głośniej, Raul!

Beatrice była bardzo zirytowana, ponieważ rozpoznała piękną kobietę na starej fotografii, którą pokazano na ekranie, i bardzo chciała się dowiedzieć, co o niej mówią.

- Co ty na to, Roweno? - zapytała współlokatorkę. - Chyba telewizor znowu nam się zepsuł albo wyczerpały się baterie w pilocie.

Rowena leżała w swoim łóżku w pokoju, który dzieliły w domu spokojnej starości w Boulder City. Zerknąwszy w jej kierunku, Beatrice stwierdziła, że

Rowena znowu śpi. Spała niemal bez przerwy. W ciągu minionego roku przez pokój Beatrice przewinęły się trzy lokatorki; obawiała się, że Rowena też niebawem odejdzie. Byłaby szkoda, bo kiedy nie spała, stanowiła doskonałe towarzystwo. Wychowała sześcioro dzieci na farmie mlecznej w Iowa i potrafiła godzinami opowiadać przezabawne historie. Na przykład o tym, jak jej ośmioletnia córka próbowała wydoić byka. A to się oboje zdziwili!

Beatrice przeniosła wzrok na ekran i westchnęła z żalem. Raul przeszedł już do kolejnej informacji.

Spojrzała przez okno na główną ulicę Boulder City. Samochody mknęły w lewo i w prawo, w kierunku jeziora Mead albo Zapory Hoovera. W zeszłym miesiącu Flora zawiozła pensjonariuszy na wycieczkę nad jezioro Mead, i choć wiatr potargał włosy Beatrice, to bardzo się ucieszyła, mogąc znowu zobaczyć jezioro. Co prawda nie umywało się do jeziora Tahoe, nad którym mieszkała przez wiele lat, ale miło było znaleźć się na świeżym powietrzu. Cieszyła się ciepłem, choć brakowało jej nocnych chłódów sprzed wielu, wielu lat, kiedy razem z Emmettem wślizgiwała się pod kołdrę. Teraz jednak zdecydowanie wołała upały. Właśnie dlatego na starość przeniosła się do południowej części stanu.

Do pokoju wpadła Flora i zasłaniając uszy dłońmi, pobiegła do telewizora. Wyłączyła go, po czym, ciężko dysząc, przycisnęła dłonie do serca. Wreszcie pogroziła palcem i powiedziała coś niezrozumiałego.

- Znowu mamrociesz, Floro - rzekła Beatrice z dezaprobatą. - Mów głośniej, bo nic nie słyszę.

Flora stanęła tuż przy jej łóżku. Wyglądało na to, że niemal krzyczy, ale głos dobiegał jakby z wielkiej oddali.

- Bea, kochanie, znowu zapomniałaś o aparacie słuchowym!

- O mój Boże...

Flora pogrzebała w szufladzie nocnego stolika i triumfalnie wręczyła Beatrice dwie beżowe słuchawki. Pomogła jej założyć aparat, po czym cofnęła się o krok, zaśmiewając się do rozpuku. Flora pochodziła z Filipin, ważyła jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów, a kiedy się śmiała, całe jej ciało trzęsło się i falowało.

- Czy już lepiej, kochanie?

- Nie musisz krzyczeć, Floro - upomniała ją Beatrice, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

- Mam włączyć telewizor? Beatrice pokręciła głową.

- Już i tak minęła wiadomość, której chciałam wysłuchać.

- Jaka?

- Skąd mam wiedzieć, przecież nie słyszałam! Pokazywali zdjęcie ślicznej dziewczyny, którą znałam, kiedy byłam pielęgniarką.

- Tak, to miłe. - Flora krzątała się po pokoju, poprawiała poduszki, ustawiała sprzęty na miejscu, i w ogóle jej nie słuchała. - Widziałaś, że schwytali tego okropnego człowieka? Tego, co zabił tylu ludzi? Zastrzelili go i spadł z dachu. - Pomogła jej usiąść, rozprostowała prześcieradło, strzepała poduszki. - Chociaż w gruncie rzeczy to była romantyczna historia. Wyobraź sobie, że zabijał ich, żeby pomścić matkę! A moim chłopcom zdarza się nie pamiętać o moich urodzinach...

- Kim była jego matka?

- Proszę? Och, tancerką w kasynie, jeszcze w latach sześćdziesiątych. Musiała oddać dziecko obcym ludziom. Wyobrażasz sobie? Czy to nie tragiczne? Chybabym

oszałała, gdybym miała oddać dziecko. Byłoby pięknie, gdyby kiedyś się tu sprowadzili. Kto wie, z nimi wszystko jest możliwe!

Beatrice zmarszczyła brwi.

- Mówisz o Amirze Luz?

Ale Flora właśnie zamykała za sobą drzwi pokoju. Beatrice została sama, jeśli nie liczyć pochrapującej Roweny. No tak, właśnie dlatego zdjęła aparat; Rowena potrafiła chrapać jak startujący odrzutowiec.

Uśmiechnęła się na myśl o Amirze. Jakie to było zabawne widzieć tę piękną, ciężarną kobietę na balkonie, wykonującą erotyczne, taneczne ruchy, mimo przeszkadzającego brzucha! Flora z pewnością mówiła o Amirze. Ale dlaczego po tylu latach pokazywali jej zdjęcie w telewizji?

Coś się Florze pomyliło.

Beatrice włączyła telewizor i szybko go przyciszyła. Pomachała Raulowi, po czym rozpoczęła wędrówkę po kanałach w nadziei, że gdzie indziej będą właśnie mówić o tej historii. Amira? Niemożliwe. Coś im się pomyliło.

53

Zgodnie z oczekiwaniami Stride'a nie musieli długo czekać na zaproszenie. Następnego wieczoru punktualnie o dziesiątej ponownie znaleźli się w śnieżnobiałym foyer apartamentu Boniego w Charlcombe Towers. Bonnie osobiście powitał ich przy dwuskrzydłowych drzwiach i zaprowadził do urządzonego w kowbojskim stylu salonu. Pomieszczenie oświetlało kilka przyćmionych lamp oraz blask bijący od sąsiedniej wieży.

Boni włożył ciemny garnitur, czuć od niego było cygara i wodę kolońską. Na twarzy wciąż miał szeroki, uroczy uśmiech; Stride zastanawiał się, czy gospodarz jest

jak kot z Cheshire, który potrafił zniknąć, pozostawiając po sobie uśmiech. Wylewnie uściskał im dłonie.

- Ja i Claire zawdzięczamy wam życie, pomyślałem więc, że powinniśmy jakoś to uczcić.

- Po to właśnie pan nas zaprosił? - zapytał podejrzliwie Stride.

- Oczywiście. Chyba mi nie odmówicie? Przecież nie jesteście już na służbie.

Przesłanie było jasne: wszystko, co się wydarzy i zostanie powiedziane, nie może wyjść poza te cztery ściany.

- Pani, panno Dial, z pewnością będzie wolała wodę mineralną. A co dla pana, detektywie Stride? Brandy?

Stride skinął głową.

- To doskonały gatunek. Mam nadzieję, że będzie panu smakowała.

Boni podszedł do baru i przyniósł dwie szklaneczki: z brandy dla Stride'a i z whisky dla siebie. Stride pociągnął niewielki łyk. Brandy zdawała się roztopiać mu na języku.

- I co? - zapytał gospodarz.

- Wyśmienita.

- Gdzie jest Claire? - zapytała Serena.

- Doszedłem do wniosku, że potrzebuje odpoczynku. Ostatnie dni były dla niej bardzo stresujące. Wywiozłem ją do St. Thomas. Niedługo wróci.

- Chciałabym z nią porozmawiać.

- Oczywiście. Kiedy będziecie wychodzić, dam pani jej numer. Na pewno sprawi jej pani dużą przyjemność.

Stride pociągnął kolejny łyk brandy. Zastanawiał się, jak zostanie to rozegrane, kto wykona pierwszy ruch. Tak naprawdę chodziło o to, kto pierwszy wymieni to nazwisko.

Jak się szybko okazało, pierwszy ruch zrobił Boni.

- Jest tu ktoś, kto bardzo chciałby was poznać - powiedział. - Przypuszczam, że i wy jesteście go ciekawi.

Stride usłyszał jakiś szelest za plecami. Odwróciwszy się, ujrzał zbliżającego się ku nim siwowłosego gubernatora Nevady, który właśnie wyszedł z jednego z przylegających do salonu pomieszczeń.

Mike Durand miał potężną, imponującą sylwetkę. Silna opalenizna ani trochę nie zniszczyła jego cery. Jędrną skórę na twarzy bez wątpienia zawdzięczał liftingowi połączonemu z laseroterapią, która pozwoliła pozbyć się nieodłącznie związanych z wiekiem przebarwień. Uśmiechał się szeroko, prezentując lśniące nieskazitelną bielą implanty. Miał na sobie błyszczący smoking, w ręce trzymał szklanę z whisky, co najmniej dwukrotnie większą od szklaneczki Boniego. Ale uwagę Stride'a zwróciło coś, czego nie dostrzegł w telewizji ani na fotografiach: Durand miał niesamowicie okrutne oczy, bardziej bezwzględne od oczu zatwardziałego kryminalisty. Nie ulegało wątpliwości, że szeroko się uśmiechając, mógłby poderznąć komuś gardło. Był politykiem doskonałym.

Wyciągnął rękę, ale kiedy ani Serena, ani Stride nie uścisnęli jej, a w dodatku nawet nie spróbowali się uśmiechnąć, na twarzy gubernatora pojawił się grymas wściekłości.

Koniec udawania.

- Nie wydaje mi się, żeby zamierzali trzymać języki za zębami - zwrócił się do Boniego, jakby byli sami. - Mówiłeś chyba, że wszystko jest pod kontrolą?

Obserwujący uważnie Boniego Stride ze zdziwieniem zauważył, że starzec nienawidzi Mickeya

Duranda. W jego spojrzeniu była nieskrywana pogarda, jakby Mickey był jakimś odrażającym pasożytem, który tak mocno wplótł się niezliczonymi mackami we wnętrze żywiciela, iż nie sposób było stwierdzić, gdzie kończy się jeden organizm, a zaczyna drugi. Gdyby zabić jednego, zabiłoby się obu.

- To jest policja, Mickey - odparł spokojnie. - Policja ma to do siebie, że drąży temat tak długo, aż dotrze do prawdy. Dlatego powiemy im teraz prawdę i wreszcie będziemy mieli to za sobą.

- Ale oni będą gadać. Może nawet mają przy sobie nadajniki i ktoś nas teraz nagrywa.

Boni pokręcił głową.

- Moje skanery nie wykryły żadnych nadajników, a jeśli chodzi o gadanie... Chyba uda nam się osiągnąć porozumienie satysfakcjonujące wszystkie strony. - Napił się whisky i spojrzał na Stride'a. - Wiedzieliście o Mickeyu, bo rozmawiał pan z Moose'em. Co jeszcze chcecie wiedzieć?

Stride przeniósł wzrok na Duranda.

- Amira. Dlaczego pan to zrobił? Obaj wiemy, że to było polecenie Boniego. Dlaczego miał nad panem taką władzę?

Zanim Durand zdążył otworzyć usta, odezwał się Boni:

- Uwolniłem matkę Mickeya od problemów, jakie miała z prokuratorem okręgowym. Pracowała u mnie w kasynie. Zamordowała siostrę, kiedy zastała ją w łóżku ze swoim mężem, a ja doprowadziłem do tego, że nie wniesiono oskarżenia. Jak więc widzicie, były pewne długi do spłacenia, ale już wcześniej pomagałem Michaelowi dostać się do college'u, bo zorientowałem się, jaki drzemie

w nim potencjał.

Durand wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie musiał mnie długo namawiać. Wiecie, jak wyglądała Amira? Zgłosiłbym się na ochotnika.

- Miał ją pan zabić? - zapytała Serena.

- Nie! - ponownie wtrącił się Boni, posyłając Durandowi spojrzenie dobitnie świadczące o pogardzie, jaką dla niego żywił. - To miała być tylko lekcja lojalności.

- Ona zawsze walczyła - uzupełnił Durand. - To był wypadek?

- Wypadek? - powtórzyła Serena z niedowierzaniem. - Uderzenie w głowę?

- Dzisiaj pewnie nazwano by to „ostrym seskiem”. - Durand się roześmiał.

- Dzisiaj nazywamy to gwałtem i morderstwem - odparła lodowatym tonem Serena.

Uwagi Stride'a nie uszedł fakt, że Boni nawet się nie uśmiechnął.

- Dziwię się, że nie zabił go pan za to, co zrobił... Boni potrzebował kilku chwil, żeby powściągnąć gniew.

- Jestem biznesmenem, a w biznesie czasem trzeba pogodzić się ze stratą, żeby potem osiągnąć większy zysk. Amira i tak już nie żyła, za to Mickey był doskonałą inwestycją. - Zerknął na niego spode łba. - Ale niech pan nie myśli, że takie rozwiązanie nie przyszło mi do głowy.

- Łączą nas więzy krwi - oznajmił ze swadą Durand, ani trochę nie przejmując się nastrojem gospodarza. - Obaj wspinamy się po szczeblach władzy. Sporo tych szczebli zaliczyłem: asystent stanowego kongresmana, kongresman, przewodniczący izby teraz gubernator. Kto wie, może za dwa lata trafię do Senatu? Uwielbiam Waszyngton. Tym

bardziej że te cholerne dupki jednak w końcu uchwalą ustawy ograniczające dostęp do hazardu.

- A co z Claire? - zapytała Serena. - Czy ona też została zgwałcona przypadkiem?

Stride po raz pierwszy dostrzegł niepewność w lodowatych oczach Duranda.

- Raczej przez nieporozumienie - wymamrotał. - Oboje trochę wypiliśmy. Boni wie, że nigdy bym jej celowo nie skrzywdził.

Stride wcale nie był pewien, czy Boni rzeczywiście wie. Zastanawiał się, do jakiego stopnia można być biznesmenem, jak często można godzić się ze stratami, mając na uwadze późniejszy większy zysk. Teraz widział, że Boni ma z tym spore problemy; zapewne miał je przez całe życie. Jak tolerować coś, z czym nie sposób się pogodzić. Boni mówił prawdę: naprawdę kochał Amirę. Ten człowiek ją zabił, potem zgwałcił jego córkę, a Boni przymknął na to oko. Z żądzy władzy.

- Znacie już prawdę, więc pora o niej zapomnieć - powiedział Boni głosem wypranym z emocji.

W salonie zapadła cisza. Żarówka w jednej z lamp zamigotała leciutko. Za oknami, w spowijającej dolinę ciemności, Stride dostrzegł światelka startującego samolotu.

- A jeśli nie zapomnimy? Boni westchnął.

- To nie jest dobry pomysł.

- Ale tak... teoretycznie?

- Niczego nie zdołacie udowodnić. Nie macie żadnych dowodów. Wasi przełożeni nie zgodzą się na śledztwo. Jesteście wystarczająco bystrzy, żeby wiedzieć, jakie prawa rządzą tym miastem. Czasem ty kopiesz, a czasem kopią ciebie.

- Moglibyśmy pójść z tym do prasy - zauważyła Serena.

Boni wzruszył ramionami.

- Czy naprawdę muszę wam to tłumaczyć? Zostalibyście zdyskredytowani, wasze życie byłoby zrujnowane. Słowo daję, nie chcę tego robić. Bardzo was szanuję, ale wtedy pewne sprawy musiałyby wyjść na światło dzienne.

- Na przykład jakie?

- Na przykład takie, że spała pani z moją córką. W trakcie prowadzonego śledztwa. Nie wyglądałoby to najlepiej.

Serena wolała nie pytać, skąd o tym wie.

- Nie zrobiłby pan tego Claire.

- Cóż, musiałbym dokonać kolejnego trudnego wyboru. Ale to jeszcze nie wszystko. Stracilibyście pracę, a może nawet trafiłoby do więzienia za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

- O czym pan mówi, do diabła? - wybuchnął Stride.

- Zapewne policja w Minnesocie byłaby zainteresowana informacjami o tym, w jaki sposób wyjaśniliście zagadkę śmierci niejakiej Rachel Deese i co naprawdę jej się przydarzyło.

Zdumienie Stride'a było tak ogromne, że aż otworzył usta. Skąd o tym wiedział? Sekundę potem spłynęło na niego olśnienie: Boni z pewnością zainstalował podsłuch w ich domu.

- Tak więc, jak widzicie, wszystkim nam wieść się będzie dobrze, jeśli zatrzymacie te informacje dla siebie. Gdyby wyszły na jaw, wszyscy doznaliby uszczerbku. Kiedy dopadną cię media, uwierzą nie tylko w prawdę, ale we wszystko, co się powie na twój temat. - Boni rozłożył

ręce. - Tak to właśnie działa.

Stojący przy oknie gubernator uśmiechał się w milczeniu. Blask sąsiedniego wieżowca oświetlał połowę jego twarzy; druga ukryta była w cieniu.

Stride rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć, czy poprzedniego dnia rozmawiali w domu o swych najbliższych planach. Czy Boni znał ich wszystkie karty? Nie miało to większego znaczenia. Musiał grać dalej i liczyć na to, że się uda. Spojrzał pytająco na Serenę, a ona skinęła głową.

- Leo Rucci też chciał, żeby nikt się nie dowiedział. Boni pytająco uniósł brwi.

- Ale na wszelki wypadek spisał wszystko - ciągnął Stride. - Opisał dokładnie to, co naprawdę stało się z Amirą.

Boni parsknął śmiechem.

- Nigdy w to nie uwierzę, detektywie. Leo Rucci był najbardziej lojalnym człowiekiem, jaki kiedykolwiek dla mnie pracował.

- Dziś rano przeszukaliśmy jego dom. Ale przecież pan o tym wie, bo wcześniej wysłał pan tam swoich ludzi, żeby usunęli wszystkie kompromitujące materiały. Do biura zresztą też.

Boni wzruszył ramionami, nie zadając sobie trudu, by zaprzeczyć.

- Problem polega na tym, że coś przeoczyli. Sejf. Klucz do niego nosił na łańcuszku w kieszeni. Pańscy ludzie nie znaleźli tego sejfu, ponieważ nie było go ani w domu, ani w biurze.

Stride odniósł wrażenie, że przez twarz Boniego przemknął cień niepewności.

- Otworzyliśmy go dzisiaj. W środku była koperta

zaadresowana do jego syna, Gina. Ale Gino też już nie żyje.

Wyjął z kieszeni kopertę i pokazał ją w taki sposób, żeby Boni dostrzegł napisane wielkimi literami słowo „Gino”.

- Leo nigdy by mi tego nie zrobił.

- Zgadza się. To miała być polisa ubezpieczeniowa dla jego syna. Leo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ktoś taki jak Gino może kiedyś potrzebować czegoś, co uchroni go przed więzieniem.

- Daj mi to! - zażądał Boni.

Niemal wyrwał kopertę z dłoni Stride'a. Obejrzał ją uważnie; była lekko pożółkła, wyglądało, że ma co najmniej na kilka lat. Wyjął list i rozłożył go niecierpliwie.

- To kopia!

- Oczywiście. Oryginał jest u pewnego prawnika spoza miasta. Tak na wszelki wypadek.

Boni zaczął czytać. Stride znał początek na pamięć.

Gino

Jeśli to czytasz, to znaczy, że mnie już nie ma. Mam nadzieję, że to odbyło się szybko. Kulka w głowę, tak jest najlepiej. Albo zawał serca na jakiejś blondynie. Chłopcze, znam parę tajemnic z dawnych lat, kiedy Boni i ja rządaliśmy światem. Jeśli komuś to wygadasz, to jak słowo honoru wrócę zza grobu i skopię ci tyłek. Gdybyś wpadł w tarapaty, dzwoń do Boniego. On ci pomoże i nie będzie zadawał żadnych pytań. Ale gdyby i jego zabrakło, to jest ktoś inny, do kogo możesz zadzwonić. Nazywa się Mickey...

Czekali, aż Boni skończy lekturę. Ręka, w której trzymał list, drżała wyraźnie, zdrowy rumieniec znikł bezpowrotnie z twarzy. Widać było, że intensywnie myśli, szuka drogi ucieczki. Sposobu, żeby odwrócić sytuację na

swoją korzyść.

- Dla sądu to nie jest żaden dowód. Nikt nas za to nie skaże.

Stride skinął głową.

- Racja. Ale dla prasy jest tego aż nadto. I dla wyborców.

Boni się zamyślił. Wiedział, że to prawda.

- Was to też pociągnie na dno. Wyjdzie na jaw sprawa Rachel. Wybuchnie wojna. Zostaniecie zniszczeni.

- Jesteśmy gotowi podjąć to ryzyko - odparła Serena.

- Siedzimy na niższych stołkach, więc kiedy spadniemy, nie będzie tak bolało - dodał Stride.

Boni mierzył ich uważnym spojrzeniem, starając się oszacować ich determinację. Patrzyli mu spokojnie prosto w oczy, jak w pokerze. Wszystko zależało właśnie od tej chwili. Boni nie mógł uwierzyć, że ktoś go przechytrył, że przegrał. Przez pół wieku budował imperium, a teraz mógł je utracić w ciągu kilku sekund.

Stride bezwiednie wstrzymał oddech. Czekał.

Boni miał tylko jedno wyjście: walczyć. Byłaby to wojna na wyniszczenie, zabójcza dla obu stron. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że jest zbyt sprytny, by wybrać takie rozwiązanie.

- Czego chcecie? - zapytał wreszcie cicho. Stride zdołał nie pokazać po sobie ogromnej ulgi.

- Żeby gubernator zrezygnował ze stanowiska, a pan żeby oddał władzę nad swoją firmą.

- Oddać władzę? Komu?

- Claire - powiedziała Serena.

Miała nadzieję, że Claire się na to zgodzi.

- Wszystko zostanie w rodzinie - dodał Stride.

- To jakaś pieprzona bzdura! - ryknął Durand spod okna. - Zabij ich, Boni! Jak znikną, nie będzie sprawy!

Stride pokręcił głową.

- Jeśli znikniemy, list trafi do prasy.

Boni przyglądał im się z taką miną, jakby podziwiał sposób, w jaki to rozegrali.

- Dobra robota. Nieźle to obmyśliliście. Mam nadzieję, że nie trafię do Czarnej Księgi?

- Skądże znowu. Sprawa jest prosta i czysta. Przekazuje pan zadanie zbudowania Orientu komuś młodszemu, kto na pewno doczeka końca przedsięwzięcia. Komuś, komu może pan zaufać. A jeśli będzie pan żył wystarczająco długo, to zobaczy pan, jak spełniają się pańskie marzenia.

Miał nadzieję, iż Boni się nie zorientuje, że podstawą tego planu jest utrzymanie wszystkiego w tajemnicy, niedopuszczenie do zadawania pytań. Że najważniejszym celem jest usunięcie Duranda z urzędu.

- Chyba nie dasz się nabrać? - warknął gubernator. - Przecież to zera. Nie musimy się nimi przejmować.

- Zamknij się, Mickey.

Twarz Duranda poczerwieniała z gniewu.

- Nie mów do mnie w ten sposób, staruchu! Sto razy mogłem załatwić cię na amen. Nie zamierzam kapitulować przed jakimiś pieprzonymi gliniarzami!

- Zapomniałeś, kto tu naprawdę rządzi. Ja ciągnę za sznurki, Mickey, a ty tańczysz.

- Obaj tańczymy. Nie podam się do dymisji.

- Pamiętaj, że żyjesz tylko dlatego, że przydajesz mi się tam, gdzie jesteś.

- Oczywiście, że mnie potrzebujesz! - wrzasnął Durand. - Beze mnie jesteś nikim!

- Jutro wydasz oświadczenie - wycedził Boni. - Rezygnujesz z ubiegania się o reelekcję i ustępujesz z urzędu w związku z odnowieniem się starej kontuzji kolana. Jesteś przykuty do wózka i nie możesz należycie wypełniać obowiązków.

- O czym ty gadasz, do cholery? - zdumiał się Durand. - Jaka kontuzja kolana?

Boni bez słowa sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął pistolet niewiele większy od dłoni, wycelował i nacisnął spust. Pocisk przeszył prawe kolano Duranda.

- Ta właśnie.

Gubernator zawył z bólu i runął na dywan. Boni powstrzymał gestem Stride'a, który też sięgnął po broń.

- Już po wszystkim, detektywie. - Schował pistolet do kieszeni. - To było za Claire i Amirę.

Durand zwijał się na podłodze, skamłąc z bólu i trzymając się oburącz za przestrzelone kolano. Spomiędzy palców ciekła strużka krwi. Ból musiał być przeraźliwy, ponieważ szeroko otwarte oczy mężczyzny błagały o utratę przytomności, o śmierć, o cokolwiek, byle tylko ustał.

Stride zdawał sobie sprawę, że powinien coś zrobić, jakoś interweniować, przynajmniej wezwać pomoc, ale mijały sekundy, a on wciąż stał jak sparaliżowany. Spojrzał na Serenę i zobaczył na jej twarzy coś, co mu uświadomiło, że ani ona, ani on nie czują litości dla tego człowieka.

Poza tym takie właśnie jest to miasto, pomyślał. Gwałtowne. Okrutne. Niemoralne.

Boni nie zaszczycił rannego ani jednym spojrzeniem.

- Nie przejmujcie się, mój lekarz niedługo tu będzie. Mickey przeżyje. - Z drugiej kieszeni wyjął skrawek papieru, napisał coś na nim, po czym wręczył go Serenie. -

To numer Claire w St. Thomas. Może pani zadzwonić do niej i powiedzieć, że teraz ona wszystkim rządzi, oczywiście jeśli tego chce. Nie zjawię się na gali w przyszłym tygodniu, ale chyba nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli popatrzę sobie stąd, jak wysadza w powietrze mój hotel?

54

Kiedy nazajutrz rano odwiedzili Nicholasa Humphreya, emerytowany detektyw siedział na trawniku na ogrodowym krzeselku. Znowu był w szlafroku, a na trawie stały futrzaste kapcie. Obok, na identycznym krzeselku, siedział jego wieloletni partner Harvey Washington. Mężczyźni trzymali się za ręce. Był to zaskakująco ujmujący widok.

Pies ganiał dokoła jak mały biały pocisk, zatrzymując się od czasu do czasu tylko po to, żeby przewrócić się na grzbiet i dać się podrapać po brzuchu. W pełnym słońcu obskurne domy prezentowały się zdumiewająco korzystnie. Wysoko w górze, na błękitnym niebie, warczał mały samolot.

Kiedy wysiedli z samochodu, Humphrey pomachał im na powitanie. Miał spokojną, zadowoloną minę, jakby pozbył się starego długu.

- Słyszałem w radiu! - zawołał. - Nie wierzę, że wam się naprawdę udało!

Stride skinął głową.

- Co prawda to nie więzienie, ale dla Boniego to chyba jeszcze gorsza kara: nie móc rządzić wszystkim i wszystkimi, tak jak do tego przywykł.

- A nasz gubernator?

- Ta kontuzja kolana to wcale nie wymówka.

Stride opowiedział, co wydarzyło się w

apartamencie Boniego. Obaj mężczyźni aż się wzdrygnęli.

- Auu... - Harvey się skrzywił. - To jakby wsadzili ci jaja w imadło...

- Gorzej - odparł Humphrey. - Rozmawiałem z ludźmi, którym się coś takiego przytrafiło. Podobno nic bardziej nie boli. No cóż, takie jest życie... Prędzej czy później trzeba za wszystko zapłacić.

Bawił się piłeczką bejsbolową z autografem Williego Maysa. W pewnej chwili rzucił ją Stride'owi, który złapał ją i uśmiechnął się.

- Harvey i ja pomyśleliśmy, że ci się należy.

- Tylko nie sprzedaj jej na eBayu! - dodał Harvey z uśmiechem.

Stride przyjrzał się autografowi. Gdyby był autentyczny, byłby wart mnóstwo pieniędzy. Ale był fałszywy, za sprawą zdolności Harveya Washingtona. Tak jak wszystkie podpisy na zdjęciach zdobiących ściany w domu Humphreya. Jak list od Deana Martina. Jak dedykacja od Marilyn Monroe.

I jak list Lea Rucciego do Gina.

- Cholernie się bałam, kiedy Boni wyciągnął list - przyznała się Serena. - Byłam pewna, że się zorientuje.

- Byłbym zobowiązany za nieco więcej zaufania - odparł Harvey nieco urażonym tonem. - Na pewno pomogła nam ta stara koperta, którą zwinęłaś z biura Lea. Opakowanie to ważna rzecz: jeśli jest autentyczne, większość ludzi jest gotowa uwierzyć, że i zawartość jest prawdziwa.

- Ja na pewno bym się nabrał - powiedział Stride.

- Niebezpieczeństwo polegało na tym, że Boni doskonale znał Rucciego - zwróciła uwagę Serena.

- Na szczęście ja też - odparł Humphrey. -

Wiedziałem, jak mówił, miałem więc podstawy przypuszczać, że pisał w taki sam sposób. Najważniejsze, że udało się ich wreszcie przyszpilić. Jesteśmy wam z Harveyem bardzo wdzięczni, że pozwoliliście nam brać w tym udział. Dobrze jest nadrobić zaległości sprzed lat.

Piesek wskoczył mu na kolana. Humphrey podrapał go za uchem, pozwalając, by różowy języczek wędrował po jego twarzy.

- Bez was nic byśmy nie zdziałali - powiedziała Serena. - Boni miał w ręku wszystkie karty.

Harvey roześmiał się głośno. Pies przeskoczył na jego krzesło i ułożył mu się na kolanach.

- To jest Las Vegas, złotko. Jeśli nie podeszła ci karta, musisz blefować.

Później tego samego dnia Stride odwiózł Serene na posterunek, a następnie pojechał do szpitala.

Nienawidził szpitali. Woń środków dezynfekcyjnych przywodziła mu na myśl styczniowe dni sprzed kilku lat, które spędzał w sali szpitalnej, trzymając Cindy za rękę i widząc, jak słabnie w oczach, aż wreszcie zgasała. Umarła przy nim w ciepłym, jasnym pokoju, kiedy za oknami szalała zamieć. Spróbował odegnać od siebie te wspomnienia.

Idąc niekończącymi się korytarzami, widział pacjentów na łóżkach, zajmujące się nimi pielęgniarki, zaniepokojonych bliskich. Już to wszystko kiedyś oglądał.

Zgubił się, ale na szczęście trafił na bardzo uprzejmą pielęgniarkę, która wytłumaczyła mu, jak powinien iść. Kiedy wreszcie dotarł do właściwej sali, zastał drzwi zamknięte. Niepewnie przestępował z nogi na nogę, nie widząc, czy powinien zapukać, czy raczej cierpliwie

czekać. Zwykle bez trudu podejmował decyzje, ale takie miejsca działały na niego onieśmielająco.

Drzwi otworzyły się nagle i pojawił się w nich mężczyzna. Z trudem się w nich mieścił.

- Stride poczuł się jak kretyn, stojąc w korytarzu z kwiatami w dłoni.

- Szukam Amandy Gillen...

Mężczyzna skinął głową. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt i był - nawet Stride musiał to przyznać - oszałamiająco przystojny. Zupełnie jak z jakiegoś katalogu. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, a ubranie leżało na nim jak skrojone na miarę.

- To tutaj. Jestem Bobby.

- Bobby? - wykrztusił Stride z niezbyt mądrą miną. Nie bardzo wiedział, jak właściwie wyobrażał sobie chłopaka Amandy, ale z pewnością nie spodziewał się takiego męskiego bóstwa.

- Ty pewnie jesteś Stride? Miło cię poznać. Uścisnęli sobie ręce. Stride miał wrażenie, że wita się z imadłem.

- Chciałem ci podziękować za to, że tak ją wspierałeś. Zresztą jako jedyny, ale przecież o tym wiesz.

- Jest świetną policjantką - odparł lekko zażenowany. - I wspaniałą kobietą - dodał odruchowo.

Bobby uśmiechnął się.

- Dzięki.

- Mogę ją zobaczyć?

- Jasne, wchodź. Właśnie szedłem po kawę. Czuje się znacznie lepiej, niż wygląda. Będzie potrzebowała trochę czasu, żeby stanąć na nogi, ale wyjdzie z tego.

- Tak się cieszę.

- Jest trochę przymoczona morfiną, ale może

mówić.

- Nie zabawię długo - obiecał Stride.

Bobby pomaszerował korytarzem, odprowadzany spojrzzeniami pielęgniarek.

Stride wszedł do pokoju i ostrożnie zamknął drzwi. Kiedy zajrzał za parawan, serce mu się ścisnęło. Choć wiedział już, że Amanda wyzdrowieje, to jednak nie mógł uniknąć skojarzenia z Cindy. Wokół łóżka stała skomplikowana aparatura, przez ciekłokrystaliczne monitory przebiegały wykresy jej funkcji życiowych, pod kocem niknęły rozmaite rury i przewody. Włosy były rozrzucone na poduszce, oczy zamknięte.

Usiadł na krześle. Nie odzywał się, ponieważ nie chciał jej budzić. Do oczu napłynęły mu łzy.

- Hej.

Przyglądała mu się, nie wiedział od jak dawna. Mówiła szeptem, jakby każdy oddech musiała okupić znacznym wysiłkiem. Oczy miała zmęczone, powieki opuchnięte. Położył rękę na jej dłoni i uściśnął lekko.

- Bobby powiedział, że wyjdiesz z tego.

- Boli jak diabli...

- Widocznie Bóg przypomina ci w ten sposób, żebyś następnym razem jednak wezwała posiłki.

Mogła poruszyć dłonią na tyle, żeby pokazać mu środkowy palec. Roześmiał się.

- Słyszałem, że dwie pielęgniarki zemdlały, kiedy rozbierały cię na intensywnej terapii.

Uśmiechnęła się lekko.

- Cha, cha. Bardzo zabawne. Ponownie uściśnął jej rękę.

- Napędziłaś mi stracha.

- Przepraszam.

- Bobby powiedział ci, że go dopadliśmy? Prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

- Ale to nie wszystko.

Stride zerknął na drzwi, by upewnić się, że są zamknięte, a następnie opowiedział jej ze szczegółami o Boni i Mickeyu, i o wczorajszym spotkaniu w apartamencie Boniego. Zaslugiwała na to, żeby wiedzieć o wszystkim.

- Masz jaja... - wyszeptała z podziwem, kiedy skończył.

- Ty też - odparł i zaczął się tak śmiać, że niewiele brakowało, by spadł z krzesła. Poczul ogromną ulgę. Wszystko będzie dobrze.

- Chcesz zobaczyć? - zapytała tak samo jak za pierwszym razem.

- Nie, dzięki.

- Tchórz.

Przymknęła powieki.- Powinnaś odpocząć - powiedział, wstając z krzesła.

- Serena? - wyszeptała.

- W porządku.

- A ty?

Mógł zrozumieć to pytanie na wiele sposobów. Czy chodziło jej o to, jak się czuje po tym, gdy w starciu z grzechami miasta mało nie postradał życia? Czy o to, jak sobie radzi ze świadomością, że jego kochanka spała z kobietą? A może o to, czy wreszcie dokonał wyboru: zostać czy odejść?

Na wszelki wypadek nie odpowiedział. Tak było łatwiej. Zaczekał, aż Amanda zaśnie, po czym na palcach wyszedł z pokoju. Bobby siedział w holu z kawą w jednej ręce i kolorowym czasopiśmie w drugiej.

- Śpi - powiedział Stride.

Bobby skinął głową. W tej samej chwili w kieszeni Stride'a zadzwonił telefon. Przechodząca pielęgniarka spiorunowała go wzrokiem, więc uśmiechnął się ze skruchą.

- Jestem z policji. Przepraszam.

Znalazł spokojny zakątek, żeby odebrać połączenie.

- Panie detektywie, nazywam się Flora Capati - usłyszał donośny głos w wyraźnym obcym akcentem. - Prowadzę dom opieki w Boulder City. Pański numer podano mi w komendzie Las Vegas.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał ze zdziwieniem.

- Chodzi o jedną z moich podopiecznych. Nazywa się Beatrice. Już od kilku dni nie daje mi spokoju, więc w końcu obiecałam, że do pana zadzwonię, bo boję się, żeby nie stało jej się coś złego. Wciąż powtarza, że popełniłście okropną pomyłkę.

- Pomyłkę? W jakiej sprawie?

- Ona twierdzi, że znała Amirę Luz.

55

Widzowie zgromadzili się niczym żądny krwi tłum czekający na egzekucję. Tysiące ludzi tłoczyło się na parkingach i trawnikach przed Hiltonem, ze wzrokiem skierowanym na stary hotel po drugiej stronie ulicy. Każdy chciał widzieć jak najwięcej, niemal każdy co chwila zerkał na zegarek. Zbliżało się południe.

Ulicę zamknięto, objazdy wyznaczono w odległości ponad pół kilometra. Także gapiów odsunięto na bezpieczną odległość, niemniej zapewniającą maksimum wrażeń. W górze unosiły się śmigłowce stacji telewizyjnych. Stride poczuł apetyczne zapachy

grillowanych potraw i uświadomił sobie, że wielu mieszkańców Charcombe Towers urządziło sobie pikniki na balonach i tarasach apartamentów. Bez wątpienia Boni stał przy oknie z drinkiem w ręce, żałując, że to nie na nim skupia się powszechna uwaga, czekając na córkę, po raz ostatni żegnając się z Amirą.

Był to doskonały dzień na egzekucję. Wiatr ucichł. Na twarzach ekipy wyburzeniowej malowało się nerwowe oczekiwanie. Choć byli to fachowcy, którzy doskonale znali swoją pracę, to jednak oczekiwanie na ostateczną komendę i na chwilę, kiedy impuls elektryczny pobiegnie kilometrami przewodów do ładunków w ścianach budynku, zawsze dawało się we znaki.

Co chwila napływały kolejne meldunki: teren wolny, wszystko gotowe.

- Gdzie ona jest? - zapytała Serena, stając obok niego i z niepokojem spoglądając na tłum.- Przyjdzie. To część spektaklu.

W tej samej chwili przez publiczność przebiegł szmer i na Paradise Road pojawiła się sunąca powoli limuzyna. Zatrzymała się, kierowca wyskoczył i pobiegł otworzyć tylne drzwi. Z samochodu wysiadła Claire. Błysnęły flesze, rozległy się wiwaty i oklaski. Przez chwilę sprawiała wrażenie zaskoczonej i onieśmielonej, ale do głosu doszła sceniczna rutyna: uśmiechnęła się i pomachała ręką, po czym ruszyła po czerwonym, odgrodzonym barierkami dywanie w kierunku podium wzniesionego na parkingu naprzeciwko Szeherezady. Szła swobodnie, stawiając duże kroki. Ludzie pozdrawiali ją, a ona odwzajemniała się ciepłym uśmiechem. Z podium zbiegł mężczyzna w ciemnym garniturze, pochylił się i wyszeptał jej coś do ucha. Claire skinęła głową.

Na jej spotkanie wyszedł także szef ekipy wyburzeniowej.

- Wszystko gotowe, proszę pani - zameldował. Claire podążyła za nimi na podium, ale po kilku krokach zatrzymała się, zobaczywszy stojących nieco na uboczu Stride'a i Serenę. Powiedziała coś do człowieka w garniturze; ten skrzywił się i pokazał na zegarek, lecz Claire tylko pokręciła głową, skręciła i podeszła do nich. Stride widział, że Claire patrzy tylko na Serenę.

- Ależ wyglądasz... - westchnęła Serena.

Claire dygnęła żartobliwie. Miała na sobie burgundową, doskonale dopasowaną garsonkę z brylantowymi dodatkami.

- Podoba ci się?

- Jesteś piękna. Claire zarumieniła się.

- Nie wiem, czy dam radę...

- Na pewno świetnie sobie poradzisz. Rozejrzała się dookoła, chłonąc atmosferę miejsca i chwili. Jej nowego świata.

- Jeszcze nawet nie miałam okazji, żeby wam podziękować za to wszystko z Mickeyem i Bonim. Nie mam pojęcia, jak to zrobiliście.

- Nie ma za co - odparł Stride.

- Jakaś część mnie wolałaby być nadal w Limelight. To było znacznie łatwiejsze, zanim Blake... Zresztą, sami wiecie...

Stride i Serena spojrzeli na siebie.

- Powiemy jej?

Zastanawiali się przez pół nocy i nie doszli do żadnych wniosków. Może nie zawsze dobrze jest znać prawdę? Może lepiej nie burzyć kłamstw, do których wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić?

- O czym? - zapytała Claire.

Wydawało im się, że rozmawiają podniesionymi głosami, ale i tak ledwo się słyszeli w gwarze. Stride czuł się trochę dziwnie, poruszając w takim miejscu takie tematy, ale jeśli Claire miała się wszystkiego dowiedzieć, to właśnie teraz, przed naciśnięciem guzika, zanim Szeherazada zamieni się w stertę gruzów. Żeby wiedziała, co traci.

Tyle że Serenie najwyraźniej zabrakło słów. Stride wiedział, że głęboko w duszy - tak głęboko, że być może nie potrafiłaby tam dotrzeć - kocha Claire i nie chce jej zranić. Z drugiej strony tak długo sama uciekała przed prawdą, że doskonale zdawała sobie sprawę, iż ta ucieczka nie ma końca.

- Blake nie był synem Amiry.

Claire otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że wszyscy to słyszeli, lecz nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

- To niemożliwe - powiedziała, kręcąc głową, lecz powaga malująca się na ich twarzach świadczyła o czymś innym. - Widziałam to w jego oczach! - zaprotestowała. - Był synem Boniego, moim bratem!- Widziałas to, co chciałaś widzieć - odparła Serena współczującym tonem. - To samo dotyczyło Blake'a. Chciałaś uwierzyć, że nie jesteś sama, a on chciał uwierzyć, że odnalazł matkę, której szukał przez całe życie. Ale mylił się.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko, co zrobił, nie miało najmniejszego sensu? Że ci niewinni ludzie...

- Ty tu jesteś, nie Boni ani nie Mickey - przerwał jej Stride. - Więc może jednak miało to jakiś sens.

- Czy... Czy to pewne?

- Całkowicie. Rozmawialiśmy z kobietą o imieniu Beatrice, która opiekowała się Amirą podczas jej ciąży i wiedziała, co stało się z dzieckiem. To nie był Blake.

- W takim razie kto był prawdziwą matką Blake'a? Stride rozłożył ręce.

- Przypuszczalnie nigdy się nie dowiemy. Wtedy było wiele takich niczyich dzieci. Miał pecha, bo trafił do okropnego domu.

Claire przeniosła wzrok na Szeherezadę; Stride pomyślał, że chyba spieszno jej nacisnąć guzik. Jedna chwila i wspomnienia zamienią się w stertę gruzu. A może była myślami hen, daleko, w miejscach, do których w gruncie rzeczy nie chciała trafić?

- Ale przecież Boni powiedział wam o Blake'u i wysłał was do Reno! Wiedziałyby, gdyby Blake nie był dzieckiem Amiry!

- Bo wiedział.

- W takim razie dlaczego...

- Wiedział też, że Blake w to wierzy, a skoro Blake wierzył, to Boni nie widział powodu, dla którego i my nie mielibyśmy uwierzyć.

- Gdyby tylko zechciał, powstrzymałby tę bezsensowną przemoc... - wyszeptała Claire. - Sukinsyn! Mógł powiedzieć Blake'owi prawdę. Ocaliłby tylu ludzi!

- Wątpię, czy Blake by mu uwierzył - powiedział Stride. - Za daleko zaszedł.

- Mógłby choć spróbować!

- Wątpię - odparła łagodnie Serena. - Boni za nic w świecie nie podzieliby się z nikim prawdą o Blake'u. Ani o Amirze.

- Sereno, nie broń go! Jest moim ojcem, znam go doskonale. Tym razem miał szansę zrobić coś dobrego.

Miał szansę powiedzieć prawdę.

- To by oznaczało również wyjawienie najważniejszej tajemnicy w jego życiu.

- Wiem. - Głos Claire ociekał goryczą. - Mickey. Serena pokręciła głową.

- Wcale nie. Musiałby wyznać, co naprawdę stało się z dzieckiem Amiry.

Claire przyglądała im się ze zmarszczonymi brwiami.

- Dlaczego to takie ważne? Serena pochyliła się do jej ucha.

- Amira była twoją matką - wyszeptała. Claire cofnęła się o krok.

- Nie!

Serena patrzyła na nią ze smutkiem.

- Urodziłam się znacznie później, a moja matka umarła przy porodzie!

- Umarło również dziecko.

- Nieprawda! To byłam ja!

- Boni pojechał do Reno i odszukał rodzinę, która adoptowała jego pierwsze dziecko. Dziewczynkę, nie chłopca.

- Niemożliwe!

Serena położyła ręce na ramionach Claire.

- Zawiozła cię do nich ta pielęgniarzka z Reno. Znała całą historię. Wiedziała, co się stało. Boni pragnął odzyskać córkę, swoje jedyne dziecko.

- Ale nie chciał, żebyś kiedykolwiek się o tym dowiedziała - wtrącił się Stride. - Bał się, że odkryjesz resztę, że dowiesz się, że to on kazał zamordować twoją matkę. Właśnie dlatego nie mógł pozwolić, by prawda o Blake'u ujrzała światło dzienne.

Cofnęła się o krok. Choć były na nich skierowane kamery i setki spojrzeń, Stride miał przez chwilę wrażenie, że Claire rzuci się do ucieczki.

- Jestem córką Amiry? - zapytała z niedowierzaniem, walcząc ze łzami. Nagle jej oczy zaślniły wewnętrznym blaskiem. - Chciała być wolna, tak jak ja. Boże, jak ja go nienawidzę! Jak go nienawidzę za to, co nam zrobił!

- Blake też nienawidził Boniego i ta nienawiść go zniszczyła. Nie pozwól, żeby zniszczyła i ciebie.

- Uważasz, że powinnam mu wybaczyć? Jak możesz mówić coś takiego?

- Wcale tak nie twierdę - odparła Serena. - Po prostu nie chcę, żeby nienawiść cię zezała.

Claire przeniosła wzrok na podium, gdzie czekali na nią politycy i biznesmeni. Teraz to był jej świat - ale czy naprawdę tego chciała? Czy naprawdę na tym właśnie jej zależało? I czy znając swoją prawdziwą przeszłość, była teraz inna niż jeszcze kilka minut temu?

- Nie musieliście mi o tym mówić - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- To prawda - odparła Serena. - Ale przecież jesteś twardziel.

Claire roześmiała się i delikatnie musnęła jej ramię.

- Akurat w tej chwili wcale się tak nie czuję. - Wzięła głęboki wdech, po czym dodała: - Pora na to, z czym tak dobrze sobie radzimy w Vegas: na pogrzebanie przeszłości.

- To tylko budynek - zauważył Stride.

- Fakt, ale będę zadowolona, kiedy zniknie. Niech duchy znikną razem z nim.

Serena pokręciła głową.

- To nie takie proste.

- Wiem. - Claire podeszła do niej i szepnęła tak głośno, żeby Stride to usłyszał: - Chciałabym cię w moim życiu.

- Przykro mi, ale jestem już w życiu kogoś innego. Claire uśmiechnęła się ze smutkiem i spojrzała na Stride'a.

- Tylko nie mów, że się nie zastanawiałeś, jakby to było we trójkę. Może spróbujemy?

- Chyba jednak raczej nie - odpowiedziała za niego Serena.

Oczywiście, że Stride o tym myślał, fantazjował na ten temat, ale wiedział, jakby to było w rzeczywistości: kilka chwil uniesienia i ekstazy jak po zażyciu narkotyku, a potem stopniowo coraz większa pustka i niesmak, a w końcu nic. Nie wolno przekraczać pewnych granic.

Claire też zdawała sobie z tego sprawę.

- Jesteś warta całego Vegas - powiedziała i pocałowała Serene w policzek.

Tłum coraz bardziej się niecierpliwił. Ludzie chcieli zobaczyć trupa.

Claire weszła na podium i pomachała widzom, którzy zrewanżowali się okrzykami, gwizdami i oklaskami. Następnie przywitała się z pozostałymi notablami: burmistrzem, szefem zespołu wyburzeniowego, inwestorami z Nowego Jorku. Wszyscy przyglądali się jej uważnie: oto kobieta, która będzie kierować wznoszeniem Orientu, gigantycznego bajkowego pałacu zaplanowanego w miejsce Szeherazady. Stride doskonale wiedział, jakie myśli kryją się za szerokimi uśmiechami i gratulacjami: niech ta pannica pokieruje ceremonią, ale potem szybko się okaże, że nie daje sobie rady i inni przejmą prawdziwą władzę.

Podejrzewał, że czeka ich nie lada zdziwienie. Claire naprawdę była twarda.

Nie wygłosiła żadnej przemowy, tylko położyła obie dłonie na ręczce detonatora. Zapadła cisza jak makiem zasiał, wszystkie oczy zwróciły się na budynek po drugiej stronie ulicy. Dziwne, przemknęło Stride'owi przez głowę, że ludzi tak bardzo fascynuje destrukcja, obalanie idoli.

Może dlatego, że dzieje się to tak szybko. Najpierw ciągnąca się latami budowa, potem wiele lat istnienia, a koniec następuje zaledwie w kilka sekund...

Tylko on i Serena patrzyli na Claire, więc tylko oni widzieli uśmiech, z jakim podniosła wzrok na neon: Szeherazada. Za dnia sprawiał wrażenie przygaszonego i zmęczonego, gotowego zgasnąć na zawsze. W oczach Claire pojawiły się łzy. Poruszyła lekko ustami.

Żegnaj.

Wcisnęła ręczkę detonatora. Impuls elektryczny pobiegł przewodami do zapalników. Przez jakiś czas nic się nie działo; ludzie stali, wstrzymując oddech, zastanawiając się, czy coś się nie udało.

A potem rozległa się seria eksplozji, niczym ciągły ogień z jakiegoś ogromnego karabinu maszynowego. Pomarańczowe ogniki rozkwitły na całej sylwetce hotelu, od parteru po dach. Ziemia zatrzęsła się lekko. Hotel stał jeszcze chwilę, jakby nie miały się go prawa grawitacji, jakby nic sobie nie robił z wybuchu setek kilogramów dynamitu. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Szkielet ścian nośnych przestał istnieć, pozostał tylko gigantyczny ciężar, który niczym niepodtrzymywany musiał w końcu runąć. Z daleka wyglądało to jak przepiękne, delikatne zjawisko, coś jakby zdmuchnięcie pyłków dmuchawca, a nie zawalenie się ważącej tysiące ton konstrukcji ze stali, betonu i cegieł.

Budowla zapadła się do środka i piękny niegdyś hotel runął z łoskotem. Tym razem wstrząs był silniejszy; Stride odniósł wrażenie, że jakaś potworna siła odrywa go na chwilę od podłoża.

Tłum westchnął, po chwili rozległy się nieśmiało oklaski, jakby ludzie bali się dawać wyraz uczuciom w obliczu takiej siły. Poza tym wiedzieli, co ich za chwilę czeka: z miejsca, w którym jeszcze niedawno stała Szeherezada, zaczął się rozprzestrzeniać gigantyczny kłęb szarobiałego pyłu. Ci w pierwszych rzędach próbowali się cofać, napotykali jednak opór stojących dalej. Rozległy się okrzyki, Stride zaczął się całkiem serio niepokoić, że wybuchnie panika. Obserwatorzy z balkonów i tarasów uciekali do mieszkań, zatrzaszkując drzwi i okna. Ostatnie tchnienie konającego budynku, powiew czterdziestu lat splendoru i brudu. W tym obłoku była zapewne część Franka Sinatry. I Amiry.

Obłok zaczął się wznosić dużo wcześniej, zanim dotarł do widzów. Wiatr, który nadleciał od gór, natychmiast rozciągnął go na północ, rozsypując kurz i pył po całym mieście. Niżej widoczność szybko się poprawiała, aż wreszcie oczom zebranych ukazało się piętnastometrowej wysokości rumowisko. Słysząc było pomruk czekających kilka przecznic dalej buldożerów, koparek i ciężarówek, gotowych natychmiast przystąpić do uprzątnięcia terenu.

Tłum zaczął się rozchodzić. Przedstawienie dobiegło końca. Kurtyna.

Stride po raz ostatni spojrzawszy na gruzowisko i dostrzegł fragment neonu, który jakimś cudem, prawie nietknięty, spoczywał na samym szczycie. Na myśl przyszły mu te odległe lata opisywane w pozółkłych

czasopismach, które pilnie wertował, i utrwalone na fotografiach przedstawiających ludzi, którzy wtedy żyli i umierali. Promienie słońca załśniły w resztkach neonu, poskręcane litery rozbłysły raz jeszcze pożegnalną feerią barw, po czym zgasły na zawsze.

56

Wracali razem z tłumami widzów, w tłoku i ścisku. W powietrzu wisiała lekka mgiełka. Serena zaproponowała, żeby poszli do domu, odprężyli się, popływali, może pokochali. A potem mogliby leżeć w zapadającym zmroku i rozmawiać przez cały wieczór i przez pół nocy. O wszystkim i o niczym. Widać było, jak się cieszy z tego, że jest obok niej, on zaś odwzajemniał jej się taką samą radością.

Skreślił w Las Vegas Boulevard i sądząc po natężeniu ruchu, razem z co najmniej połową mieszkańców miasta podążył na północ. Przed nimi wznosiła się wieża Stratosfery. Na Stripie występowały dwa rodzaje korków: duże i koszarne. Dzisiaj był koszarne. Nie mogli rozwinąć nawet prędkości piechura. Ulica zamieniła się w rzekę stali. Kierowcy trąbili wściekle, niczego w ten sposób nie osiągając. Kiedy po koszarne długim czasie dotarli do Stratosfery, Stride wystawił głowę przez okno i spojrzał w górę, na przypominające spodek zwieńczenie budynku.

Kilka miesięcy temu, zaraz po przyjeździe z Minnesoty, znalazł Serene tam na tarasie, prawie trzysta metrów wyżej, patrzącą na nocny krajobraz miasta. Wiał chłodny wiatr, wokół nich roztaczało się morze neonowego blasku. Objęli się i pocałowali. Przemknęło mu wtedy przez głowę, że to nie ma żadnego sensu, że ich związek nie przetrwa w tym mieście, że prędzej czy później nadejdzie pora wyboru. Ale wtedy nie miało to żadnego

znaczenia. Przyszłość była nieistotna. Liczyło się tylko to, czym byli dla siebie.

Teraz wiele się zmieniło.

Przyszłość przestała być przyszłością, stała się teraźniejszością. Rzeczywista, brudną i zatłoczoną. Tu i teraz.

Po minięciu Stratosfery zrobiło się jakby trochę luźniej. Dwie przecznice dalej Stride skręcił na parking przed jakimś motelem, wyłączył silnik i położył dłonie na kierownicy. Nie patrzył na Serenę, ale wiedział, że ona go obserwuje, czuł jej narastający niepokój.

Jak zacząć? Najlepiej po prostu.

- Zaproponowali mi powrót do Minnesoty.

Głośno wciągnęła powietrze, po czym zapytała spokojnie:

- Chcesz wracać, prawda?

Wreszcie odwrócił się i spojrzał na nią. Ból, jaki ujrzał na jej twarzy, sprawił, iż poczuł się tak, jakby cała Szeherazada zwała mu się na głowę.

- Tak.

Wysiadła z samochodu. Ot tak, po prostu, zatrzasnęła za sobą drzwi i ruszyła przed siebie. Wyskoczył zza kierownicy i pobiegł za nią.

- Zaczekaj!

Nie zatrzymała się, ale dopadł ją, chwycił za ramiona i odwrócił gwałtownie. Po jej policzkach płynęły łzy. Była wściekła na siebie.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Czego właściwie mogłam się spodziewać?

- Nie pozwoliłaś mi dokończyć.

- Zawsze wiedziałam, że prędzej czy później wyjedziesz, że któregoś dnia dojdiesz do wniosku, że

wracasz. Naprawdę przypuszczasz, że nie wiem, że nie jesteś tutaj szczęśliwy?

- To prawda. Nie jestem.

- Dlatego wiedziałam, że któregoś dnia postanowisz wrócić do domu.

Potrząsnął głową.

- Minnesota to nie dom. Dom miałem wtedy, kiedy żyła Cindy. Potem już nie. - Ujął ją za dłonie. - Aż do chwili, kiedy spotkałem ciebie. Teraz ty jesteś moim domem.

- A mimo to chcesz wracać do Duluth...

- Owszem. Tutaj czuję się jak śniegowy bałwan. Roztapiam się.

Zebrała w sobie całą odwagę, na jaką było ją stać.

- Nie chcę cię zatrzymywać siłą.

- Pojedź ze mną - powiedział wreszcie to, co chciał powiedzieć od dawna.

- Do Minnesoty? - Spojrzała na ulice, podniosła wzrok na niebo, na światła. - Przecież wiesz, że to by się nie udało. Tam z kolei ja czułabym się jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Nie wydaje mi się.

- Ale tu jest mój...

Nie dokończyła. Wiedział, co zamierzała powiedzieć: że tu jest jej dom, ale może dało jej do myślenia to, co powiedział, może dotarło do niej prawdziwe, głębokie znaczenie jego propozycji. Obok nich przechodzili ludzie, ale mimo to byli zupełnie sami.

- Kim mielibyśmy być dla siebie? Partnerami? Kochankami? - Zadawała pytania przyciszonym głosem, skupiona na swoich myślach. - A może kimś jeszcze?

Bał się powiedzieć coś niewłaściwego. Czuł się,

jakby stapał po polu minowym.

- Już dwa razy byłem żonaty. Za pierwszym razem bardzo szczęśliwie, ten drugi to było kompletne nieporozumienie. Nie mam nic przeciwko temu, żeby spróbować raz jeszcze, ale chciałbym, żebyśmy oboje byli do tego przygotowani.

- Może mi to zabrać dużo czasu. Nie ze względu na ciebie, tylko na mnie.

- Wiem.

- I wciąż chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Bardzo.

Patrząc jej w oczy, widział w nich wewnętrzne zmagania Sereny i zdawał sobie sprawę, że bez ostrzeżenia wrzucił ją na głęboką wodę. Oczekiwał, że zrezygnuje ze wszystkich planów i nadziei i że podejmie wielkie ryzyko, nie mając żadnej gwarancji powodzenia.

Jemu było znacznie łatwiej. Postanowił opuścić Duluth w chwili, kiedy w jego życiu i tak zachodziły znaczące zmiany. Podczas krótkiego pobytu w Las Vegas zdążył na nowo przyjrzeć się wszystkiemu, co go kształtowało. Niespodziewanie dostał szansę na odzyskanie tego, czego go pozbawiono, na powrót do domu i zbudowanie go od nowa.

Serena wolnym krokiem wróciła do samochodu. Zatrzymała się z rękami wbitymi w kieszenie, wpatrzona w pulsujący światłami samochodowymi Strip. Żałował, że nie potrafi przeniknąć jej myśli. Był ciekaw, czy chłonąc swoimi zielonymi oczami chaos tego miasta, rozmyśla o swojej przeszłości czy przyszłości. Wreszcie potrząsnęła głową, jakby przypomniał jej się jakiś stary dowcip, otworzyła drzwi, wsiadła do samochodu i wychyliła się przez okno.

- Idziesz czy nie? - zawołała.

Uśmiechnął się i dołączył do niej. Zerknął w błękitne niebo; na brzegach wielkiego jeziora w Minnesocie z drzew spadały już kolorowe liście. Od północy zbliżała się zima, a wraz z nią pierwszy śnieg.

PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle słowa wdzięczności kieruję do pięciu wspaniałych kobiet, które odegrały kluczową rolę w mojej karierze: Ali Gunn w Londynie i Deborah Schneider w Nowym Jorku, moich redaktorek Marion Donaldson w Londynie i Jennifer Weis w Nowym Jorku, oraz do mojej żony Marcii.

Ta podróż mogła się odbyć dzięki wielu innym osobom. Oto one: Carol Jackson, Diana Mackay Kate Cooper, Stephanie Thwaites oraz cały zespół wydawnictwa Curtis Brown; Beth Goehring, Gary Jansen, Victoria Skurnick, Carole Baron oraz ich koleżanki i koledzy z Bookspan; Brigitte Weeks; Sally Richardson; Peter Newsom; wspaniały zespół zajmujący się sprzedażą i promoqą w Headline i St. Martin's, a także projektanci stron www z Designstein (Nathan, Rob, Cat, Ed, Mark).

Współpracowałem też z wieloma wspaniałymi zagranicznymi wydawcami i specjalistami od sprzedaży na całym świecie. Dziękuję wam za entuzjazm i wsparcie od samego początku.

Nie wyobrażam sobie życia bez wspaniałych przyjaciół takich jak: Barb i Jerry, Keith i Judy (i cała mafia z Bath), Janean, Janice, Kris, Cindi, nasi przyjaciele z HSCAi Faegre & Benson, i wielu innych.

Jestem szczęśliwy mając rodziców, którzy zawsze wierzyli w spełnienie moich marzeń i pomagali mi w ich

realizacji, w czym towarzyszyła im cała rodzina. Żyjemy daleko od siebie, ale wy zawsze jesteście w moim sercu.

Wreszcie chciałbym podziękować licznym księgarzom, którzy życzliwie przyjęli moją książkę, oraz tysiącom czytelników, którzy towarzyszyli mnie, Jonathanowi Stride'owi i Serenie Dial w ich przygodach. (Szczególne podziękowania dla Gail R, Bonnie B., Tima S., Erika S. i Eda K.).

Do tej pory udawało mi się odpowiadać osobiście na wszystkie listy przychodzące na brian@bfreemanbooks.com. Mam nadzieję, że będziecie pisać je nadal. Zapraszam także na stronę www.bfreemanbooks.com, gdzie znajdziecie więcej informacji o mnie, moich poprzednich i planowanych książkach, a także mój blog.